

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1991

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1991

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 470

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0138-X

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Hanna ŚWIDERSKA

„CO MAMY ZROBIĆ Z ANDERSEM?”

Gen. Anders w Public Record Office

Materiały do historii Polski i Polaków w brytyjskim archiwum rządowym zgęszczają się szczególnie w latach drugiej wojny światowej i stanowią mało jak dotąd wykorzystaną kopalnię informacji dla badaczy tego okresu. Często są tak drobiazgowo i dotyczą rzeczy mało ważnych (tam szczególnie, gdzie w grę wchodzi życie polskie na Wyspie), że zdumienie ogarnia, jak można im było z urzędu poświęcić tyle uwagi, gdy na Londyn sypały się bomby.

Najbogatszym zespołem jest archiwum Foreign Office, w którym skupiały się zarówno sprawy wielkiej polityki, jak i pokątnie wydanych bzdurnych broszurek o ciągotkach mesjaniistycznych. Foreign Office trzymało rękę na wszystkim co dotyczyło spraw polskich i stąd wychodziły instrukcje do innych ministerstw co do linii postępowania w sprawach leżących w ich kompetencji. Dostęp do tego materiału podlega jednak różnym ograniczeniom. Wydany drukiem indeks rzeczowy, *Foreign Office index to general correspondence*, z jednej strony rejestruje również materiał, który prawdopodobnie już nie istnieje, a w każdym razie jest nieosiągalny, z drugiej strony zaś pomija nawet ważny materiał na dany temat, który czytelnik odkrywa przy wertowaniu tek. Dotyczy to nie tylko poszczególnych dokumentów, ale i całych tek. W tym wypadku pod hasłem „Anders” nie ma np. teki FO 371/56668 zawierającej materiał o zagadkowej wizycie J. Retingera u Generała we Włoszech latem 1946. Dlatego nie można być pewnym, że odszukało się cały materiał i możliwe są dalsze niespodzianki.

Sprawa materiału nieistniejącego nie jest całkiem jasna. Jak twierdzą archiwiści PRO, został on usunięty (ale czy zniszczony? brak jasnej odpowiedzi) przed przekazaniem go do PRO jako nieważny, gdy tymczasem widać z indeksu, że zawierał również rzeczy ważne: w tym wypadku można przytoczyć tekę FO 371/1721 o demobilizacji gen. Andersa i dokumenty z serii T z r. 1944 o nadaniu mu orderu Łąźni.

Ale te braki, to jeszcze nie wszystko, bo z udostępnionych czytelnikowi tek usunięto sporo dokumentów i na ich miejscu tkwią białe kartki z ich numerem powołujące się na odpowiednie paragrafy ustawy o państwowych archiwach z 1958 r. i informujące, że zostały one zatrzymane w instytucji macierzystej. Są to, mimo upływu przepisanej czasu, materiały nadal „delikatne” (*sensitive*). Spotyka się je wszędzie, a teki dotyczące demobilizacji 2 Korpusu szczególnie w nie obfitują, zwłaszcza FO 371/56469 z 1946 r.

Trzeba jeszcze dodać, że niektóre dokumenty lub całe teki, choć przepisowy okres minął, są nadal niedostępne, bo mogą urazić osoby żyjące lub ich rodziny. Tu należy dokument C 4372 z 1943 r. zawierający charakterystykę (*personality*) Generała, który będzie udostępniony w r. 1994; teka FO 371/6955 z 1944 r. zamknięta na 50 lat i poświęcona ważnym polskim osobistościom, wśród nich Andersowi, oraz dokument C 6955 z 1943 r.: spis takich osobistości, zamknięty na 55 lat.

W archiwum FO najbogatszym zespołem jest FO 371 (ogólna korespondencja), w której pozwala się orientować wspomniany indeks. Wszystkie cytowane tu dokumenty z numerami poprzedzonymi przez C lub N pochodzą z tego zbioru. Należy do niego dodać korespondencję ministrów spraw zagranicznych dotyczącą Polski: FO 954/19-20 (Eden) i FO 800/490 (Bevin). Dalszych materiałów dostarczają archiwa premierów (PREM), Gabinetu (CAB) i War Office (WO).

Trzeba jeszcze wspomnieć o wyższych urzędnikach FO, którzy najczęściej występują w dokumentach dotyczących Polski. Do końca 1944 Polska należała do Centralnego Departamentu FO, a od początku 1945 do Północnego. Do głównych zadań departamentów należało zbieranie i dostarczanie Gabinetowi materiału na interesujące go tematy. Obowiązki szefa Centralnego Departamentu pełnił wtedy Frank Kenyon Roberts¹. Jego kolega, Robert Maurice Alers Hankey, znał język polski. W latach 1936-39 pracował w brytyjskiej ambasadzie w Warszawie, w 1942 na placówce w Teheranie był świadkiem ewakuacji Polaków

1. Jego ciekawa wypowiedź o stosunku do spraw polskich w tamtym czasie w M. Charlton: *The Eagle and Small Birds*. Londyn 1984, str. 25-27.

z ZSSR i w 1943 osiadł w FO jako znawca spraw polskich (od 1946 szef Północnego Departamentu)². Drugim takim znawcą był Patrick Francis Hancock, który w 1943 r. na placówce w Bagdadzie poznał gen. Andersa. Wytrawnym starym dyplomata był Christopher Frederick Ashton Warner, a „młody narybek” (od 1942) stanowił Denis Allen. Szczególną rolę w krytycznym roku 1945 odegrała tajemnicza Miss A.F.C. Gatehouse, zatrudniona czasowo jako rzeczoznawca spraw polskich.

Ale materiały FO, to nie tylko zbiór faktów. Pokazują one Andersa widzianego oczami angielskich polityków i wyższych wojskowych. Różnie mówiono o stosunkach Generała z „Anglikami”, m.in. że były one zbyt bliskie. Ilustrują one jego nadmierne (a powszechne wśród Polaków tamtych czasów) zaufanie do „narodu gentlemanów”, którego ostatecznie wyżył się chyba dopiero wtedy, gdy niespodziewanie zaskoczyli go demobilizacją PSZ w marcu 1946. Dokumenty brytyjskiego archiwum rządowego, nawet mimo wszystkich wymienionych braków, pozwalają bliżej przyjrzeć się tym sprawom.

Anders i politycy

Od początku przedmiotem szczególnego zainteresowania FO był stosunek Andersa do ZSSR, on zaś hojnie zaspokajał tę ciekawość. Przy różnych okazjach wypowiadał się swobodnie, jakby sądził, że w ten sposób zyska sympatię cywilnych i wojskowych dygnitarzy angielskich, a ich przyjazne, czasem nawet pozornie wylewne podejście do siebie brał — jak się wydaje — za aprobatę swych poglądów. Ulegał nagminnym złudzeniom Polaków nieobeznanych z angielskim sposobem życia, którzy ciepłe stosunki urzędowe lub w przypadkowych kontaktach towarzyskich biorą za dowód osobistej przyjaźni (i potem czują się zawiedzeni), gdy w rzeczywistości nic nie jest dalsze od prawdy i te „przyjaźnie” gasną z chwilą ustania powiązań służbowych. *Bez ostatniego rozdziału* zawiera różne wzmianki o nawiązaniu tego rodzaju przyjaźni.

Jak Polacy tamtych czasów w ogóle, Generał starał się uświadomić Anglików na temat ZSSR i w ten sposób od początku ustawił się w ich oczach jako człowiek, którego można nawet lubić i uznawać jego pożyteczne zdolności, ale który może okazać się trudny i sprawić wiele kłopotu — zwłaszcza wobec

2. Warto przytoczyć ciekawostkę: gdy FO zastanawiało się, jak zredagować komunikat o ewakuacji Polaków z ZSSR, sowiecki cenzor urzędujący w Teheranie zażądał, żeby podkreślono „dobry stan fizyczny” wojska i nie wspomniano o nędzy ludności cywilnej. C 4177.

szybko zauważonych jego ambicji osobistych i coraz większego (w miarę odpisywania Polski na straty) „mieszania się do polityki” — i dlatego, zachowując wszelkie pozory przyjaźni, nie należy mu ufać. Z biegiem czasu nieufność tę powiększały prognozy Andersa co do wojennych możliwości i politycznych planów ZSSR, które się nie sprawdzały i które stawały się coraz bardziej irytujące, zwłaszcza gdy nadszedł czas umywania rąk od sprawy polskiej.

W *Bez ostatniego rozdziału*³ Generał pisze o nawiązaniu „serdecznych stosunków” z ambasadorem brytyjskim w Bagdadzie, Cornwallisem. Nowy przyjaciel sporządził tajny raport dla Edena (kopie rozesłał wszędzie, gdzie mogły się przydać: dla brytyjskiej ambasady w Kujbyszewie i ministrów stanu w Teheranie i Kairze) o spotkaniu z Andersem 18 XII 42 na obiedzie w polskim poselstwie w Bagdadzie, w czasie którego Cornwallis i głównodowodzący w Persji i Iraku gen. Wilson usłyszeli obszernie *exposé* na tematy sowieckie: że wiosną Niemcy uderzą na Kaukaz na południe i że wojennym komunikatem sowieckim nie wolno wierzyć. „Gdy jednak czyta on [Anders] o krwawych walkach z ciężkimi stratami po obu stronach, to zaciera ręce i modli się, żeby były zgodne z prawdą. Twierdzi, że byłoby klęską dla ludzkości gdyby Rosja wyszła z tej wojny inaczej niż kompletnie sparaliżowana. Sowiecki imperializm jest niemniej groźny niż niemiecki dla Brytyjskiego Imperium i Stanów Zjednoczonych, ale sowiecka propaganda jest tak przebiegła, że my tego nie rozumiemy. On zaś zna Rosjan od podszewki i wie jakie są ich prawdziwe cele”. Cornwallis konkluduje: „Nie ma powodu twierdzić, że te poglądy gen. Andersa mogą sprawić kłopot Rządowi JKM na tym terenie, sądzę jednak że należy zwrócić na nie uwagę Pana na wypadek, że podczas lub po tej wojnie rozwinie on polityczne aspiracje lub że inni, mniej otwarci od niego, wysuną go na scenę polityczną”⁴.

To sprawozdanie uważnie przestudiowano w Centralnym Departamencie. Ambasador przy Rządzie Polskim Cecil Dormer opatrzył je notatką: „Ta niebezpieczna mowa... ukazuje gen. Andersa w niedobrym, choć nie nowym świetle i widać z niej, że gen. Sikorski ma pewne podstawy do niepokoju co do działalności Andersa”, a Roberts dodał: „Bardzo to głupie, ale myślę, że Anders nie wyraża się tak swobodnie przy słuchaczach mniej godnych zaufania... Wobec napiętych stosunków między gen. Sikorskim i Andersem byłoby niebezpiecznie i bezcelowo zwrócić na to uwagę Rządu Polskiego”⁵.

3. Wyd. X. Londyn 1989, str. 150.

4. C 258.

5. *Ibid.*

Osobiste ambicje Generała pierwszy zauważył Hankey w Teheranie: „Anders oczywiście zamierza po wojnie wrócić do Polski jako wielka szyszka wśród walczących żołnierzy na czele swej armii⁶”, a Allen w tajnym raporcie z Bagdadu skarży się na zachowanie Polaków w Iraku (masowe wykupywanie żywności powodujące drożyznę, współpraca z arabskimi czarnorynkowcami, kradzieże w sklepach itp.) i dodaje: „rząd polski w Londynie i pewnie też polski minister w Bagdadzie mają zdumiewająco mały wpływ na gen. Andersa w szczególności i na wojsko polskie na Śr. Wschodzie w ogóle⁷”.

Jednym z powodów zadrażnień między dwoma polskimi generałami był płk L.R. Hulls, szczerze oddany Andersowi brytyjski oficer łącznikowy przy armii polskiej w ZSSR i na Śr. Wschodzie. Zbliżyła ich wspólna awersja do ZSSR, której Hulls nie ukrywał przed swymi przełożonymi i dał jej wyraz m.in. w dwu raportach, z 18 VI i 28 VII 42, sporządzonych w Jangi-Jul. Píše bez ogródek o tragicznym położeniu ludności polskiej, deportacjach itp., co ma stanowić tło dla głównego wyводу: „Czym więcej tu widzę i słyszę, tym oczywistsze się staje, że polscy politycy w Londynie nie umieją śledzić na bieżąco tutejszej sytuacji. Jestem pewien, że przede wszystkim interesują się sobą i swymi stanowiskami, a los ich ludności w Rosji i dostarczanie prawdziwych i obiektywnych relacji naszemu rządowi są na drugim miejscu. Stosunki między polską armią w ZSSR i polskim rządem są złe. Gen. Anders jest jedynym Polakiem, który mimo wszelkich trudności i samotnie zdołał zyskać pewien respekt u Stalina i Rosjan w ogóle. Cieszy się całkowitą lojalnością swych żołnierzy i, słusznie czy nie, wygnańcza ludność widzi w nim jedyną swą szansę ocalenia. Jestem pewien, że [polskie władze] uważają gen. Andersa za kogoś, kto umniejsza ich własną ważność i dlatego chcieliby go zdyskredytować gdyby mogli. Ci właśnie polscy ministrowie mają posłuch naszego rządu⁸”. Takie poglądy Hullsa oczywiście nie były wolne od wpływu jego polskiego otoczenia i nie mogły podobać się w Londynie. 3 XI 42 Sikorski oświadczył Edenowi, że „nie sądzi by płk Hulls, wojskowy doradca gen. Andersa, wywierał na niego dobry wpływ” i dodał, że Hulls zachęca Andersa do przesadzania swej ważności wobec rozrostu wojska pod jego dowództwem⁹. Z FO poszły odpowiednie sygnały do WO. Zastanawiano się jak odwołać Hullsa, bo „zastąpienie go przez

6. C 11652.

7. C 11380.

8. C 11048.

9. C 10946.

innego oficera może Andersowi nasunąć podejrzenie, że działają jakieś wpływy polityczne¹⁰” i wreszcie znaleziono sposób. Wiosną 43 został przeniesiony do nowo stworzonej organizacji dla spraw obywateli państw sprzymierzonych na Śr. Wschodzie, jako specjalista od Polaków.

Napięte nastroje w APW i rzekomy spisek, którego celem miało być wysunięcie Andersa na miejsce Sikorskiego, budziły niepokój w Kairze i Londynie i Anglicy nalegali na podróz Naczelnego Wodza na Wschód. Telegram brytyjskiego ministra stanu w Kairze donosił, że „są powody przypuszczać, że Anders nie wie o planach tych oficerów i że przyjazd gen. Sikorskiego spowoduje, że Anders nie będzie zamieszany w spisek, na który nie zdradza ochoty¹¹”.

Sporo dokumentów o antysowieckim nastawieniu Andersa nie istnieje — pewnie nie zawierały nic nowego. Odkąd jednak stało się jasne, że Niemcy zostaną pobite, zaczął głosić nowe credo irytujące FO: rychły wybuch trzeciej wojny światowej, które z chwilą zakończenia drugiej zyskało nowy cel: zachowanie PSZ w oczekiwaniu na rozprawę Zachodu z ZSSR. Tak np. Noel Charles, ambasador w Rzymie, dowiedział się w lutym 46, że jeszcze w tym roku ZSSR uderzy na Persję i Turcję¹², a 3 V 46 Harold Macmillan informował FO o rozmowie z Andersem, który „po obiedzie rozwinął swój zwykły temat: sowieckie wojska poza sowieckim terytorium... zorganizowane w dywizje operacyjne i liczące co najmniej 3 miliony ludzi... Uważa, że nie chcą i nie mogą wycofać się do Rosji. Logika wypadków zmusi ich do dalszej ekspansji na zachód w końcu tego lub w początku przyszłego roku¹³”.

Głównym atutem rządu polskiego w stosunkach z aliantami były jego siły zbrojne walczące pod brytyjskim dowództwem. Przy coraz gorszym stanie sprawy polskiej Anglików ogarniał niepokój, jak zachowa się największa i najbardziej antysowiecko nastawiona jednostka: 2 Korpus i jego dowódca o znanych poglądach i cieszący się ogromnym przywiązaniem swych żołnierzy. Korpus był nie do zastąpienia i jego bojowe zalety podkreślano nie tylko w rytualnych komplementach pod adresem jego dowódcy,

10. C 12478.

11. Rtm. Klimkowski, płk Wiśniowski, gen. Tokarzewski i płk Okulicki. PREM 3 354/2, str. 116.

12. N 2574.

13. N 6269.

ale i w tajnych raportach. Bunt tak wielkiej jednostki byłby nie do opanowania, toteż FO niespokojnie śledziło nastroje w Korpusie, opisywane w sprawozdaniach z Sojuszniczej Kwatery Głównej w Casercie i ambasady w Rzymie. Anders jednak zapewniał brytyjskie dowództwo, że nie ma powodów do obaw. Tak np. w sierpniu 44, gdy Mikołajczyk bawił w Moskwie, gen. Beaumont-Nesbitt, szef oddziału łączności wojsk sprzymierzonych we Włoszech, donosił: „Co do morale Korpusu, to gen. Anders twierdzi, że mimo bardzo złych przeczuć co do tego, co się dzieje w Moskwie, nie musimy się obawiać. Jest pewien, że nadal zdoła utrzymać ich przy ich głównym obowiązku: walce z Niemcami przy boku aliantów... Nawet gdyby doszło do najgorszego i w Moskwie zapadła decyzja nie do przyjęcia dla niego i jego Korpusu, możemy być pewni, że 2 Polski Korpus będzie nadal lojalnie współpracował. Wszyscy Polacy rozumieją, że teraz brytyjskiemu i amerykańskiemu rządowi trudno jest zająć zbyt otwarcie pro-polskie stanowisko, ale ufają, że gdy wojna się skończy, to te oba wielkie mocarstwa przypilnują naprawienia obecnych krzywd¹⁴”. Chciałoby się dodać: szkoda, przydałoby się trochę niepewności. Ta ślepa wiara spowodowała, że surowo zabronił ogłoszenia w Korpusie rozkazu gen. Sosnkowskiego do AK z 1 IX 44. Jak wyjaśnił Beaumont-Nesbittowi, rozkaz ten „jest oskarżeniem władz brytyjskich, bo przeciwstawia to, co one zrobiły dla Warszawy z czynami Polaków podczas Bitwy o Anglię. Ma to znaczyć, że Polacy bez wahania narażali się na straty, a Brytyjczycy nie mieli chęci ich ponosić. Takie twierdzenie gen. Anders i jego Korpusu kategorycznie odrzucają”. Dodał też, że dotychczasowe i przyszłe zwycięstwa Korpusu pod dowództwem brytyjskim „są tak oczywistym wkładem w wyzwolenie Polski jakby walczył w samej Polsce¹⁵”.

Rozmowa Andersa z Edenem 25 IX 44 również dała pożądany skutek. Ambasador przy rządzie polskim O'Malley pisze do Edena: „Jest oczywiste, że wpłynął Pan na Generała uspokajająco... 18 miesięcy temu był bezkompromisowy i bardzo wybuchowy, ale potem zrozumiał trudności polityki brytyjskiej i polskiej i stał się bardziej realistyczny i mniej emocjonalny. Tę przemianę umocniło wszystko, co Pan mu powiedział, a szczególnie dotarło mu do głowy, że jeśli Rząd JKM nie zrobił dla Polski wszystkiego, czego oczekują Polacy, to nie z braku chęci, ale dlatego, że istnieją przeszkody, usunięcie lub ominięcie których jest obecnie dla Rządu JKM niemożliwe¹⁶”.

14. C 11046.

15. C 13140.

16. C 13079.

Nawet Jałta nie zdołała ostatecznie zniszczyć tego zaufania. Wprawdzie 13 II Generał prosił dowódcę 8 Armii, gen. McCreery, o wycofanie Korpusu z frontu, ale ustąpił na wyjaśnienie, że nie ma go czym zastąpić i że we własnym interesie Polacy winni nadal brać udział w wojnie z Niemcami. W tak napiętej sytuacji tajna depecha z Caserty nalegała, żeby Churchill jak najszybciej zobaczył się z Andersem, który „jest rozpaczliwie przygnębiony i bez żadnej nadziei na przyszłość¹⁷”. Spotkanie nastąpiło 21 II w Londynie. Rozmowa, której własna wersja Churchilla znacznie się różni od przytoczonej w *Bez ostatniego rozdziału*, wywarła na Andersie znaczne wrażenie. Premier wyjaśnił mu, jak ma być wykonana ugoda jałtańska: Anglia nie uzna mającego powstać w Polsce rządu o ile jego skład nie będzie jej odpowiadał i przez swego ambasadora przy tym rządzie upewni się, że wybory odbyły się uczciwie. Anders wtrącił, że ZSSR nigdy na wolne wybory nie pozwoli, na co Churchill odrzekł że „jeśli nie będziemy pewni, że postanowienia krymskie uczciwie wykonano, to zostanie jak dotąd, i nadal będziemy uznawać rząd polski w Londynie, mimo że powiększa on nasze trudności zawarcia jakiegoś porozumienia... Nie będę jednak zabiegał o wschodnią granicę lepszą zdaniem Polaków od Linii Curzona, ale jestem zdecydowany działać na rzecz wolnej, suwerennej i niepodległej Polski. Taka jednak Polska musi chcieć żyć w przyjaźni z rządem sowieckim...

Co do polskiego wojska, to nie widzę czemu jego ogromna większość nie mogłaby wrócić do Polski, ale jeśli tak się stanie, ja sam zrobię wszystko żeby zapewnić dla nich brytyjskie obywatelstwo i warunki podobne tym, jakie dostaną żołnierze Armii Brytyjskiej oraz, jeśli zajdzie potrzeba, znaleźć dla nich schronienie gdzieś w Brytyjskim Imperium¹⁸”.

Tego samego dnia, po spotkaniu z Andersem, na posiedzeniu Gabinetu Churchill powtórzył swe zamiary o zabezpieczeniu przyszłości tym, którzy nie wrócą i że na razie oczywistym zadaniem dla nich jest wzięcie udziału w okupacji Niemiec w zonie brytyjskiej i dodał, że rozumie naleganie Andersa o jakieś informacje, które mógłby powtórzyć swemu wojsku po powrocie do Włoch¹⁹. To samo zakomunikował 5 III Edenowi i dodał, że „mam mocny zamiar zrobić wszystko możliwe na rzecz Polski, która będzie mogła swobodnie się rządzić i do której polscy żołnierze na naszej służbie chętnie wrócą. Ale jeśli to się nie uda, łatwo znajdzie się miejsce dla

17. PREM 3 352/9, str. 226.

18. *Ibid.*, str. 217.

19. CAB 65/51.

tak dzielnych i pożytecznych ludzi w Imperium Brytyjskim²⁰ itd.

Te plany wywołały popłoch w Północnym Departamencie i w imieniu jego biurokratów Miss Gatehouse sporządziła memoriał o przyszłości PSZ:

„Dwa główne cele naszej długoterminowej polityki co do Polskich Sił Zbrojnych powinny być: a) zachować je jako lojalne i zjednoczone formacje tak długo, jak [długo] potrzebny jest ich udział w wojnie z Niemcami, oraz b) żeby po wojnie jak najliczniej wrócili do Polski”. Krytyczny moment nadejście, gdy Rząd JKM cofnie uznanie Rządowi Polskiemu, któremu te wojska są winne posłuszeństwo. W tym wypadku „należy mieć mocną nadzieję, że nie zauważą one anomalii swego położenia i będą nadal walczyć przy naszym boku do końca wojny z Niemcami”. Wbrew obietnicom danym Andersowi, nie wolno dopuścić do połączenia rozproszonych polskich jednostek i ich udziału w okupacji: „Polacy chcieliby wziąć udział w okupacji Niemiec, bo mogliby ich użyć jako bazy do powrotu ich wszystkich wojsk przez Niemcy”. Spowodowałoby to również kłopoty z ZSSR, a „ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, są nieporozumienia z naszymi Sprzymierzeńcami, jakie by powstały, gdyby dopuszczono Polaków, którzy wszędzie robią zamieszanie, do udziału w okupacji²¹”. Podobne trudności przewidywali Eden, Allen i Warner²². Inny pomysł Churchilla: stworzenie z Polaków brytyjskiej legii cudzoziemskiej, również upadł. Miss Gatehouse stwierdziła, że „jest bardzo nieprawdopodobne, żeby z Polaków byli dobrzy najemnicy²³”.

Churchill jednak nie rozstawał się z zamiarem użycia wojsk polskich w Niemczech. W maju 45 pisał do Edena: „Ci ludzie są nam koniecznie potrzebni i nie rozumiem, co Rosjanie mieliby tu do gadania, tak jak nie radzą się nas, gdy chcą wywieźć kilka tysięcy ludzi na Sybir²⁴”. Edena i FO utwierdzał w opozycji Mikołajczyk twierdzący, że „wojsko polskie pod dowództwem gen. Andersa jest poddane tak intensywnej propagandzie anty-sowieckiej, że jego obecność w Niemczech na pewno spowoduje nieporozumienia między nami i Rosjanami. Obawia się [Mikołajczyk] też, choć tego nie mówi, że Polacy porozumieją się z Niemcami na tle ich wspólnej nienawiści do Rosjan²⁵”. Ale jeszcze latem 45 w brytyjskich kołach oficjalnych mówiono, że Anders

20. N 2723. O przelotnym optymizmie Churchilla po powrocie z Jałty co do możliwości kompromisowego załatwienia sprawy polskiej: Charlton, *op. cit.*, str. 31, 35. Tamże o historii jego poglądów nt. granicy wschodniej.

21. N 2424.

22. N 3103.

23. N 3246.

24. PREM 3 351/5, str. 730.

25. *Ibid.* str. 755.

zostanie dowódcą połączonych polskich wojsk lądowych w Niemczech²⁶.

Generał oczywiście akceptował plan okupacji. 27 II 45 po spotkaniu z nim Mikołajczyk informował swych przyjaciół w FO, że Anders jest nadal „absolutnie bezkompromisowy we wrogości do jakiegokolwiek ugody z rządem sowieckim i zdeterminowany trzymać się linii, że skoro Polska została sprzedana Rosji, wojsko polskie musi być zachowane w całości by wzmocnić stanowisko obecnego rządu polskiego, w przekonaniu i oczekiwaniu, że w końcu weźmie udział w wojnie wyzwolenczej przeciw Rosji... *A propos*, p. Mikołajczyk wspomniał, że nie powinniśmy robić polskiemu wojsku nadziei na osiedlenie się w Imperium Brytyjskim, bo jest to dokładnie [to], czego Anders potrzebuje dla swej propagandy²⁷”.

Plany Churchilla ostatecznie rozwiły się, gdy 28 VII rządy objęła Labour Party. Przesądziło to również, że Anders nie otrzyma orderu Łaźni drugiego stopnia (KCB), którą to propozycję Premier wysunął w czerwcu 45²⁸.

Rosnące osamotnienie rządu polskiego wysuwało Andersa na arenę polityczną jako nieoficjalnego rzecznika sprawy polskiej wobec Anglików, a jego położenie komplikował fakt, że PSZ były pod dowództwem brytyjskim. Stąd oskarżanie go o „mieszanie się do polityki” — w odróżnieniu od pozostałych „rozsądnych” polskich dowódców. FO skrzętnie gromadziło donosy o jego „skandalicznych” wypowiedziach. Rozkaz Generała do 2 Korpusu z 6 VII 45, z okazji cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu, spowodował wybuch oburzenia w Północnym Departamencie na to „jak najbardziej niewłaściwe oświadczenie generała pod brytyjskim dowództwem, obraźliwe dla Rządu JKM, sowieckiego alianta i rządu polskiego uznanego przez Wielką Brytanię²⁹”. Ale od odejścia Churchilla ta niechęć przybierała cechy wrogości. Ślubowanie Korpusu w Ankonie 15 VI 46, a zwłaszcza dosłownie zrozumiane słowa „ślubujemy nadal trwać w walce o wolność Polski”, spowodowało nową burzę, którą Hankey skwitował uwagą: „już nie będziemy musieli długo znosić Andersa³⁰”. Z Włoch gen. Morgan, po odbyciu długiej rozmowy z Anderssem, starał się go usprawiedliwić, że „tekst przysięgi został mu przedłożony przez oficerów i żołnierzy Korpusu z żądaniem zatwierdzenia, ale on mocno go złagodził. Jest pewien, że gdyby jakieś takie oświadczenie nie zostało wydane, to naraziłby się na

26. FO 954/20. Pol 45/218.

27. PREM 3 352/9, str. 211.

28. FO 954/20. Pol 45/218.

29. N 8419.

30. N 7805.

utrata kontroli nad swym Korpusem. Wierzę, że to jego tłumaczenie jest prawdziwe³¹”. Morganowi wtórował z Rzymu amb. Charles, że tego rodzaju wypowiedzi są wynikiem „mocnego nacisku, jaki na gen. Andersa wywiera grupa szowinistycznych wyższych dowódców, którzy i dawniej mieli na niego zły wpływ³²”. Ale w wypowiedziach Andersa najgorszym, bo budzącym gniew sowieckiego alianta, występkiem były wzmianki o polskim Wilnie i Lwowie. 15 VI 46 Bevin prosił — żądał — żeby Generał o nich nie wspominał, a Hankey pisał do WO, że „należy spowodować, żeby gen. Anders się zamknął. Co War Office zrobi w tym celu?³³”. 19 VII 46 zawiadomiło FO: „zakazaliśmy mu wygłaszania politycznych poglądów bez zezwolenia gen. Morgana oraz wyjeżdżania z Włoch bez pozwolenia WO³⁴”.



Z końcem wojny 2 Korpus i jego dowódca stali się ofiarą nagonki dyrygowanej przez Andrieja Wyszyńskiego oraz części prasy brytyjskiej nie tylko otwarcie komunistycznej. W Warszawie Mikołajczyk przy różnych okazjach donosił amb. Cavendish-Bentinckowi, że Anders nasyła agentów do Polski³⁵, a Tito alarmował, że 2 Korpus rekrutuje czetników i ustaszów i obsadza zaczepne pozycje na granicy Jugosławii. W Parlamencie nagonkę prowadził dziennikarz Konni Zilliacus i komunista Gallacher, a w prasie wybijał się K. Syers, włoski korespondent *New Chronicle*: „Anders rozmawiał ze mną ponad godzinę o dziejach ostatnich sześciu lat, używając słownictwa identycznego jak Goebbels w swych najgwałtowniejszych antysowieckich nastrojach... To prywatne wojsko, nie podlegające żadnemu rządowi, ma chęć, środki techniczne i doskonałą pozycję geograficzną... do sabotażu przeciw rządowi polskiemu, lewicowym rządów bałkańskim i interesom sowieckim w całej [sic] Europie... A miejscowe brytyjskie władze wojskowe... darzą gen. Andersa ślepym zaufaniem³⁶”. Oświadczenie Andersa zbijające różne oskarżenia, przesłane do WO, poszło *ad acta* jako ściśle tajne³⁷, a FO zabroniło amb. Charlesowi w Rzymie „ogłaszać cokolwiek w imieniu Ambasady w obronie Andersa i jego wojska³⁸”.

31. N 8437.

32. N 8679.

33. N 8464.

34. N 9611.

35. N 1072, N 707, N 1926.

36. *News Chronicle* 15 II 46.

37. N 1969.

38. N 1977.

Napady w Parlamencie poruszyły wreszcie Bevina, który oświadczył: „Żaden członek tej Izby nie krytykował tych ludzi, gdy walczyli dla nas [for us] od El Alamein po Włochy i nie pozwolę dać się wpędzić w sytuację, w której nie mógłbym przeprowadzić demobilizacji... Gorąco proszę Izbę o taką lojalność wobec tych ludzi, którzy byli polskimi robotnikami, jaką oni darzą swe przekonania polityczne³⁹”.

W takiej sytuacji zdecydowano demobilizację PSZ, których utrzymanie było bardzo kosztowne dla zubożonej wojną Anglii. 14 I 46 Bevin sporządził na posiedzenie Gabinetu memoriał w tej sprawie:

„Jestem przekonany, że należy działać szybko i drastycznie. Ile by nie było prawdy w skargach z Warszawy, że on [Anders] i jego oficerowie czynnie podniecają dywersję w Polsce, niewątpliwie sowiecki i polski rząd i wielu we Włoszech widzi w nim przywódcę sił reakcji. On sam nie kryje się z wiarą w nieuniknioną wojnę między Rosją i Zachodnimi Demokracjami. Oczywiście jego celem jest zachować w całości tak długo jak się da wojsko pod jego dowództwem jako niezależną armię polską za granicą, wrogą obcemu rządowi polskiemu i przechowującą to, co on uważa za prawdziwe tradycje państwa polskiego. Zarówno jego przyjaciele jak i wrogowie w Polsce wierzą, że ma on mocny zamiar użyć swe wojsko w odpowiednim czasie do decydującej interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. To przekonanie jest groźnym źródłem niepokoju w życiu polskim i służy celom sowieckiej polityki... Naszym celem jest zdemobilizować i unieszkodliwić jako siłę uderzeniową i symbol polityczny wojsko gen. Andersa, dla którego — jak rozumiem — nie mamy dalszych wojennych zadań. Musimy szybko złapać byka za rogi i nie wiem, co byśmy zyskali przez dalszą zwłokę. Gen. Anders jest człowiekiem o mocnych przekonaniach i nie sądzę, że je zmieni dla naszej wygody. Przeciwnie — ma wszelkie powody wykorzystywać swą pozycję i nasze trudności dla własnych celów, które są zasadniczo przeciwne celom polityki brytyjskiej. Dlatego nalegam, żeby jak najbardziej szczegółowo i dokładnie rozważyć sprawę szybkiego usunięcia go z dowództwa⁴⁰”.

Na posiedzeniu Gabinetu 22 I uchwalono wydać oświadczenie Rządu JKM o przyszłości PSZ wraz z zachętą do powrotu do Polski. Bevin rozesłał listy do ministrów wojny, lotnictwa,

39. N 2259.

40. N 736.

spraw wewnętrznych i admiralicji z prośbą o radę, jak przystąpić do wykonania tych planów. Przed wydaniem oświadczenia należy wezwać na naradę Andersa i pozostałych polskich dowódców. „Jak rozmawiać z Andersem i resztą? Czy razem, czy najpierw powinienem załatwić Andersa?”. Jeśli nie poprą wezwania do powrotu, to „musimy rozważyć zatrzymanie tu przynajmniej Andersa i może nawet pozbawienie go dowództwa⁴¹”.

Sztab brytyjski zaakceptował te projekty i zaznaczył, że uniemożliwiając Andersowi powrót do Włoch należy uniknąć rozgłosu i oficjalnie nie zwalniać go z dowództwa, bo odniosłoby to odwrotny skutek właśnie teraz, gdy jak najwięcej członków Korpusu powinno wracać, i doprowadziło do buntu, którego słabe siły brytyjskie we Włoszech nie zdołałyby opanować⁴². Wysunięto też sugestię, że wszystko poszłoby łatwiej, gdyby Raczkiewicz zwolnił PSZ z przysięgi, ale FO nie chciało się zwracać do nieuznanego prezydenta⁴³. Zastanawiano się również, czego z obietnic Churchilla nie musi się wykonać wobec odmawiających powrotu.

15 III Bevin najpierw przyjął budzącego niepokój Andersa, a po nim pozostałych dowódców: gen. Kopańskiego, Maczka, Rudnickiego, Wiatra, Iżyckiego i adm. Świrskiego. Zaskoczony wieścią o demobilizacji i zawartym przez Anglię porozumieniem z Warszawą w sprawie repatriacji członków PSZ, Anders znalazł się w potrzasku. Jak sam pisze: „Nie mogłem powiedzieć, że się nie zgadzam, bo za tym szło nieuchronne pytanie: w takim razie co dalej?⁴⁴”. Oczywiście nie można było oczekiwać, że będzie zachęcać do powrotu, ale Bevin zadowolili się obietnicą, że nie będzie przeszkadzać. W ten sposób Anders nieświadomie uniknął zatrzymania w Anglii, zwłaszcza że gen. Morgan, obawiając się buntu 2 Korpusu, nalegał na jego obecność we Włoszech, gdy rządowe oświadczenie będzie doręczone wojsku⁴⁵.

Generał dowiedział się z angielskiej prasy, że Korpus będzie sprowadzony do Anglii na demobilizację⁴⁶, a o bliższych szczegółach on i pozostali dowódcy zostali poinformowani dopiero 21 V na konferencji w FO. Po jak najszybszym przeniesieniu do Anglii nie chcący wracać powinni wstąpić do Polskiego Korpusu Przesiedlenia (*Polish Resettlement Corps*, później nazwany Polskim Korpusem Przysposobienia i Rozmieszczenia — PKPR), celem którego będzie przygotowanie ich do życia w cywilu⁴⁷.

41. N 1042.

42. N 1041.

43. N 3212, N 2226.

44. *Bez ostatniego rozdziału*, str. 366.

45. N 3670, N 4225.

46. N 6347.

47. N 6991.

Stan duchowy Andersa po powrocie z Londynu oddaje poufny raport mjr. J. Gawrońskiego, mówiącego po polsku członka sekcji łączności przy Głównej Kwaterze Wojsk Sprzymierzonych, napisany w Rzymie 5 VI po rozmowie z nim:

„Gen. Anders jest w nastroju godnym pożałowania. Uważa, że zawiódł swych żołnierzy, którzy mu ślepo ufali. Mówi z najwyższym uznaniem i wdzięcznością [sic] o sympatii i uprzejmości, z którą spotkał się w Londynie i w Głównej Kwaterze we Włoszech, że wszędzie znalazł samych przyjaciół robiących wszystko, by należycie go potraktować, choć nie potrafią zrozumieć, że zawiedli go we wszystkim co najważniejsze, w wyniku czego — i to jest najgorsze — on sam zawiódł swych żołnierzy. To właśnie najgorzej go gryzie”. Mówił żołnierzom walczącym na wszystkich frontach, że walczą o Polskę, nawet mimo Teheranu i Jałty. „Widziałem jasno, pod jak strasznym ciśnieniem jest rząd brytyjski wobec niebezpieczeństwa powrotu Stalina do przymierza z Hitlerem. Dlatego gdy p. Churchill zapewnił mnie, że w Jałcie postanowiono że Polska będzie prawdziwie wolna i niepodległa, z rządem tymczasowym złożonym ze wszystkich antyfaszystowskich partii, który przeprowadzi wolne wybory, przekonałem mych żołnierzy żeby walczyli dalej, choćby o tę zostawioną nam połowę Polski mającą być ich wolnym domem... Tylko ta obietnica wolnych wyborów w wolnym kraju skłoniła nas do pogodzenia się z Jałtą i dalszej walki. Miałem więc wszelkie prawo oczekiwać, że jej warunki zostaną wykonane i o tym zapewniałem mych żołnierzy... Ale ta demobilizacja zasadniczo zmienia sytuację. Oczywiście zdecydowano ją z powodów politycznych. Wiemy, że jesteśmy pożyteczni dla naszego brytyjskiego alianta, bo każdy nasz uzbrojony żołnierz umożliwia odesłanie do domu brytyjskiego żołnierza. Jeśli mimo tego rozbiera się nas, jest to tylko po to żeby za cenę upokorzenia nas dać próżną satysfakcję naszym wrogom. Czy nasi żołnierze na to zasłużyli?... Teraz mogą mnie oskarżyć o współudział w szeregu zbrodni popełnionych na mojej ojczyźnie⁴⁸”.

Gawrońskiemu wtórował Philip Brown, doradca polityczny w Casercie, który informował FO o trudnym położeniu Andersa usiłującego hamować swych zbuntowanych wyższych dowódców i podtrzymać na duchu żołnierzy: „Generał przechodzi bardzo ciężki okres i może czuć się zmuszony zrobić im jakieś ustępstwa... by pokazać, że pozostał sobą i nie stał się kukłą w naszych rękach⁴⁹”.

Takie było tło wizyty dr. Retingera w początku lipca. Podróż

48. WO 204/438, N 8197.

49. N 8197.

tę zorganizował Północny Departament, rzekomo na prośbę Andersa, jako pilną i o ważności państwowej. Trudno uwierzyć, by jej jedynym celem było „wyjaśnić gen. Andersowi, którego zaufaniem się cieszy, stosunek angielskiej opinii publicznej do PKPR, którą gen. Anders i oficerowie jego sztabu muszą wziąć pod uwagę⁵⁰”. Ze swej strony Hankey polecił Retingera, „mego polskiego przyjaciela”, ambasadzie w Rzymie i prosił o umożliwienie mu przesłania do Hankeya listu pocztą dyplomatyczną. Niewiele wiadomo o czym Retinger rozmawiał z Andersem. W każdym razie tłumaczył mu, że jego publiczne wypowiedzi przynoszą szkodę Korpusowi i dał za przykład gen. Sikorskiego, który „zawsze przedkładał teksty oświadczeń, jakie zamierzał złożyć, władzom brytyjskim w celu uzyskania ich aprobaty⁵¹”. Swym angielskim rozmówcom (brygadier E.H.C. Frith, gen. M.W.M. Macleod i Hankey) Retinger zalecił, żeby Andersowi, jako jednemu polskiemu dowódcy wielkiego formatu, powierzyć dowództwo PKPR, bo w trudnych warunkach oczekujących wojsko polskie w Anglii potrzebny będzie „mocny człowiek, który zdoła ich utrzymać w garści i cieszyć się ich szacunkiem”, a Anders ma poparcie Polaków w kraju i za granicą i pominięcie go bardzo by ich wzburzyło. Nawet Rosjanie „mają bardzo wielki respekt dla Andersa i, jeśli by to kiedyś odpowiadało ich polityce, bardzo możliwe że zwrócą się doń z propozycją przyjaźni⁵²”. Kandydaturę Andersa poparł też Frith uzasadniając dodatkowo, że „trzymany mocno... będzie tańczył pod naszą muzykę⁵³”.

W tym krytycznym okresie, gdy Bevin zachęcał Polaków do powrotu i FO napadało na Andersa ośmielającego się wątpić publicznie w dobre intencje ZSSR, Bevin pisał do premiera Attlee: „Patrząc wstecz uważam, że popełniliśmy błąd godząc się w Poczdamie na linię Odra-Nysa. Rosjanie uzyskali granicę, której chcieli od dawna i teraz prą do Renu — nawet nie do Łaby, a Renu... [Polska] jest pod władzą Rosji i wszystko, co robi jej obecny rząd, dzieje się na rozkaz Rosji⁵⁴”.

Anders i wojskowi

Na tle rosnącej niechęci polityków do Andersa uderza przyjazny stosunek doń wyższych wojskowych we Włoszech, oparty na

50. N 8372.

51. N 9804.

52. *Ibid.*

53. N 9024.

54. FO 800/490, str. 47-52.

uznaniu dla jego wojennych talentów, zalet osobistych i współczuciu w jego ciężkiej sytuacji. Łagodzili napady FO usprawiedliwiając jego „pożałowania godne” wypowiedzi potrzebą uniknięcia większego zła i unikali z nim zadrażnień. Żądania FO, by dowództwo na miejscu udzielało mu surowych nagan załatwiano przyjaźnie. Tak np. marszałek Alexander uznał, że rozkaz Andersa z 6 VI 45, który tak oburzył FO, „nie jest w żaden sposób podburzający”, a o „podburzającej” mowie z 11 VII w ogóle nie słyszał. Podczas pobytu Andersa w Casercie żadnej nagany mu nie udzielił i rozmowa była bardzo serdeczna⁵⁵ — co jednak nie przeszkodziło brytyjskiej prasie z 13-15 VII pisać o podburzającej mowie Andersa i ostrej naganie Alexandra.

Po powrocie z Włoch Retinger donosił Hankeyowi, że „wszyscy brytyjscy wojskowi jedzą Andersowi z ręki i ogromna większość nawet go zachęca, żeby był jeszcze bardziej antysowiecki niż jest⁵⁶”. Podziw dla Korpusu był również podziwem dla jego dowódcy. Gen. Morgan twierdził, że jest to obecnie (1946) najlepsze wojsko na świecie⁵⁷, a szef brytyjskiej sekcji łączności, amerykański pułkownik John L. Tappin, pisał w tajnym raporcie na użytek brytyjskiego Sztabu Głównego: „Muszę podkreślić, że 2 Polski Korpus jest czymś o wiele więcej, niż jednostką wojskową. Jest on ośrodkiem ideologicznym, jądrem oporu „ludu na wygnaniu”, częściowo w sensie duchowym, częściowo rzeczywistym. Według informacji osiągalnych na tym terenie, miliony Polaków w Polsce i poza nią widzą w nim ostatnią nadzieję uwolnienia Polski spod sowieckiego panowania. Płomień tego oporu dziś płonie tak jasno jak dawniej⁵⁸”. Tappin, jaki niegdyś Hulls, był szczerze oddany Andersowi, nic więc dziwnego, że FO — wbrew poleceniom życzliwego Andersowi gen. Morgana — nie chciało go widzieć w otoczeniu Generała, gdy ten przyjedzie w marcu 46 do Londynu usłyszeć straszną wiadomość o demobilizacji, i wreszcie zgodziło się pod warunkiem, że Tappin będzie nalegał na Andersa o przyjęcie oświadczenia brytyjskiego w sprawie PSZ i wstrzyma się od krytyki Rządu JKM⁵⁹.

Stosunek wojskowych do Andersa uwydatnił fakt, że Włochy były terenem prywatnej wojny podjazdowej prof. Kota przeciwko niemu, do której Kot starał się wciągnąć brytyjskie dowództwo i ambasadę. Dało to skutek odwrotny od zamierzonego i angielscy dyplomaci zgodnie pisali o nim językiem zgoła

55. N 8773.

56. N 9024.

57. N 6347.

58. WO 204/438.

59. N 3212.

niedyplomatycznym. Jeszcze w 1942 Hankey zauważył w Teheranie jego niechęć do Generała i dziwne metody działania⁶⁰. W 1944 wojna przeniosła się do Włoch, gdy Kot jako londyński minister informacji zwrócił się 15 XI do płk. Haydena, głównego cenzora prasy we Włoszech, z utyskiwaniem że prasa polska podlegająca Andersowi uprawia polityczną działalność szkodliwą dla rządu polskiego i gwałtowną kampanię antysowiecką i dodał, że jeśli zdecyduje zamknąć *Orla Białego*, będzie oczekiwał że Anglicy zamkną mu przydział papieru⁶¹. Ale na całego rozpętał swą wojnę zostawszy reżymowym ambasadorem w Rzymie. Cavendish-Bentinck pisał 4 III 46 z Warszawy do Warnera:

„Ten stary łajdak, prof. Kot... był wczoraj u mnie na śniadaniu. Wiedząc, że jest jeszcze gorszym intrygantem niż większość Polaków, podejrzewałem że przyjechał tu bruzdzić przeciw Mikołajczykowi... Poświęcił wiele czasu, który mu został po szkoleniu gen. Andersa, na opryskiwanie jadem przywódców polskiej partii komunistycznej... Jest dla mnie jasne że Kot, który prowadzi osobistą vendettę przeciw gen. Andersowi, pojechał do Włoch z mocnym postanowieniem rozłożenia dyscypliny w 2 Polskim Korpusie i spowodowania jego rozkładu przy pomocy agentów, w czym prof. Kot jest mistrzem... Prof. Kot jest notorycznym draniem i mówi prawdę tylko wtedy, gdy jest mu na rękę... ale też obawiam się, że istnieje tendencja uwierzenia, że Anders nie potrafi nam skłamać lub ukryć przed nami prawdy. Wszyscy Polacy lżą w żywe oczy gdy uważają, że to służy ich narodowym interesom⁶²”. A z Rzymu amb. Charles donosił: „p. Kot jest niezmordowany w rekrutowaniu poparcia dla swej kampanii przeciw Andersowi i nie przepuści żadnej okazji do skarg na traktowanie jego personelu i działalność 2 Polskiego Korpusu... Mówił o tym miejscowej i zagranicznej prasie... a także agitował mych francuskich i holenderskich kolegów i z pewnością też innych dyplomatów... Każda plewa przyda się do jego młyna⁶³”. Skarżył się również w FO na brak współpracy ze strony brytyjskiej ambasady i dowództwa we Włoszech i sprawa została zbadana na polecenie FO. Okazało się, że „od swego przybycia tutaj nigdy nie wziął pod uwagę naturalnego uznania, jakim alianci darzą Andersa i bojowe osiągnięcia jego Korpusu, ani też osobistej przyjaźni między polskimi i brytyjskimi oficerami, którzy mają ze sobą do czynienia. Przez swe personalne napaści na Generała unaoczniał tylko tym oficerom kontrast między nimi dwoma i nimb chwały zwycięzcy spod Monte

60. C 11652.

61. WO 204/5470.

62. N 3549.

63. N 1977.

Cassino usuwa w cień naukowe laury Profesora. Jak powiedział jeden z oficerów: gdy ktoś kogoś szkaluje, to albo szkalujący, albo szkalowany jest łajdakiem, a gen. Anders łajdakiem nie jest⁶⁴”.

Warto jeszcze dodać, że wbrew zabiegom Kota, nadzór brytyjskich władz wojskowych nad prasą Korpusu był samą łagodnością w porównaniu z nagonką na opozycyjną prasę polską w Londynie prowadzoną przez FO z podjudzenia londyńskich agentów TASSa i sowieckiej ambasady. W porozumieniu z dowództwem brytyjskim w 1944 Anders zakazał drukowania materiału, który mógłby się nie podobać brytyjskiemu cenzorowi: przede wszystkim krytyki sowieckiej polityki i przywódców⁶⁵. Ale w 1946 Retinger stwierdził, że prasa Korpusu „poświęca więcej energii na oczernianie Rosjan, niż na obronę interesów Polaków⁶⁶”. W tym samym roku zdecydowano wzmacnić brytyjską kontrolę i śledzenie prasy Korpusu powierzono mjr. R.R. Sadlerowi zakwaterowanemu w Bolonii, który znał język polski. Nadsyłał stamtąd do WO zdawkowo-neutralne sprawozdania o zawartości *Orla Białego* i innych czasopism⁶⁷.

„Co mamy zrobić z Andersem?”

Odkąd zdecydowano utworzenie PKPR, FO i wszyscy z urzędu związani z tą sprawą zgadzali się, że jego dowództwa nie sposób powierzyć Andersowi, nie tylko z powodu jego poglądów politycznych. Zachęty do powrotu dały marne wyniki, toteż oczekiwano poprawy po sprowadzeniu Korpusu do Anglii, które „złamię urok” Andersa. Uważano, że gdyby był w jakiś sposób związany z PKPR, rozproszenie Korpusu do cywila i przez zamorską emigrację byłoby bardzo trudne⁶⁸ oraz że stanowisko w PKPR starałby się wyzyskać w celu bezterminowego przedłużania tej organizacji, by utrzymać razem materiał na przyszlą armię⁶⁹.

Sprawa ta interesowała również Warszawę i 21 VI Hankey zapewnił radcę reżymowej ambasady Winiewiczza, że Generał nie zostanie dowódcą PKPR. Na to stanowisko Winiewicz proponował „rozsądnego” gen. Kopańskiego⁷⁰, co zostało uwzględnione.

Powstało więc zagadnienie lapidarnie sformułowane przez

64. N 4571.

65. C 11046.

66. N 9804.

67. WO 204/437-438.

68. N 8734.

69. N 11938.

70. N 8350.

Hankeya: „Co mamy zrobić z Andersem?⁷¹”. Oczywiście należało go wykorzystać do zachęcania swych podwładnych do wstępowania do PKPR, co też czynił. Dorywczo też mógł okazać się użyteczny. Hankey zanotował: „Gen. Anders jest dumną i potężną osobowością i możemy mieć kłopot z żołnierzami 2 Korpusu jeśli nie zatrzymamy gen. Andersa jako sprzymierzeńca, w każdym razie do czasu aż Korpus Osiedlenia zacznie należyście funkcjonować. Cokolwiek się zdecyduje, należy go traktować z taktem i rozwagą. Myślę, że okaże się rozsądny i pomocny, jeśli odpowiednio do niego podejść⁷²”.

Przyszłość Generała była niejasna. 12 IX z polecenia WO otrzymał mgliste zapewnienie, że „co do jego przyszłości, nie zapominamy o jego interesach⁷³”, a 20 IX powiadomiono go oficjalnie, że ze względów politycznych nie dostanie dowództwa PKPR. „Anders był widocznie przygotowany na tę wiadomość i przyjął ją całkiem spokojnie. Powiedział, że rozumie naszą decyzję i że, nawet gdyby ofiarowano mu to stanowisko, to musiałby się mocno zastanowić i cokolwiek by zdecydował, to musiałby przytoczyć te same powody polityczne, na które my się powołujemy... Powiedzieliśmy mu również, że Rząd JKM zamierza go nadal zatrudniać w taki sposób, by mógł korzystać z jego rad i wpływu Polaków. Nie wyraził żadnej opinii co do natury tego zatrudnienia i wyglądał na zadowolonego gdy usłyszał, że je rozważamy i propozycję dostanie później⁷⁴”.

Gabinetowa Komisja do Spraw PSZ (*Polish Forces Committee*) 1 sierpnia powierzyła zbadanie tej sprawy WO w porozumieniu z FO oraz Ministerstwami Skarbu i Spraw Wewnętrznych⁷⁵. Sir Orme Sargent z FO poddał myśl zwrócenia się do gen. Smutsa „czy mógłby nam pomóc przez zaproszenie gen. Andersa jak żołnierz żołnierza żeby jakiś czas zabawił w płd. Afryce”. Pomysł jednak nie spodobał się Bevinowi i gotowy już list do Smutsa pozostał w archiwum FO⁷⁶.

Innym pomysłem FO było wysłanie Generała jako „nieoficjalnego ambasadora” do Dominii w celu zbadania możliwości osiedlenia dla swych ludzi, ale reakcja Dominion Office była niezachęcająca. Rządy Płd. Afryki, Australii i Nowej Zelandii już wcześniej odpowiedziały, że nie widzą widoków na imigrację, a poza tym wizyta Andersa byłaby dla nich politycznie kłopotliwa. Bevin również odrzucił ten pomysł, bo taka misja Andersa

71. N 11924.

72. *Ibid.*

73. N 11938.

74. N 12337.

75. N 11924.

76. *Ibid.*

mogłaby spowodować trudności w rokowaniach o traktaty pokojowe⁷⁷. Gen. L.O. Lyne z WO zamknął sprawę stwierdzając: „Niewątpliwie odkrycie faktu, że nikt ich nie chce w Dominiach i Koloniach będzie wielkim szokiem dla Polaków i na pewno tego szoku nie zmniejszy, gdy wkrótce dowiedzą się, że w naszym kraju są również niepożądani... Pogorszy to jeszcze wiadomość, że gen. Anders pozostanie bez żadnego zajęcia... Gdyby w polskim wojsku wynikły zamieszki, uważam za bardzo ważne mieć gen. Andersa pod ręką, żeby nam pomógł uspokoić swych żołnierzy, a mógłby działać skutecznie, gdyby miał jakieś oficjalne czy półoficjalne stanowisko... Utrzymanie współpracy i wpływów gen. Andersa jest ogromnie ważne⁷⁸”. Ale jakie stanowisko? Należało szybko decydować, bo w końcu października Generał miał opuścić Włochy z resztkami Korpusu. Na zebraniu *Polish Forces Committee* 22 X stwierdzono tylko, że „lepiej byłoby mu płacić za robienie czegoś raczej niż dać pensję za nic. Ale myślę, że trudności znalezienia dla gen. Andersa nieszkodliwego zajęcia są nie do pokonania, nie ma więc innej możliwości niż wrócić do zamiaru płacenia mu pensji i zezwolenia na odejście⁷⁹”. Zwłaszcza, że w tym właśnie czasie, krytycznym dla jego przyszłości, Generał raz jeszcze dostarczył dowodu, że „nie możemy polegać na jego dyskrecji”. Jak doniósł *Times* z 25 X, wygłosił przed wyjazdem z Włoch mowę, w której stwierdził, że wielu Polaków, którzy wrócili, trafiło wprost do sowieckich łagrów. Hankey zanotował: „Czy możemy polegać na dyskrecji gen. Andersa?... Sądzimy, że to przesada, ale nawet jeśli prawda, to nie chcemy, żeby mówiono o tym publicznie, bo to zniechęca Polaków do powrotu⁸⁰”. W tej sytuacji bez wyjścia zdecydowano, że do marca 47 Anders pozostanie na swym dotychczasowym stanowisku i że WO będzie go nadal używać do zachęcania żołnierzy do wstępowania do PKPR lub powrotu do Polski” [sic]⁸¹. Zresztą pod koniec listopada znalazła się dlań namiastka zajęcia, gdy gen. Paget, prezes *Central Coordinating Committee for Polish Welfare* (Komisja pomocy Polakom) zaprosił Generała na jej członka z błogosławieństwem FO („przynajmniej będzie coś robił dla zarobienia swego żołdu⁸²”). Znalazła się choć jedna życzliwa dusza: gen. Paget pisał we Włoszech 10 V 46 do amerykańskiego generała Lee: „Mam wielki podziw dla gen. Andersa, który jest doskonałym żołnierzem i nie

77. N 12253, N 11924.

78. N 13607.

79. N 13882.

80. *Ibid.*

81. N 15341.

82. *Ibid.*

poddaje się trudnościom i bólowi swego stanowiska⁸³”.

Plan ostatecznej odpowiedzi na pytanie „co zrobić z Andersem” już wcześniej sformułował Hankey: jeśli „nie zechce gdzieś wyjechać, to wygląda, że będziemy zmuszeni pozwolić mu osiedlić się tutaj... Damy mu pensję, z której będzie żyć w naszym kraju lub za granicą. Ale musimy mu postawić konieczny warunek: że tak długo, jak ją pobiera, nie wolno mu uprawiać polityki, bo w takim wypadku odpowiedzialność ponosiłby Rząd JKM. Oczywiście jedynie Rząd JKM decyduje co jest działalnością polityczną. Naturalnie będzie mu wolno pisać wspomnienia jeśli zechce... To wszystko oczywiście nie znaczy, że nie doceniamy w pełni jego wielkich zasług dla sprawy Aliantów⁸⁴”.

W grudniu *Manhattan Society of America* zaprosiło Generala do wygłoszenia odczytu o wyborach w Polsce. Zwrócił się o radę do FO czy je przyjąć, bo jest pewien, że będą one sfałszowane i musiałby to jasno powiedzieć. W odpowiedzi Hankey przypomniał, że nie wolno mu, jako oficerowi czynnej służby, poruszać publicznie kłopotliwych spraw i do wyprawy do Ameryki nie doszło. Notatkę o tej sprawie Hankey zaopatrzył uwagą: „Nie wiem czy Rząd JKM skorzystałby z tej okazji, żeby się pozbyć gen. Andersa. War Office uważa gen. Andersa za pożyteczną kartę do trzymania w rezerwie, bo liczy na jego ogromny autorytet wśród polskich żołnierzy, który wybałby nas z kłopotu, gdyby wybuchło wśród nich poważne niezadowolenie z powodu trudności w Korpusie Rozmieszczenia⁸⁵”.

Niezadowolenie jednak nie wybuchło i 17 II 47 Hancock dopisał pod spodem: „Pytałem o to War Office. Twierdzą, że 1. już teraz zanadto by się nie sprzeciwiali utraceniu gen. Andersa, i 2. że oczywiście chcą go się pozbyć właściwą drogą, ale jeśli wyjedzie z naszego kraju, to musi być absolutnie oczywiste dla każdego, że wyjeżdża z własnej woli, a nie z naszej zachęty⁸⁶”.

2 IV 47 Hankey zanotował: „1 kwietnia gen. Anders rozstał się z wojskiem i, choć nadal będzie członkiem komisji gen. Pageta, jest odtąd zwykłym prywatnym obywatelem⁸⁷”. Ostatecznych warunków jego demobilizacji nie znamy. W każdym razie zezwolenie na pisanie wspomnień zostało wykorzystane. W tych warunkach musiało być poddane ostrej autocenzurze.

Hanna ŚWIDERSKA

83. N 6880.

84. N 11924.

85. *Ibid.*

86. N 16270.

87. N 3716.

Jędrzej TUCHOLSKI

EKSHUMACJA CHARKÓW — MIEDNOJE 25.VII — 31.VIII.1991 r.*

Od ponad roku w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej ZSSR toczy się śledztwo w sprawie ustalenia losu polskich jeńców wojennych przetrzymywanych w łagrach NKWD w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie do wiosny 1940 r.

W dniu 25 grudnia 1990 r. kierownictwo tej Prokuratury zwróciło się do Prokuratora Generalnego w Polsce z wnioskiem o dokonanie w ramach pomocy prawnej szeregu czynności śledczych. W ten sposób rozpoczęła się współpraca obydwu prokuratorów — polskiej i sowieckiej — w tzw. „sprawie katyńskiej” i wzajemne robocze kontakty.

Podczas kolejnego, trzeciego spotkania przedstawiciele obydwu prokuratorów, które odbywało się w Warszawie w dniach od 25 do 28 czerwca 1991 r., ustalono, że w zaplanowanych na okres letni 1991 r. ekshumacjach szczątków zwłok polskich jeńców, zamordowanych przez funkcjonariuszy NKWD, wezmą również udział przedstawiciele polskiej prokuratury oraz polscy eksperci niektórych specjalności w celu dokonania badań masowych grobów i szczątków zwłok oraz wydania wspólnie z biegłymi powołanymi przez Naczelną Prokuratorę Wojskową ZSSR opinii dla potrzeb toczącego się śledztwa. Ustalono też, że prace ekshumacyjne prowadzone w ramach śledztwa nie obejmą lasu katyńskiego pod Smoleńskiem, bowiem wyniki, jakie wiosną

* Referat został przedstawiony na konferencji prasowej Prokuratury Generalnej w Warszawie w dniu 16.IX.1991 r.

1943 r. uzyskała komisja techniczna Polskiego Czerwonego Krzyża, są w zupełności wystarczające dla sprawy. Znalezione tam wówczas zwłoki polskich oficerów — jeńców w Kozielsku, zamordowanych przez NKWD w kwietniu i w maju 1940 r.

Dowody zgromadzone w toku śledztwa w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej ZSSR wskazują jednoznacznie, że:

— oficerów polskich — jeńców obozu w Starobielsku wywożono partiami liczącymi do 260 osób w kwietniu i maju 1940 r. kolejną do Charkowa, gdzie byli mordowani nocami w siedzibie tamtejszego Zarządu NKWD, a zwłoki ich zakopywano na terenie VI kwartału strefy leśnej okalającej miasto. Raport zbiorczy komendanta obozu wymienia 3.807 jeńców ze Starobielska zamordowanych w Charkowie;

— 6.295 polskich policjantów, funkcjonariuszy Straży Granicznej, Służby Więziennej, Żandarmerii Wojskowej, oficerów Oddziału II Sztabu Generalnego, Korpusu Ochrony Pogranicza, kapelanów, sędziów, prokuratorów, właścicieli ziemskich i osadników wojskowych — jeńców obozu w Ostaszkowie — w tym samym czasie wywożono również kolejną do Kalinina (obecnie Twer), przy czym poszczególne transporty nie przekraczały 300 osób. Jeńcy byli mordowani w siedzibie kalinińskiego Zarządu NKWD, a zwłoki ukryli w lesie, na terenie ośrodka wypoczynkowego tej zbrodniczej organizacji, pod wsią Miednoje, w odległości około 30 km od miasta.

W skład ekipy polskiej wchodził:

prokuratorzy:

— Stefan Śnieżko (ur. w 1936 r.), mgr prawa, Zastępca Prokuratora Generalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Krewny zamordowany w Miednoje;

Zbigniew Mielecki (ur. w 1934 r.) mgr prawa, prokurator w Ministerstwie Sprawiedliwości;

— Henryk Stawryłło (ur. w 1925 r.), mgr prawa, prokurator w Ministerstwie Sprawiedliwości, żołnierz AK, w 1944 r. wywieziony przez NKWD do ZSSR;

— Andrzej Komarski (ur. w 1937 r.), płk WP, mgr prawa, szef Prokuratury Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Ojciec zamordowany w Charkowie;

— Przemysław Tomaszewski (ur. w 1930 r.), płk WP, dr praw, szef Oddziału Nadzoru nad Postępowaniem Przygotowawczym w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej w Warszawie. Ojciec zamordowany w Katyniu;

biegli:

— Bronisław Młodziejowski (ur. w 1948 r.), prof. dr hab., podinspektor policji, dyrektor Instytutu Nauk Policyjnych w Legionowie, antropolog. Stryj zamordowany w Charkowie;

— Roman Mądro (ur. w 1943 r.), doc. dr hab. w Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Lublinie;

— Erazm Baran (ur. w 1937 r.), dr adiunkt w Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Krakowie;

— Andrzej Nadolski (ur. w 1921 r.), prof. dr, kierownik Zakładu Archeologii Polski Środkowej Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN, żołnierz AK. Ojciec zamordowany w Charkowie;

— Marian Głosek (ur. w 1941 r.), doc. dr hab., kierownik Pracowni Historii Uzbrojenia w Zakładzie Archeologii Polski Środkowej Instytutu Kultury Materialnej PAN;

— Zdzisław Sawicki (ur. w 1939 r.), płk WP w stanie spoczynku, ekspert-falerysta;

— Jarosław Rosiak (ur. w 1955 r.), mgr inż., komisarz policji, specjalista z zakresu broni palnej w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Policji w Warszawie;

— Aleksander Załęski (ur. w 1942 r.), aspirant policji, ekspert fotografii w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Policji w Warszawie. Rodzina wywieziona z Wołynia do Kazachstanu;

— Jędrzej Tucholski (ur. w 1932 r.), mgr inż., asystent dyrektora, adiunkt Instytutu Elektroniki w Warszawie, historyk. Ojciec zamordowany w Katyniu;

— Elżbieta Rejf (ur. w 1929 r.), kierownik Biura Informacji i Poszukiwań w Zarządzie Głównym Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie;

— Zdzisław Peszkowski (ur. w 1918 r.), ksiądz prałat, profesor Polskiego Seminarium Duchownego w Orchard Lake, Michigan, jeniec obozów w Kozielsku, Pawliszczew Bor i Griazowcu, żołnierz II Korpusu Polskiego, który przez cały czas ekshumacji w Charkowie i Miednoje towarzyszył ekipie polskiej jako kapelan — wolontariusz;

— Waldemar Linek, kierowca autokaru.

Ekipie ekshumacyjnej towarzyszyli przez cały czas ponadto:

— reżyser mgr Józef Gębski z Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie wraz z kamerzystą Waldemarem Grodzkim i asystentem operatora Jerzym Snochem oraz mgr prawa Stanisław Mikke, zastępca redaktora naczelnego *Palestry*.

Ze strony sowieckiej prowadzili prace ekshumacyjne:

z Naczelnej Prokuratury Wojskowej:

— generałowie Wiaczesław Frołow i Włodzimierz Kupiec, płk Aleksander Tretiecki, płk Mikołaj Anisimow, płk Stefan Rodziewicz, a także trzech innych oficerów — prokuratorów, siedmiu biegłych oraz tłumacze;

z Armii Sowieckiej:

— płk Jerzy Szumiejko ze Sztabu Generalnego, oficerowie z Kijowskiego Okręgu Wojskowego i 90-osobowy wydzielony oddział z Charkowskiej Dywizji Zmechanizowanej z Dniepropietrowska, zaś w Miednoje gen. Jerzy Rybakow wraz z oficerami z Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i 54-osobowy wydzielony oddział pod dowództwem ppłk. Wiktora Połyńcowa z Kantymirowskiej Dywizji Pancerniej, a także:

— przedstawiciele KGB w Charkowie i Twerze oraz członkowie „Memoriału” — astronom Aleksy Pamiatnych z sekcji polskiej tego stowarzyszenia i przedstawiciele oddziałów charkowskiego oraz twerskiego.

Teren, na którym prowadzono czynności ekshumacyjne w Charkowie, stanowi wydzielony fragment gęstego lasu liściastego przy szosie Charków — Biełgorod, w pobliżu osiedla Piati-chatki, w odległości 55 m od szosy. Kształt tego terenu zbliżony jest do trapezu o podstawie dłuższej (równoległej do szosy), wynoszącej około 130 m, krótszej 65 m i wysokości 110 m. Całość ogrodzona jest płotem z siatki metalowej osadzonej na betonowych słupkach. Jak wynika z relacji świadków, na początku lat siedemdziesiątych teren ten był penetrowany przez grupy młodzieży poszukującej wartościowych przedmiotów. Fakt penetracji stwierdzono podczas eksploracji grobów, znajdując w pierwszych warstwach ziemi w wykopie numer V szczątki ludzkie w nieładzie anatomicznym.

Już w pierwszym dniu prac ekshumacyjnych stwierdzono w wykopie oznakowanym numerem V szczątki ludzkie i polskie elementy mundurowe, strzepy mundurów koloru khaki, guziki metalowe z polskimi orłami, elementy czapki polskiej połowej i inne. Penetrację terenu w kolejnych dniach prowadzono dość szeroko przy wykorzystaniu wojskowej koparki mechanicznej, wykonując łącznie 49 wykopów sondażowych, trzy z nich wytypowano do pełnej eksploracji, a to numer V, numer XXII i numer XXX. Na stanowisku numer XXX do głębokości 2 metrów 50 centymetrów znajdowały się elementy mundurowe i

wyposażenie osobiste oficerów. Przedmioty te nosiły cechy paleńca, przy czym najlepiej zachowały się elementy metalowe. Dopiero na samym dniu znaleziono szczątki ludzkie należące do dwóch osób.

W czasie ekshumacji w Charkowie uzyskano następujące wyniki odnośnie szczątków biologicznych (przy czym udało się rozróżnić szczątki polskie i niepolskie na podstawie dowodów materialnych znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie zwłok): w dziewięciu wykopach odnaleziono 169 szczątków ludzkich polskich, z których ekshumowano 161 (wykopy numer V i numer XXII), pozostałe zasypano nie eksplorując grobów — pozostawiając je do ekshumacji podczas prac związanych z założeniem cmentarza. Z 26 szczątków sowieckich ekshumowano wszystkie.

Szczałki biologiczne polskie zalegały na głębokości od mniejszej niż 1 metr do 2,4 metra w wykopie numer V i do 1,75 m — w wykopie numer XXII. Stanowiły je głównie czaszki, kości kończyn, kręgosłupa i inne, tylko w najniższych warstwach stwierdzono nieliczne elementy ciała w postaci przemiany woskowo-tłuszczowej. Cechy dymorfizmu płciowego charakterystyczne dla płci męskiej stwierdzono we wszystkich — nadających się do oceny tych cech — czaszkach, wydobytych z obydwu wykopów (numer V i XXII). Wyjątek stanowiły dwie czaszki o cechach dymorficznych żeńskich, które wydobyte zostały z wykopu numer XXII. Fakt ten w zestawieniu ze znalezionymi pantoflami damskimi świadczy, że były to szczątki dwóch kobiet. Stanowiło to dla ekipy polskiej duże zaskoczenie, ponieważ nie dysponowaliśmy przekazami o obecności kobiet w obozie starobielskim do wiosny 1940 r. Jednakże zeznania strażnika z ówczesnego więzienia NKWD w Charkowie uzyskane podczas śledztwa potwierdzają tę okoliczność. Zeznał on bowiem, że doprowadził z celi na rozstrzelanie kobietę przywiezioną z polskimi oficerami ze Starobielska.

Na 161 czaszek polskich, które poddano oględzinom, w 62 przypadkach stwierdzono cechy postrzału (obrażenia) głowy. Stwierdzono także obrażenia kręgu szyjnego I i II-go. Otwory wlotowe stwierdzono w części potylicznej, zaś otwory wylotowe — w czołowej. Do egzekucji używano amunicji trzech rodzajów: małokalibrowej, nagana i karabinowej (Mossin).

Poza wyposażeniem wojskowym takim jak: mundury, nakrycia głowy, buty, pasy i inne, znaleziono pięć znaków rozpoznawczych („nieśmiertelników”) i w dwóch przypadkach dokumenty, które pozwoliły na pełną identyfikację ich właścicieli. Znaleziono również różne monety polskie, odznaczenia takie jak Krzyż *Virtuti Militari* V kl., Krzyż Niepodległości,

dwa Krzyże Walecznych, medale, odznaki pułkowe, a ponadto medaliki i krzyżyki o cechach polskich, odznakę Sodalicii Mariańskiej, orły na czapki itp. Znajdowano też wyroby ze złota, wieczne pióra, zegarki i inne przedmioty osobistego użytku. Znaleziono pewną ilość naczyń, a to kubki, garnki ze znakami i napisami firmowymi polskimi. W jednej z manierek znajdował się napój o zapachu winnym. Liczne były wyroby z drzewa wykonane w obozie, jak np. cygarniczki, pudełka na tytoń, apelowki (drewniane podkłady pod obuwie). Na jednym z zegarków znalezionych w wykopie odczytano dedykację „Za wytrwałość i dyplom — matka 28.V.34”, znaleziono również sygnet pamiątkowy oficera 52 pp. Istotnym dowodem w sprawie jest drewniane pudełko z wyrytym napisem „Starobielsk 1939” oraz gazety, z których żadna nie nosi daty późniejszej niż 5.IV.1940 r.

Ekshumację w Miednoje rozpoczęto w dniu 15 sierpnia 1991 r. na terenie rekreacyjnym należącym obecnie do KGB (wcześniej NKWD), zabudowanym starymi i będącymi w budowie domkami wypoczynkowymi. Teren, w którym pochowano zamordowanych jeńców z obozu ostaszewskiego, jest wysoczyzną nad terasą zalewową rzeki Twercy. Cały obszar ogrodzony jest płotem o konstrukcji betonowo-siatkowej, postawionym przed 35-40 laty. Z obszaru tego wygrodzono część lasu we wschodniej części terenu rekreacyjnego, zakreślając w ten sposób granice terenu przeznaczonego do eksploracji. Wymiary tego terenu przedstawiały się następująco: około 120 m na osi północ-południe i około 80 m w najszerszym miejscu na osi wschód-zachód. Teren jest porośły lasem mieszanym (rzadszym niż w Charkowie), z przewagą drzewostanu iglastego.

Już pierwszego dnia natrafiono na masowy grób podczas zdejmowania wierzchniej warstwy ziemi przy użyciu cywilnej koparki mechanicznej jaką wykonywano wykop coraz szerzej i głębiej w miejscu, w którym natrafiono na pierwszy polski granatowy mundur policyjny. Pracując w ten sposób maszyna odsłoniła w pełni dwie jamy wypełnione zwłokami (które to jamy oznaczono literami A i B), a potem fragmenty dalszych dwóch jam na obrzeżach wykopu, które oznaczono literami C i D. Cały wykop oznaczono numerem I i przystąpiono do eksploracji jamy B. Koparka przystąpiła następnie do wykonania dalszych wykopów sondażowych, których łącznie zbadano 30. Jeszcze w 5-ciu natrafiono na szczątki zwłok oraz fragmenty granatowego umundurowania. W wykopie numer XXIX znaleziono jedynie bardzo dużo przedmiotów materialnych bez szczątków biologicznych.

W wykopie oznaczonym numerem I-B na pierwsze szczątki

zwłok natrafiono na głębokości 3,8 m w 15-20 warstwach, przy czym w najgłębszych warstwach włoki były tak sprasowane, że do ich oddzielenia trzeba było używać narzędzi.

Jamy A i B wypełnione były nadto ciemną cieczą. W górnych warstwach zachowały się wyłącznie szczątki kostne, zaś w najniższych — włoki w stanie przemiany tłuszczowo-woskowej. Ułożenie zwłok nie było systematyczne, lecz zachowany był porządek anatomiczny, co dowodzi, że włoki nie były w grobach układane, lecz wrzucane chaotycznie. W wielu przypadkach stwierdzono w trakcie wydobywania, że głowy owinięte były w duże fragmenty odzieży (mundurów). Udało się wydobyć szereg zwłok prawie kompletnych, w stanie przemiany tłuszczowo-woskowej, z warstw najniższych.

Siły i środki zgromadzone dla celów ekshumacji przez stronę radziecką i polską mimo nadzwyczaj użytecznej pomocy młodych żołnierzy radzieckich i pełnej samozaparciu pracy polskich ekspertów, okazały się wystarczające jedynie dla pełnego wyeksplorowania jamy B w przeciągu 2-ch tygodni wytężonej pracy. W tym czasie wydobyto szczątki ludzkie należące do nie mniej niż 243 osób, a w tym 226 czaszek (pozostałe rozpadły się). 169 spośród nich wykazało obrażenia postrzałowe. Z ustaleń wynika, że strzelano w tył głowy. Znaleziono 24 pociski, w tym 2 od nagana, pozostałe były niemieckiego kalibru 7,65 mm. Znaleziono także 12 łusek pistoletowych niemieckich. Tak więc potwierdziła się relacja Tokariewa, szefa Zarządu NKWD w Kalininie, że funkcjonariusze NKWD, którzy przybyli z Moskwy na egzekucję, przywieźli ze sobą skrzynkę pistoletów typu Walther.

Wraz ze szczątkami biologicznymi wydobyto szereg dowodów materialnych. Były to granatowe płaszcze i mundury policyjne z guzikami metalowymi z polskimi orłami, kilka czapek z orłami polskimi, liczne okucia od daszków, paski, naramienniki z oznakami stopni służbowych Policji Państwowej, orły naramienne Policji Województwa Śląskiego, indywidualne odznaki osobiste policjantów z numerami, czapka strażnika więziennego z odznaką, odznaka oficera Straży Granicznej. Znajdowano też mundury koloru khaki. Wśród dowodów znajduje się również kapelusz kaprała z formacji Strzelców Podhalańskich. Wydobyto także krzyżyki, medaliki, pieniądze metalowe i papierowe, złoty zegarek, monety, obrączki. Zakonserwował się o wiele lepiej niż w Charkowie papier. Stwierdzono, że w wielu przypadkach można było na podstawie zachowanych dokumentów zidentyfikować ich właścicieli (w 13 przypadkach). Przy jednych zwłokach znaleziono listę 46 współwięźniów z Ostaszkowa zakwaterowanych w tej samej celi oraz inną listę z 34 nazwiskami. Szereg dokumentów oczekuje na wyniki badań laboratoryjnych. Na jed-

nym z drewnianych pudełek odczytano napis „Ostaszków — Seliger”, a na znalezionej blaszce metalowej napis „TKU NKWD KO.G. Ostaszków 5588”. Na innym pudełku wyryty jest napis „Ostaszków 7.XI.1939 GS”. Odnalezione w wykopach gazety noszą daty nie późniejsze niż 4.IV.1940 r. Znalezione też dużo wyrobów z drewna wykonanych w obozie jak: pudełka na tytoń, krzyżyk drewniany, cygarniczki, szachy, apelówki i inne. Zachowały się dobrze kawałki mydła i ręczniki przechowywane w kieszeniach mundurów, chusteczki, tytoń, bibułki do papierosów, zapalki, świece i kilka w dobrym stanie książeczek do nabożeństwa.

Po zakończonych pracach ekshumacyjnych w Charkowie i Miednoje odbyły się uroczyste pogrzeby, w czasie których złożono do grobów wyekshumowane szczątki jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa.

Poza pracami ekshumacyjnymi ekipa polska dokonała wizji w Starobielsku, gdzie w zabudowaniach monasteru mieścił się obóz jeniecki, oraz na wyspie Stolbnyj na jeziorze Seliger w pobliżu Ostaszkowa, gdzie również w monasterze więziono funkcjonariuszy Policji Państwowej, Straży Granicznej, Służby Więziennej, Żandarmerii Wojskowej i innych. Przeprowadzono także wizję byłej siedziby NKWD w Charkowie (obecnie KGB) przy ul. Dzierżyńskiego (od 21.VIII ul. Mironosiczka) i w Twerze, którą obecnie zajmuje Akademia Medyczna przy ul. Sowieckiej. W podziemiach tego budynku ksiądz prałat Z. Peszkowski odprawił mszę świętą. Ustalono ponadto dwa cmentarzyki jenieckie w Starobielsku i pod Ostaszkowem.

W drodze powrotnej do Kraju polska ekipa prokuratorów i biegłych zatrzymała się w Katyniu, przeprowadzając lustrację terenu i określając wstępnie rejon, w którym mogą być pochowane zwłoki jeńców z Kozielska.

Wszystkie przedmioty materialne odnalezione w czasie ekshumacji, a mające wartość dowodową i muzealną, zostały zabezpieczone i przesłane do Polski, gdzie po badaniach w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Policji i zabiegach konserwatorskich zostały włączone do materiałów toczącego się śledztwa, a następnie powzięta będzie decyzja odnośnie zdeponowania ich w muzeum. Przesłano również do Kraju niektóre elementy kostne, w tym pewną ilość czaszek do badań specjalistycznych i identyfikacyjnych.

Ekipa polska przebywała w ZSSR od 22.VII do 3.IX.1991 r., pracując bez przerw również podczas stanu wyjątkowego.

Jędrzej TUCHOLSKI

Edmund NOWAK

OBÓZ PRACY W ŁAMBINOWICACH 1945—1946

Obóz Pracy w Łambinowicach zorganizowany został w lipcu 1945 r. w pobliżu byłego kompleksu hitlerowskich obozów jenieckich — Stalagu VIII B, Stalagu VIII F/318, Stalagu 344. Istniał do jesieni 1946 r. Historia tego obozu (zwanego często obozem przejściowym dla wysiedlonych Niemców lub obozem przesiedleńczym) jest zaledwie małym epizodem w powojennych dziejach Śląska, ale mającym bardzo poważne implikacje, w tym międzynarodowe.

Władze PRL-u jego dzieje starały się przemilczeć, a fakty mające w nim miejsce osłonić tajemnicą. Dzięki zmianie sytuacji politycznej w Polsce pod koniec lat 80-tych, pojawiła się możliwość ujawnienia wielu spraw związanych z funkcjonowaniem tego obozu. Uzyskano bowiem dostęp do nieznanych historykom dokumentów, w tym szczególnie akt Sądu Wojewódzkiego w Opolu zawierających materiały ze śledztwa i procesu w sprawie przestępstw w Obozie Pracy w Łambinowicach. Śledztwo i proces miały miejsce w latach 1956-1959. Materiały sądowe, jak i inne źródła, pozwalają podjąć próbę odtworzenia historii tego obozu, chociaż nie na wszystkie pytania można już udzielić wyczerpującą odpowiedź.

Tła oraz przesłanek powstania Obozu Pracy w Łambinowicach trzeba upatrywać w ówczesnej sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej na Śląsku. Kształtowała się ona głównie

pod wpływem trzech czynników: akcji przesiedleńczej, weryfikacji narodowościowej i osadnictwa repatriantów. Dodatkowym czynnikiem była niezwykle skomplikowana sytuacja w powiecie niemodlińskim, gdzie łamanie prawa, samowola organów bezpieczeństwa i nieudolność władz były wyjątkowo duże. Potwierdzają to oficjalne raporty i sprawozdania, w tym sprawozdanie zespołu kontrolującego powiat niemodliński z ramienia KC PPR w lutym 1946 r. Bezprawie panujące w powiecie odczuwała dotkliwie cała ludność, zarówno rodzima, jak i napływowa. W sumie złożona sytuacja w powiecie niemodlińskim wpłynęła na podjęcie decyzji o zorganizowaniu obozu pracy w Łambinowicach.

14 lipca 1945 r. kierownictwo administracyjno-polityczne powiatu niemodlińskiego, wykonując poufne zarządzenie wojewody śląsko-dąbrowskiego z 18 czerwca 1945 r. i z 2 lipca 1945 r. oraz będąc pod ogromnym naciskiem żywiłowo napływającej fali osadniczej ze wschodnich regionów Polski, podjęło decyzję o utworzeniu obozu, w którym planowano osadzić ludność niemiecką przeznaczoną do przesiedlenia do Niemiec. Jeśli jego utworzenie nie było niczym wyjątkowym — w tym czasie na Śląsku zorganizowano wiele podobnych obozów, w tym także w Niemodlinie — to jego lokalizacja w pobliżu byłego kompleksu hitlerowskich obozów jenieckich z okresu II wojny światowej okazała się później bardzo niefortunna. Było to bowiem miejsce męczeńskiej śmierci ponad 42 tys. jeńców wojennych różnych narodowości, głównie Rosjan.

Prawdą jest również to, że w protokole z zebrania, na którym podjęto decyzję o utworzeniu obozu, widnieje zapis „stworzyć obóz koncentracyjny dla Niemców”. Użycie takiej nazwy było niezgodne ze wspomnianym wyżej zarządzeniem wojewody śląsko-dąbrowskiego z 18 czerwca 1945 r., które mówiło o organizowaniu obozów pracy (odosobnienia). Z pewnością przez słowo „koncentracyjny” rozumiano miejsce koncentracji wysiedlonych Niemców do czasu opuszczenia przez nich Śląska. Przemawia za tym fakt, że nigdy później w żadnych dokumentach władz powiatowych nie używano już słowa „koncentracyjny”. Być może uczestnicy zebrania nie potrafili znaleźć odpowiedniego słowa na określenie nazwy obozu, który miał powstać. Stąd też odwołano się do niedalekiej przeszłości z lat okupacji hitlerowskiej. Nie można jednak całkowicie wykluczyć tego, że władze powiatowe — będące pod ogromnym naciskiem fali osadniczej — istotnie planowały urządzić tego typu obóz.

Rozkaz zorganizowania obozu otrzymał 20-letni sierżant milicji Czesław Gęborski, który został też mianowany jego pierwszym komendantem. Mając do dyspozycji około 40-osobową gru-

pę przetrzymywanych w PUBP w Niemodlinie i kilku milicjan-
tów, Czesław Gęborski wykonał zadanie. 25 lipca 1945 r.
wybrane i przygotowane miejsce — według obecnego stanu
teren tuż za budynkiem Muzeum Jęńców Wojennych — było
gotowe na przyjęcie około 500 osób.

W obozie osadzono różne grupy osób. Podstawową i najli-
czniejszą stanowiła ludność z okolicznych wiosek, która —
uznana za Niemców lub będąca Niemcami — miała być w
krótkim czasie przesiedlona do brytyjskiej lub sowieckiej strefy
okupacyjnej Niemiec. W obozie znaleźli się mieszkańcy około
30 miejscowości.

Pierwszą wysiedloną wioską były Balice (26 lipca 1945 r.),
ostatnimi wioskami Wesele i Szczepanowice (12 lutego 1946 r.).
Prawdą jest również to, że wśród wysiedlonych mieszkańców
były rodziny, które czuły się Polakami i przyznawały się do
narodowości polskiej. Tak było np. w przypadku mieszkańców
Kuźnicy Ligockiej. W obozie osadzono też inne grupy osób
m.in. podejrzanych o przynależność do NSDAP, SS, SA, powra-
cających z niewoli żołnierzy Wehrmachtu, byłych strażników
obozów jenieckich w Łambinowicach z lat wojny, przetrzymy-
wanych w śledztwie w PUBP w Niemodlinie i innych. Liczba
przebywających jednorazowo wahała się od 500 do 1.500 osób.

Autor niniejszego artykułu szacuje, że przez obóz mogło
przejsć 6-7 tys. osób. Należy nadmienić, że ruch przybywających
i wybywających był stosunkowo duży. Część osadzonych była
zwalniana do domu, część kolejnymi transportami opuszczała
Polskę. Pewna liczba osób pracowała poza obozem.

Początkowo, chociaż bardzo krótko, obóz wypełniał zadania
obozu przesiedleńczego. Dość szybko, bo już w sierpniu 1945 r.,
otrzymał oficjalną nazwę: „Obozu Pracy w Łambinowicach”.
Pod względem administracyjnym podlegał miał starostwu powia-
towemu w Niemodlinie. W rzeczywistości nieograniczony nad-
zór i kontrolę nad nim sprawował PUBP w Niemodlinie. Ten
fakt i osadzenie w nim różnych grup osób miały również cha-
rakter represyjny. Część personelu obozowego z komendantem
Cz. Gęborskim dopuszczała się wobec osadzonych w nim ludzi
zabronionych prawem przestępstw, w tym zabójstw, znęcania
się, bicia, maltretowania i gwałtów. Motywy były różne, w tym
motyw odwetu za krzywdy doznane podczas okupacji ze strony
Niemców. Osadzeni w obozie ludzie umierali także w wyniku
słabego odżywiania, wycieńczenia oraz chorób. Zgony spowodo-
wane były czerwonką i epidemią tyfusu plamistego, która wiosną
1946 r. (za komendantury Stanisława Drzemalskiego) wybuchła w
całym powiecie niemodlińskim. Nie ominęła również obozu.
Liczbę zmarłych trudno jest ustalić. Wszystkie podawane — za-

równy w Polsce jak i RFN — liczby traktować trzeba jako hipotetyczne. Wiadomo natomiast, ilu osadzonych zostało zabitych w dniu 4 października 1945 r. W tym dniu, podczas pożaru niezamieszkałego baraku, straż obozowa — pod pretekstem uniemożliwienia rzekomej ucieczki — użyła wobec gaszących broni palnej. Zginęło wtedy — według oficjalnych raportów — od 44 do 48 osób. Po tym wydarzeniu wojewoda śląskodąbrowski gen. A. Zawadzki powołał specjalną komisję dla zbadania sytuacji w obozie. Efektem pobytu komisji w Łambinowicach było zwolnienie w dniu 10 X 1945 r. Czesława Gęborskiego z funkcji komendanta obozu i osadzenie go w areszcie tymczasowym w PUBP w Niemodlinie. Do marca 1946 r. PUBP w Niemodlinie oraz Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach prowadziły dochodzenie przeciwko byłemu komendantowi za przekroczenie swoich kompetencji służbowych i spowodowanie śmierci 48 osób w czasie pożaru. Dochodzenie zostało umorzone, gdyż uznano, że komendant wydając rozkaz użycia broni działał zgodnie z regulaminem. W marcu 1947 r. Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Katowicach zatwierdziła umorzenie dochodzenia. Następnie całą sprawę wyciszono.

Temat przestępstw w obozie pracy w Łambinowicach pojawił się ponownie na fali popaździernikowej odwilży w listopadzie 1956 r. Wtedy to Prokuratura Wojewódzka w Opolu — w oparciu o nowe fakty i dowody — wszczęła śledztwo w sprawie zabójstw dokonanych w obozie w latach 1945-1946. Śledztwo prowadzone było do grudnia 1957 r. Od marca 1958 r. do kwietnia 1959 r. przed Sądem Wojewódzkim w Opolu toczył się proces (przy drzwiach zamkniętych) przeciwko Czesławowi Gęborskiemu i innym. Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego z dnia 18 kwietnia 1959 r. Czesław Gęborski i drugi z oskarżonych, Ignacy Szypuła, zostali uniewinnieni od zarzucanych im zabójstw z braku dostatecznych dowodów winy i sprzecznych zeznań świadków. Wyrok ten po dzień dzisiejszy budzi szereg kontrowersji i wątpliwości.



Historia obozu pracy w Łambinowicach przestaje być tematem przemilczanym i tzw. białą plamą w historiografii Śląska. Nie oznacza to, że wszystko zostało wyjaśnione. Dziś, w połowie 1991 r., nie można udzielić precyzyjnej odpowiedzi na pytanie o liczbę uwięzionych i zmarłych w obozie oraz przyczyny ich śmierci. Wszystkie przytaczane liczby trzeba traktować jako szacunkowe, gdyż do chwili obecnej nie natrafiono na ślady ewi-

dencji obozowej i „księgi zmarłych”. Te dokumenty oraz ewentualna ekshumacja pozwolą wyjaśnić istniejące jeszcze wątpliwości i zweryfikować — nieraz dowolnie przedstawiane — fakty i liczby.

Opole, lipiec 1991 r.

Edmund NOWAK

Z. S. SIEMASZKO

PIPSZTOKI¹

PRZED WOJNĄ

W końcowym okresie niepodległej Polski najbardziej zaawansowanym technicznie ośrodkiem wojskowej łączności były Państwowe Zakłady Tele- i Radiotechniczne (PZTiR) przy ul. Grochowskiej na Pradze². Tam wprowadzano w życie stopniową radiofonizację wojska, rozpoczętą w połowie lat 30-tych, którą zaczęto od najniższego poziomu, tzn. od radiostacji N1 i N2. Radiostacje te, w które w pierwszym rzędzie zaopatrywano pułki kawalerii, w czasie kampanii wrześniowej spełniły swe zadanie całkiem zadowalająco.

Ale nie wszystkie problemy wojskowej łączności były rozwiązywane w państwowych PZTiR, niektóre powierzono firmom prywatnym, a w szczególności wytwórni radiotechnicznej Ava w Warszawie. Między innymi otrzymała ona zamówienie na radiostację dla Marynarki Wojennej na odcinku Warszawa-Pińsk, gdzie znajdowało się dowództwo Flotylli Pińskiej. To połączenie radiowe odegrało szczególną rolę w czasie kampanii wrześniowej, kiedy Rydz-Śmigły wraz ze swym Sztabem znalazł się we wschodniej Polsce i korzystał z tego kanału komunikując się z Warszawą.

Jednocześnie Oddział II Sztabu powierzył firmie Ava rozwiązywanie problemów technicznych w związku z rozpracowywaniem niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma. Ava zdołała zbudować 15 „sobowtórów” Enigmy, które pozwalały odczytywać

1. Noty z uwagi na długość zamieszczamy na końcu artykułu — Red.

telegramy, zanim Niemcy nie wprowadzili jeszcze większego stanu skomplikowania, co doprowadziło do tego, że czynniki polskie zdecydowały zaangażować do rozpracowywania tych nowych systemów szyfrowych Francuzów i Anglików. Doprowadziło to do całkowitego rozwiązania Enigmy przez Aliantów, a jednocześnie do tego, że Polacy w W. Brytanii mieli w czasie wojny rzadko spotykaną swobodę działania w dziedzinie przekazywania wiadomości radiowych, co wyrażało się na przykład tym, że szyfry polskie (przynajmniej formalnie) nie były znane władzom brytyjskim.

Parę lat przed wojną Ava otrzymała zlecenie Oddziału II na zaprojektowanie konspiracyjnej radiostacji małej mocy w zakresie wysokich częstotliwości 2 do 8 MHz (wówczas to się określało Mc/s — megacykle na sekundę)³.

W tym miejscu należy zastanowić się, czym właściwie była Ava. Należała ona do czterech współników: inż. Ludomira Danilewicza, jego brata Leonarda Danilewicza, Antoniego Pallutha i Edwarda Fokczyńskiego. Ludomir Danilewicz był głównym konstruktorem, jego brat Leonard „wykonywał rysunki, negocjował warunki, terminy itd., Palluth (z II Oddz. Sztabu) był specem od szyfrów a Fokczyński dał w początkach lokal i trochę pieniędzy, ale nic specjalnego nie reprezentował⁴”. Głównym inżynierem elektronikiem Avy był Tadeusz Heftman.

Prawdopodobnie jeszcze przed wojną tym konspiracyjnym aparatom, nad którymi pracowała Ava, dano nazwę „pipsztek”, która utrzymała się powszechnie przez cały okres wojenny. Trudno ustalić, skąd ona pochodzi. Początkowo sądziłem, iż ma ona źródłosłów niemiecki, ale jednak mimo pozorów, nie zdołałem znaleźć powiązania ze słownictwem niemieckim.

1939–1940

We wrześniu 1939 r. pracownikom wyższego rzędu zarówno PZTiR jak i Avy polecono opuścić Warszawę. Dzięki temu kwiat polskich przedwojennych inżynierów elektroniki znalazł się potem w W. Brytanii. Inż. Heftman wyjeżdżając z Warszawy zabrał ze sobą jeden z prototypów pipsztoka.

Po zajęciu Warszawy, Niemcy objęli Avę i nadali jej nazwę Brunnerwerke, pozostawiając na niższych stanowiskach przedwojenny personel. Kpt./mjr Konrad Bogacki, oficer służby stałej Pułku Radio stacjonowanego przed wojną w Warszawie, z miejsca po klęsce wrześniowej przystąpił do organizowania łączności radiowej ze światem zewnętrznym. Zdołał on nawiązać kontakt z woźnym, pozostającym jeszcze na swym przedwojennym

stanowisku w Avie, który wskazał pokój pełen sprzętu porzucanego na podłodze, stołach i półkach, którego Niemcy nie zdążyli jeszcze uporządkować. Z kąta wyciągnął niewielkie pudełko (około 20 na 20 na 8 cm). Był to działający prototyp pipsztoka. Woźny namawiał do pośpiechu, a Bogacki też nie chciał zwlekać i zabrał z tego pokoju, zanim Niemcy nim się zainteresowali, poza tym działającym pipsztokiem dwa inne niewykończone prototypy i dużą skrzynię części zapasowych. Zasoby te stały się nie tylko środkiem kontaktów radiowych najpierw z Budapesztem i Bukaresztem, a potem z Londynem, ale również podstawą do produkowania dalszych radiostacji konspiracyjnych w okupowanej Warszawie. (Vide relacja Bogackiego, str. 109).

Tymczasem we Francji pracował Heftman nad przywiezionym prototypem, dążąc do przestawienia go na francuskie części składowe, ale zanim zakończył te prace Francja upadła. Inż. Heftman zdołał przedostać się do Anglii wraz ze swoim prototypem.

W celu odmalowania ogólnej sytuacji należy przedstawić stan radiowej łączności zewnętrznej Sztabu Nacz. Wodza w czasie pobytu we Francji. Początkowo zadanie to spełniała radiostacja znajdująca się w hotelu Regina, która w zasadzie podlegała Oddz. II Sztabu, ale obsługiwała również kontakty krajowe, odbierając pierwszą depezę z Bukaresztu 19 lutego 1940 r. i utrzymując regularną korespondencję z Budapesztem od 8 marca 1940 r. Radiostacja ta dysponowała amerykańskim nadajnikiem firmy Collins o mocy 800 watów i amerykańskim odbiornikiem typu HRO, był to w owym czasie chyba najlepszy na rynku światowym odbiornik wysokich częstotliwości. Radiostację tę obsługiwali radiotelegrafiści, urzędnicy cywilni Kuraś, Kasia, Pilarski i Prandl.

W dniu 19 kwietnia 1940 r. z radiostacji Regina wydzielono drugą radiostację, którą umieszczono w Angers. W odróżnieniu od radiostacji Regina, która podlegała Oddz. II Sztabu NW, radiostacja Angers podlegała Oddz. Specjalnemu (sprawy krajowe), tegoż Sztabu. Posługiwała się ona również odbiornikiem HRO i nadajnikiem skonstruowanym we Francji przez Michała Kasię, który był amatorem w tej dziedzinie. Obsługiwali tę radiostację plut. Antoni Brękwicz i urzędnicy cywilni Kasia, Prandl i Pilarski⁵. Na skutek ataku niemieckiego radiostacja Angers została zwinięta 20 czerwca 1940 r. W sumie, najpierw Regina, a potem Angers, między 25 stycznia i 20 czerwca 1940 r. nadały 422 depeze (21.803 grup) i odebrały 285 depeze (21.515 grup).

Radiostacja Regina ewakuowała się z Francji w całości, ze

sprzętem i personelem pod dowództwem mjr. Mikiewicza z Oddz. II i przybyła do Liverpoolu na brytyjskim statku Clan Fergusson 24 czerwca 1940 r. Natomiast ze stacji Angers u.c. Pilarski i Prandl zdecydowali pozostać we Francji, u.c. Kasia udała się do Anglii indywidualnie i jedynie plut. Brękiewicz pozostał z radiostacją, z którą zdołał dojechać do portu. Wobec niemożliwości załadowania nadajnika, zniszczył go zabierając kwarce, odbiornik HRO obwiązany sznurami załadował na plecy, elementy ruchu, szyfry i kwarce wsadził „za pazuchę” i w tym stanie zdołał dostać się na statek brytyjski⁶.

1940-1942

Po przybyciu do W. Brytanii, na początku sierpnia 1940 r. została uruchomiona radiostacja Marta, która mieściła się w hotelu Clifton na Bulstrode Street w Londynie. Przejęła ona agendy zarówno Oddz. II jak i Oddz. Spec. Sztabu NW. Posługiwała się ona przywiezionymi z Francji dwoma odbiornikami HRO i nadajnikiem Collins. Obsługę stanowili plut. Brękiewicz, u.c. Kasia i szer. Kuraś. 10 sierpnia wznowiono łączność z Bukaresztem, 12 sierpnia z Budapesztem, 1 września z Warszawą, 5 października z I Korpusem w Szkocji i 27 października z bazą Oddz. Spec. w Ankarze.

Inżynierowie elektroniki, którzy przybyli do W. Brytanii przed lub po upadku Francji (większość spośród nich była oficerami rezerwy łączności) zostali podzieleni na dwie grupy i przydzieleni do dwóch brytyjskich ośrodków badawczych — wojsk łączności (*Signals Research and Development Establishment*) i admiralicji (*Admiralty Signal Establishment* a później *Admiralty Signal and Radar Establishment*)⁷. Ich zwierzchnikiem z polskiej strony był ppłk inż. Antoni Krzyczkowski z Wojskowego Instytutu Technicznego, a po przeniesieniu go do Oddz. Specjalnego Sztabu Nacz. Wodza starszym polskiej grupy w ośrodku badawczym admiralicji został Stanisław Kuhn, a po jego wyjeździe do kraju funkcję tę objął Wacław Struszyński⁸.

W jesieni 1940 r. przeniesiono radiostację Marta do Stanmore pod Londynem. Zorganizowano tam również sekcję radiowywiadu, czyli nasłuchu radiowego, którą kierował kpt. Kazimierz Zieliński. Nasłuchiwała ona zarówno korespondencję niemiecką jak i sowiecką. Musiało to dawać dobre wyniki, gdyż z biegiem czasu rozrosła się ona do pełnej kompanii. W odszyfrowywaniu obcych depeesz brał udział kpt. dr Stanisław Szachno, znawca sanskrytu, jak również mgr Henryk Zygałski (w stopniu kaprała), który przed wojną brał czynny udział w rozpracowaniu niemieckiej Enigmy⁹.

W tym czasie do Ośrodka Radio Sztabu Nacz. Wodza (w skład którego wchodziła sekcja korespondencyjna i sekcja Radiowywiadu) należał również Polski Wojskowy Warsztat Radiowy (PWWR), który znajdował się również w Stanmore. Jego kierownikiem technicznym był urzędnik cywilny inż. Tadeusz Heftman, głównym pomocnikiem był plut./sierż. Stefan Włodarczyk, amator radiowy. Pracowali oni głównie nad pipsztokiem, którego w 1940 r. wyprodukowano 5 sztuk, a w 1941 r. około 50 sztuk. W tym czasie ilość pracowników PWWR wynosiła kilkadziesiąt osób, które rekrutowały się głównie spośród żołnierzy w Szkocji.

Według Włodarczyka nadajnik pipsztoka był przewidziany na 5 minut nadawania i miał moc 10 watów. Odbiornik nie był zbyt selektywny. Jego czułość wynosiła 5 mikrowoltów. Częstotliwość była sterowana kwarcem, a zakres częstotliwości wynosił 2 do 8 MHz. Wśród łącznościowców w kraju istniała pogłoska, iż pipsztok promieniował nadawanie do miejskiej sieci, co powodowało w niektórych wypadkach wykrywanie radiostacji¹⁰. Jest to jednak mało prawdopodobne. Zapytany o to Włodarczyk (już w okresie powojennym) stwierdził, że pipsztoki nie były badane na promieniowanie do sieci. Przy nadawaniu pipsztoki przegrzewały się nieco i chyba dlatego znaki Morse'a emitowane przez pipsztoki miały specyficzny przydźwięk. Z jednej strony zjawisko to było szkodliwe, gdyż przy dobrym rozeznaniu ze strony przeciwnika dekonspirowało polską wojskową sieć radiową, ale z drugiej strony dopomagało to polskim radiotelegrafistom w rozpoznawaniu pipsztoków i odróżnianiu ich od innych stacji w ciężkich warunkach odbioru, co zdarzało się bardzo często.

Jeden z pipsztoków wyprodukowanych w tym początkowym okresie odegrał szczególną rolę. Zabrał go ze sobą gen. Anders w swej osobistej teczce (a więc bez rewizji NKWD) do Sowietów w czasie swojej pierwszej wizyty w Londynie w kwietniu 1942 r. Potem używano ten pipsztok w Jangi-Julu do korespondencji ze Stanmore. Korespondencja ta odbywała się bez formalnego zezwolenia sowieckiego.

W ładnej podmiejskiej dzielnicy Stanmore (gdzie mieszkał również prezydent Raczkiewicz) radiostacja Marta znajdowała się początkowo w dużym domu otoczonym ogrodem, zwanym Dower House (przy ulicy Stanmore Hill), który pozostał w dyspozycji Ośrodka Radio Sztabu Nacz. Wodza do końca wojny¹¹. Kierownikiem Marty, którą potem przeniesiono do domu Glenbrain, był w dalszym ciągu plut. Brękiewicz. W połowie lutego 1941 r. zorganizowano również w Stanmore, w domu Harvin¹² radiostację Loda, do której przeniesiono z Marty

korespondencję radiową Oddz. II Sztabu NW. Kierownikiem Lody został sierż. Jan Wojciechowski. Była ona wyposażona w 250-watowy nadajnik firmy Webbs i odbiornik Hallicrafters SX-28. W lutym 1941 r. całkowita obsługa obu tych radiostacji liczyła już 21 ludzi, w tym dwóch oficerów. W maju 1941 r. założono dwa dalekopisy, jeden łączący Dower House z Oddz. Spec., a drugi łączący Lodę z Oddz. II Sztabu Nacz. Wodza w Londynie.

W grudniu 1941 r. uruchomiono drugą radiostację (Marta II lub Hela) w Chipperfield (Chipperfield Lodge) na północny zachód od Stanmore do użytku Oddz. Spec. Kierownikiem jej został plut. Euzebiusz Jasiński. Radiostacja ta korespondowała z radiostacją Buz przy sztabie gen. Andersa najpierw w Buzułuku, a potem w Jangi-Julu na południu Związku Sowieckiego. Wynika stąd, że radiostacje Marta i Marta II obsługiwały nie tylko Oddz. Spec., ale również i inne Oddziały Sztabu NW, z wyjątkiem Oddz. II, który obsługiwała Loda.

W maju 1942 r. uruchomiono następną radiostację (Marta III lub Zofia) w Bushy Heath, między Stanmore i Chipperfield. Kierownikiem tej stacji został sierż. Bronisław Olbrot¹³.

W tym czasie obsada oficerska była następująca:

Komendant Ośrodka	mjr Władysław Gawęł
Zastępca Komendanta	kpt. Franciszek Sobeczki
Kierownik Sekcji Korespondencyjnej	Kpt. Leon Góralski ¹⁴
Kierownik Sekcji Radiowywiadu	Kpt. Kazimierz Zieliński
Kierownik Techniczny PWWR	urzędnik cywilny, inż. Tadeusz Heftman

W tym czasie Sekcja Korespondencyjna miała w swej dyspozycji 8 odbiorników i 8 nadajników, a wśród nich: Collins, Webbs i sześć własnej produkcji (konstruktorzy Heftman i Kasia). Jej stan personalny wynosił wówczas — jeden oficer i 16 radiotelegrafistów (4 na każdej stacji).

W tym początkowym okresie (1940–1942) brytyjskim oficerem łącznikowym przy Ośrodku Radio Sztabu NW w sprawach kwatermistrzowskich był kpt. Heath. Natomiast (zdaniem kpt. Góralskiego) nie było kontaktów technicznych z władzami brytyjskimi, jedynie po wypadku, w którym zginął lotnik-Anglik, przydziały częstotliwości używanych do korespondencji w polskiej sieci ustalano z angielskim majorem, którego nazwiska nie udało się ustalić.

1942–1943

Pomimo to, że sytuacja polityczna Polski pogarszała się coraz bardziej w miarę sukcesów Czerwonej Armii i uznania, jakim

cieszyły się Sowiety coraz bardziej w St. Zjednoczonych i w W. Brytanii, Polskie Siły Zbrojne po stronie Aliantów powiększyły się poważnie w okresie 1942–1943. W Szkocji zostały ostatecznie zaakceptowane Dywizja Pancerna i Brygada Spadochronowa, ich stany zostały uzupełnione i szkolenie kontynuowano w całej pełni. Na Środkowym Wschodzie, głównie w Iraku, organizowały się dwie Dywizje Piechoty (Karpacka i Kresowa), tworzące 2-gi Korpus. Podobnie w tym samym okresie został przeorganizowany i poważnie poszerzony zarówno Ośrodek Radiowy Sztabu NW jak i Polski Wojskowy Warsztat Radiowy, który znajdował się w Stanmore przy ulicy Gordon Avenue. Wszystkie te rozbudowy stały się możliwe między innymi dlatego, że w 1942 r. ewakuowano z Sowietów na Środkowy Wschód ponad 70 tysięcy żołnierzy, którzy znaleźli się pod brytyjskim dowództwem¹⁵. Do rozwoju Ośrodka Radiowego przyczynił się również rozrost ZWZ (AK)¹⁶.

Reorganizacja Ośrodka Radiowego polegała w pierwszym rzędzie na tym, że postanowiono zgrupować radiostacje rozrzucone w Stanmore i okolicy. Według początkowego planu nadajniki i anteny nadawcze miały być ustawione w Chipperfield około 8 km na zachód od King's Langley znajdującego się przy szosie A41, na północ od Watford. Natomiast odbiorniki, anteny odbiorcze i stanowiska operacyjne miały znajdować się w Dower House w Stanmore i miały być połączone z centralą nadajników w Chipperfield kablami telefonicznymi. Odległość między nimi w prostej linii wynosiła około 18 km i między nimi leżał dość duży i uprzemysłowiony Watford, co mogło wprowadzać pewne zakłócenia. Wkrótce okazało się, że szczególnie w okresach deszczowych linie telefoniczne „nawalały”. Władze angielskie przydzieliły wówczas do polskiego użytku ładną i obszerną rezydencję Barnes Lodge, położoną nieco ponad kilometr na północ od King's Langley, przy szosie A41, odległej w linii prostej od Chipperfield około 3 km. W Barnes Lodge zorganizowano ośrodek odbiorczy i kontrolny, który połączono kablami podziemnymi z Chipperfield.

Dotychczas posługiwano się głównie antenami dipolowymi (dwuramiennymi), natomiast na polach uprawnych dookoła Chipperfield zaczęto ustawiać anteny rombówce w celach nadawczych, które miały być bardziej efektywne. Anteny te swymi dłuższymi przekątnymi były skierowane na Polskę. Początkowo montowano je na słupach drewnianych. Później okazało się, że słupy te nie były dostatecznie wysokie i zaczęto używać o wiele wyższych słupów metalowych, które, pomimo początkowych obaw, nie powodowały strat. Wkrótce przystąpiono również do ustawiania kilku rombówczych anten odbiorczych w okolicy Barnes Lodge.

W tym okresie przemianowano Ośrodek Radio na Oddział Radio Sztabu Nacz. Wodza, w skład którego wchodziła Kompania Radiotelegraficzna (Barnes Lodge i Chipperfield Lodge), Kompania Radiowywiadu (nadal w Boxmoor, około 7 km na północny zachód od King's Langley) i jeden lub dwa plutony przy dowództwie Oddziału w Dower House (Stanmore).

Zamieniono również obsadę oficerską. Początkowo dowódcą tego Oddziału miał być kpt. inż. Sabin Popkiewicz, który w tym czasie dowodził kompanią łączności w Szkocji. Jednak był on często trudny w stosunku do swych zwierzchników, co miało również miejsce i w tym wypadku, więc wyznaczono go dowódcą Kompanii Radiotelegraficznej, natomiast dowództwo Oddziału Radio powierzono mjr. dypl. inż. Tadeuszowi Lisickiemu, który dotychczas był szefem Wydziału Łączności w Oddz. Specjalnym Sztabu Nacz. Wodza. Kompanią Radiowywiadu w dalszym ciągu dowodził mjr Kazimierz Zieliński.

Na początku 1943 r. odszedł z Oddziału Radio do PWWR kpt. Góralski, przekazując swe funkcje por. mgr. Stanisławowi Kisielowi, który potem był zastępcą Popkiewicza, przydzielonego do Oddziału w maju 1943 r. Przydzielono również dwóch nowych oficerów technicznych, por. inż. Feliksa Doborzyńskiego i por. Włodzimierza Kuliszkiwicza¹⁷. Głównie na Popkiewicza spadło zadanie scalenia pojedynczych radiostacji w jedną centralę radiową, zdołał on przy pomocy innych pokonać zarówno problemy techniczne, jak i personalne¹⁸.

W tym samym czasie zaszły również poważne zmiany w PWWR. Polegały one w pierwszym rzędzie na tym, że Warsztat ten został „uznany” przez władze brytyjskie, które nadały mu nazwę *Polish Military Wireless Research Unit*, wchodzący w skład *Inter-Service Research Bureau*¹⁹. Dotychczas PWWR nabywał radiowe części składowe i inne materiały na wolnym rynku, który wobec ograniczeń wojennych nie był wystarczający, natomiast po „uznaniu” przez władze brytyjskie PWWR zaczął otrzymywać części składowe i potrzebne materiały przydziału państwowego. W celu ułatwienia kontaktów PWWR z instytucjami brytyjskimi został przydzielony do PWWR Mr. J.A.D. Timms, który prawdopodobnie spełniał również funkcję urzędnika bezpieczeństwa²⁰.

Zreformowano również polską organizację PWWR. Kierownikiem technicznym pozostał nadal urzędnik cywilny inż. Tadeusz Heftman i dowódcą wojskowym por. Józef Kruczek, ale wyznaczono naczelnego dyrektora por./kpt. (czasu wojny) inż. Antoniego Jakubielskiego. Jednocześnie utworzono Zarząd PWWR, na czele którego stał szef Wojskowego Instytutu Technicznego (należącego do Sztabu NW) płk (czasu wojny) inż. Witkowski.

Zmiany organizacyjne, zarówno brytyjskie jak i polskie, przyczyniły się do tego, że w 1942 r. wyprodukowano w PWWR 183 pipsztoki (typy A1 i A2), natomiast w 1943 r. produkcja wzrosła do 538 pipsztoków (typy A1, A2, A3 oraz AP4). Ogromną większość radiostacji wykonanych po zmianach organizacyjnych zabierały władze brytyjskie. Według Włodarczyka odbierał je Commander Dunderdale (pseudonim „Wilski”) lub jego zastępca Goodfellow (pseudonim „Lesseps”)²¹.

PWWR mieścił się w kilku barakach przy Gordon Avenue w Stanmore, których pilnowała angielska warta. Wojskowa administracja (tzn. por. Kruczek i jego kancelaria) mieściła się w Instead (Instede) House również przy Gordon Avenue. Oficerowie mieszkali w tzw. *billets*, czyli w prywatnych mieszkaniach, natomiast pracownicy PWWR nie-oficerowie byli zakwaterowani częściowo w paru barakach przy Instead House, a częściowo w Herendile House. Pobierali oni żołd zgodnie z ich stopniami wojskowymi, a poza tym otrzymywali tzw. nagrody, które wynosiły jednorazowo 4 do 8 funtów miesięcznie. Za odpracowane nadgodziny otrzymywali 2 szylingi na godzinę²².

Głównymi konstruktorami pipsztoków byli w dalszym ciągu inż. Heftman i plut./sierż. Włodarczyk, natomiast głównym konstruktorem nadajników wielkiej mocy był kpt. Góralski. Nadajniki te produkowano zarówno dla Oddziału Radio, jak i dla innych polskich instytucji²³. Według Góralskiego jeden z jego nadajników 1000 watów został dostarczony do Chipperfield i 6 nadajników 100 watów wykonano na zamówienie Oddziału II Sztabu NW dla placówek tego Oddziału rozrzuconych w różnych krajach. Za konstrukcje mechaniczne w PWWR odpowiedzialny był w pierwszym rzędzie por. inż. Józef Zajęc.

Należy zwrócić uwagę na to, że przy rozbudowie zarówno PWWR jak i Oddziału Radio na przełomie 1942-43 nie korzystano z polskich inżynierów-elektroników zatrudnionych w brytyjskich ośrodkach badawczych zarówno admiralicji jak i armii lądowej. Natomiast ilość personelu zarówno w PWWR, jak i w Oddz. Radio zwiększano w tym okresie, jak również i później, głównie poprzez ściąganie żołnierzy z oddziałów łączności w Szkocji, a między innymi z Centrum Wyszkozenia Łączności (w Kinross), ze Szwadronu Łączności w Pierwszej Dywizji Pancerniej (w Galashiels) i w pierwszym rzędzie z Ośrodka Wyszkozenia Sekcji Dyspozycyjnej Oddziału Specjalnego Sztabu NW (w Polmont), skąd czerpano szczególnie radiotelegrafistów przeszkolonych w pracy konspiracyjnej²⁴.

Świeżo wyznaczony dowódca Kompanii Radiotelegraficznej Sabin Popkiewicz zainicjował bardziej naukowe podejście do zadań mu powierzonych. Z jednej strony nawiązał on kontakt z mjr. Terleckim, przydzielonym do 26 Grupy Lotniczej w West Drayton i dzięki niemu wypożyczył przyrządy pomiarowe do badania promieniowania anten nadawczych, co doprowadziło do polepszenia ich działania. A z drugiej strony odbył staż w I.S.I.B. (*Inter-Service Ionosphere Bureau*) w Great Baddow i następnie otrzymał od tej instytucji, jak również z I.R.P.L. (*Inter-Service Radio Propagation Laboratory*) w Waszyngtonie dane i wykresy dotyczące stanów jonosfery. Na podstawie tego przystąpiono w Kompanii Radiotelegraficznej do obliczenia optymalnych częstotliwości do pracy z Polską w poszczególnych okresach czasu. Z obliczeń tych wynikało, że kiedy jonosfera jest wysoko, tzn. w nocy (zimą dłużej, a latem zaledwie kilka godzin) optymalne częstotliwości były w zakresie działania pipsztoków (typ A1, A2 i A3), tzn. poniżej 8 MHz. Natomiast w dzień, szczególnie latem, kiedy jonosfera jest nisko, optymalne częstotliwości dochodziły do 15 MHz, tzn. były zupełnie poza zakresem pipsztoków. Wynikało stąd, że szczególnie w dzień, w okresie letnim słyszalność pipsztoków nadających w Polsce i posiadających nadajniki małej mocy (nie więcej niż 10 watów) była pod Londynem bardzo ograniczona lub wręcz niemożliwa. Jednocześnie słyszalność w Polsce nadajników wielkiej mocy (kilka setek do 1000 watów) zainstalowanych w Chipperfield była zaledwie nieco lepsza.

Zdanie sobie sprawy w tego rodzaju sytuacji powodowało żądanie rozszerzenia zakresu częstotliwości pipsztoków. Zostało to wkrótce wykonane metodą powielania, czyli podwajania częstotliwości. W ten sposób powstał nowy pipsztok, AP5 o trzech zakresach częstotliwości — 2 do 4 MHz, 4 do 8 MHz i nowy zakres 8 do 16 MHz²⁵. Jednak zanim wyprodukowano pewną ilość tego nowego typu, zanim dostarczono je do Włoch pod Brindisi, zanim zrzucano do Polski i tam przekazano radiotelegrafistom w terenie, wojna dobiegała już końca. Dlatego w czasie powstania warszawskiego, kiedy ilości przekazywanych telegramów w obie strony były najwyższe, praca powyżej 8 MHz była jeszcze niemożliwa i dlatego słyszalność pipsztoków krajowych w Barnes Lodge przez większość dnia była bardzo słaba, co niezmiernie utrudniało pracę, ale nie powstrzymało przekazywania wiadomości w obie strony.

Korespondencja zarówno z krajem, jak i z polskim podziemiem we Francji i z radiostacjami podległymi Oddziałowi II Sztabu NW wzrastała w tak wielkim tempie, że możliwości centrali w Barnes Lodge i Chipperfield zbliżały się do całkowitego

wyczerpania. Wobec tego wiosną 1944 r. przystąpiono do budowy drugiej centrali radiowej w Conington Hall koło Cambridge (przy szosie A604), która zaczęła stopniowo przejmować korespondencję z Barnes Lodge podczas powstania warszawskiego w drugiej połowie sierpnia 1944 r. Było to akurat na czasie, gdyż zdarzało się coraz częściej w barakach nadawczych w Chipperfield, że wszystkie nadajniki były w użyciu i gdyby któryś „nawalił” lub gdyby zawołała jakaś nieprzewidziana krajowa Wanda, nie byłoby na czym odpowiedzieć.

Przy budowie centrali w Conington byli zaangażowani dwaj inżynierowie wypożyczeni, za pośrednictwem Wojskowego Instytutu Technicznego, z brytyjskiego ośrodka badawczego admiralicji — por. Kazimierz Żołędziowski i ppor. Witold Rutkowski.

W sierpniu 1944 r. przemianowano Oddział Radio na Battalion Łączności Sztabu NW, jednocześnie Kompanię rozlokowaną w Barnes Lodge i Chipperfield nazwano Pierwszą, a rozmieszczoną w Conington Hall — Drugą Kompanią Radiotelegraficzną. Obie one podlegały jednak kpt. Popkiewiczowi i por. Bolesław Skrobański został mianowany jedynie pełniącym obowiązki dowódcy w Conington.

Na skutek tej rozbudowy ilość nadajników w posiadaniu obu Kompanii wzrosła z 17 do 48 (w tym jeden konstrukcji Góralskiego i cztery skonstruowane w Chipperfield). Ilość odbiorników wzrosła z 25 do 51. Ilość stanowisk operacyjnych z 20 do 38. Tylko ilość przydzielonych częstotliwości wzrosła jedynie o 11, ze 127 przydzielonych jeszcze w 1942 r. do 138 w drugiej połowie 1944 r.

Jednak w kilka tygodni po uruchomieniu drugiej centrali w Conington upadło powstanie warszawskie i ilość telegramów przechodzących przez obie centrale poważnie zmalała i stopniowo malała coraz bardziej.

Jednocześnie w miarę zbliżania się do zakończenia wojny malała również produkcja w PWWR. W sumie podczas całego okresu wojennego wyprodukowano tam ponad 900 pipszteków typów A1, A2, A3, AP2, AP4 i AP5, jak również około 150 typu B1 (nazywanego również BP3). Miały one nieco wyższą moc nadajnika (około 15 watów) i zakres częstotliwości 2,8 do 8,16 MHz.

Większość pipszteków, prawdopodobnie co najmniej 600, miała angielskie napisy na płycie frontowej i została dostarczona władzom brytyjskim. Użyto ich do szeregu celów, a między innymi pewna ilość została dostarczona angielskiemu generałowi Wingate, który prowadził akcję dywersyjną na tyłach sił japońskich na Dalekim Wschodzie. Jeszcze w 1967 r. inż. Andrzej Maciejowski, który w czasie wojny w stopniu pchor./ppor. był

zatrudniony w Chipperfield, widział w Burmie pipsztoki będące w dalszym ciągu w użyciu.

Podobno pipsztoki był również używane przez wojska amerykańskie w czasie zdobywania szeregu wysp na Pacyfiku, zajętych uprzednio przez Japończyków. Podobno najpierw na poszczególnych wyspach lądowały małe patrole, które potem przy pomocy pipsztoków utrzymywały łączność z mającymi zdobywać daną wyspę głównymi siłami amerykańskimi.

Pipsztoki były używane w polskiej konspiracji we Francji. Ale odegrały one zasadniczą rolę w utrzymaniu kontaktu z podziemiem krajowym wraz z radiostacjami wykonanymi w kraju, które tak jak pipsztoki, były wzorowane na przedwojennych prototypach firmy Ava (o czym była mowa na początku tego opracowania). Pewna liczba, bliżej nieznana, pipsztoków, musiała trafić w ręce sowieckie po wkroczeniu armii sowieckiej do Polski, co musiało wzbudzić poważne zainteresowanie sowieckiego wywiadu.

PO WOJNIE

Kiedy wojna dobiegła końca, PWWR został rozwiązany. Pozostały sprzęt i materiały przekazano do brytyjskich magazynów. Oficerów przeniesiono do Batalionu Łączności Sztabu NW i częściowo do Szkocji, a szeregowych wszystkich do Szkocji (C.W. Łączności w Kinross, 4 Bat. Łączn. w Arbroath i 11 Bat. Łączności w Falkirk).

Do likwidacji korespondencji Sztabu Nacz. Wodza przystąpiono wkrótce po zakończeniu wojny. Rozmontowano obie centrale radiowe, zarówno Barnes Lodge i Chipperfield, jak i Conington. Sprzęt otrzymany podczas wojny od władz brytyjskich zwrócono do magazynów brytyjskich. Natomiast sprzęt, który był polską własnością państwową, oceniany wówczas na ponad 56 tysięcy funtów, przekazano Stowarzyszeniu Polskich Kombatanów (a nie władzom PRL). Niektórych żołnierzy przekazano do Szkocji, natomiast całość Batalionu Łączn. Sztabu NW zgrupowano w Dyrham Park koło High Barnet na północ od Londynu. Uległ on ostatecznej likwidacji w pierwszej połowie 1948 r.

Korespondencję z krajowymi Wandami, już pod władzą sowiecką, kontynuowano w dalszym ciągu, bez zezwolenia władz brytyjskich. W tym celu zorganizowano co najmniej trzy radiostacje, które podlegały inż. Popkiewiczowi, przydzielonemu wówczas do Szefostwa Łączności w Sztapie²⁶.

Żołnierze Bat. Łączn. Sztabu NW i PWWR nie otrzymali ani brytyjskich, ani też polskich odznaczeń. Podobno brytyjskich nie nadano dlatego, że władze polskie chciały otrzymać pewną

ilość odznaczeń, które nadawałyby według własnego uznania. Natomiast władze brytyjskie żądały przedstawienia imiennych wniosków na odznaczenie poszczególnych żołnierzy. O ile chodzi o polskie odznaczenia, to podobno mjr dr Zdzisław Piątkiewicz, powojenny zastępca dowódcy Batalionu, tak długo opracowywał wnioski odznaczeniowe, że aż przekroczył termin ich złożenia w Sztapie²⁷.

Natomiast pracownikom PWWR wystawiono poświadczenia, które w wypadku Włodarczyka wyglądały jak następuje²⁸:

*Polski
Wojskowy Warsztat Radiowy
w Stanmore*

Londyn, dn. 30.X.45

Zaświadczenie

Niniejszym stwierdzamy, iż sierżant Włodarczyk Stefan pracował w Polskim Wojskowym Warsztacie Radiowym od dnia 1 maja 1943 do dnia 30 października 1945 i zostaje zwolniony z pracy na skutek likwidacji Warsztatu²⁹.

Sierżant Włodarczyk był zatrudniony w powyższym okresie czasu jako laborant, a dzięki swym zdolnościom fachowym i obowiązkowości zastąpił na uznanie.

*Dyrektor PWWR
Inż. A. Jakubielski kpt.*

*Za zarząd PWWR
Inż. S. Witkowski plk*

*Inter-Service Research Bureau,
Wykeham Factory,
Gordon Avenue,
Stanmore, Middx.*

30th October, 1945

Polish Military Wireless Research Unit

As Joint Chairman representing the British Side of this Anglo-Polish Unit, I have pleasure in putting on record that Sgt. Maj. Stefan Włodarczyk served with this Unit from the 1st May, 1943, to the 30th October, 1945 on which date the Unit was liquidated following the cessation of hostilities.

Sgt. Maj. Włodarczyk was employed during the above period as a Laboratory assistant, and throughout this time his services and conduct have given us complete satisfaction³⁰.

*Group Captain
Joint Chairman
(podpis nieczytelny)*

By this Certificate of Service I record my appreciation of the aid rendered by Włodarczyk Stefan as a volunteer in the service of the United Nations for the great cause of Freedom³¹.

*B.L. Montgomery
(podpis własnoręczny)
Field Marshal*

*Date 1.1.1948
Serial No H/007*

Commander-in-Chief, 21st Army Group

Po zlikwidowaniu PWWR inż. Heftman i J.A.D. Timms zorganizowali w tych samych barakach na Gordon Avenue Stanmore firmę *British Communications Corporation (BCC)*, która zatrudniała wielu Polaków, a wśród nich dwóch generałów, Karaszewicza-Tokarzewskiego i Przeździeckiego. Później BCC przeniosła się na Wembley. Produkowała głównie sprzęt radiowy o zastosowaniu wojskowym. Uległa ona likwidacji pod koniec lat 80-tych³².

Wrzesień 1991 r.

Z.S. SIEMASZKO

PRZYPISY

1. Opracowanie to jest oparte głównie na materiałach, które nagromadziły się z biegiem czasu w związku z badaniem pokrewnych zagadnień. Poza tym zostały tu wykorzystane osobiste doświadczenia w posługiwaniu się pipsztokami podczas ćwiczeń w Szkocji w latach 1943-44, jak i w czasie pracy jako radiotelegrafista Kompanii Radiotelegraficznej w Barnes Lodge pod Londynem w latach 1944-45 i wynikająca stąd osobista znajomość wielu osób tu wymienionych.

2. W latach 1933-39 dyrektorem PZTiR był Tadeusz Graff, urodzony w 1885 r., absolwent politechniki petersburskiej, inżynier technolog, uprzedni wicedyrektor fabryki broni w Radomiu. W czasie ostatniej wojny, po wydstaniu się z Jugosławii, służył w brytyjskiej armii (REME — *Royal Electro-Mechanical Engineers*, czyli królewskie elektro-mechaniczne wojska inżynierijne) w stopniu majora na Środkowym Wschodzie. Po wojnie osiadł w Londynie i przez pewien okres czasu był szefem produkcji w firmie *British Communications Corporation Ltd.* Zmarł w czerwcu 1970 r.

3. Ava, która znajdowała się przy ulicy Szczęśliwickiej, wyprodukowała również maszynę przeznaczoną do szyfrowania depez Naczelnego Dowództwa i Wielkich Jednostek, o której Tadeusz Lisicki pisze w sposób następujący: „Nazwa Lacida pochodzi od pierwszych sylab nazwisk Langner, Ciężki, Danilewicz (ppłk Gwido Langner był kierownikiem Sekcji Szyfrów Obcych, a mjr Maksymilian Ciężki był jego zastępcą — Z.S.S.). Ludomir Danilewicz był wybitnym konstruktorem i dyrektorem firmy Ava, w której przed wojną wyprodukowano 80 takich maszyn. Lacida miała być użyta w dalszej fazie wojny polsko-niemieckiej. Dwie maszyny jeszcze przed wojną

były przydzielone do naszych *attaché* wojskowych w Paryżu i Londynie, a kilka dalszych dotarło do W. Brytanii przez Francję, gdzie pracowały w naszym sztabie. Tajemnicą polskiej maszyny do szyfrowania podzieliliśmy się lojalnie z naszymi aliantami. We Francji został opracowany tzw. francuski model, uwzględniający specjalne żądania francuskie, a Amerykanie wykorzystali ją przy konstrukcji swojej maszyny M-209-3". (*Dziennik Polski*, 26 marca 1974).

4. Jest to cytat z listu Marii Danilewicz Zielińskiej (żony Ludomira) z 14 grudnia 1973 r. Dalsze dane o czterech właścicielach Avy pochodzą również z tego listu.

„Polskę opuściliśmy we wrześniu 1939 na zlecenie Oddz. II. W Paryżu Mąż zgłosił się do Hotelu Danube. Kukiel i Kot o mało go nie wpakowali do Cerizay, czy innego obozu. Dlatego zaciągnął się ochotniczo do lotnictwa. (Był on porucznikiem rezerwy łączności, w lotnictwie dosłużył się kapitana — Z.S.S.). Miał kilkanaście patentów. W Anglii pracował dla wielkiej Firmy Plessey. Brat mego Męża, Leonard, od początku brał udział w pracach nad maszynami szyfrowymi i innymi 'cudeńkami', które wyrabiała Ava. Rezyduje on obecnie w moim domku w Wembley. Dziwak, niechętnie mówi o przeszłości, rozgoryczony, m.in. tym, że mu w czasie wojny odmówiono nawet najniższego stopnia oficerskiego. Mieszka także w Anglii inż. Tadeusz Heftman, dyrektor techniczny Avy, wie dużo, także dziwak”.

Por. Palluth i Fokczyński zginęli w Oranienburgu. Urodzony w 1904 r. Ludomir Danilewicz zmarł w Londynie w 1971 r., jego brat Leonard, urodzony w 1905, zmarł w Walii w 1976 r. Natomiast Heftman żyje dotychczas, ale nie utrzymuje stosunków z dawnymi znajomymi. Przed wojną skończył on politechnikę w Grenoble (Francja), gdzie podobno najłatwiej w całej Europie można było uzyskać tytuł inżyniera.

5. Antoni Brękwicz, podoficer rezerwy łączności, był przed wojną znanym radiotelegrafistą, który wygrywał ogólnopolskie konkursy w szybkości nadawania i odbierania znaków Morse'a. Później w W. Brytanii został mianowany ppor. a potem por. czasu wojny i był dowódcą Plutonu Korespondencyjnego w Kompanii Radiotelegraficznej, Oddziału Radio Sztabu Nacz. Wodza. Niektórzy podoficerowie mieli do niego pretensje, że ich „zdradził”, a niektórzy oficerowie nazywali go „trybunem ludu”. Brękwicz miał wyjątkową zdolność odbierania znaków Morse'a w niezmiernie ciężkich warunkach. Osobiście widziałem wypadki, kiedy dwóch lub trzech dobrych radiotelegrafistów odbierających jednocześnie, w warunkach zagłuszeń, szumów i zaników, tę samą Wandę krajową, nie mogło wspólnie skleić odebranego telegramu. Natomiast kiedy zasiadł do odbiornika por. Brękwicz, odbierany telegram miał bez mała kompletny za pierwszym razem. Po wojnie początkowo trudnił się Brękwicz odmalowywaniem mieszkań w Londynie, a potem wyjechał do Niemiec, gdzie pracował u Amerykanów (jak mówiono) na jakiejś tajnej sieci radiowej i stopniowo zerwał kontakty z dawnymi znajomymi. Więc dalsze jego losy nie są znane.

6. Opis działania we Francji, ewakuacji i pierwszych kroków w Londynie oparty jest w pierwszym rzędzie na opracowaniu Zielińskiego i Głazowskiego.

7. Wśród tych inżynierów elektroniki byli między innymi:

Helena Białous — jedna z pierwszych kobiet-inżynierów elektroniki, która początkowo była we Włoszech. Zmarła na południu Anglii w 1976 r.

Stefan Bilski — wysłano go do Anglii jeszcze przed wybuchem wojny.

Tadeusz Jaskólski zamieszkały w Londynie.

Zygmunt Jelonek — docent Politechniki Warszawskiej, potem wykładowca na Polish University College w Londynie i na Strathclyde University w Glasgow.

Stanisław Kuhn — przed wojną kierownik Biura Studiów w PZTiR, jedyny spośród tu wymienionych, który po wojnie powrócił do kraju i został profesorem Politechniki Warszawskiej.

Walerian Rogulski

Eugeniusz Rzymowski — przed wojną był prawdopodobnie odpowiedzialny w PZTiR za radiostację wojskową N1. Nie był krewnym ministra PRL Wincentego Rzymowskiego. Zmarł na południu Anglii w 1971 r.

Wacław Struszyński — wielki znawca goniometrii, położył duże zasługi w wykrywaniu niemieckich łodzi podwodnych, zmarł w Kanadzie mając 75 lat.

Piotr Tarnowski — zmarł na południu Anglii w 1968 r.

Romuald Wakar — zmarł w Londynie w 1973 r.

Aleksander Woroncow

Kazimierz Żołędziowski — zmarł na południu Anglii w 1974 r.

Do tej grupy mogli również należeć inżynierowie Mieczysław Makowski i Jerzy Starkiewicz.

Należy zwrócić uwagę na to, że przed wojną istniały powiązania pomiędzy *Institution of Electrical Engineers* i polskimi inżynierami elektroniki poprzez prof. Janusza Groszkowskiego z Politechniki Warszawskiej, który był członkiem tej brytyjskiej instytucji. Powojenna postawa polityczna Groszkowskiego wzbudzała nieraz sprzeciw ze strony jego dawnych kolegów, jak np. Antoniego Krzyczkowskiego.

8. Antoni Krzyczkowski był przed wojną docentem Politechniki Warszawskiej, jak również oficerem Pułku Radio stacjonującego w Warszawie. Tuż przed wojną został wybrany prezesem, czy też wiceprezesem Stowarzyszenia Elektryków Polskich (SEP). Po wojnie wykładał telekomunikację na *Polish University College* w Londynie, a potem był kierownikiem laboratorium w firmie Highvac. Przez szereg lat był Krzyczkowski seniorem SEP-u w W. Brytanii. Po przejściu na emeryturę wyjechał do Kalifornii, gdzie mieszkał jego syn Roman. Urodzony w 1898 r. Antoni Krzyczkowski zmarł w Santa Barbara w USA w 1981 r.

9. Kpt. Zieliński przed wojną był komendantem stacji nasłuchowej w Poznaniu. Zmarł tragicznie w latach 70-tych. Kpt. Szachno zmarł również w Londynie w 1973 r. Mgr Zygalski wykładał po wojnie matematykę w *Polish University College* w Londynie. Zmarł w latach 80-tych. Jego dwaj inni współpracownicy w rozpracowaniu Enigmy byli również matematykami. Marian Rejewski był w czasie wojny w W. Brytanii, a Jerzy Różycki utonął w Morzu Śródziemnym wraz ze storpedowanym statkiem w drodze z Francji do Algieru. Kompania Radiowywiadowca stacjonowała potem w Boxmore w pobliżu Hemel-Hempstead. O jej działalności, jak dotychczas, nic nie napisano.

10. Na przykład taka opinia panowała w Wilnie już po wkroczeniu armii sowieckiej w 1944 r., gdzie nie podłączano pipszteków do sieci miejskiej, poszukując bezskutecznie innych środków zasilania (Z.S.S., „Rozmowy z kpt. Szabunią”).

11. Polacy wymawiali tę nazwę tak jak się ona pisze, czyli w polskiej transliteracji Dower. Tymczasem poprawna wymowa (znowuż w polskiej transliteracji) powinna być Dauer, co oznacza wdowie dożywocie. Po wojnie ten obszerny dom został zburzony.

12. Dom ten przed wojną należał do Niemca. Został on zarekwirowany przez władze brytyjskie i oddany Polakom do dyspozycji.

13. Sierz. Olbrot był jednym z niewielu tu wymienionych (obok Michała Kasi), którzy po wojnie powrócili do kraju. Krążyła pogłoska, iż potem Olbrot był w ekipie odbierającej żołnierzy wracających z W. Brytanii i odznaczał się wrogim nastawieniem do nich.

14. Kpt. Góralski pochodził z Poznańskiego. Z powodu drobnej wady oka w czasie pierwszej wojny światowej został przydzielony do orkiestry w pruskiej kawalerii. Potem był zawodowym oficerem w polskiej kawalerii, a jednocześnie aktywnie interesował się radiem. W czasie manewrów na Wołyniu udowodnił swym dowódcom, że kiedy rozkazu nie można było przekazać nawet konnym gońcem, dotarł on do celu przez radiostacje skonstruowane i fundowane przez Góralskiego. Na skutek tego został przeniesiony z kawalerii do łączności i przez jakiś czas był zatrudniony w Biurze Badań Technicznych Wojsk Łączności. Zmarł w Londynie w 1977 r. (Vide Z.S.S., „Wojsko od podszewki”, str. 117).

15. Wielu Polaków przyjęło ten rozrost polskiego działania po stronie Aliantów za wskaźnik, iż polskie sprawy stoją dobrze. Stało się to potem w okresie Jałty i zakończenia wojny powodem rozczarowań i oskarżeń w stosunku do Aliantów.

16. Trzeba zwrócić uwagę na to, że Ośrodek Radio obsługiwał nie tylko Sztab Nacz. Wodza w Londynie, ale również stopniowo zaczął odgrywać rolę centrali radiowej dowództwa ZWZ (AK), gdyż przekazywał zarówno zarządzenia z Warszawy w teren, jak i meldunki z terenu do dowództwa w Warszawie.

17. Zarówno Lisicki jak i Popkiewicz byli absolwentami Korpusu Kadetów, Szkoły Podchorążych Inżynierii (Wydział Łączności) i Politechniki Warszawskiej. Obaj byli oficerami służby stałej w Pułku Radio na Pradze. Po wojnie obaj byli na wyższych stanowiskach w przemyśle brytyjskim. Jednocześnie Lisicki był przez szereg lat prezesem Związku Łącznościowców i napisał szereg artykułów o Enigmie i o bieżących (powojennych) problemach łącznościowych. Popkiewicz napisał parę opracowań dotyczących polskiej łączności sztabowej w czasie ostatniej wojny. Lisicki uzyskał doktorat na PUNO (Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie) i w ostatnich miesiącach działania polskich władz na emigracji w 1990 r. został mianowany generałem. Popkiewicz zmarł w Londynie w 1973 r., mając lat 61. Lisicki natomiast dożył lat 81 i zmarł w Eastbourn w sierpniu 1991 r. Kisiel (ur. w 1906 r.) zmarł w Londynie w 1983 r., był on magistrem chemii. Doborzyński był przed wojną zatrudniony na próbnej stacji telewizyjnej. Przed przyjściem do Oddziału Radio Sztabu NW był on zatrudniony w rozwiązywaniu spraw technicznych łączności radiowej Min. Spraw Wewnętrznych, którą w kraju kierował Stefan Korboński. Po wojnie wykładał telekomunikację na *Polish University College* w Londynie. Zmarł wcześniej, w latach 50-tych. Kuliskiewicz był przed wojną studentem politechniki, należał do niewielu oficerów Oddziału Radio Sztabu NW, którzy po wojnie wrócili do kraju.

18. Jeden z problemów, na który napotkał Popkiewicz opisałem w „Wojsku od podszewki” (str. 112).

19. Istniał również „konkurencyjny” ośrodek brytyjski, produkujący również radiostacje konspiracyjne. W latach 60-tych poznałem Mr T.T. Browna, zatrudnionego wówczas w Marconi Company w Basildon, który w

czasie wojny był konstruktorem w tym „konkurencyjnym” ośrodku. (Podobnie jak i niektórzy konstruktorzy w PWWR był on również amatorem i nie posiadał formalnych kwalifikacji w dziedzinie elektroniki.) Jego zdaniem polskie pipsztoki były lepsze gdyż mieściły się w prostych, prymitywnie wyglądających, a jednocześnie mocnych skrzynkach metalowych, wymalowanych na czarno. Dzięki temu nadawały się bardziej do warunków okupacyjnych niż brytyjskie radiostacje umieszczone przeważnie w eleganckich walizczkach. T.T. Brown był zdania, iż polski zespół miał lepsze wycucie niż zespół brytyjski, jak prymitywne mogły być warunki konspiracyjne i dlatego produkował bardziej stosowne do tego celu radiostacje.

20. Dalsze szczegóły dotyczące umowy polsko-brytyjskiej odnoszącej się do PWWR podaje płk Rola (str. 169).

21. Wilfred Dunderdale, syn właściciela kilku statków handlowych kursujących między Konstantynopolem i portami Morza Czarnego, urodził się w 1899 r. Do gimnazjum uczęszczał w Mikołajewie, a potem studiował budowę okrętów w Petersburgu, gdzie zastała go rewolucja bolszewicka 1917 r. Jako obserwator brytyjski był przy badaniu zamordowania rodziny carskiej w Jekatierinburgu (Swierdłowski), po zajęciu tego miasta przez „białe” oddziały. Potem był zawsze zdania, że cała rodzina carska wraz z Anastazją zginęła w Jekatierinburgu. Kilka lat służył w brytyjskiej Marynarce Wojennej. W 1921 r. wstąpił do MI6, czyli do wywiadu, w którym pracował do przejścia na emeryturę w 1959 r., najpierw w Paryżu do 1940 r., a potem w Londynie. Kiedy zmarła jego druga żona w 1980 r., ożenił się po raz trzeci z Amerykanką, z którą zamieszkał w Nowym Jorku. Tam zmarł w listopadzie 1990 r. O jego współpracy z Polakami w czasie drugiej wojny napisano co następuje we wspomnieniu pośmiertnym o nim (*Obituary, The Times*, 16 listopada 1990):

„W Londynie był w kontakcie z polskim wywiadem na wygnaniu, co spowodowało pewne tarcia z Wolnymi Francuzami, kiedy dowiedzieli się, że szereg polskich wywiadowców działało niezależnie przeciwko Niemcom na ziemi francuskiej. Współpraca z Polakami kwitła, mając brytyjskie zaplecze finansowe i kwatermistrzowskie (*logistic support*). Dunderdale, znany jako 'Biffy', mówił biegle po francusku, rosyjsku i niemiecku”.

22. Gaże oficerskie, żołdy szeregowych (płacone na dekadę, chyba jeszcze według tradycji napoleońskich) i pensje wojskowych urzędników cywilnych (były one porównywalne z gażami oficerskimi) nie podlegały opodatkowaniu, ani brytyjskiemu ani też polskiemu.

23. Uprzedni konstruktor nadajników, urzędnik cywilny Kasia (inwalida, utykał na jedną nogę) został przeniesiony z PWWR do Plutonu Technicznego w Chipperfield, wchodzącego w skład Kompanii Radiotelegraficznej. Przeprowadzano tam konserwację posiadanego sprzętu, jak również przystosowanie nabytych nadajników (przeważnie amerykańskich firm — Hallicrafters, Collins, Webbs) do lokalnych wymagań (niekiedy zwiększenie ich mocy wyjściowej) i niektóre prace konstruktorskie, jak np. odbiorniki-monitory, przy pomocy których radiotelegrafści słuchali swojego nadawania.

24. Wśród zatrudnionych w PWWR znalazło się kilku młodzieńców z przedwojennych szkół wojskowych dla małoletnich, zarówno szkół technicznych jak i muzycznych. Po ewakuacji z Francji zostali oni umieszczeni w Londynie na Ealingu, gdzie byli bombardowani przez lotnictwo niemieckie. Zostali przeniesieni do Glasgow i wkrótce, po przyjęciu do wojska, przydzieleni do PWWR. Wśród nich byli: Gotard Kominek, Marian Kucharski i Mieczysław Siemiński. Później przydzielono również do PWWR kilku żołnie-

rzy 2 Korpusu, którzy zostali ranni we Włoszech i przywiezieni samolotami na leczenie do W. Brytanii.

25. Warto nadmienić, że w większości zastosowań pipsztoków dostarczonych władzom brytyjskim, dodanie trzeciego zakresu częstotliwości nie było konieczne, gdyż odległości korespondencyjne były o wiele krótsze niż odległość Londyn-Warszawa.

26. Jedną z tych radiostacji, obsługiwana przez ppor. Leszka Starzyńskiego, znajdowała się koło Gloucester Road w Londynie, druga, obsługiwana przez kpr. Stanisława Leszczyńskiego, była na Montpelier Avenue na Ealingu, a trzecia, obsługiwana przez plut. Kazimierza Janke (który spełniał wówczas funkcję szefa kuchni) w Durham Park.

27. W czasie wojny mjr Piątkiewicz był kierownikiem jednej z polskich organizacji podziemnych we Francji, znanej jako F2. Po wojnie mieszkał w Londynie.

28. Po wojnie Włodarczyk pracował przez szereg lat jako konstruktor w *British Communications Corporation* (która należała wówczas do Daniela Prenna), a na początku lat 60-tych wyjechał do Australii.

29. Zdaniem Włodarczyka, zarówno w tym zaświadczeniu jak i w następnym (angielskim) data powinna być o rok wcześniejsza, czyli 1 maja 1942 r.

30. W polskim tłumaczeniu zaświadczenie to brzmi następująco:

„Jako wspólny przewodniczący tej angielsko-polskiej jednostki, reprezentujący stronę brytyjską, mam zaszczyt stwierdzić, że sierżant Stefan Włodarczyk służył w tej jednostce od 1 maja 1943 od 30 października 1945, czyli do dnia kiedy jednostka ta została zlikwidowana na skutek zakończenia działań wojennych.

Sierżant Włodarczyk był zatrudniony w tym okresie jako laborant i przez ten czas jego praca i zachowanie się dały nam pełne zadowolenie”.

31. W polskim tłumaczeniu oświadczenie to brzmi następująco:

„Tym Poświadczeniem Służby odnotowuję moje uznanie wobec pomocy udzielonej przez Włodarczyka Stefana jako ochotnika w służbie Narodów Zjednoczonych w wielkiej sprawie Wolności”.

32. Opracowanie to oparte jest na następujących źródłach:

Bogacki Konrad, *Konspiracyjna łączność Armii Krajowej, Dziękuję wam rodacy*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973.

Danilewiczowa-Zielińska Maria, list z Feijo, Portugalia, 14 grudnia 1973.

Dunderdale Wilfred Commander, *Obituaries, The Times*, November 16, 1990.

Kisiel Stanisław, *Śp. Sabin Popkiewicz* (rękopis, 2 str.), Londyn, listopad 1973;

Łączność „Interalli” (we Francji) *Komunikat Związku Łącznościowców* nr 1/70, Londyn 31 maja 1970; *Przegląd Łączności*, Londyn 1973-74: nr 1/13, Operacja „Bardsea” (we Francji), nr 1/14 i 2/15, Przyczynki do charakterystyki łączności agencyjnej.

Lisicki Tadeusz, Działanie Enigmy, *Orzeł Biały* nr 131/2, Londyn, lipiec/sierpień 1975;

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza, Londyn: 26 marca 1974, Naukowy wkład polski do ostatniej wojny, 22 lutego 1975, Enigma i Ultra; *Przegląd Łączności*, Londyn, 1973-1981: nr 1/13 - 2/15. Enigma i Lacida, Nr 1/14 i

2/15, Cybernetyka wojskowa, nr 1/19 – 3/21, Skomputeryzowane dowodzenie, nr 1/31 i 2/32, Wojna elektroniczna.

Piątkiewicz Zdzisław („Lubicz”, „Biz”), F2 — organizacja bez nazwy (relacja spisana przez Tadeusza Lisickiego), *Przegląd Łączności*, nr 1/12, Londyn 1972.

Popkiewicz Sabin, Łączność na Zachodzie dla potrzeb Armii Krajowej. *Dziękuję wam rodacy*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973;

Zeszyty Historyczne, Instytut Literacki, Paryż 1968 i 1970: Nr 13, Szczegóły łączności radiowej między Londynem a Warszawą, Nr 18, Łączność radiowa z krajem po powstaniu warszawskim;

Przegląd Łączności, Londyn 1953–1974: nr 2 i 4, Podstawy radiokomunikacji na falach odbitych, nr 1/12, Kierunki rozwoju łączności po drugiej wojnie światowej; nr 1/14 i 2/15, Łączność radiowa Batalionu Łączności Sztabu NW.

P.G.R., W. Struszyński (*Obituary*), *Institution of Electrical Engineers News*, No 60, page 15, London, December 1980.

Prenn Daniel, *Obituaries*, *The Times*, September 18 1991.

Rola Tadeusz, W służbie Armii Krajowej, *Dziękuję Wam rodacy*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973.

Siemaszko Zbigniew, S., *Wojsko od podszewki*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1984; *W sowieckim osaczeniu*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1991; *Zeszyty Historyczne*, Instytut Literacki, Paryż 1964 i 1973, nr 6 (Łączność radiowa w przededniu powstania warszawskiego), nr 25 (rozmowa z kapitanem Szabunią).

Szkućłapski Józef, „Wspomnienia łącznościowca”, *Przegląd Łączności* nr 1/22 – 3/24, Londyn 1977–1978.

Włodarczyk Stefan, Trzy poświadczenia przytoczone w tekście.

Zieliński Kazimierz i Głazowski Kazimierz, *Historia Batalionu Łączności Sztabu NW* (maszynopis znajdujący się w Studium Polski Podziemnej w Londynie) wraz z wykresami oznaczonymi: Zał. nr 15d, 15f, 15g, 15h i 15j.

Rozmowy przeprowadzone w okresie powojennym z następującymi „świadkami historii”:

Helena Białous, Antoni Brękiewicz, T.T. Brown, Leon Góralski, Antoni Krzyczkowski, Stanisław Lis, Tadeusz Lisicki, Andrzej Maciejowski, Sabin Popkiewicz, Zdzisław A. Siemaszko (brat autora), Mieczysław Siemiński, Józef Szkućłapski, J.A.D. Timms, Stefan Włodarczyk.

Leszek BRZOZA

PIŁSUDCZYCY A KRYZYS PREZYDENCKI

Wydarzenia związane ze śmiercią Prezydenta Raczkiewicza od samego początku uważane były za bardzo istotne. One to w oczach bezpośredniego obserwatora, Juliusza Łukasiewicza, „wywołały w naszych wewnętrznych stosunkach politycznych dość głęboki kryzys, którego konsekwencje mogą okazać się dość trwale¹”.

Okoliczności polityczne związane ze śmiercią Prezydenta Raczkiewicza do momentu objęcia urzędu przez Augusta Zaleskiego przedstawiłem w artykule „Gdy umierał Prezydent Raczkiewicz...²”. Tym razem chciałbym ukazać opinie piłsudczyków na tle wydarzeń „okresu przejściowego” między objęciem urzędu przez nowego Prezydenta a powołaniem nowego rządu. Chciałbym dokonać również kilku uzupełnień faktograficznych wspomnianego artykułu, opartych na materiałach, do których poprzednio nie miałem dostępu. Głównym źródłem artykułu są listy Juliusza Łukasiewicza kierowane z Londynu do Wacława Jędrzejewicza w Nowym Jorku. Pochodzą one z Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Prezydent Raczkiewicz złożony chorobą płuc i cierpiący od kilku lat na anemię wyjechał na początku marca 1947 r. do Ruthin. Zgodnie z początkowymi opiniami lekarzy jego stan nie był beznadziejny, a on sam miał nadzieję odłożyć na przyszłość ostateczne rozstrzygnięcie kwestii swego następstwa. Jednak w połowie kwietnia zaczęły zapadać decyzje zmieniające dotych-

1. J. Łukasiewicz, relacja 10.7.1947 r. Arch. J. Łukasiewicz IPNJ.
2. *Zeszyty Historyczne* nr 87.

czasową sytuację w tej sprawie. Przedstawiając fakty z tego okresu, Łukasiewicz powołuje się na informacje otrzymane od Zaleskiego. Oczywiście należy przyjąć, że Zaleski znał całą prawdę o wydarzeniach, a Łukasiewicz wiernie powtarza jego relację. Jednak nawet zakładając prawdziwość przedstawianych faktów, nie można być pewnym, że wyczerpują one wszystkie zaistniałe okoliczności.

Dnia 15 kwietnia 1947 r. Prezydent Raczkiewicz wezwał do siebie Zaleskiego do Ruthin. W czasie rozmowy powiedział mu, że ze względu na swój stan zdrowia i ewentualność wyjazdu na leczenie chce zrzec się urzędu i przekazać go Zaleskiemu jako osobie najbardziej zaufanej. Zaleski poprosił o dzień namysłu. Następnego dnia Zaleski powiedział Raczkiewiczowi, że odradza mu rezygnację, gdyż poprawa stanu zdrowia jest możliwa, zaś opuszczenie urzędu przez osobę, która była uznawana za Prezydenta przez wszystkie państwa alianckie w czasie wojny, utrudni lub nawet uniemożliwi obronę ciągłości władz konstytucyjnych. Prezydent Raczkiewicz, zgadzając się z taką opinią, zaproponował Zaleskiemu wyznaczenie go na swego następcę. Zaleski zgodził się na to, wrócił do Londynu, zaś do Ruthin przyjechał 17 kwietnia sekretarz Prezydenta, Adam Piotrowski. Celem wizyty było sporządzenie odpowiednich dokumentów. Po podyktowaniu miały być ponownie przywiezione do podpisu. Zamiarem Raczkiewicza było wyznaczenie Zaleskiego w drodze „ostatniej woli”, a nie dekretu mianującego. W tej sytuacji Zaleski zwrócił się do Prezydenta listownie, stwierdzając, że następstwo przyjąć może jedynie w wypadku załatwienia sprawy zgodnie z Konstytucją, gdyż inne rozwiązanie stwarzałoby pozory zamachu stanu dokonanego przez otoczenie Prezydenta. Raczkiewicz ponownie uznał słuszność uwag Zaleskiego, zmienił swój zamiar i 26 kwietnia 1947 r. podpisał dokumenty — dekret wyznaczający następcę, listy do Tomasza Arciszewskiego, Zaleskiego i mandatariuszy³.

Nie da się ukryć, że pomimo twierdzeń Zaleskiego o chęci konstytucyjnego załatwienia sprawy, wobec nieujawnienia dekretu, skojarzenia z zamachem stanu nie są odległe. Raczkiewicz powinien zdawać sobie sprawę, że forma „ostatniej woli” nie ma znaczenia prawnego i nie umożliwi Zaleskiemu objęcia urzędu, a jednak taką formę zaproponował. Czy było to działanie świadome, którego nie udało się zrealizować, czy też niedopatrzenie, które skorygowano?

3. Z tych dokumentów treść listu do Zaleskiego pozostaje nieznana, jeśli był on napisany. Na jego istnienie wskazywałoby zdanie: „wobec tego odbyło się zebranie (2 czerwca) we trzech, tj. gen. Anders, p. Zaleski i p. Tomaszewski, utworzono listy do nich adresowane” J. Łukasiewicz 5.6.1947 r.

W liście do Arciszewskiego Raczkiewicz stwierdza: „Na razie nie prześlę Panu jeszcze listu niniejszego i podpisanego dziś przeze mnie zarządzenia o wyznaczeniu Następcy Prezydenta Rzeczypospolitej, lecz przechowam je w depozycie na wypadek, gdyby stan mego zdrowia nie poprawił się o tyle, bym mógł z Panem omówić tę sprawę osobiście. W tym wypadku zleciłbym załatwienie jej z Panem swym zaufanym mandatariuszom”. Jeśli Raczkiewicz zdecydował się na podpisanie dokumentów, to jaki był istotny cel ukrywania podjętych decyzji, jeśli moc prawna dekretu była związana z jego publikacją? Stan zdrowia Prezydenta właśnie jeszcze w tym czasie pozwalał na odbywanie spotkań, zaś wyznaczenie mandatariuszy jakby z góry zakładało brak osobistego uczestnictwa Prezydenta w dalszym biegu spraw.

Z innych ciekawych spraw dotyczących tego momentu należy przypomnieć relację Adama Pragiera⁴. Stwierdza on, że Raczkiewicz przed wyjazdem do Ruthin pytał go, kogo widziałby jako następcę. Przedstawia on również grupę osób, która rozważała propozycje personalne. Byli to Pragier, Stanisław Dołęga-Modrzewski, Adam Tarnowski, Tadeusz Tomaszewski (wszyscy masoni) i gen. Bór-Komorowski. Ich decyzją miało być zasugerowanie wyboru Zaleskiego lub Tomaszewskiego na następcę Prezydenta. Do interwencji nie doszło, gdyż Prezydent uprzedzając ją powziął decyzję w sprawie następstwa. Pragier wspomina również, że zapytywał gen. Andersa, czy on sam nie chciałby zostać następcą; w odpowiedzi gen. Anders wyraził brak zainteresowania taką propozycją. Nie ma relacji ze spotkania Raczkiewicza z gen. Andersem 20 kwietnia, ale wydaje się, że sprawa następstwa musiała być poruszana i jest raczej wątpliwe, by gen. Anders dowiedział się o dokumentach podpisanych 26 kwietnia dopiero 1 czerwca, w czasie wizyty w Ruthin.

Łukasiewicz podaje, że Arciszewski był w Ruthin 25 lub 26 czerwca. Jednak ze względu na opinię lekarzy do spotkania z Raczkiewiczem nie doszło. Arciszewski miał już wtedy posiadać ze sobą swoje podanie się do dymisji, powierzenie misji utworzenia nowego rządu Franciszkowi Białasowi, a gdyby ta kandydatura napotkała sprzeciw, Tarnowskiemu. Wszystko to miało miejsce bez porozumienia się Arciszewskiego z rządem i upoważnienia Tarnowskiego.

Co do krótkich wizyt Arciszewskiego u Prezydenta 30 i 31 maja brak jest informacji, czy odbywały się one w cztery oczy, ale należy w to wątpić, „chory — zdaniem Łukasiewicza — pomimo fatalnego stanu sił i tylko chwilowych okresów przy-

4. A. Pragier, *Wiadomości* 1287/1971.

tomności prowadził je [rozmowy] tak, że p. Tomasz Arciszewski nie doszedł do przedłożenia mu przywiezionych dokumentów, ani nawet poinformowania o nich⁵". W tej sytuacji 31 maja Arciszewski przekazał dokumenty p. Raczkiewiczowej, aby ona przekazała je do podpisu Prezydentowi. Do tego oczywiście nie doszło, a ich treść stała się znana. Starania Arciszewskiego o uzyskanie dymisji wiązały się z chęcią wzmocnienia swej pozycji, nielączenia dwóch stanowisk, jako następcy Prezydenta. Pomysł powierzenia urzędu premiera socjaliście świadczył o dążności zdominowania ośrodka legalistycznego przez PPS, co zapewne natrafiłoby na duże opory. Wydaje się jednak, że Raczkiewicz nie dowiedział się o tych zamiarach, choć w późniejszej relacji Łukasiewicz stwierdza, że „Prezydent Raczkiewicz nie zgodził się jednak na propozycje p. Arciszewskiego i nie udzielił mu dymisji ze stanowiska Premiera⁶". Nie sposób nie zauważyć, że Raczkiewicz był dość ściśle izolowany od kontaktów z Arciszewskim. Czy Prezydent miał jakieś wątpliwości wobec dokumentów podpisanych 26 kwietnia? Z jednej strony 1 czerwca miał polecić gen. Andersowi ich ujawnienie, a z drugiej w czasie ostatniej rozmowy 4 czerwca powiedział, że rozesłanie dokumentów nie powinno mieć miejsca.

W pierwszej części konsultacji stronnictw, zarządzanej przez Raczkiewicza 4 czerwca reprezentanci PPS — Kwapiński, Pehr, Białas — starali się ograniczyć przedmiot rozmów do zagadnienia reorganizacji rządu. Sprzeciwiono się temu ze względu na nieobecność wszystkich członków rządu. Po odczytaniu aktów z 26 kwietnia i krótkiej dyskusji socjaliści zakwestionowali legalność tych aktów, złożyli oświadczenie i opuścili salę.

Łukasiewicz ustosunkował się do argumentów wysuwanych przez socjalistów. Pierwszym z nich był fakt, iż Konstytucja mówi o wyznaczeniu przez Prezydenta swego następcy na czas wojny, a brak jest wzmianki o możliwości jego odwołania, co jest zaznaczone w stosunku do osoby premiera, Generalnego Inspektora i Naczelnego Wodza. W ten sposób mianowanie nowego następcy może odbyć się dopiero po zrzeczeniu się dotychczasowego. Zdaniem Łukasiewicza taki pogląd jest niesłuszny merytorycznie i proceduralnie, bowiem „nie ulega wątpliwości, że w odróżnieniu od Premiera, Generalnego Inspektora i Naczelnego Wodza Konstytucja nie obdarza Następcy Prezydenta żadnymi uprawnieniami, nie nakłada nań żadnych obowiązków, ani nawet nie zapewnia mu uposażenia. [...] Różnica sytuacji Następcy Prezydenta w stosunku do Prezesa Rady

5. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 5.6.1947 r.

6. J. Łukasiewicz, relacja 10.7.1947 r.

Ministrów, Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora jest tu formalnie podkreślona przez to, że Następcą Prezydenta jest według brzmienia Konstytucji tylko wyznaczony, a Prezes Rady Ministrów, Naczelnny Wódz i Generalny Inspektor są mianowani⁷”. Powoływanie się na przykład nieodwołania senatorów niemieckich pochodzących z nominacji prezydenckiej w 1939 r. jest również bezprzedmiotowe, „ponieważ godność Senatora jest połączona zarówno z określonymi uprawnieniami, jak obowiązkami. Raz wybrany przez Prezydenta, podobnie jak przez grono wyborców, ma on działać według własnego sumienia, a nie wskazówek Prezydenta, i może być pozbawiony mandatu (a nie stanowiska), tylko w drodze przewidzianej dla wszystkich członków Izb Ustawodawczych⁸”.

Dość przekonujące były argumenty praktyczne przytaczane przez Łukasiewicza. Intencją ustawodawcy nie mogła być nieusuwalność następcy Prezydenta, gdyż mogłaby zająć sytuacja, że znalazłby się on w niewoli lub miejscu, w którym nie mógłby sprawować urzędu, a nie chciałby się zrzec godności. Nieusuwalny następca mógłby swobodnie prowadzić politykę sprzeczną z interesami państwa bez poniesienia konsekwencji. Łukasiewicz podał tu przykład zamiarów wyznaczenia w 1944 r. następcą Prezydenta Mikołajczyka lub Grabskiego. Zwrócił również uwagę, że dotychczasowe zmiany wśród następców odbywały się bez zgody zainteresowanych. Przy wyznaczeniu Wieniawy-Długoszowskiego przez Mościckiego nie było rezygnacji Rydza-Śmigłego, zaś gen. Sosnkowski wręcz odmawiał zrzeczenia się. W dekretach prezydenckich wyznaczających następcę nie ma powoływania się na zrzeczenie się poprzednika, a jedynie użyta jest formuła, że z chwilą ogłoszenia dekretu poprzedni traci moc obowiązującą.

Drugim argumentem socjalistów użytym w czasie dyskusji było stwierdzenie naruszenia umowy paryskiej. Ten zarzut, zdaniem Łukasiewicza, można z punktu odrzucić, gdyż „tzw. Pakta Paryskie, zawarte poza przepisami Konstytucji, nie mogły zmienić w niczem ani uprawnień Prezydenta R.P., ani sposobu ich wykonywania⁹”. Jego zdaniem, wymagania umowy paryskiej zostały spełnione, gdyż Prezydent poprosił o przeprowadzenie konsultacji. Socjaliści swoje stwierdzenia opierali na sformułowaniu zawartym w umowie paryskiej o wykonywaniu przez Pre-

7. J.w.

8. J.w.

9. J.w.

zydenta swych prerogatyw „w ścisłym porozumieniu” z premierem¹⁰. Łukasiewicz wyjaśnił, że formuła ta nie może być interpretowana tak, iż „w razie niemożliwości osiągnięcia porozumienia z Premierem, *implicite* ze stronnictwami, Prezydent powinien powstrzymać się od wykonywania czynności konstytucyjnych”, gdyż przyjęcie innej interpretacji prowadziłoby do stworzenia czegoś w rodzaju *liberum veto* ze strony premiera lub stronnictw. Można zatem jedynie mówić o dążeniu Prezydenta do porozumienia się z premierem, a „nie bezwzględne uzależnienia jego konstytucyjnych czynności od osiągnięcia porozumienia¹¹”.

Odnosnie posiedzenia Rady Ministrów 7 czerwca należy dodać, że w czasie jego trwania głosowano nad kwestią legalności aktów z 26 kwietnia. Jedynie Arciszewski i Kwapiński kwestionowali ich prawomocność. Postanowiono również dokonać publikacji tych aktów w „Dzienniku Ustaw”, co zapadło jednoznacznie, natomiast Arciszewski i Kwapiński nie wzięli udziału w zwołanej następnie przez Zaleskiego Radzie Gabinetowej.

Przedstawiając przebieg konsultacji stronnictw, Łukasiewicz ograniczał się do ich relacjonowania. Wraz z ich zakończeniem, opisując kolejne zdarzenia, często dodawał swoje opinie. Kluczowe znaczenie dla przebiegu dalszych wypadków miała postawa PPS. Wobec zakwestionowania przez nią wyboru Zaleskiego na urząd Prezydenta Łukasiewicz przewidywał, że na uroczystości zaprzysiężenia Prezydenta nie będzie jej przedstawicieli (udział w tej uroczystości stał się bezpośrednim powodem usunięcia z PPS Pragiera i zawieszenia Tomaszewskiego). Zastanawiał się, czy socjaliści ograniczą się do odmowy udziału w rządzie, czy też zdecydują się na publiczne zakwestionowanie osoby Zaleskiego. Odnotował pogłoski na temat rozmów z NiD, źle ustosunkowanym do Zaleskiego oraz powstanie frondy SP (Sienkiewicz, Sulimierski). Jego zdaniem panujący chaos

10. Zdaniem Łukasiewicza „po śmierci gen. Sikorskiego Prezes Rady Ministrów Mikołajczyk podzielił się z Komitetem Koordynacyjnym stronnictw wchodzących do rządu tym przywilejem” (relacja 10.7.1947 r.). Moim zdaniem rozszerzenie konsultacji na stronnictwa wiązało się z wykładnią Liebermana zgodnie ze stosownym fragmentem w niej zawartym: „Stronnictwa zgodziły się na zasadę, że w razie potrzeby mianowania nowego Prezesa Rady Ministrów nastąpić to powinno na podstawie porozumienia, osiągniętego między Prezydentem, Rządem i Stronnictwami. Znow to nie znaczy, byśmy pragnęli pozbawić Głowę Państwa prawa zamianowania Szefa Rządu w granicach swojego prawa konstytucyjnego. Tę nominację jednak poprzedzać powinno, tak jak we wszystkich państwach, opartych na ustroju demokratycznym, porozumienie się ze stronnictwami i ustępującym Premierem”.

11. J. Łukasiewicz, relacja *op. cit.*

„może grozić niebezpiecznymi niespodziankami. Opozycja wygląda na kształtujący się Centrolew, jest kwestią, jak daleko w opozycji faktycznej się posuną¹²”.

Po zaprzysiężeniu Zaleskiego w czasie narady ministrów uznających nowego Prezydenta zdecydowano zwrócić się do Arciszewskiego o zwołanie posiedzenia Rady Ministrów. Doszło do niego 10 czerwca, ale omawiano na nim tylko sprawy organizacyjne pogrzebu Raczkiewicza w dniu 12 czerwca, zaś następne posiedzenie wyznaczono na 14 czerwca. W czasie rozmowy z ministrami 9 czerwca Zaleski podtrzymał swą deklarację z konsultacji o swym ustąpieniu w przypadku uzgodnienia przez stronnictwa innego kandydata. Termin ostateczny upływał w trzy tygodnie poczynając od 5 czerwca.

Postawa PPS pozostała negatywna, „niemniej działania socjalistów ulegają wahaniom i zdradzają niezdecydowanie¹³”. Przejawem tego był brak oporu wobec publikacji aktów w *Dzienniku Ustaw*, a z drugiej strony PPS na spotkaniach z innymi stronnictwami stwierdzała nielegalność prezydentury Zaleskiego, zdecydowanie Arciszewskiego, że nie poda się do dymisji, a nawet gotowość PPS ogłoszenia prezydentury Arciszewskiego.

Dnia 10 czerwca odbyła się z inicjatywy PPS narada, na którą zaproszono NiD, SD oraz frondę SP. W czasie jej trwania NiD i SD zajęły stanowisko legalistyczne, ale zdecydowały się tego nie ujawniać dla ułatwienia kontaktów z PPS i powstrzymania jej od wywoływania publicznego konfliktu. Domagały się również zaproszenia na wspólne obrady SL „Wolność”, czemu socjaliści byli przeciwni ze względu na osobę Jerzego Kuncewicza, który opowiedział się za Zaleskim, oraz fakt, że „pod wpływem Zaremby i Białasa PPS chce ułatwić sobie kontakty z Mikołajczykowcami *via* Ładoś, z którymi Zaremba współpracuje w Paryżu¹⁴”. Tak więc socjaliści nie chcieli wiązać sobie rąk konkurencyjnym odłamek ruchu ludowego.

Wynikiem spotkania były ogólne sformułowania, co zdaniem Łukasiewicza było spowodowane tym, iż NiD i SD uważały, że lepiej jest dążyć do natychmiastowej zmiany Prezydenta niż spowodować rozłam w obozie legalistycznym. Stronnictwa uczestniczące w naradzie zaczęły określać się jako „Porozumienie Demokratyczne”. Kolejna narada miała miejsce 14 czerwca i wzięło w niej również udział SL „Wolność”.

Pomimo ustaleń narady „Porozumienia Demokratycznego” następnego dnia, 11 czerwca, ukazały się dwa komunikaty PPS

12. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 8.6.1947 r.

13. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 14.6.1947 r.

14. J.w.

— jeden Komitetu Zagranicznego, drugi Arciszewskiego — w których stwierdzono nielegalność nominacji Zaleskiego. Spowodowały one niezadowolenie NiD i SD ze względu na brak uzgodnienia z nimi przez PPS tekstów komunikatów. Próba ich publikacji w *Dzienniku Polskim* zakończyła się niepowodzeniem, choć red. Horko skłaniał się do ich umieszczenia. Pod wpływem NiD i SD PPS zdecydowała się zrezygnować z dalszych prób publikacji. Nie było to w pełni przestrzegane i były one wręczane w czasie pogrzebu Raczkiewicza.

Łukasiewicz przewidywał w najbliższych dniach złagodzenie stanowiska PPS. Najgorszym rozwiązaniem, którego się obawiał, byłoby, dla uniknięcia rozłamu, znalezienie przez stronnictwa kandydata na miejsce Zaleskiego. PPS kategorię obstawiała przy Arciszewskim, ale zdaniem Łukasiewicza miało to charakter wyłącznie taktyczny. Uważał on równocześnie, że czas nie gra na korzyść socjalistów, ale „niestety jest bardzo mało szans na to, aby uniknąć wiszącego w powietrzu rozłamu [...] kontynuowanie dotychczasowej taktyki zwlekania i 'neutralności' przez NiD i Stronnictwo Demokratyczne może socjalistów ośmielić i być szkodliwe, ale na to tymczasem rady nie ma¹⁵”.

Zdaniem Łukasiewicza w PPS po usunięciu Pragiera i zawieszeniu Tomaszewskiego istnieją dwie grupy. Arciszewski, Kwapiński i Pehr działają pod wpływem zawodu i rozgoryczenia, zaś Zaremba, Białas, Ciołkosz świadomie dążą do zerwania z legalizmem i ciągłością państwa. Celem ich działań jest powołanie „tzw. trzeciego rządu, jako reprezentanta opozycji krajowej, tj. PPS i Mikołajczyka. Pomimo ostatnich aresztów w Kraju Pużaka, T. Sturm de Strema i innych, żywią zdaje się złudzenia, że uda się im nawiązać jakiś kontakt z Cyrankiewiczem. Gdyby koncepcja Zaremby i towarzyszy została zrealizowana, powstałaby na Zachodzie obok agentur moskiewskich tzw. demokratyczna grupa czy komitet, który by stanął na gruncie Jałty¹⁶”.

W trudnym do uniknięcia rozłamie Łukasiewicz uważał, że NiD, SD i SL „Wolność” staną po stronie PPS, gdyż nie chcą bez PPS pozostawać razem z ND i gen. Andersem, „za wszelką cenę będą unikali wszystkiego, co pozwoliłoby nazwać ich białą emigracją¹⁷”.

Dnia 19 czerwca z inicjatywy „Porozumienia Demokratycznego” SL „Wolność” i SD zaproponowały odbycie narady „okrągłego stołu”, w której wzięłyby udział wszystkie stronnictwa z pominięciem Ligi Niepodległości Polski i frondy SP.

15. J.w.

16. J.w.

17. J.w.

Celem praktycznym tej narady miało być wyłonienie trzech kandydatur, z których Zaleski miałby wybrać, na czym rzecz zrzeka się urzędu. ND i SP odmówiły udziału w takiej naradzie, zaś gen. Anders odmówił jej zwołania. W tej sytuacji 21 czerwca „Porozumienie Demokratyczne” ponowiło swą inicjatywę jako całość, wystosowując pisemne zaproszenia do SN i SP. Stronnictwa te ponownie odmówiły swego udziału wskazując, że naradę tego typu należy odbyć na forum Rady Polskich Stronnictw Politycznych i włączyć do niej wszystkie ugrupowania polityczne nie należące do Rady — NiD i LNP. Inicjatywa ta została przyjęta przez „Porozumienie Demokratyczne” i spotkanie wyznaczono na 28 czerwca.

Łukasiewicz był przekonany, że NiD całkowicie poprze PPS, zaś inni członkowie „Porozumienia” przewidują, że nie uda się uzgodnić sprawy personalii i sprawa upadnie, choć nie wystąpią zdecydowanie przeciw stanowisku PPS.

Dnia 23 czerwca PPS wysunęła swoje kandydatury — gen. Bór-Komorowski, gen. Kopański, Edward Raczyński. Łukasiewicz był przekonany, że Kopański i Raczyński nie przejdą, ale obawiał się Bór-Komorowskiego, gdyż „raz już wszyscy pogodzili się na jego osobie, może to się zdarzyć i teraz¹⁸”. Łukasiewicz miał chyba na myśli wyznaczenie Bór-Komorowskiego Naczelnym Wodzem. Wymieniano także kandydaturę Tadeusza Romera, ale nawet jeśli ją uzgodniono, to Łukasiewicz uważał, że Zaleski ją odrzuci. Później okazało się, że nikt z wymienionych nie przyjął kandydatury.

Łukasiewicz oceniał, że trwający stan przejściowy jest skutkiem podtrzymywania przez Zaleskiego deklaracji zrzeczenia się urzędu, co miało upłynąć 28 czerwca. Brakło zdecydowanych działań ze strony lojalnych ministrów, którzy wciąż nie podali się do dymisji i zgodzili się na odroczenie posiedzenia Rady Ministrów. Posiedzenie rządu przewidziane na 14 czerwca zostało przez Arciszewskiego odroczone do 17 czerwca, a następnie 24 czerwca. Łukasiewicz zwrócił uwagę na niewymieniany wcześniej aspekt kryzysu: „elementem obciążającym poważnie zadania i taktykę p. Augusta jest sprawa pieniędzy, które są wszystkie w ręku Kwapińskiego¹⁹”. Swoją rolę w wydarzeniach widział w podejmowaniu starań, które mogą „ukrócić tę gorszącą loteryjkę”. Działania bardziej radykalne, związane z sugestiami zawartymi w liście z Nowego Jorku z 20 czerwca (treść nieznaną), uważał za niewykonalne w istniejącej sytuacji.

Piłsudzcycy w Nowym Jorku byli oczywiście bardzo zainte-

18. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 25.6.1947 r. (I).

19. J.w. (II).

resowani rozwojem wypadków. Miarą tego były rozmowy telefoniczne Floyar-Rajchmana z Zaleskim w dniu 21 i 22 czerwca²⁰. W pierwszej z nich rozmówcy wyrazili zgodny pogląd, że stanowisko PPS wiąże się z pertraktacjami prowadzonymi z Mikołajczykiem, które mogą uzyskać poparcie czynników zewnętrznych. Floyar-Rajchman wskazał na szkody jakie przynosi pozostawianie dotychczasowego rządu, co Zaleski usprawiedliwiał chęcią wyczerpania wszystkich możliwości osiągnięcia kompromisu. Floyar-Rajchman postawił Zaleskiemu pytanie na temat kształtu przyszłego rządu, czy Prezydent „zdoła trochę ożywić tę trumienkę i obrzucić ją nowymi nazwiskami” i sam wymienił nazwiska Zygmunta Rusinka i Józefa Poniatowskiego. Na to zapytanie nie uzyskał konkretnej odpowiedzi. Rozmówca Prezydenta przekazał mu pozdrowienie od działaczy polonijnych — Karola Rozmarka, Ignacego Nurkiewicza i Henryka Koguta, a także Lechonia i Wierzyńskiego.

W rozmowie 22 czerwca Floyar-Rajchman ponaglał Zaleskiego w sprawie dymisji rządu. Dla zapobieżenia złym skutkom na gruncie amerykańskim domagał się faktów dokonanych. Stwierdzał, że „te korzyści, których oczekiwać można z dalszych przedłużających się pertraktacji są nieproporcjonalnie małe wobec spustoszenia, jakie zwłoka w ogłoszeniu nowego rządu spowodować może”. Ponownie przestrzegł przed możliwością powołania przez PPS komitetu w porozumieniu z czynnikami obcymi, który gotów byłby „na załatwienie granic zachodnich i wschodnich według Jały”. Wyraził opinię, że „wszystkie warianty tzw. stosunków londyńskich nie mają wielkiego znaczenia (...) Aktywność nowego rządu i jego działanie zrozumiane i poparte na tym terenie przez Polonię mogą nawet zapobiec próbom powołania konkurencyjnego dla rządu interesu, tj. komitetów etc. na tutejszym terenie”. W tej sytuacji — jego zdaniem — nie ma znaczenia, które ze stronnictw jest gotowe udzielić mu poparcia. Nie ma sensu szukać akceptacji u przeciwników legalności Prezydenta. Z czasem większość stronnictw poprze rząd, który będzie aktywny, gdyż samo „poparcie stronnictw nie uchroniło starego rządu od marazmu, agonii, upadku moralnego i tkwienia w beczynności”. Wyraził również opinię, że Pragier i Tomaszewski powinni przejść od obrony biernej do aktywnej, gdyż „są tu starzy socjaliści, którzy uważają, że byłby czas na stworzenie nowego PPS”. Zaleski sprawę rządu odkładał na posiedzenie 24 czerwca, zaś w sprawie wywołania rozłamu w PPS stwierdził: „Nie wiadomo jak by ta sprawa wypadła liczbowo. Ja jednak o tym myślę”.

20. Stenogramy rozmów telefonicznych H. Floyar-Rajchmana z A. Zaleskim. Arch. J. Łukasiewicza.

Sprawą dymisji rządu niepokojono się w Nowym Jorku tak dalece, że Floyar-Rajchman ponownie tego samego wieczoru telefonował do Zaleskiego, nakłaniając go, by bez czekania na posiedzenie rządu udzielił mu dymisji. Stwierdził, że „odzew na wydarzenia londyńskie jest tragiczny”. Należy wyjść z założenia, że „członkowie rządu, którzy nie uznają dekretu z 26 kwietnia, są już *ipso facto* w stanie dymisji i nie mogą być uważani jako rząd”. Apelował gorąco o natychmiastowe działania. Jego zdaniem posiedzenie rządu 24 czerwca „wobec znanego uporu Tomasza i złej woli Kwapa i innych, może skończyć się deklaracją godzącą w powagę najwyższego urzędu”. Na koniec wysunął projekt, aby lojalni ministrowie zgłosili swoje dymisje i przyjęli dymisję udzieloną całemu rządowi przez Prezydenta.

Posiedzenie Rady Ministrów zgodnie z zapowiedzią odbyło się 24 czerwca. Przedmiotem debaty było uchwalenie budżetu na lipiec. Podobno w czasie dyskusji Kwapiński zaczął podnosić wątpliwości co do wypłacania pieniędzy ministrom, innymi słowy zagroził on zablokowaniem funduszy. Następnie Berezowski zażądał podania się rządu do dymisji wobec objęcia urzędu przez nowego Prezydenta. Kwapiński odpowiedział, że byłoby to proste, gdyby Prezydentem był Arciszewski, zaś Arciszewski stwierdził, że nie ma komu podać się do dymisji, ponieważ nie uznaje Zaleskiego za Prezydenta. Ostatecznie dalszą dyskusję przełożono na następne posiedzenie wyznaczone na 27 czerwca.

Postawa PPS w dalszym ciągu wywoływała zaniepokojenie czynników legalistycznych, a czasem partnerów z „Porozumienia Demokratycznego”. Wspomniane komunikaty PPS były rozsyłane w Paryżu i Nowym Jorku, przy czym podawano nieprawdziwą informację o całkowitym poparciu dla PPS ze strony NiD. Ostre komentarze wywołał czerwcowy numer *Światła*, redagowanego przez Zarembę, w którym opublikowano wypowiedzi akceptujące linię Curzona. Zdaniem Łukasiewicza, „PPS figluje jak chce, a reszta uprawia wobec nich na całego *appeasement*, jedni w nadziei pozytywnego powodzenia, inni w obawie przed ostatecznym publicznym rozłamem²¹”.

Na posiedzeniu rządu 27 czerwca Berezowski zgłosił wniosek o podanie się rządu do dymisji. Arciszewski wraz z Kwapińskim ponownie odmówili. Na tej wymianie oświadczeń posiedzenie zamknięto. Lojalni ministrowie udali się do Zaleskiego i wręczyli mu swe podania o dymisję. Łukasiewicz, na podstawie informacji od Zaleskiego, pisał, że Prezydent zamierza udzielić dymisji 30 czerwca, a następnie powierzyć utworzenie rządu przejściowego Tomaszewskiemu. Rząd swym składem ma po-

21. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 25.6.1947 r. (I).

krywać się z dotychczasowym, z tym że na miejsce Arciszewskiego jako ministra opieki społecznej wszedłby Rusinek, a Stanisław Gierat na miejsce Kwapińskiego. Łukasiewicz wyraził pogląd, że proponowane nowe osoby nie wyrażą chęci udziału w rządzie. Równocześnie z utworzeniem nowego rządu Zaleski zamierzał powołać „komisję prezydencką”, która opracowałaby podstawy polityczne przyszłego rządu, odmienne od czwórprzymierza z czasów wojny. Komisję stanowić by miało 5-6 osób powołanych przez Prezydenta. Łukasiewicz wspomniał o zamiarze przygotowania przez Zaleskiego dłuższego przemówienia, które stanowiłoby materiał propagandowy do publikacji drukiem (przemówienie wygłoszone 2 lipca z okazji zaprzysiężenia rządu nie było zbyt obszerne). Podobno Zaleski liczył na możliwość porozumienia się z Kwapińskim, ale przeciwstawiali się temu Tomaszewski i Pragier. Łukasiewicz był zdania, że planu Zaleskiego nie uda się zrealizować, natomiast należy mianować rząd 5-7 indywidualności, a nie przedstawicieli stronnictw, i jemu powierzyć przygotowanie przyszłej reprezentacji politycznej, która byłaby społecznym organem kontroli rządu. Powstanie takiej reprezentacji umożliwiłoby dokonywanie koniecznych rekonstrukcji rządu. Do takiego rządu można by przyjąć Kwapińskiego i byłoby to lepsze rozwiązanie niż udział Tomaszewskiego. W wypadku niepowodzenia swych zamiarów Zaleski powinien dać się nakłonić do proponowanej wyżej sugestii „analogicznej zresztą do Waszych (w Nowym Jorku) pomysłów²²”.

Zebranie „okrągłego stołu”, odbyte 28 czerwca bez przedstawicieli LNP, którzy ostatecznie nie zostali zaproszeni, nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów. Doszło jeszcze do dwóch takich spotkań, ostatnie 2 lipca, ale i one nie dały wyników. Dnia 30 czerwca doszło do powołania Koncentracji Demokratycznej w składzie PPS, SD i fronda SP, ale bez SL „Wolność”, które stwierdziło jednak w komunikacie, że zgadza się z zasadami zawartymi w deklaracji Koncentracji. W tekście deklaracji krytykę spowodował brak jasnego ustosunkowania się do kwestii granic wschodnich i pominięcie sprawy stosunku do władz legalnych.

Dnia 2 lipca została udzielona dymisja rządowi Arciszewskiego i powołano nowy rząd Bór-Komorowskiego, który otrzymał teki Arciszewskiego i Kwapińskiego. Wspomniani odesłali otrzymane dymisje powołując się na oświadczenie PPS z 5 czerwca o nieuznawaniu aktów z 26 kwietnia. Łukasiewicz ocenił, że rząd Bór-Komorowskiego nie jest najlepszym wyjściem, ale obecność Bora jest korzystniejsza niż Tomaszewskiego.

22. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 28.6.1947 r.

Uznał, że najgroźniejsze momenty już minęły. Jego zdaniem Koncentracja Demokratyczna oscyluje między pogodzeniem się z faktami, a utworzeniem własnego rządu lub komitetu, co w takim gronie nie byłoby inicjatywą poważną. Łukasiewicz odnotował wystąpienie Bieleckiego, który zapowiedział utworzenie przedstawicielstwa politycznego w formie rady opartej na szerszych podstawach, co oznaczało, że „ND podnosi głowę. Będą z tego pewno nowe kłopoty”.

W początkach lipca po utworzeniu nowego rządu Łukasiewicz obawiał się wyników nieoficjalnych rozmów ND z PPS. Jego zdaniem do porozumienia między nimi mogłoby dojść na tle spraw finansowych, gdyż „posiadaczami funduszy państwowych podzielonych przez pół są Berezowski i Kwapiński. Łatwiej i wygodniej nimi gospodarować za wspólną zgodą niż przeciw sobie²³”. Z jednej strony Kwapiński jest zwolennikiem porozumienia, ale w PPS mają większość zwolennicy Zaremby i Ciołkosza, i również czołówka NiD dąży do zerwania z legalizmem. Najprawdopodobniej porozumienie ND z PPS spowoduje przeciwdziałanie powołaniu szerszej reprezentacji politycznej.

Dnia 1 lipca GKW LNP podjął uchwałę, w której stwierdzano szkodliwość dotychczasowych rządów opartych na kluczu partyjnym i konieczność utrzymania ciągłości państwowej. Ważnym elementem życia politycznego powinno być powołanie Rady Państwowej, w której skład prócz stronnictw weszliby przedstawiciele organizacji społecznych.

Rozpatrując udział pilsudczyków, czy szerzej LNP, w wydarzeniach czerwca 1947 r. należy stwierdzić, że nie mieli oni najmniejszego wpływu na ich przebieg. Nie zaproszono ich nawet na narady „okrągłego stołu”. Ich krytyczny stosunek do dotychczasowego rządu i osoby Prezydenta spowodował, że zmianę przyjęli bardzo pozytywnie i udzielili Zaleskiemu pełnego poparcia. Wybór personalny nowego Prezydenta musieli uznać za korzystny. Floyar-Rajchman prowadził korespondencję z Zaleskim już w czasie wojny, zaś Łukasiewicz utrzymywał z nim osobiste stosunki. Jednak już pierwsze kroki Prezydenta mogły dostarczyć nieco rozczarowań. Odkładanie dymisji rządu Arciszewskiego mogło uchodzić za brak zdecydowania. Skład nowego rządu również nie mógł budzić entuzjazmu. Przewidywania Łukasiewicza na ogół nie znalazły potwierdzenia, choć ogólne stwierdzenie, przytoczone na początku artykułu, okazało się słuszne — był to głęboki kryzys o trwałych skutkach. Nie doszło do porozumienia z PPS, choć blisko było do tego na początku 1948 r. PPS ani też Koncentracja Demokratyczna nie

23. J. Łukasiewicz, list do W. Jędrzejewicza 13.7.1947 r.

powołały rządu czy komitetu. Niezdolność do wyłonienia Rady Państwowej w okresie rządu Bór-Komorowskiego miała inne przyczyny niż porozumienie SN z PPS. Rząd Bór-Komorowskiego w swej półtorarocznej działalności prowadził liczne konsultacje, które nie przynosiły rezultatów. Wszystko to spowodowało, że piłsudczycy z czasem nabrali do niego krytycznego stosunku.

Leszek BRZOZA

Tadeusz WYRWA

FRANCJA W PODZIEMNEJ PRASIE POLSKIEJ 1940-1944

Upadek Francji w czerwcu 1940 roku złagodził wstrząs, jakim była dla Polaków klęska kampanii z września 1939, no bo jeżeli upadła potężna — jak mniemano — Francja, to trudno było oprzeć się Polsce, której armia sowiecka zadała nadto cios w plecy. Nie chodziło jedynie o klęskę militarną, ale i cywilizacyjną. Paryż przodował przecież w rozwoju i poziomie życia kultury zachodniej.

Polacy otrząsnęli się stosunkowo szybko z uczucia rozpaczy, gniewu i rozczarowania wobec Francji, która tak ogromny sprawiła zawód nie tylko Polsce, lecz i całej Europie. Na łamach polskiej prasy konspiracyjnej wiele się nad upadkiem Francji nie rozwodziło. Po prostu szok był zbyt silny, słowa nie były w stanie wyrazić goryczy, jaką przepelnione były serca Polaków, a groza okrucieństw okupacji hitlerowskiej była zbyt obecna na każdym kroku, żeby analizować jeszcze powody klęski. Mimo wszystko, nie pominięto tego całkowitym milczeniem i krytyczne wówczas uwagi pod adresem Francji są niejednokrotnie nadal aktualne, nie tylko zresztą w stosunku do niej.

W artykule z 1 października 1940 roku pt. „Swawola, niewola czy wolność”, po przypomnieniu, że upadek Francji nie tłumaczy się faktem, że była ona demokratyczna (tak właśnie tłumaczyli go Niemcy), ale — pisze dalej redakcja — faktem, „że była źle demokratyczna, że naród zszedł z drogi zdrowego rozwoju i wypaczył idee i zasady, dzięki którym przodował przez długi okres dziejów. Nadmiernie wybujała zasada niczem nieograniczonej swobody i niezależności jednostki osłabiła więzy

organizmu narodowego i państwowego. Pociągnęło to za sobą jak zwykle partyjność, rozpasanie samowoli... Społeczeństwo zaczęło hołdować sobiepaństwu i wygodnictwu, władza państwowa zaczęła się rozprzęgąć. Nic dziwnego, że w tych warunkach naród nie mógł zdobyć się na zorganizowany wysiłek zespołowy, stanowiący zawsze główną dźwignię postępu narodów, a niezbędny i konieczny w ciężkiej próbie wojny. Wierzimy zresztą, że naród francuski, doświadczony klęską i niewolą, znajdzie w sobie dość siły do odrodzenia¹".

Na łamach innego czasopisma przypomniano, że nikt nie uniknie losu swego narodu. „Obrona swego prywatnego dobra nie może dać pomyślnych wyników. Przykładem może tu posłużyć Francja, której upadek nastąpił ponieważ Francuzi bronili swych interesów prywatnych i grupowych — miast bronić ojczyzny²". Jednocześnie, bez większej zwłoki, zdano sobie sprawę, że „upadek Francji, zamiast przypieczętować wyrok zagłady na wolność ludów, zakończyć wojnę i zdać losy cywilizacji chrześcijańskiej na łaskę i niełaskę zagnieżdżonego w sercu Europy ostatniego plemienia barbarzyńców... stał się — rzecz dziwna — jakby początkiem wojny właściwej. Na widownię wystąpiły dopiero teraz siły istotne... Świat anglosaski stanowi główny trzon owych sił istotnych³".

Zainteresowanie Francją w polskiej prasie konspiracyjnej wzrastało w miarę jak organizował się tam ruch oporu, co jest zrozumiałe, bo wolano przecież widzieć Francję walczącą niż pokonaną i kolaborującą z okupantem. Gorzej jednak, że nie miano w Kraju właściwego rozeznania sytuacji i stosunek do tego, co się działo we Francji, jest jednym z dowodów braku należytej orientacji, jak również, w pewnym stopniu, utartych schematów myślenia.

W artykule „Wzrost znaczenia Francji” redakcja jednego z czołowych pism konspiracyjnych pisała: „Coraz bardziej staje się widocznym, że Francja powoli wchodzi z powrotem do rzędu wielkich mocarstw, z którego zdaniem liczyć się muszą obie walczące strony. Obecny kierownik państwa — marszałek Pétain — prowadzić zaczyna samodzielną politykę wobec okupanta niemieckiego, grając na tych możliwościach, które mu pozostały warunki zawieszenia broni... Ani armia kolonialna ani flota nie kwapią się, aby się stać narzędziem pomocniczym w ręku Niemiec... Musimy przyjąć, że w zachowaniu swym stary francuski

1. *Walka i wolność* (Organ Chłopskiej Organizacji Wolności „Ractawice”) z 1 października 1940 roku, str. 1.

2. *Biuletyn Informacyjny* (Organ ZWZ-AK) z 28 sierpnia 1941 roku, str. 2.

3. *Szaniec* (Organ grupy „Szańca” wywodzącej się z Obozu Narodoworadykalnego) z 3 stycznia 1941 roku, str. 1.

marszałek wykazuje zrozumienie możliwości, które stoją obecnie przed Francją⁴". Ta błędna ocena roli marszałka Pétaina była udziałem znakomitej większości Francuzów, którzy w marszałku Pétainie usiłowali widzieć swojego zbawcę.

W listopadzie 1942 roku nastąpiło lądowanie aliantów w Afryce Północnej. Niemcy natomiast zajęli południową Francję, która dotychczas stanowiła tzw. „wolną strefę”. Jednocześnie wzmógł się terror władz okupacyjnych we Francji i w następstwie tego ruch oporu, a w Algierze został później utworzony (3 czerwca 1943 roku) Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego (*Comité Français de Libération Nationale* — C.F.L.N.) z generałem de Gaullem na czele. Prasa konspiracyjna w Polsce pisała wówczas z zadowoleniem, że „Francja wraca do grona narodów walczących, staje do walki u boku aliantów, nie wdzierając na siebie czerwonego płaszcza komunistycznego. Życzymy narodowi francuskiemu, aby mu Opatrzność oszczędziła klęski załamania politycznego w chwili, gdy zaczyna się podnosić po doznanej klęsce militarnej. Podobieństwo losów sprawia, że my Polacy lepiej i trafniej umiemy odczuć dołę i niedołę Francuzów, niż ktokolwiek inny w świecie⁵".

Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 roku, prawie cała jej flota ocalała i *gros* jej znajdowało się w porcie miasta Tulonu. Niemcy, zajmując „wolną strefę” Francji, zażądali przekazania im znajdujących się w Tulonie okrętów. Admiralicja francuska odmówiła i na rozkaz admirała Laborde wszystkie okręty (razem 60 okrętów o łącznej pojemności 200.000 ton) zostały zatopione. W Polsce, na łamach prasy konspiracyjnej, z uznaniem podkreślano ten czyn: „Patetyczny był gest kapitanów francuskich... Wielki naród francuski nie przestał być sobą... Francja pozostała Francją naszych marzeń i ukochań. Najserdeczniejszą naszą sojuszniczką, nie zawsze wierną i często o nas zapominającą — a przecież bardzo nam drogą”. Dalej redakcja tego czasopisma pisze o budzeniu się do życia nowych sił w Maroku, Algierze i w Tunisie, odzyskanych prowincjach francuskich i następnie informuje czytelników, że już od 1940 roku działał poza Francją generał de Gaulle, ale „popularności zdobyć nie mógł. Przed dłuższy czas nie wiedzieliśmy dlaczego tak jest. W końcu jednak wyszło szydło z worka: de Gaulle jest sympatykiem krańcowej lewicy, zwolennikiem 'frontów ludowych' — no i chyba ich następstw także. Teraz to rozumiemy, dlaczego nie kleiły się

4. *Biuletyn Informacyjny* (Organ ZWZ-AK) z 2 lutego 1941 roku, str. 2.

5. *Walka* (Organ Stronnictwa Narodowego. Nie mylić z konspiracyjnym czasopismem o tej samej nazwie organizacji POWN-Monika we Francji, której szefem był Aleksander Kawałkowski) z 17 grudnia 1942 roku, str. 3.

tak długo stosunki między nim a przedstawicielami polskiego Rządu i polskiej emigracji⁶”.

W dalszym ciągu tego artykułu, o nie mniej pomieszanych pojęciach jak dotychczas, mowa jest o rywalizacji generałów de Gaulle'a i Giraud i że jakoby ten ostatni miał być „oficjalnym kierownikiem polityki francuskiej”, co nie było zgodne z rzeczywistością, mimo że tak chcieli Anglosasi. Generał Henri Giraud był popierany przez Anglosasów, szczególnie przez Amerykanów. W utworzonym, w czerwcu 1943 roku w Algierze, Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego (C.F.L.N.), kierownictwo zostało tak podzielone, że gen. de Gaulle miał się zajmować sprawami politycznymi, a gen. Giraud wojskowymi, ale po kilku miesiącach przywództwo C.F.L.N. spoczywało całkowicie w rękach generała de Gaulle'a.

Przed poparciem, jakiego udzielili Amerykanie generałowi Giraud, ich wcześniejszym faworytem był admirał François Darlan, postać o mętnej przeszłości z okresu kolaboracji z rządem Vichy i Niemcami. Darlan znalazł się w Afryce Północnej w chwili lądowania tam aliantów. Za zgodą Amerykanów ogłosił się szefem rządu francuskiego, ale wkrótce, dnia 24 grudnia 1942 r. został zamordowany w wyniku spisku, który do dzisiaj nie jest wyjaśniony.

Po objęciu władzy, pod patronatem Amerykanów, przez admirała Darlana, na łamach jednego z pism konspiracyjnych w Polsce ukazał się artykuł z dobrym wycuciem sytuacji, gdzie redakcja zwracała uwagę, że „postawienie Darlana, wygrywanego przez dowództwo anglosaskie, w tak nieledwie cyniczny sposób, na czele kierownictwa politycznego francuskich kolonii północno-afrykańskich, jest zniewagą dla Francji Walczącej, policzkiem dla Francji de Gaulle'a, a co najważniejsze — godzi w jej najżywotniejsze interesy. A przecież właśnie de Gaulle, a nie kto inny, jest wobec aliantów reprezentantem interesów francuskich... Sprawa Darlan — de Gaulle odsłania w jaskrawy sposób metody oportunistów anglosaskiego. Fakt, że de Gaulle zostaje odsunięty w cień w momencie, gdy wymaga tego doraźny, stosunkowo drobny przy tym, interes anglosaski, musi budzić w nas rozliczne wątpliwości”.

Następna redakcja pisała: „Analogie pomiędzy położeniem Francji Walczącej i naszym są zbyt wyraźne, by tych wątpliwości nie budzić. Jeśli chodzi o nasze stanowisko, to wyciągnąć musimy ze smutnej afery Darlana jedną tylko zasadniczą refleksję: niezależna polityka może być prowadzona tylko w oparciu o Kraj. Wszelka inna polityka będzie musiała istnieć zawsze

6. *Walka* (patrz *supra*) z 23 czerwca 1943 roku, str. 2-5.

w walce z oportunistycznymi interesami potężnych aliantów. Mamy — nie od dziś — poważne wątpliwości czy nasza reprezentacja w Londynie jest w stanie wytrzymać kiedykolwiek ciśnienie presji sojuszniczej...”⁷.

W tym samym czasie inne czasopismo konspiracyjne, nie mające już tego rozeznania, jak redakcja wyżej cytowanego artykułu, porusza również, w krzywym co prawda zwierciadle, zasadnicze problemy. Z artykułu pt. „Francja — naród wielki i żywy” wynika najpierw, że niedola Francji jest naszą niedolą. „Francja w tej wojnie jest sojuszniczką Polski. Nie zawiodła nas w rozstrzygającej chwili 3 września 1939 roku (*sic*). Ważyła się na wypowiedzenie wojny Niemcom, choć jasno zdawała sobie sprawę z przewagi militarnej zbrojącego się gorączkowo od dawna przeciwnika”.

Dalej mowa jest o uderzającym podobieństwie w ustosunkowaniu się do wojny Polski i Francji i że oba te państwa „nie zaprzestały prowadzenia polityki niezawisłej, odpowiadającej roli i zadaniom obu serdecznie ze sobą zaprzyjaźnionych narodów. Bronić samodzielności i niezawisłości polityki własnej zmuszone są oba te państwa przed naciskiem ze strony sojuszników... Wspólne ich polityce jest twarde obstawanie przy utrzymaniu całkowitej jej niezawisłości. Wspólne jest stanowisko zasadnicze, że o wytycznych polityki polskiej nadal — mimo klęski militarnej — decydują Polacy, a o zasadach polityki francuskiej — Francuzi. 'Nic o nas bez nas', oto zasada, od której nie zamierza odstąpić żadne z tych państw w obliczu zarysowującej się tendencji urządzenia świata przez wielką czwórkę, to jest przez Anglię, Amerykę, Rosję i Chiny. Bo przecież nie po to wystąpiły oba te państwa do walki z Niemcami, zmierzającymi do hegemonii nad Europą, aby w toku walki uznać hegemonię nad światem koalicji anglo-amerykańsko-rosyjskiej”⁸.

Przeszło rok później, w lutym 1944 roku, gdy dużo łatwiejsza była już do uchwycenia sytuacja Francji — tak tej walczącej przy boku aliantów, jak i kolaborującej z okupantem hitlerowskim — w jednym z pism konspiracyjnych widziano tę sytuację w sposób, który wywołać musi różne refleksje. „Francja dzisiejsza — czytamy tam — ma dwa oblicza. Symbolami ich są nazwiska marszałka Pétaina i generała de Gaulle'a. Pétain przewodzi Francji francuskiej i odradzającej się. De Gaulle wznawia i kontynuuje upadającą Francję przedwojenną, z dodaniem jej

7. *Myśl Państwowa* (Organ „Konwentu Organizacji Niepodległościowych”, wywodzący się ze środowiska przedwojennego rządu) z 18 grudnia 1942 roku, str. 13-14.

8. *Przez walkę do zwycięstwa* (Organ Stronnictwa Ludowego) z 10 grudnia 1942 roku, str. 1-2.

nowej ujemnej cechy: uzależnienia od interesów obcych... Niech nas pozory nie mylą: zależność (Pétaina) jest efemeryczna i wkrótce minie. Zależność od interesów obcych, których agentem jest de Gaulle, jeśli raz zaistnieje, będzie zależnością trwałą... Francja uważa, że miała prawo zrobić to, co zrobiła i że innego wyjścia przed sobą nie miała. Takie są źródła francuskiego punktu widzenia Francji Pétaina... Pétain żąda dla Francji pozycji równego wśród równych i ma szansę pozycję tę uratować i utrzymać”.

Jeśli natomiast chodzi o generała de Gaulle'a, to jest on „człowiekiem masonerii i skrajnej lewicy. Ośrodkiem dyspozycji jest mu nie dobro Francji, lecz rozkazy mafii. Bezkompromisowo zdąży do zdruzgotania odrodzonego ruchu Pétaina i Laval⁹”. Dla tego czasopisma admirał Darlan był „jednym z opatrznosciowych mężów odradzającej się Francji”, dlatego został zamordowany. W dalszym ciągu dowiadujemy się, że gen. de Gaulle „kazał zamknąć wszystkie dzienniki i czasopisma, które wychodziły przed utworzeniem Komitetu Algierskiego (C.F.L.N. — o którym była już mowa). Aresztowania wybitnych osobistości idą w setki. Wyroki śmierci są na porządku dziennym... De Gaulle i jego 'Francja' ciągną prawdziwą Francję w przepaść uzależnioną od masonerii, radykalizmu i faktycznego skomunizowania — w przepaść małości i upadku¹⁰”.

Trudno uwierzyć, że podobne brednie mogły ukazać się na łamach prasy konspiracyjnej i to wtedy, gdy na wszystkich frontach wojny ginęli żołnierze walczącej Francji i krwawiącej Polski. Nie wydaje się, żeby to całkowite pomieszenie pojęć było w Polsce jedynie skutkiem zupełnej ignorancji sytuacji i tego, co działo się w Europie Zachodniej. Kraj był słabo zorientowany w polityce anglosaskiej, jak również w polityce naszego rządu w Londynie, lecz odnośnie Francji, a szczególnie roli generała de Gaulle'a i marszałka Pétaina, w grę wchodziła nie tyle chyba ignorancja, ile świadome wprowadzanie Polaków w błąd. W danym wypadku trudności właściwego rozeznania autentycznego stanu rzeczy były w dużym stopniu skutkiem niezdecydowanej postawy rządu polskiego w Londynie, najpierw wobec marszałka Pétaina, a później generała de Gaulle'a i „Wolnej Francji”, postawy jaka charakteryzowała zwłaszcza generała Sikorskiego, który z frankofila przeobraził się, po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku, w wielbiciela Anglosasów, a jak wiadomo Anglosasi sympatią de Gaulle'a nie darzyli.

Tadeusz WYRWA

9. Pierre Laval, w latach 1942-1944 premier rządu Pétaina. Po wojnie skazany za kolaborację z hitlerowskimi Niemcami na karę śmierci i rozstrzelany.

10. *Warszawski Głos Narodowy* (Organ Stronictwa Narodowego) z 26 lutego 1944 roku, str. 1-2.

Jan J. LORYS

WALKA O UŻYCIĘ W KRAJU 1. SAMO- DZIELNEJ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

Wprowadzenie

Myśl wykorzystania transportu powietrznego dla utrzymania łączności z Krajem została podjęta przez Gen. Władysława Sikorskiego, ówczesnego Naczelnego Wodza i Premiera Rządu Polskiego we Francji. W listopadzie 1939 roku polecił on Gen. Dyw. Józefowi Zajacowi — dowódcy Lotnictwa — (w punkcie 3 swojego rozkazu o organizowaniu tajnej komunikacji lotniczej): „Zestawić w porozumieniu z Gen. Sosnkowskim listę personelu obsługującego powyższą komunikację, dobranego w sposób specjalny spośród pilotów, mechaników, oraz obserwatorów, wyćwiczonych należycie w skokach spadochronowych¹”.

Nie były to jednak jedyne cele przewidywane dla spadochroniarzy. Kpt. dypl. Maciej Kalenkiewicz i por. pil. Jerzy Górecki, entuzjaści spadochroniarstwa, w tym samym czasie, w specjalnym memoriale do Naczelnego Wodza, proponują tworzenie oddziałów spadochronowych².

Paryskie plany musiały ulec zawieszeniu na skutek katastrofy samej Francji. Nie poszły jednak w zapomnienie na terenie Wielkiej Brytanii czego dowodem jest wypowiedź Gen. Sikorskiego z dnia 14.10.1940 roku odnośnie planów zbrojnego powstania w Kraju, żądająca „przygotowania jak największej części

1. *Armia Krajowa w dokumentach* (dalej AK), t. I, str. 9.

2. Jędrzej Tucholski, *Cichociemni*, PAX, Warszawa 1984, str. 19.

sił lądowych do możliwości przerzucenia transportem lotniczym do Kraju do bezpośredniego wsparcia i osłony powstania w Polsce³”.

Kiedy zaistniała pierwsza możliwość podjęcia odpowiedniego szkolenia, powiadomiony o niej płk dypl. Stanisław Sosabowski, dowódca 4. Kadrowej Brygady Strzelców, chętnie podjął się tego zadania. 4. K.B.S. w tym czasie i przez następnych trzy i pół roku była rozmieszczona w różnych miejscowościach hrabstwa Fife w Szkocji. Dtwo Bryg. było w m. Leven.

Żołnierze 4. K.B.S. z końcem 1940 roku rozpoczęli szkolenie, początkowo tylko minersko-strzeleckie na kursach w Inverloch Castle w pobliżu miejscowości Fort William w Szkocji. Na wiosnę 1941 r. rozpoczęło się szkolenie spadochronowe. Kandydaci na skoczków zdobywali zaprawę fizyczną we własnym ośrodku szkolenia spadochronowego. Ośrodek mieścił się w Largo House i nosił popularną nazwę „Małpi Gaj” ze względu na odbywany w nim typ ćwiczeń. Po tym przygotowaniu kolejne grupy jechały do m. Manchester w Anglii, by na lotnisku Ringway odbyć skoki ze spadochronem z balonu i samolotów.

W dniu 23.9.1941 r. w Szkocji odbyło się ćwiczenie szkolno-bojowe połączone ze skokiem z samolotów. W ćwiczeniu wzięła udział grupa kompanijna. Dowódcą był płk Jan Kamiński. Ćwiczeniu przyglądał się przybyły na inspekcję Brygady Gen. Sikorski. Po ćwiczeniu do zebranych żołnierzy i licznych gości w trakcie dłuższego przemówienia N.W. oświadczył: „Jesteście odtąd Pierwszą Brygadą Spadochronową”, jak również: „Wy właśnie najkrótszą drogą dostaniecie się do Kraju⁴”. W tych dwóch zdaniach Naczelny Wódz stworzył nowy rodzaj wojska Powietrzno-Desantowego w Armii Polskiej oraz określił przeznaczenie tej nowej jednostki dostania się do Kraju „najkrótszą drogą”.

Uzgodnienie z władzami brytyjskimi przeznaczenia 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej do walki w Kraju

Władze polskie zarówno cywilne jak i wojskowe były w wielu wypadkach bardzo zależne od dobrej czy złej woli naszych gospodarzy Anglików. Pierwsza umowa z lipca 1940 roku między rządami Wielkiej Brytanii i Rzeczypospolitej Polskiej w

3. AK, t. I, str. 302.

4. *Polscy spadochroniarze — pamiętniki żołnierzy*, wyd. Fundusz Wydawniczy Plutonu Opieki 1.SBS, str. 119.

sprawie organizacji Armii Polskiej na terenie Zjednoczonego Królestwa dawała tylko ramowe podstawy tej organizacji. Szczegóły były omawiane na kolejnych między-alianckich konferencjach⁵.

Na konferencji dnia 9 maja 1942 r. między innymi omawiana była sprawa Brygady Spadochronowej. W czasie tej konferencji Gen. Klimecki, po omówieniu użycia Dywizji Pancerniej, zaznaczył: „Brygada Spadochronowa, która dotychczas nie została zatwierdzona, przewidziana dla potrzeb w Kraju”. Ze strony angielskiej Gen. Bloomfield zaznacza, że Brygada Spadochronowa „nie tak szybko”⁶.

Proponowana przez stronę polską O. de B. została zatwierdzona przez stronę angielską w liście do Gen. Klimeckiego M.O.I/B.M./1765/M.I.L. z dnia 22 maja 1942 r. Podobnie w długim liście do „Polish Field H.Q.” — Most Secret (Sztab NW — ściśle tajne) z dnia 26 sierpnia 1942 r. Gen. Sir Bernard C.T. Paget Dowódca „Home Forces” (wojsk na terenie WB) nawiązując do innej konferencji z dnia 21.8.42 stwierdza: *Stipulation to use the Parachute Brigade only for liaison with Poland and for supporting armed movement in Poland* (Użycie Brygady Spadochronowej jest zastrzeżone tylko do utrzymania łączności z Polską i do wsparcia zbrojnej walki w Polsce) a w dalszym ciągu tego listu: *The suggested organisation takes three points into account* — z których punkt C stwierdza: *Guarantee the support of an insurrection in Poland*. (Proponowana organizacja bierze następujące punkty pod uwagę — Gwarancję wsparcia powstania w Polsce⁷).

Podobnie w protokole z następnej konferencji z dnia 31.8.42 r. dotyczącej również organizacji polskich oddziałów, w punkcie 2 przewodniczący konferencji Gen. Bloomfield stwierdza, że jest ona kontynuacją konferencji z 9 maja 1942 r. a w punkcie 4b *Operational Roles* (przeznaczenie bojowe) podaje: *The Parachute Brigade to be completed to full war establishment of an independent parachute brigade, to be available only for operations in Poland*. (Brygada Spadochronowa ma być uzupełniona do pełnych stanów wojennych, gotowa do użycia tylko dla celów operacyjnych w Polsce⁸).

W wyniku tych ustaleń i uzgodnień z władzami brytyjskimi Gen. Sikorski pismem z dnia 7 września 1942 r. skierowanym do Dowódcy I Korpusu Panc. Mot. zatytułowanym „Organizacja Korpusu Pancerno-Motorowego” stwierdza:

5. Protokół z konferencji w *War Office*, IPMS, dok. A.V.20/31/18-3.

6. *Tamże*.

7. List gen. Sir Bernarda C.T. Pageta, IPMS, dok. A.V.20/31/18-4.

8. Protokół konferencji, IPMS, dok. A.V.20/31/18-5.

„Za podstawę organizacji jednostek I. Korpusu przyjąłem następujące tezy zasadnicze uzgodnione z dcą „Home Forces”:

1. użycie jednostek I. Korpusu w ofensywie na kontynencie,
2. użycie Brygady Spadochronowej wyłącznie dla łączności z Krajem i do wsparcia ruchu zbrojnego w Polsce,
3. przygotowanie tworzenia dalszych jednostek wojska na kontynencie z rezerw istniejących⁹.

Na pomoc oddziałów spadochronowych liczył stale Dowódca Armii Krajowej Gen. Rowecki, czego dowodem są liczne wzmianki na ten temat w jego planach przedstawianych w raportach przesyłanych do NW, np.:

Rowecki do NW Radiogram Wanda 2 dn. 26 lutego 1943 r.

I. W wypadku wkroczenia Rosji w pościgu za Niemcami zachodzi konieczność nie równoczesnego powstania całego Kraju, lecz kolejno strefami poczynając od wschodu.

II. By powyższe wykonać i zmanifestować Polskę na kreścach wschodnich nawet w Wilnie i Lwowie muszą dostać pomoc w uzbrojeniu i oddziałach spadochronowych¹⁰.

W związku z planami wojny na zachodzie, władze brytyjskie wysunęły propozycję włączenia sił polskich stacjonujących na terenie Zjednoczonego Królestwa do O. de B. 21 Grupy Armii brytyjskiej. Władze polskie zgadzały się z tą propozycją z zastrzeżeniem „bez Brygady Spadochronowej, która w dalszym ciągu pozostaje w dyspozycji Naczelnego Dowództwa Polskiego dla celów specjalnych¹¹”.

Podobne stanowisko zajął nowy Naczelnny Wódz Gen. Sosnkowski w liście do Sir James Grigg MP., K.C.B. (*Secretary of State for War*) Ministra Wojny z dnia 28.7.1943 r.:

I have no objection to the Army Council's proposals to include the Polish Army Corps in 21. Army Group. I understand however that in accordance with the Directive for the Future Employment of Polish Forces as agreed by the Chiefs of Staff Committee, the Polish Parachute Brigade continues to remain at my disposal for special purposes. (Nie mam zastrzeżeń odnośnie propozycji Rady Wojennej co do włączenia Polskiego Korpusu do 21. Grupy Armii. Rozumiem jednak, że zgodnie z dyrektywami użycia Polskich Sił Zbrojnych, ustalonymi przez Szefów Sztabów, Polska Brygada Spadochronowa pozostaje w mojej

9. Rozkaz Naczelnego Wodza i ministra Spraw Wojskowych L.dz. 3300/tjn.O.I./Org./42 do Dowódcy I Korpusu Panc. Mot., IPMS, dok. A.V.20/31/18-6.

10. AK, t. II, radiogram gen. Roweckiego do NW (26.2.43), str. 422, dok. 394.

11. List *attaché* wojskowego gen. bryg. B. Regulskiego do szefa sztabu NW, 19.7.1943. IPMS, dok. A.XII.23/55a.

dyspozycji dla specjalnych celów¹².)

Podobne zastrzeżenia wyrażone są w notatce Sztabu NW z 20 grudnia 43 do Ministra Obrony Narodowej celem poruszenia ich na posiedzeniu Rady Narodowej: „Brygada Spadochronowa, w myśl powyższych wytycznych, jest pozostawiona w dyspozycji Naczelnego Wodza do zadań specjalnych na korzyść Kraju¹³”.

Takie było oficjalne i uzgodnione stanowisko władz brytyjskich i polskich co do przeznaczenia i użycia Brygady Spadochronowej.

Zmiana przeznaczenia Brygady Spadochronowej

Dnia 9 marca 1944 r. na odprawie, w której wzięli udział Szef Sztabu NW Gen. Kopański oraz Dca 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej płk dypl. Sosabowski, Naczelnny Wódz Gen. Sosnkowski poinformował ich, że przy spotkaniu z Gen. Grassettem (*Chief of European Contact Section*) Szefem Europejskiej Misji Łącznikowej, padło pytanie czy i na jakich warunkach mogłaby być użyta na zachodnim froncie inwazyjnym Brygada Spadochronowa przed użyciem jej w Polsce. W odpowiedzi na to pytanie NW stwierdził, że zgodził się, że taka możliwość może zaistnieć pod warunkiem, że Brygada Spadochronowa będzie użyta w drugiej fazie inwazji, jednorazowo i w operacji przewidującej ograniczone straty, oraz że Brygada będzie mogła być wycofana przez niego z akcji do działania na korzyść Kraju, jeżeli zaistniałaby taka konieczność. Gen. Grasset wymienił dopuszczalne straty w rejonie 25 %.

W dyskusji w czasie tej konferencji rozważane były dodatnie i ujemne strony użycia Brygady na froncie zachodnim.

Stroną dodatnią byłoby zdobycie przez Brygadę doświadczenia bojowego, co podniosłoby jej wartość do działań w Kraju.

Ujemnym rezultatem byłby fakt, że dotychczasowe właściwe przeznaczenie jej zostanie odłożone i pod znakiem zapytania, ponieważ mimo możliwych najlepszych chęci trudno przewidzieć procent strat, jak również, że w razie konieczności będzie możliwym wyciągnięcie Brygady z frontu walki do użycia jej w Kraju.

Na pytanie NW, jaki procent strat uważałby Dca Brygady za dopuszczalny, płk Sosabowski, po zastrzeżeniu jak wyżej, że

12. List NW do Sir Jamesa Grigga, ministra Wojny, IPMS, dok. A.V.20/31/18-11.

13. IPMS, dok. A.V.20/31/18-13.

strat przewidzieć, zwłaszcza w działaniach spadochronowych, nie można, wymienił 15 % jako straty lekkie, 20% średnie a od 25 % ciężkie¹⁴.

Dnia 14 marca 1944 r. NW otrzymał list datowany 11-go tego miesiąca od Gen. Grassetta o następującej treści w skrócie:

1. *As requested by you I confirm in writing the proposals concerning the Polish Parachute Brigade with I put before you at our meeting on 2nd March.*

2. *Field Marshall Sir Allan Brooke fully realises that in accordance with the existing agreement the Polish Parachute Brigade is unreservedly at your disposal for Operations in Poland, and excluded from any operations that are to be undertaken by the Allied Forces.*

Punkty 3 i 4 wyjaśniają, że od czasu umowy co do użycia Brygady zaszyły duże zmiany odnośnie wymagań wojny ale, że oryginalne znaczenie Brygady jest zawsze brane pod uwagę.

5. *The proposals which I was instructed to put to you is that you should place your Parachute Brigade at the disposal of the Supreme Allied Commander for operations in Western EUROPE. Should you agree to this Field Marshall Sir Allan Brooke will give you the following assurances:*

a) *The Brigade will be in reserve to the Allied Airborne forces and will not be employed in the initial operations unless the necessity demands.*

b) *That should the Brigade suffer severe casualties which may be described as being of the order of 25 %, it will be withdrawn and not committed to further operations until it has been again made up to strength.*

c) *When an opportunity arises for employing this Brigade in Poland, it will be placed at the disposal of the Polish Commander-in-Chief. It is not possible at this stage to give definite guarantee on the subject of aircraft, but every effort will be made to release aircraft for the transport of the Brigade to Poland.*

Punkt 6 wspomina o przeniesieniu Brygady do Anglii.

Tłumaczenie (J.L.):

1. Zgodnie z życzeniem Pana potwierdzam pisemne propozycje odnośnie Polskiej Brygady Spadochronowej, które przedstawiłem w czasie naszego spotkania 2-go marca.

14. *Resumé* konferencji u NW w dniu 9.3.44, IPMS, dok. A.V. 20/31/18-14.

2. Marszałek Sir Allan Brooke zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że zgodnie z istniejącą umową Polska Brygada Spadochronowa pozostaje bezwarunkowo w dyspozycji Pana do operacji w Polsce i jest wyjęta z jakichkolwiek operacji, które będą przedsięwzięte przez siły alianckie.

3 i 4 jak wyżej.

5. Otrzymałem rozkaz (instrukcję) przedstawienia Panu propozycji odesłania Brygady Spadochronowej do dyspozycji Naczelnego Dowódcy Alianckiego do użycia w operacjach w Europie Zachodniej. W razie otrzymania Pana zgody na tę propozycję, Marszałek Sir Allan Brooke udzieli następujących gwarancji:

a) Brygada pozostanie w rezerwie Alianckich Wojsk Desantu Powietrznego i nie będzie użyta początkowo, chyba, że będzie tego wymagała konieczność.

b) Gdyby Brygada poniosła straty wysokości 25 %, zostanie ona wycofana z akcji i nie będzie ponownie użyta przed uzupełnieniem stanów.

c) Kiedy zajdzie okazja użycia Brygady w Polsce, zostanie ona oddana do dyspozycji Polskiego Naczelnego Wodza. W obecnych warunkach nie można dać definitywnej gwarancji co do samolotów, będą jednak podjęte wszelkie kroki celem zwolnienia samolotów do przetransportowania Brygady do Polski¹⁵.

List Gen. Grassetta do Gen. Sosnkowskiego z 11 marca 1944 r. zawiera poważne stwierdzenia:

1. niezaprzeczalny fakt, że Brygada Spadochronowa była w wyłącznej dyspozycji Polskiego Naczelnego Wodza do użycia jej w operacji w Kraju.

2. że możliwość przetransportowania Brygady do Polski była brana pod uwagę i obiecywana przez stronę brytyjską, wprawdzie bez bezwarunkowej gwarancji, ale z wiążącą obietnicą zrobienia wysiłku (*every effort*) dla dostarczenia samolotów do tego transportu.

Naczelnny Wódz zawiadomił Prezesa Rady Ministrów Stanisława Mikołajczyka pismem z dnia 14 marca 44 o żądaniach Brytyjczyków, podając w nim plusy i minusy oddania Brygady. W liście tym NW wyraził opinię, że mimo wymienionych minusów należy wyrazić zgodę na te żądania na proponowanych przez NW następujących warunkach:

— Brygada będzie użyta w jednej większej operacji lub paru mniejszych,

15. Naczelne Dowództwo Alianckich Wojsk Ekspedycyjnych, Europejska Sekcja Łącznikowa, IPMS, dok. A/XII/48 F.

— zostanie wyciągnięta z akcji, jeżeli straty dojdą do 15 % stanu, użycie Brygady nastąpi w drugiej fazie inwazji,

— w razie zaistnienia korzystnych okoliczności do użycia Brygady do operacji w Polsce zostanie ona oddana do dyspozycji Naczelnego Wodza,

— wojskowe władze brytyjskie zobowiążą się w tym wypadku do dołożenia wszelkich starań do umożliwienia przetransportowania Brygady drogą powietrzną do Polski¹⁶.

Prezes Rady Ministrów odpowiedział na list NW listem z dnia 17 marca 1944:

„Rada Ministrów wyraziła zgodę na użycie Brygady Spadochronowej w operacjach inwazyjnych na warunkach przedłożonych Radzie Ministrów przez Naczelnego Wodza¹⁷”.

Naczelnny Wódz powiadomił Gen. Grassetta o swojej zgodzie na oddanie Brygady Spadochronowej pismem z dnia 18 marca 1944 r. Na wstępie NW podkreślił konieczność zachowania możliwości użycia Brygady dla celów wsparcia działań w Polsce. W dalszym ciągu listu NW wymienił warunki uzgodnione z Radą Ministrów¹⁸.

Warunki z wyjątkiem odstąpienia od zasady podległości Brygady tylko Naczelnemu Wodzowi i tylko do wsparcia operacji w Kraju, dla strony polskiej korzystne, dla strony brytyjskiej może trudne, ale bardzo zbliżone do warunków przez nich samych proponowanych.

Naczelnny Wódz miał zawsze ostatni głos i od niego tylko zależało, jakie postawi ostatecznie warunki. Z licznych notatek wynika jednak, że konsultował on i zasięgał opinii ludzi, których uważał za kompetentnych w tym wypadku. Przykładem takich rozmów mogą być notatki z przebiegu następnej konferencji u NW w dniu 15 marca 44 z udziałem Szefa Sztabu NW Gen. Kopańskiego oraz płk. Sosabowskiego oraz raport z tego samego dnia zatytułowany „Sprawa użycia Brygady Spadochronowej”. Obydwa te dokumenty zawierają podobne (między innymi) opinie:

— Polska Brygada Spad. jest bardzo potrzebna Brytyjczykom, nie tylko do akcji ale i prestiżowo, w stosunku do Amerykanów;

— ponieważ Brygada stanowi taki poważny atut, należy dawać maksymalne warunki;

16. IPMS, dok. A/XII/23/72.

17. List Prezesa Rady Ministrów do NW z 17 marca 1944.

18. IPMS, dok. A/XII/23/72.

Gen. Grasset potwierdził odbiór pisma NW tego samego dnia z informacją, że przesłał je do Sir Allan Brooke'a do rozważenia¹⁹.

Odtąd rozpoczęły się stałe naciski na Naczelnego Wodza, jego Szefa Sztabu i polskie władze cywilne celem wymuszenia na nich wycofania wszelkich warunków.

Już 23 marca 1944 r. gen. Grasset powiadomił Gen. Kukiela, ówczesnego Ministra Obrony Narodowej, że Gen. Montgomery nie zgodził się na proponowane warunki²⁰. Ppłk Carlisle z War Office — Ministerstwa Wojny — interweniował u polskiego *attaché* wojskowego Gen. Regulskiego, o czym tak pisze Gen. Regulski w swojej notatce z tej rozmowy przeprowadzonej w dniu 24 marca (wyjątek dotyczący tylko Brygady Spad.):

II. Co się tyczy drugiej sprawy, mianowicie użycia Brygady Spadochronowej przez Dowództwo Inwazyjne, to Sztab Imperialny jest trochę zdziwiony tymi wszelkimi zastrzeżeniami użycia, wysuniętymi w piśmie N. Wodza Gen. Sosnkowskiego, które wskazuje na brak zaufania w stosunku do najwyższych angielskich władz wojskowych; pismo Gen. Grassetta stawia zupełnie jasno te sprawy z angielskiego punktu widzenia²¹.

Powiadomiony o tych interwencjach NW, w tym czasie przebywający na terenie 2-go Korpusu, w depeszy szyfrowej z 1 kwietnia 1944 r., zaadresowanej do Ministra Obrony Narodowej i zastępcy Szefa Sztabu, prosi o przekazanie do Gen. Grassetta zapewnienia o całkowitym i bezwarunkowym zaufaniu Polaków do Gen. Montgomery'ego. Podkreśla jednak, że w opinii władz polskich może najlepiej byłoby i dla Sprzymierzonych, aby Brygada Spadochronowa mogła być użyta w Polsce. Z tego względu NW pragnie zapewnić sobie możliwość wycofania jej z akcji oraz dostarczenia koniecznego transportu powietrznego i wsparcia. 15 % strat jest tylko cyfrą orientacyjną²².

W następnym dniu 2.4.44 została odszyfrowana depesza nr 552 od Dcy AK „Lawina”, której pierwsze zdanie brzmi:

„Podzielamy pogląd Pana Generała na użycie Brygady Spadochronowej w inwazji w związku z propozycją przyjaciół”. Dalszy ciąg depeszy podkreśla jednak konieczność zagwarantowania możliwości użycia Brygady na korzyść Kraju²³.

19. List gen. Grassetta do gen. Sosnkowskiego, IPMS, dok. A/XII/1/48.

20. Depesza szyfr. do NW od I zastępcy szefa sztabu NW (Smoleńskiego), IPMS, dok. A/XII/23/72.

21. IPMS, dok. A.V./20/31/18-27.

22. *Tamże*, dok. A/XII/31/18-29.

23. *Tamże*, dok. A/XII/23/72.

Minister Obrony Narodowej powiadomił NW, że Gen. Grasset był u niego ponownie 6 kwietnia 1944. W rozmowie na temat Brygady Spad. Gen. Grasset podkreślił, że warunki listu z dnia 11 marca 44 są warunkami Sztabu Brytyjskiego i prosi o zaufanie do władz brytyjskich²⁴.

W odpowiedzi NW przypomniał, że o zaufaniu już informował i chodzi tylko o uzyskanie zapewnienia co do możliwości użycia Brygady w Kraju. W związku z tym Gen. Kukiel napisał list do Gen. Grassetta, w którym podkreślił fakt całkowitego zaufania NW do Gen. Montgomery'ego oraz że NW nie stawia kłopotliwych warunków z wyjątkiem możliwości użycia Brygady w jednej operacji oraz zachowania jej zdolności do działania w Kraju, przy pomocy technicznej ze strony brytyjskiej²⁵.

Dnia 27-go kwietnia 44 została przygotowana, według wytycznych Szefa Sztabu NW, notatka w związku z projektowaną rozmową z Marszałkiem Allaniem Brooke, mającą na celu „konieczne ostateczne wyjaśnienie kwestii użycia 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej”. W skrótach notatka zawiera następujące stwierdzenia:

1. Chcemy aby Brygada była użyta w inwazji.

2. Istnienie i wartość Brygady wiążemy z naszymi planami wsparcia ewentualnego powstania w Kraju.

Chcielibyśmy więc:

a) Aby Brygada nie została zniszczona w akcji inwazyjnej...

b) Aby Brygada po wykonaniu akcji została jak najprędzej doprowadzona do stanu maksymalnej gotowości bojowej.

3. Oczekujemy pomocy Wielkiej Bryt. w ewentualnej akcji Brygady w Kraju.

Stąd:

a) Strona angielska wraz z amerykańską umożliwi techniczne wyposażenie, przerzut i zaopatrzenie Brygady w takiej akcji.

b) Moment decyzji uruchomienia akcji krajowej zostanie przy stronie polskiej, choć poprzedzony zostanie pełną konsultacją strony bryt.²⁶

Dnia 1 maja 44 NW wysłał ponowny list do Gen. Grassetta, w którym potwierdza zgodę na oddanie Brygady z podobnymi zastrzeżeniami jak uprzednio i żądaniem zapewnienia Brygadzie transportu powietrznego i uzupełnień straconego sprzętu²⁷.

24. Depesza szyfr. do NW od ministra ON, IPMS, dok. A.V. 0/31/18-31.

25. IPMS, dok. A.V.20/31/18-33.

26. *Tamże*, dok. A/XII/23/72.

27. *Tamże*, dok. A.V.20/31/18-38.

Jak pilna była sprawa użycia Brygady Spad., niech świadczy notatka Gen. Regulskiego Nr 1407/44 z dnia 8 maja 44, podająca godzinny program jego czynności:

— rano wizyta u Gen. Grassetta w Norfolk House. Gen. Grassetton ponawia żądanie wyjaśnienia sprawy Bryg. Spad.

— godz. 2.30 — wizyta u Gen. Sosnkowskiego, odebranie listu NW do Gen. Grassetta. NW polecił Gen. Regulskiemu osobiste doręczenie listu.

— godz. 3.15 — telefon do Sztabu Gen. Grassetta, żądanie zorganizowania spotkania z Gen. Grassettem, który jednak już wyjechał do 21. Grupy Armii. Gen. Regulski prosi Majora Phillipsa ze Sztabu Gen. Grassetta by przybył do niego celem odebrania listów.

— wizyta Mjra Phillipsa w Ambasadzie. Maj. Phillips wyjaśnia, że ma polecenie przetelefonowania listu NW do Gen. Grassetta natychmiast po otrzymaniu go, wobec tego Gen. Regulski otwiera list NW, odczytuje go z komentarzami NW i wręcza go Majorowi Phillipsowi. Gen. Regulski miał możliwość spotkania Gen. Grassetta dopiero 6 maja 44. Gen. Grassettpoinformował go w czasie spotkania, że według opinii Szefa Sztabu Gen. Montgomery, który był nieobecny w Sztabie, 21. Grupa Armii będzie musiała zrezygnować z Bryg. Spad., ponieważ ostatni list Gen. Sosnkowskiego nie wnosi nic nowego do już znanych i odrzuconych warunków²⁸.

W tym czasie Brygada zaczęła mieć dodatkowe trudności z uzyskaniem możliwości szkolenia powietrznego. Na zapytanie Gen. Regulskiego na ten temat Gen. Grassettpodał jako powód konieczność szkolenia jednostek amerykańskich.

Dnia 24 maja NW otrzymał następnym list od Gen. Grassetta. Najważniejszym sformułowaniem w tym liście jest: *General Sir Bernard Montgomery does not feel able to accept this Brigade under the conditions mentioned in your above letter.* (1 maja 44 - JL). (Gen. Montgomery nie czuje możliwości przyjęcia Brygady na warunkach podanych w wymienionym liście) (list z 1 maja 1944 r. - JL).

W dalszym ciągu tego listu i rozwijając go Gen. Grassettpowiedział: *But Gen. Montgomery considers that if the Brigade is to be placed under his command he must be given a free hand to employ it in any manner that operations may demand.*

I am instructed to inform you that the British Chiefs of Staff, whilst unable to give guaranties regarding the provision of aircraft to transport Brigade to Poland, or about replacement of

28. Tamże, dok. A.V.20/31/18-39.

equipment, they will do their best in the light of the circumstances existing at the time, to meet the requirements of Polish Authorities in this respect.

Field Marshall Sir Allan Brooke was under the impression that you would be prepared to place the Polish Parachute Brigade unreservedly under General Montgomery's command and I would be grateful if you would inform me for the information of the British Chiefs of Staff whether you agree to do so²⁹.

(Gen. Montgomery uważa, że jeżeli Brygada ma być oddana pod jego dowództwo, to musi on mieć wolną rękę do użycia jej zgodnie z wymaganiami operacyjnymi.

Otrzymałem instrukcję poinformowania Pana, że Szefowie Sztabu Brytyjskiego, aczkolwiek nie mogą dać gwarancji dostarczenia samolotów do przetransportowania Brygady do Polski jak również uzupełnienia ekwipunku, to jednak zrobią wszystko w zależności od zaistniałej w danym czasie sytuacji, aby zaspokoić potrzeby polskich władz.

Marszałek Sir Allan Brooke miał wrażenie, że będzie Pan gotów oddać Polską Brygadę Spadochronową pod dowództwo Gen. Montgomery'ego bez zastrzeżeń.

Byłbym wdzięczny za poinformowanie mnie, czy zgadza się Pan zrobić to, abym mógł przekazać tę informację Brytyjskim Szefom Sztabu).

Naczelný Wódz powiadomił Prezesa Rady Ministrów o liście Gen. Grassetta i brytyjskich żądaniach oddania Brygady bez żadnych warunków następnego dnia tj. 25.5.44. Prezes Rady Ministrów zażądał sprecyzowania stanowiska NW w tej sprawie. Projekt listu NW do Prezesa Rady Ministrów z dnia 1.6.44, w którym powtórzone były w dużej mierze poprzednie wypowiedzi, spotkał się ze sprzeciwem Szefa Sztabu NW Gen. Kopańskiego, wyrażonym w odręcznej notatce do NW, o następującej treści:

„...melduję, że dalsze stawianie warunków Anglikom jest równoznaczne z decyzją nieoddania im Brygady do dyspozycji do działań w ramach 21. Grupy Armii. Proponuję zamiast p.3 odpowiedzi do Premiera sformułowanie zasady oddania Brygady w oparciu o zaufanie do Anglików, a nie powtarzanie znanych im już naszych dezyderatów”. Podobną opinię bezwarunkowego oddania Brygady Anglikom wyraził Gen. Stanisław Tabor już dnia 24.5.44³⁰.

29. Tamże, dok. A.V.20/31/18-42.

30. Tamże, dok. A.V.20/31/18-43/47.

Wiceprezes Rady Ministrów Jan Kwapiński podał Naczelnemu Wodzowi następującą decyzję Rady Ministrów:

„Rada Ministrów uznaje, że Brygada Spadochronowa powinna wziąć udział w działaniach inwazyjnych.

Rada Ministrów wzięła pod uwagę oświadczenie wojskowych czynników brytyjskich, że w dysponowaniu tą jednostką Generał Sir Bernard Montgomery będzie się liczył zarówno z naszymi trudnościami jej uzupełnienia jak z jej znaczeniem dla Polski, oraz, że Szefowie Sztabów Brytyjskich uczynią co będzie w ich mocy, by w odpowiednim czasie ułatwić użycie Brygady na wsparcie powstania w Kraju, w szczególności przez zapewnienie transportu powietrznego³¹”.

Richard Lamb, autor książki pt. „Montgomery in Europe 1943-45, Success or Failure”, na stronach 73 i 74 porusza sprawę oddania Brygady pod dowództwo Gen. Montgomery.

Na wstępie stwierdza on, że sir Allan Brooke był skłonny zgodzić się na propozycje Gen. Sosnkowskiego z dnia 18 marca 1944 r. (*was prepared to agree*), wbrew temu co napisał Gen. Grassett w cytowanym jego liście z 1.5.44. Kiedy jednak list NW i poprzednie propozycje brytyjskie zobaczył Gen. Montgomery, wystosował on *this unattractive letter to Simpson, the Director of Military Operations at the War Office* (ten niemący list do Simpsona, Dyrektora Operacji Wojskowych w Ministerstwie Wojny). List powyżej wspomniany ze względu na jego treść warto przytoczyć w pełnym brzmieniu:

Freddie (de Guingand) has shown me your letter of the 19th March, and enclosures, referring to Polish Para Brigade. I have decided to answer you myself as I feel very strongly in this matter.

The conditions put up by General Sosnkowski are unacceptable. I feel the time has come for us to adopt a more realistic attitude towards our Allied nations. To be dictated to by nations who have been under the heel of Germany as to how their forces should be used is, to my way of thinking, quite wrong. We have got a difficult problem ahead, and to employ the forces of these Allies circumscribed by various restrictions is militarily unsound, and appears to me to be politically unwise. Some of these countries did very little to help us against the enemy, e.g. France, now appear to be laying down conditions because they see the end in sight. I consider that nations who have been under the heel of Germany must do as we tell until the war is over and Germany defeated; they will probably have to do as we tell them even after that.

31. Tamże, dok. A.V.20/31/18-49.

My view is, if I am to be saddled with Allied troops tied down by various restrictions, I would rather not have them at all; this applies to the Polish Parachute Brigade if they cannot be employed otherwise than in accordance with General Sosnkowski's conditions. I suggest you tell Sosnkowski accordingly, and have no more nonsense about it.

(Freddie (de Guingand) pokazał mi Twój list z 19 marca z załącznikami odnoszący się do Polskiej Brygady Spadochronowej. Ponieważ jestem bardzo czuły na tym punkcie, dlatego postanowiłem odpowiedzieć osobiście. Warunki podane przez Gen. Sosnkowskiego są nie do przyjęcia. Uważam, że nadszedł czas, abyśmy zajęli bardziej realistyczną postawę w stosunku do naszych sprzymierzonych narodów. Według mnie jest błędem, abyśmy od narodów, które są pod butem Niemiec, otrzymywali wytyczne co do sposobu użycia ich oddziałów. Mamy przed sobą trudny problem i użycie oddziałów tych sprzymierzeńców w sposób ograniczony różnymi warunkami, jest z punktu widzenia wojskowego błędne, a politycznego nierozsądne. Niektóre z tych krajów, które mało pomogły nam przeciw wrogowi (np. Francja), teraz stawiają warunki, ponieważ widzą, że zbliża się koniec zmagania. Uważam, że narody, które były pod butem Niemców, muszą do czasu zakończenia wojny i pobicia Niemiec robić to, co my im powiemy, a prawdopodobnie będą musiały robić to co im powiemy i później. W mojej opinii, jeżeli mam być obarczony jednostkami skrzepowanymi różnymi ograniczeniami, to wolę ich nie mieć i to odnosi się do Polskiej Brygady Spadochronowej, jeżeli miałyby być użyta tylko zgodnie z warunkami Gen. Sosnkowskiego. Sugeruję, abyś to powiedział Sosnkowskiemu i aby nie było na ten temat więcej nonsensów).

List powyższy nie pozostawia żadnych wątpliwości, że dla jego autora ŻADNE warunki nie były do przyjęcia. Propozycje zawarte w liście Gen. Grassetta z 11 marca 1944 r. były propozycjami Sir Allan Brooke'a wyraźnie nie uzgodnionymi z Gen. Montgomery'm, który gdy tylko zobaczył je i list Gen. Sosnkowskiego, odrzucił i jedno i drugie brutalnie. Podobnie odrzuciłby całkowitą zgodę NW na warunki proponowane w marcu przez Sir Allan Brooke'a.

Przytoczone dokumenty (kilka z wielu) świadczą o wielkiej wadze, jaką polscy Naczelnicy Wodzowie przywiązywali do zachowania w swojej dyspozycji chociażby jednej Wielkiej Jednostki Wojska Polskiego na Zachodzie — Brygady Spadochronowej — do użycia jej w Kraju i dla potrzeb Kraju. Gen. Sosnkowski ostatecznie uznał za właściwe odstąpienie od tej ustalonej zasady. Dał temu wyraz w liście do Gen. Grassetta z dnia 6 czerwca 1944 r o następującej treści:

„Proszę, by Pan Generał zechciał powiadomić Marszałka Sir Allan Brooke'a i Generała Sir Bernarda Montgomery, że w porozumieniu z Rządem Polskim stawiam do dyspozycji Naczelnego Dowódcy Sprzymierzonych Polską Brygadę Spadochronową.

Jest gorącym pragnieniem Polaków przyczynić się w miarę sił i możliwości do powodzenia największej operacji wojennej wszystkich czasów, która zaczęła się dzisiaj.

Nawiązując do listów Pana z dnia 11 marca i 21 marca 1944 r., Rząd Polski i ja sam wyrażamy pełne zaufanie, że Generał Sir Bernard Montgomery, dysponując Brygadą, będzie się liczyć zarówno z naszymi trudnościami uzupełnienia Brygady, jak i ze znaczeniem jej dla Polski, oraz, że brytyjscy Szefowie Sztabów uczynią co będzie w ich mocy, aby w odpowiednim czasie ułatwić użycie Brygady na wsparcie powstania w Polsce, a szczególnie przez zapewnienie środków transportu powietrznego³²”.

W wyniku tego listu Brygada Spadochronowa została zmobilizowana i przeniesiona ze Szkocji do Anglii. W Anglii przystąpiła natychmiast do intensywnego szkolenia celem osiągnięcia w najkrótszym czasie jak najlepszej gotowości bojowej.

Nim jednak doszło do użycia Brygady w akcji bojowej na zachodnim froncie rozegrała się jeszcze jedna faza walki w związku z jej przeznaczeniem.

Walka o użycie Brygady do wsparcia Powstania Warszawskiego

W Polsce postępowaly przygotowania do powstania. Dowódca Armii Krajowej wysłał depeszę do Szefa Sztabu O.VI NW nr 441 (XXX)999 z dnia 25 lipca 1944 r.:

„Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie Brygady Spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne³³”.

Tak więc w niespełna dwa miesiące od postawienia Brygady do dyspozycji Naczelnego Dowódcy Wojsk Sprzymierzonych rozpoczęła się nowa walka polskich władz cywilnych i wojskowych o użycie Brygady na korzyść Kraju, w tym wypadku do wsparcia Powstania Warszawskiego.

Naczelny Wódz Gen. Sosnkowski, przebywający w tym czasie na terenie Drugiego Korpusu, depeszą-szyfrem do Szefa Sztabu Gen. Kopańskiego z dnia 30 lipca 1944 r. stwierdza:

„Swoją negatywny punkt widzenia w sprawie powstania w

32. *Tamże*, dok. A.V.20/31/18-50 oraz A/XII/23/72.

33. *AK*, t.IV, dok. 716, depesza dowódcy AK do szefa sztabu nr 441/XXX/999 z dnia 25.7.1944.

warunkach obecnych wyraziłem w depeszy do Kraju Nr 962 z dnia 25 lipca i Nr 966 z dnia 28 lipca 44” i dalej:

„Co do użycia Brygady Spadochronowej przypominam, iż została oddana do dyspozycji przyjaciół na podstawie opinii Kraju³⁴”.

Dnia 1 sierpnia 1944 r. nadeszła następująca depesza do Sztabu NW:

L.Dz.424/59

Premier — Naczelnny Wódz.

Ustaliliśmy wspólnie termin rozpoczęcia walk o opanowanie stolicy na dzień 1 sierpnia godz. 17.00. Walka rozpoczęła się.

*Delegat na Kraj-Wicepremier RP
Dowódca Armii Krajowej³⁵*

Trwające od szeregu lat starania o pomoc dla AK wzmogły się mimo nadzwyczaj trudnej sytuacji politycznej odnośnie interesów Polski na ówczesnym terenie międzynarodowym. Już w wyniku depeszy z 25 lipca władze polskie w Londynie rozpoczynają intensywną działalność na polu dyplomatycznym i wojskowym celem przyścia z pomocą Krajowi. 27 lipca ambasador Raczyński rozmawia z ministrem Spraw Zagranicznych Edenem, wysuwając następujące postulaty:

1. interwencja u Rządu sowieckiego celem zaprzestania represji przeciwko oddziałom polskim, które walczyły przeciwko Niemcom,

2. pomoc Warszawie przez:

a) wysłanie Polskiej Brygady Spadochronowej,

b) bombardowanie lotnisk,

c) wysłanie na lotniska polskie Mustangów i Spitfire'ów³⁶.

Dnia 2 sierpnia Naczelnny Wódz w depeszy do swego Szefa Sztabu w punkcie pierwszym ponownie podkreśla „swoją zdecydowanie negatywny pogląd na kwestię uruchomienia akcji powstańczej w obecnych warunkach”. W dalszych jednak punktach depeszy daje wytyczne organizowania pomocy:

(...)

3b. przygotować użycie Brygady Spadochronowej w całości. Sytuację obecną wobec Brytyjczyków w tej sprawie Pan General zna doskonale, gdyż stanowisko Jego odegrało wielką rolę.

4. Ze względu na przewidziane trudności polityczne, które

34. *Tamże*, str. 28, dok. 734, depesza NW do gen. Kopańskiego.

35. *Tamże*, str. 31, dok. 739.

36. *Polskie Siły Zbrojne*, cz. V: *Powstanie Warszawskie*, str. 826.

śluszenie Pan General podkreśla, trzeba natychmiast powiedzieć Dowódcy AK jasno i uczciwie, by na żadne wsparcie nie liczył. Jest to bardzo ważne, gdyż prawdopodobnie Dowódca AK w dużej mierze uzależnia swoje decyzje operacyjne od tego wsparcia³⁷”.

W Waszyngtonie o pomoc ingeruje Ambasador Ciechanowski. Tymczasem Dowódca AK w dalszym ciągu depeszuje:

„Wanda 1-8 sierpnia 44

Jesteśmy w bardzo ciężkim położeniu. Przylądanie Brygady Spadochronowej może przesądzić los Warszawy. Są możliwości lądowania w Puszczy Kampinoskiej, która jest w naszych rękach. Uderzenie przez Wolę na Warszawę miałyby kolosalne znaczenie moralne i taktyczne. Żądamy tego wysiłku, jedynej dziś pomocy. Lawina³⁸”.

W odpowiedzi NW informuje Dowódcę AK:

„6 sierpnia przyleciałem do Londynu z frontu włoskiego. Wyteżam całą wolę i energię by przełamać bierność Aliantów. Interwenuję wszędzie: u Marszałka Sir Allan Brooke'a, u marszałka Portala, u ministra Simclaira. Szturmuję o zrzuty, status kombatancki, o pomoc spadochronową i lotnictwo”.

Kilka wymienionych, spośród wielu, interwencji polskich władz zarówno cywilnych jak wojskowych, nie przyniosło jednak pożądanego rezultatu.

Na interwencję ambasadora Raczyńskiego z dnia 27 lipca u ministra Edena nadeszła odpowiedź odmowna już dnia 28 tego miesiąca:

„Obawiam się, że niezależnie od trudności skoordynowania takiej akcji z rządem sowieckim, którego siły zbrojne działają przeciw Niemcom na terenie Polski, względy operacyjne uniemożliwiają nam wypełnienie trzech postulatów wysuniętych przez Pana w celu pomożenia powstaniu w Warszawie”.

Podobne rezultaty przyniosły usiłowania NW. Wprawdzie otrzymał on może pozornie lepszą odpowiedź na jedną ze swoich interwencji, bo w depeszy do Dowódcy AK z dnia 11 sierpnia 44 stwierdza, że po ostrej wymianie zdań na temat pomocy Warszawie z Szefem Sztabu Imperialnego, rozstał się z nim jednak w sposób serdeczny, „uzyskując od niego zapewnienie pozytywnego traktowania wsparcia lotniczego części Brygady Spadochronowej. Niestety zwierzchnie władze brytyjskie ze względu na skomplikowane warunki kompetencji w obozie alianckim, zweksłowały sprawę na Gen. Eisenhowera, co w najlepszym wypadku oznacza przewlekłą procedurę.

37. AK, t. IV, str. 35, dok. 747.

38. *Tamże*, str. 74, dok. 785, depesza szyfr. dowódcy AK do sztabu NW nr 573/XXX/999.

... Wykonać coś istotnego z lotnictwem naszym wbrew woli gospodarzy jest niemożliwością, loty niezarejestrowane spotykały się z reakcją myślicieli brytyjskich”. Była bowiem rozważana i taka możliwość.

Na jednej z konferencji w Sztapie NW w Londynie w lipcu 44 była omawiana propozycja przewiezienia Brygady Spad. do Kraju przez polskich lotników, bez zgody władz brytyjskich. Po tej konferencji mjr dypl. A. Szendyk, oficer Sztapu NW, sam spadochroniarz, został wysłany do m. Stamford, siedziby Dowództwa Bryg. Spad., z rozkazem do Gen. Sosnkowskiego by postawił kompanię spadochronową w stan gotowości bojowej. Do tej propozycji odnosi się ostatnie zdanie NW cytowane powyżej.

O ile władze brytyjskie stosowały się do linii przedstawionej przez ministra Edena, o tyle władze amerykańskie znalazły inne rozwiązanie dla odmówienia pomocy walczącej Warszawie. Przyjęły one zasadę, że ponieważ jednostki Wojska Polskiego na podstawie umów międzynarodowych należą do strefy zainteresowań brytyjskich, więc Amerykanie nie mogą się mieszać do tych spraw.

Żołnierze Brygady nie byli informowani o tych zmaganiach, choć różne informacje przeciekały do wiadomości nie tylko oficerów, ale i szeregowych (nie można było ukryć postawienia w stan gotowości bojowej Batalionu). Przede wszystkim jednak trwało Powstanie. Dowódcy Powstania wzywali o pomoc nie tylko za pomocą depech i listów, ale również drogą radiową. Wszystko to wpływało na wytworzenie podnieconego nastroju w szeregach Brygady, płynącego z niezadowolenia, że akcje były planowane do różnych miejsc, ale nie do Warszawy. Niezadowolenie swoje niektóre oddziały wyraziły w formie odmówienia pobierania posiłków. Do wybuchu jednak nie doszło. Dowódcy oddziałów opanowali sytuację dzięki wysokiej dyscyplinie i zgraniu w ich oddziałach.

Z ciężkim sercem, ale w nadziei, że będzie zwalczać tego samego wroga, który niszczył Warszawę, 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa poszła do akcji w Holandii.

Na ziemi holenderskiej Brygada wzięła udział w największej operacji powietrzno-desantowej drugiej wojny światowej noszącej kryptonim „Market-Garden”. W literaturze wojskowej, zwłaszcza brytyjskiej, operacja ta znana jest pod nazwą Bitwy pod Arnhem.

Jan J. LORYS

DOKUMENTY

Piotr WANDYCZ

AUGUST ZALESKI O POLSKIEJ POLITYCE ZAGRANICZNEJ W 1941 r.

Polska polityka zagraniczna jak i działalność polskiej dyplomacji w okresie II wojny światowej mają już swoją bogatą literaturę. Jej przegląd, uwzględniający wydawnictwa źródeł, pamiętniki, monografie i najważniejsze rozprawy, czytelnik znajdzie w mojej *Polish Diplomacy 1914-1945: Aims and Achievements* (The Third M. B. Grabowski Memorial Lecture, publ. for School of Slavonic and East European Studies by Orbis Books, Londyn, 1988). Oczywiście wiele tematów nie zostało jeszcze dogłębnie opracowanych i pozostają różne zespoły źródeł, które są dotąd niewykorzystane. Do takiego to zespołu należą Papiery Augusta Zaleskiego, złożone w archiwum Hoover Institution w Stanfordzie w Kalifornii. Kwerenda, którą tam przeprowadziłem odnośnie kadencji Zaleskiego jako ministra Spraw Zagranicznych w latach 1939-41, dała interesujące wyniki i zaowocowała stu kilkudziesięcioma stronami kopii ksero. Zamierzam je wykorzystać w opracowaniu tego okresu w życiu Zaleskiego w niedalekiej przyszłości.

Sądząc z błędów maszynowych i przekreśleń, mamy tu do czynienia z brudnopisem. Dokument zamieszczony poniżej jest niepodpisaną kopią maszynową. Oryginał potwierdzony przez Edwarda Raczyńskiego znajduje się w zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum Gen. Sikorskiego. Informację tę otrzymałem od P. Anieli Raczyńskiej, za co bardzo jej dziękuję. Kopia niniejsza znajduje się w Papierach Zaleskiego u Hoovera, pudło 1, teczka 6, nr 22. Poza wyjaśniającymi przypisami, które dodałem, tekst jest podany *in extenso*, bez żadnych zmian i opuszczeń. Lektura jego rzuca pewne światło na stosunek Zaleskiego do zagadnień międzynarodowych i w tym sensie jest przyczynkiem do sprawy polskiej podczas drugiej wojny światowej.

Piotr WANDYCZ

DO MEGO NASTĘPCY NA STANOWISKU MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH R.P. w LONDYNIE¹

Po raz drugi w życiu ustępuję ze stanowiska Ministra Spraw Zagranicznych. Gdy to czyniłem w roku 1932, Polska była u szczytu swej potęgi, a kierunek polityczny jaki przyjął w owym czasie Rząd Rzeczypospolitej wbrew moim usiłowaniom, tak pod względem wewnętrznym jak i zewnętrznym, zmusił mnie do uchylenia się od brania odpowiedzialności za przyszłość Rzplitej.

Dziś znajduję się w sytuacji analogicznej z tą tylko różnicą, że obecnie niestety, Rzeczypospolita znajduje się w sytuacji diametralnie przeciwnej od tej, w jakiej znajdowała się podówczas. Pod jednym jednak względem sytuacja moja była podobna wtedy do dzisiejszej. Panujące od roku 1932 w Polsce warunki wewnętrzne nie pozwoliły mi jasno i otwarcie wypowiedzieć prawdziwych powodów mego ustąpienia². W wygłoszonym jednak kilka dni po ustąpieniu przemówieniu publicznym możliwie najjaśniej dałem do zrozumienia, czego może Polska spodziewać się po oddaleniu się jej od Mocarstw Zachodnich i zbliżeniu do Niemiec, co było zamiarem mego następcy na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych. Dziś, wobec tego, że jesteśmy na obczyźnie i w czasie wojny, tym mniej mogę jasno i publicznie wypowiedzieć się na temat powodów mego ponownego ustąpienia. Postanowiłem jednak zrobić to w liście do Pana, jako do mego następcy, który przejmując po mnie nadzwyczaj ciężkie i odpowiedzialne zadanie prowadzenia spraw zagranicznych Rzeczypospolitej tak, aby wyszła ona z wojny nie tylko nie pomniejszona, ale możliwie wzmocniona.

1. Nie jest całkiem jasne, dlaczego Zaleski zatytułował ten list w ten sposób, skoro już 22 sierpnia Edward Raczyński objął MSZ — co prawda z tytułem kierownika, a nie ministra. Być może Zaleski chciał nadać temu listowi umyślnie charakter nie personalny, a może brał pod uwagę możliwość objęcia ministerstwa przez kogoś innego. A może grały tu jakąś rolę animozje osobiste. Raczyński pisał: „Szczególnie przykre dla mnie było usadowienie się w biurze przy 70 Queens Gate po ministrze Zaleskim, który przez cały czas swego urzędowania zachowywał się jak człowiek nieskazitelny i gentelmen. Nie uczyniłem nic na jego szkodę i nic, żeby wysunąć się jego kosztem, ale o tym wiem tylko ja jeden”. *W sojusznicy Londynie: Dziennik Ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945* (Londyn, 1960). s. 125.

2. Szczegółowy opis okoliczności towarzyszących ustąpieniu Zaleskiego w 1932 r. podałem, na podstawie jego papierów, w: *August Zaleski, Minister Spraw Zagranicznych RP 1926-1932, w świetle wspomnień i dokumentów* (Z.H., Paryż, 1980), s. 113-124.

I. Pozostający na emigracji Rząd Polski otrzymał od Kraju jako dobro Państwa Polskiego, uratowane od pogromu wojennego:

1. Pomimo faktycznego zajęcia Polski przez dwóch okupantów, nienaruszony statut prawnomiędzynarodowy Rzeczypospolitej, oparty na Traktacie Wersalskim, Traktacie w Saint-Germain, Traktacie Ryskim, Uchwale Rady Najwyższej co do podziału Górnego Śląska;

2. System sojuszniczo-gwarancyjny, oparty na przymierzu z Francją, Anglią i Rumunią;

3. Personel lotnictwa wojennego polskiego;

4. Kilkadziesiąt tysięcy oficerów i żołnierzy. (Formalnie internowani w Rumunii i na Węgrzech, ale względnie łatwo stamtąd wydobyli).

5. Marynarkę wojenną i handlową.

6. Złoto polskie.

7. Reprezentację polską za granicą.

II. Nie jest moim zadaniem oceniać, do jakiego stopnia rząd przechował lub celowo użył dobra, wyszczególnione w punktach 3-6. Dobra te stanowią same w sobie poważną podstawę politycznej i wojskowej działalności Rządu na emigracji i niektóre z nich, jak np. lotnictwo, bardzo poważnie zaważyły w ciężkim momencie 1940 roku na powodzeniu w obronie Anglii, a zatem na oczekiwanym ostatecznym zwycięstwie naszej sprawy. W stosunku do emigracji polskiej podczas Wielkiej Wojny, która nie miała nic oprócz ochotników amerykańskich i legionów, emigracja obecna, nawet gdyby posiadała tylko powyższe elementy, musiałaby czuć na sobie groźną odpowiedzialność wobec Kraju za właściwe nimi dysponowanie.

III. Przede wszystkim jednak obecna emigracja w odróżnieniu od poprzedniej jest uznanym i działającym Państwem, posiadającym wszystkie jego międzynarodowe przywileje i autorytet, prócz ważkiego, odpowiadającego wadze gatunkowej Rzeczypospolitej udziału w działaniach wojennych.

Rząd emigracyjny polski, posiadający w swym ręku wszystkie atrybuty okupowanego chwilowo Państwa, oparty na niezachwianym dotychczas zaufaniu i postawie Kraju, ponosi historyczną odpowiedzialność za przyszłe losy Polski. Rola jego jest nad wyraz trudna, bo z jednej strony wobec braku siły zbrojnej nie może on mieć większego wpływu na dalszy rozwój działań wojennych, z drugiej jednak strony dotychczasowy wkład Narodu do obecnej wojny uprawnia go do stawiania żądań emigracyjnemu rządowi, aby nic z powierzonych mu dóbr państwowych uronionym nie zostało.

IV. Przez pierwsze dwa lata wojny prawno-polityczny stan posiadania rządu nie podlegał niebezpieczeństwu. Do upadku Francji wojna jest prowadzona przez trójsojusz francusko-angielsko-polski i Polska bierze w niej udział formalnie na równych prawach z Francją i z Anglią. Te dwa mocarstwa wstąpiły wszak do wojny na skutek agresji niemieckiej na Polskę. Celem ich interwencji, przynajmniej formalnym, jest doprowadzenie Niemiec do kapitulacji i przywrócenie pogwałconych praw polskich. Pomiedzy Aliantami istnieje zobowiązanie niezawierania separatywnego pokoju. Przystąpienie do wojny Norwegii, a następnie Belgii i Holandii nie zmienia nic w sytuacji prawno-politycznej Polski. Tamte państwa nie posiadały sojuszków z Francją i Anglią, zachowały ścisłą a często podejrzaną neutralność podczas wojny. Po agresji niemieckiej zaczęły one stanowić grupę państw poszkodowanych, a sojusznicznych już tylko *via facti*. Natomiast Polska pozostawała zawsze w liczbie państw sojusznicznych *originaires*, których cele wojny od początku były wspólne i główne.

V. Upadek Francji wytrąca ją z trójprzymierza, pozostaje jednak na polu dwójprzymierze angielsko-polskie, które w interesach w równym stopniu Anglii jak i Polski musi się stać tym ściślejsze i wierniejsze, wobec smutnego wypadku defekcji Francji.

Drugi rok wojny daje nam świadectwo takiego ścisłego współdziałania angielsko-polskiego. Pełnia praw i atrybutów państwowych polskich jest utrzymywana w rękę rządu i respektowana przez Anglię. Polska staje się dodatkowym ważnym łącznikiem między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, co podnosi jej wagę wobec Londynu³.

VI. Wejście Rosji do wojny i związane z tym w Anglii nadzieje osłabienia w walkach niemiecko-sowieckich wojennego potencjału Niemiec, rzuciły cień na dotychczasową rolę Polski w wojnie jako sojuszniczki Anglii. Ewolucja ta może chwilowo jest naturalna. Podczas wojny gra główną rolę siła zbrojna i ten, kto ją daje, zabiera głos. Rząd Polski nie może odpowiadać za to, że Rosja staje się przedmiotem specjalnych trosk ze strony Anglii. Polsce nie chodzi zresztą wcale o miejsce, jakie zajmuje, ale wyłącznie o zachowanie pełni swych praw w dalszym rozwoju wojny i w jej finale.

3. Najwięcej informacji odnośnie pozycji Polski wobec sojuszników czytelnik znajdzie w: Henryk Batowski, *Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie, wrzesień 1939-lipiec 1941* (Kraków, Wrocław, 1984); Detlef Brandes, *Grossbritannien und seine osteuropäischen Alliierten 1939-1943* (München, 1988), oraz w cytowanych w moim przeglądzie opracowań dziełach Kacewicza i Coutovidisa i Reynolds.

W tej chwili w krytycznym być może przełomie wojny, a w każdym razie po ogłoszeniu 8 punktów deklaracji Roosevelt-Churchill⁴, jej celów pokojowych, prawa i atrybuty Polski mogą być sformułowane w jednym zdaniu: była ona i pozostać musi czynnym subjektem rozgrywającej się wojny, ale nie jej obiektem.

VII. Być podmiotem wojny, to nie tylko znaczy być uznany za stronę wojującą. Podczas Wielkiej Wojny Polska, reprezentowana przez Komitet Narodowy, była w końcu, na równi z Czechami, również uznana za stronę wojującą. Podpisała jako taka Traktat Wersalski, ale jakżeż skromną rolę odegrała w redakcji nie tylko jego ogólnych postanowień, ale nawet ją bezpośrednio dotyczących. Polska wówczas, ściśle rzecz biorąc, była petentem Konferencji Pokojowej. Z uwagi na to, jako państwo była nicością, nie mogła też być niczym innym. Powstanie niezależnej Rzeczypospolitej i rozgraniczenie przez Traktat jej interesów dokonane zostało nie tylko na podstawie wilsonowskich zasad, ale również na podstawie gry innych interesów i kompromisów. Interesy zdradzieckiej podówczas Rosji, równych z nami Czech, a nawet pobitych Niemiec miały często prymat nad naszymi interesami (opozycja Mocarstw co do Wschodnich Ziem Polski, Śląsk Cieszyński, Gdańsk, Górny Śląsk).

VIII. Dziś nie wolno nam dopuścić, aby w stosunku do nas powróciły metody Traktatu Wersalskiego. Jeżeli wojna ma się znów zakończyć nowym kompromisem, to mamy w każdym razie wszystkie tytuły, aby stać się jego współtwórcami, i to głównymi współtwórcami, przynajmniej w dziedzinie naszych praw i żywotnych interesów. Weszliśmy do wojny jako pełnoprawny podmiot prawa międzynarodowego, wnieśliśmy do niej wkład, jak dotąd, może większy od Anglii jeżeli chodzi o poniesione ofiary i dając innym Aliantom 8 miesięcy czasu na przygotowanie się do przyjęcia następnego ataku Niemiec, wzięliśmy wydatny udział w obronie Anglii, jesteście obok Anglii głównym subjektem tej wojny i poza tym jej głównym początkowym aliantem, wreszcie mamy nasze własne poważne atuty w Ameryce. Poczucie państwowe Kraju pozostało tam do głębi i nie wolno nam przez nierozwagę osłabiać go przez stwarzanie głębokich zasadniczych nieporozumień na emigracji, które mogą być początkiem podziału w opinii.

IX. Podpisanie układu, w jego formie, z Sowiecami⁵ było niebezpiecznym krokiem na tej drodze, ponieważ odgrzebało stare i znane spory orientacyjne. Nie chodzi tu o to, kto ma rację, być

4. Mowa tu o Karcie Atlantyckiej z 14 sierpnia 1941 r.

5. Z datą 30 lipca 1941 r.

może zwolennicy obu orientacji tylko częściowo ją mają, ale o to, że Polska przed zakończeniem wojny i idąc z głęboką wiarą do zwycięstwa musi być jedna, jak była dotąd, to znaczy bezkompromisowa w stosunku do obu swoich wrogów. W polityce często należy rozkładać na etapy realizację zdobywczych programów, to znaczy takich, które mają na celu powiększenie praw. Reperacyjny lub rewindykacyjny jednak program, jak to ma miejsce obecnie z nami, z góry nie może dać pożądanego efektu, jeżeli się nie wysuwa żądania przywrócenia pełni praw.

X. W dziedzinie polityki międzynarodowej dopuściliśmy przez układ z Rosją do jednej rzeczy mianowicie, że postawiony został przez trzecie czynniki znak zapytania nad naszymi granicami wschodnimi. Nawet chociażby tylko tyle. Gdyby można przypuścić, że w literze układu nie uroniliśmy z naszych praw nic, to w jego duchu, a wykładnię ducha dają okoliczności i opinia, ześliznęliśmy się po równi pochyłej.

Nie mówię tutaj tego, aby wyrokować o przyszłości i twierdzić, że sam fakt podpisania układu jest już zagrożeniem naszych granic wschodnich. Nie chodziło mi przez cały czas trwania sporu o układ i bezpośrednie materialne niebezpieczeństwo. Na podstawie samego układu nikt nam przy Zielonym Stole Ziemi Wschodnich nie zabierze. Wszystko będzie zależeć od okoliczności, a okoliczności zależą nie tylko od rozwoju wypadków wojennych, ale również od tego, jaki program polityczny zostanie przez wysiłek mózgow ludzkich wykuty do końca wojny. W pracy tej ciągłej, codziennej ewolucji, grają rolę imponderabilia, idee, a potem te imponderabilia stają się nagle okrutną rzeczywistością, nie do przełamania.

XI. Układ polsko-sowiecki odnowił takie imponderabilium w postaci idei, że przyszła granica polsko-sowiecka, czy rosyjska, musi być ustalona na podstawie etnograficznej. Stało się to na przełomie ścierania się doktryn, brutalnego kontynentalnego *Neuordnung* niemieckiego i nadwątlonej tezy angielskiej o restytucji poszkodowanych państw europejskich. Pierwsza myśl zgodnego wyrównania jednej różnicy na kontynencie według powszechnego przekonania *in minus* dla Polski, została rzucona.

XII. W krótkim czasie potem następuje deklaracja Roosevelt-Churchill (podobno uzgodniona z góry z p. Premierem), w której dość wyraźnie stawiana jest teza polityczna, że przyszłe granice państw europejskich będą ustanowione na podstawie swobodnie wyrażonej woli ludności. Innymi słowy wysunięta zostaje idea etnograficzna, ta sama, która zawisła nad układem polsko-sowieckim, powtarzam nie w naszym rozumieniu, ale w zrozumieniu ogółu.

XIII. Jak to stwierdziłem wyżej, ślizgamy się coraz bardziej po pochyłości. Weszliśmy do wojny jako Państwo ze wszystkimi jego atrybutami i celem naszym jest obrona wszystkich jego praw, jego stanu posiadania. Jeżeli się idzie do zwycięstwa, to pierwszym zagadnieniem jest kapitulacja wroga, a wtórnym dopiero ogólny układ stosunków. Tymczasem grozi nam niebezpieczeństwo, że powoli z roli subiektu rozgrywającego się dramatu, możemy być przerzuceni do ogólnej masy upadłości europejskiej, z roli jednego z „głównych państw sprzymierzonych” (mówiąc terminologią z tamtej wojny), do roli obiektu, który w jakikolwiek sposób trzeba będzie wcisnąć, jak w łamigłówce, z powrotem do obrotu europejskiego. Dzisiejsi partnerzy mogą przy tym sobie powiedzieć, że to co trudno dopasować, to się na rogach obłamię. Chodzi o to, że nie wolno, aby u partnerów dziś taka myśl w ogóle powstać mogła.

Taka ewolucja nam grozi, trzeba ją widzieć i przeciwdziałać jej, niezależnie od tego, jak perspektywy powodzenia tej akcji mogą się nam obecnie przedstawiać.

XIV. Polityka zagraniczna, jak wszelka inna, polega w pierwszym rzędzie na umiejętności, na darze przewidywania, a przynajmniej dokładnego, subtelnego rozumienia zachodzących zjawisk. W Polsce, więcej bodaj jak w innych państwach, była zawsze w polityce zagranicznej pogoń za sukcesami dla rządu będącego u władzy, dla *régime*'u, czasami wprost dla kierowniczych jednostek. Nie chodziło tyle o prawdę, o istotę rzeczy, ile o zaspokojenie pewnych haseł, a często o pozory.

XV. Dzisiaj chodzi nam o rzecz największą, o odbudowę Rzeczypospolitej. Program tej odbudowy o organizacji pokoju przynajmniej w naszej części Europy, zawarty jest w 12 tezach, uchwalonych w roku ubiegłym przez Rząd, i w memoriale złożonym Bevin'owi⁶. Dokumenty te stanowią właściwe kryterium dla oceny celowości każdej akcji rządowej w dziedzinie polityki zagranicznej. Realizacja tego zbiorowo opracowanego programu może iść drogą zbiorowego, solidarnego wysiłku czynników, którym powierzona została na emigracji troska i odpowiedzialność za odbudowę Polski. W żadnym momencie trzeciej, obce czynniki nie powinny mieć wrażenia, że w naszym stanowisku zachodzi zachwianie lub załamanie, bo w tym momencie cały nasz program odbudowy staje pod znakiem zapytania. Dzisiaj do jedynych istot-

6. „Memoriał Rządu Polskiego dla Min. Bevina” wręczony 19.10.1940. Wyjątki cyt. w: Sarah Meiklejohn Terry, *Poland's Place in Europe: General Sikorski and the Origin of the Oder-Neisse Line 1939-1943* (Princeton, 1983), s. 88-90.

nych sukcesów można zaliczyć tylko to, co ugruntowuje w powszechnej opinii nasze prawa i tworzy o nas pojęcie, jako o sile niezłomnej, która może będzie gotowa do kompromisów dopiero po wygranej wojnie, a i wtedy na równi z innymi państwami.

XVI. O przyszłym ustroju Europy decydować będzie przede wszystkim Anglia wespół ze Stanami Zjednoczonymi. Chwilowa gorączka rosyjska musi minąć, choćby dlatego, że Rosja albo będzie pobita, albo bolszewicka. A nawet zwycięski bolszewizm nie będzie mógł liczyć na konferencji pokojowej na popularność podobną do tej, którą się cieszy w tej chwili wspólnej walki przeciw groźnemu wrogowi. Stan obecny i w bliskiej przyszłości Europy nie daje Anglii podstaw do uprawiania nadal wobec kontynentu polityki równowagi mocarstw. Wojna i postępy techniki wojennej zbliżyły Anglię do Europy i odwrotnie. W miarę zbliżania się końca wojny, przed myślą polityczną angielską coraz natarczywiej będzie stawało zagadnienie politycznej organizacji kontynentu. Należy się liczyć z tym, że tradycyjny izolacjonizm angielski wobec Europy pozostanie jednak w zmodyfikowanej formie, to znaczy, że Anglia nie zechce bezpośrednio nią rządzić. Ograniczy się ona prawdopodobnie do roli superarbitra politycznego, być może przeznaczy swe lotnictwo i flotę na czas jakiś jako rezerwę policyjną, ale zechce oprzeć nowy ład na jakiejś konkretnej sile na samym kontynencie. Trzeba się liczyć z możliwością, iż siła ta nie będzie po naszej myśli. W tej czy innej formie musi już teraz nasza polityka liczyć się z taką ewentualnością i starać się temu przeciwdziałać nie tylko negatywnie, ale i konstruktywnie, dając koncepcję ukonstytuowania tej nowej siły.

XVII. Już niedawny artykuł *Times'a* o *leadership* bądź niemieckim, bądź sowieckim we Wschodniej Europie, musiał być dla nas dzwonkiem alarmowym⁷. Nie chodzi o sam artykuł. Może on być zdementowany, wycofany, czynniki oficjalne mogą się go nawet wyprzeć. Sam w sobie może on przestać być złem, zresztą wyrządził on przede wszystkim zło w samej Anglii, chociażby przez akcję turecką. Chodzi o samą myśl, która wyraźnie istnieje i znów w każdej chwili odżyć może. Chodzi o to, że nasze postępowanie, nacechowane słabością w stosunku do Sowietów, taki artykuł wywołało, a męskie, twarde stanowisko Turcji go na razie zneutralizowało. Gdy się zna z doświadczenia odruchy polityki angielskiej, nie trzeba się dziwić, a tylko działać.

7. Artykuł pt. „Peace and power” ukazał się 1 sierpnia 1941 r. Wyjątek cytowany w: Edward J. Rozek, *Allied Wartime Diplomacy: A Pattern in Poland* (New York, 1958), s. 63.

XVIII. Są inne odruchy, na które nie wolno nie zwracać uwagi. Minister Eden w niedawnej swej mowie w Izbie Gmin stwierdził, że powojennych Niemiec nie można ukrzywdzać ekonomicznie, że wręcz przeciwnie danie Niemcom mocnych podstaw gospodarczych będzie jedną z gwarancji trwałości nowego ładu⁸. Myśl sama w sobie jest zdrowa, ale być może przedwczesna w punkcie najbardziej dramatycznym wojny. Do pokoju długa jeszcze droga i długa jeszcze może być ewolucja tej myśli, która dojść może do twierdzenia nienaruszalności granic wschodnich Niemiec przynajmniej. Punktacja Roosevelt-Churchill, mówiąca o nazistowskich Niemcach, raczej podpira mowę Edena. Izolacjonizm angielski może dojść do różnych nieoczekiwanych solucji. Nieoczekiwanych dla tych, którzy ich nie oczekują, ale w demokracji liczyć się trzeba z biegiem myśli społecznej przede wszystkim. Przemówienie Edena jest tylko przyczynkiem do tej myśli, tak samo jak różne prywatne zapewnienia Churchilla czy Edena, chociażby najlepsze dla nas, są bez wartości, dopóki opinia za tymi zapewnieniami nie stoi. Ludzie się zmieniają, ale idee żyją. Do takich więc odżywiających idei należy w Anglii izolacjonizm.

XIX. Reasumując wydaje mi się, że rzeczy znajdują się na niebezpiecznym dla nas przełomie i w tej chwili musimy wykazać większą niż kiedykolwiek odporność na wszelkie kompromisy idei. Nie wyłączone jest nawet, że wojna może się skończyć na jakimś fatalnym dla nas porozumieniu. Zbytne zaangażowanie się Anglii po stronie Sowietów stworzyło niepotrzebne wrażenie u wielu ludzi, jakby Anglia była słaba, a klęska Sowietów w tych warunkach może być skądinąd zbyt na niekorzyść Anglii interpretowana, w pierwszym rządzie w słabych jej miejscach, u wylotów Morza Śródziemnego. Akcja nasza musi wykazać największą czujność, operując całością posiadanych przez nas atrybutów państwowych. Waga gatunkowa Polski, jako wielkiego narodu i kraju w Europie, powinna teraz coraz bardziej wpływać na ton naszej argumentacji i nabierać znaczenia w grze politycznej, jaka się zarysowuje między Anglią a Niemcami.

Świadomi być musimy, że mimo wszystko środki walki prestiżowo-osobowe i materialne, posiadane przez Rząd, będą

8. Oświadczenie z 6 sierpnia 1941, patrz *Parliamentary Debates, House of Commons*, 5th ser., vol. 373, c. 2036 (London, 1941). Eden oświadczył, że nie jest celem brytyjskim doprowadzenie powojennych Niemiec do załamania gospodarczego, co musiałoby odbić się na całej Europie, również w konferencji prasowej w hotelu Savoy 29 lipca. Anthony Eden, *Freedom and Order: Selected Speeches 1939-1946* (London, n.d.), s. 122.

stale teraz tracić na znaczeniu. Rząd emigracyjny będzie się stawał coraz bardziej tylko symbolem Polski, ale tym bardziej ten symbol musi pozostać czysty i nietykalny. Jako państwo wojujące musimy pozostać w miarę możliwości jak najbardziej czynni, aby nie pozwolić się zepchnąć do roli obiektu wojny. Gdyby miały powstać jakieś fakty polityczne w Kraju, polityka Rządu stanie się bardzo delikatna i podwójnie odpowiedzialna.

XX. Zewnętrzna akcja Rządu musi odtąd coraz więcej kłaść nacisk na propagandę i to w dwóch kierunkach: z jednej strony trzeba wydać walkę wszystkim tym koncepcjom, które grożą zatarciem naszej podmiotowości przy finale wojny, zapoznając poza wszystkim tę specyficzną rolę, którąśmy grali w Europie i którą odegrać jeszcze możemy, z drugiej strony podnosić trzeba w propagandzie pozytywnie nasze możliwości na Wschodzie Europy i pod tym względem prawdopodobnie osłabienie tak Rosji jak i Niemiec otwiera właśnie przed nami duże perspektywy.

XXI. Wcale nie chodzi o to, pod hasłem jakiej doktryny politycznej odbywać się będzie nasza propaganda. Będąc szczerymi demokratami, w akcji propagandowej musimy w pierwszym rzędzie mieć na względzie naszą rację stanu, a potem dopiero kwestie ustrojowe, czy *régime*'owe. Kataklizm dzisiejszy stwarza pozory nieubłaganej walki między demokratyzmem a totalizmem. Jest to jednak złudzenie. Pod wypadkami, które się rozgrywają, tli się na dnie zagadnienie stosunku pracy do kapitału i ostateczny ład po wojnie będzie prawdopodobnie dominowany przez zagadnienie socjalne. W polityce zagranicznej i w propagandzie trzeba patrzeć, widzieć i rozumieć, kwestię doktryn pozostawiając dla polityki wewnętrznej. Nie ma chyba bardziej groteskowej rzeczy obecnie, jak apele niektórych przedstawicieli wielkich demokracji Anglii i Ameryki do Sowietów w celu stworzenia wspólnego frontu zagrożonych demokracji. Cynizm ten jest zapewne zupełnie celowy, mało kto istotnie nie rozumie, że doktryna sowiecka dyktatury proletariatu powstała właśnie jako reakcja na demokratyczną, kapitalistyczną eksploatację pracy. Z Sowietami ostatecznie możliwy jest kompromis polityczny, ale nie ustrojowy. Nie przeszkadza to jednak demokracjom bratać się z Sowietami na rzekomym gruncie demokratycznym. Demokracje są jednak od Moskwy daleko, a my geograficznie i z doświadczenia blisko.

XXII. Jak mówiłem wyżej, po wojnie Europa w ogóle, a Europa Wschodnia w szczególności, będzie szukała dla oparcia swego ładu jakiejś siły na kontynencie, przy tym siły pewnej, nie

zaborczej i nie zachłannej. Jeżeli Polska jest za słaba, aby stanowić taką oporę, to należy wysunąć z naszej strony, jak to już było sformułowane w memoriale do Bevina, koncepcję federacji narodów Wschodniej Europy. Umiejętnie i zgodnie z innymi prowadzona propaganda tej koncepcji może z łatwością rozbić lansowane już w opinii w Anglii i Ameryce idee *leadership*'u Niemiec lub Rosji. Dla Rządu Polskiego koncepcja ta może się stać, niezależnie od postępów naszych prac z Czechami (które trzeba jak najprędzej wznowić) przedmiotem politycznych wysiłków już nawet na emigracji.

XXIII. W stosunku do Kraju uważam za konieczne dokładne informowanie kierowniczych tam czynników o obecnej sytuacji, zarówno o właściwym sensie układu naszego z Rosją, jak o krystalizującym się w opinii w demokracjach stanowisku wobec sprawy naszych Ziem Wschodnich. Jak zwykle przy końcu wojny, również i tym razem fakty dokonane będą miały często decydujące znaczenie dla następnego międzynarodowego ustalenia stanu prawnego. Kraj musi być, pod groźą ciężkiej odpowiedzialności Rządu, uprzedzony, że z jednej strony Sowiety nie wyrzekły się swych pretensji do Ziem Wschodnich, a z drugiej strony, że stanowisko Anglii i Ameryki w tej sprawie jest dla nas bardzo wątpliwe i że liczyć na ich poparcie nie tylko wojskowe ale nawet dyplomatyczne dla restytucji Ziem Wschodnich nie należy. Takie szczere postawienie sprawy spowoduje Kraj do skoncentrowania swych wysiłków w obronie Kresów, które są najbardziej zagrożone. Kraj będzie wiedział, że tam przede wszystkim, a nie gdzie indziej trzeba będzie tworzyć fakty dokonane w momencie końca wojny i będzie już teraz odpowiednio ześrodkowywał tam wysiłek organizacyjny polski.

XXIV. Wreszcie wydaje mi się, że nasz wpływ sojusznicy na Anglię już teraz powinien oddziaływać w tym kierunku, aby w przyszłym planie okupacji Europy przez Anglię w chwili załamania się Niemiec, jedno z pierwszych miejsc było udzielone takiemu desantowi, przy którym zarówno angielskie, jak i polskie wojska mogłyby możliwe szybko wejść do Polski. Finał wojny może być powszechnym chaosem na kontynencie. W takiej chwili należy dać Krajowi natychmiastową pomoc zbrojną, niezależnie od tej, jaką będzie mógł sam szybko zorganizować. Stworzenie sobie przez Anglię w centrum Europy, w Polsce, mocnej podstawy dla dalszej akcji pacyfikacyjnej leży zresztą w interesie samej Anglii i dlatego uzyskanie od niej zawczasu odpowiedniego zapewnienia nie powinno być trudne.

Do tych uwag politycznych niech wolno mi będzie dodać parę ostrzeżeń, o charakterze raczej personalnym.

Znając ludzi, z którymi Pan będzie współpracował w Rządzie, wiem ile i jakie trudności pana czekają z tej strony. Zazwyczaj wszystkim dyletantom wydaje się, iż doskonale potrafiliby prowadzić sprawy zagraniczne. Jest to zjawisko powszechne, spotykane nie tylko u nas, ale i w innych krajach. Toteż wszędzie nawet w warunkach normalnych ministrowie spraw zagranicznych zmuszeni są bronić swego resortu przeciw zapędom innych resortów do bezpośredniego mieszania się w sprawy zagraniczne. A cóż dopiero, gdy rząd jest na emigracji i gdy kontakt z rządem, na którego terytorium się znajduje, jest szczególnie łatwy.

We wszystkich tych trudnościach może Pan liczyć na współpracę aparatu ludzkiego M.S.Z. Z przykrością żegnam się z tą niewielką garścią pozostałych po klęsce urzędników M.S.Z. Składa się ona z ludzi o wielkim i długoletnim doświadczeniu i wyjątkowym oddaniu sprawie polskiej. Aparat ten, jak każdy aparat ludzki, podlegać może i powinien krytyce, ale to co się dzieje pod tym względem u nas przechodzi wszelkie granice przyzwoitości. Jest rzeczą zrozumiałą, że we wszystkich krajach dyplomacja podlega niesprawiedliwie ostrej krytyce. Składają się na to dwa powody. Jak już powiedziałem wyżej — brak znajomości rzeczy u szerszego ogółu powoduje nieodpowiedzialne wypowiedanie się jednostek o rzeczach, o których nie mają pojęcia. Następnie urzędnicy M.S.Z., pozostając często przez długie lata poza krajem i mając ciągle do czynienia z cudzoziemcami, oswajają się przez to z zapatrywaniem innych narodów na różne sprawy i z natury rzeczy odbiegają od poglądów rodzimych, często wynikających z niezajomości psychiki i przekonań innych narodów. Fakt ten jest powszechny u wszystkich narodów. U nas może przybiera on jedynie ostrzejsze formy niż gdzie indziej, a to zapewne z powodu, że rozwój naszego życia politycznego stoi niestety na szczeblu niższym niż u wielu innych narodów, dla których niepodległe życie polityczne nie jest taką nowością jak dla nas.

Kończąc, pragnę zapewnić Pana, że moje najszczerze życzenia jak największego powodzenia będą towarzyszyć panu na trudnej i odpowiedzialnej drodze, którą Pan ma do przebycia. Oby Opatrzność dała Panu siły do szczęśliwego przeprowadzenia po niej Rzeczypospolitej do lepszej i szczęśliwszej przyszłości.

Londyn, dnia 23 sierpnia 1941 roku.

August ZALESKI

WSPOMNIENIA

Zygmunt POCIECHA

SYSTEM WRONKI

Prolog

Wzdłuż południowego krańca Puszczy Noteckiej płynie rzeka Warta. Jej brzegi porośnięte olchą, brzozą i krzewami przedstawiają sielski krajobraz. W zakolu rzeki przysiadło małe miasteczko — Wronki. Białe, schludne i zadbane domki stanowią piękne dopełnienie do pasma wysokich puszczańskich sosen. Dominują tu spokój i cisza.

Aliści pod koniec lat czterdziestych, niemal aż do końca lat pięćdziesiątych nazwa Wronki budziła grozę. O Wronkach mówiono wówczas przyciszonym głosem i z niepokojem. Nazwa tego małego wielkopolskiego miasteczka była znana nie tylko w Polsce, ale nawet za granicą i miała złą sławę. Bowiem na przedmieściu miasteczka sterczał ku niebu wielometrowy mur, okalający kompleks budynków z czerwonej cegły. W narożach tego muru sterczały małe wieżyczki, a z ich otworów wystawały matowo połyskujące lufy ciężkich karabinów maszynowych.

W nocy potężne reflektory oświetlały mur i budynki jaskrawym białym światłem. Był to mur i kompleks budynków Centralnego Więzienia Karnego we Wronkach, które zaraz po II wojnie światowej stało się miejscem kaźni tysięcy ludzi, których jedyną winą było dążenie do wolności.

Więźniów Wroniek nie uznawano za „politycznych”, lecz określano ich mianem „antypaństwowych”. Do więzienia karnego we Wronkach „władza ludowa” posyłała ludzi, których obciążono wieloletnimi wyrokami. W tym więzieniu znaleźli się obok siebie ludzie o różnych przekonaniach politycznych, jak również ci, którzy w czasie II wojny światowej stanęli do walki z hitlerowskim najeźdźcą w szeregach Armii Krajowej. W więzieniu we Wronkach znaleźli się też Polacy, którzy walczyli na Zachodzie u boku aliantów i niebacznie wrócili do kraju po zakończonej wojnie.

Niezwykłe ciężkie wyroki sądów wojskowych, które sądziły „antypaństwowców” — żołnierzy Armii Krajowej, WiN-u i NSZ jak i innych „przestępców” — spowodowały, że przez kilka lat po wojnie przez grube mury więzienia we Wronkach nie przenikały wiadomości. Nieliczni ludzie, którym szczęśliwie udało się wyjść z tego więzienia niczego nie ujawnili, związani „omertą” — nakazem milczenia, którego złamanie groziło powrotem za więzienne mury.

Początek drogi

Po czterech miesiącach śledztwa w piwnicach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Katowicach i trzech miesiącach „odpoczynku” na tzw. oddziale „damskim” więzienia w Katowicach doczekałem się rozprawy. Rejonowy Sąd Wojskowy w Katowicach po trzech dniach sesji ocenił mnie — jak na ówczesne praktyki — względnie „łagodnie”, wymierzając mi karę 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw z artykułów 86 KKWP i art. 7 Dekretu, tj. za „próbę obalenia siłą” itd. itd. oraz „zbrodnię szpiegostwa”. Wyrok zapadł 3 marca 1949 roku i został skierowany do rewizji i zatwierdzenia przez Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie. Na to zatwierdzenie czekałem do początku grudnia 1949 r. już na oddziale tzw. „męskim” w Więzieniu Karno-Śledczym w Katowicach.

W katowickim więzieniu rygor nie był nadmiernie surowy, zwłaszcza w stosunku do więźniów oczekujących na zatwierdzenie wyroku. Komendant pawilonu, z pochodzenia Ślązak, zwany popularnie „Skarpeta”, nie stosował w stosunku do więźniów szykan. Przydomek „Skarpeta” przyłgnał do niego z następującego powodu. Na Śląsku istnieje stary zwyczaj obdarzania dzieci na gwiazdkę prezentami umieszczonymi w skarpetce. Niski i szczupły „Skarpeta” był ojcem licznej gromadki dzieci, a że zarobki miał niewielkie, przed świętami Bożego Narodzenia

obchodził cele i prosił: „Chłopaki, dajta co do skarpety dla mojej czelodki”. Więźniowie otrzymujący w tym czasie obfite i urozmaicone paczki od swych rodzin „odpalali dołę” dla dzieci „Skarpety” i mieli od niego spokój, tak że wszyscy byli zadowoleni.

Zycliwie nastawionym do więźniów a przy tym bardzo wesołym człowiekiem był strażnik oddziałowy zwany „Frydkiem”. Był Ślązakiem, a w więziennictwie jako strażnik pracował już bardzo długo. „Frydka” wszyscy lubili, gdyż nikomu nie szkodził, za to lubił robić więźniom różne „śpasy”. Jak nikt inny znał wszystkie tajniki życia więziennego i różne „sposoby” stosowane przez więźniów. Gdy więźniowie wracali ze spaceru i ustawiali się na korytarzu, „Frydek” wołał głośno — „do cinia” zaganiając ich do cel.

Innym strażnikiem oddziałowym na naszym oddziale był młody człowiek przezwany „Pietia”. Pochodził ze wschodu, co zdradzały akcent i wymowa. Otwierając rano celę wołał: „kibli”, co oznaczało, że należy wystawić na korytarze kibel czyli tzw. „bombę”. Również „Pietia” był człowiekiem spokojnym i nie szykanował więźniów, których pomimo ciężkiego położenia i smętnych perspektyw na przyszłość cechował jednak humor i zadziwiająca bez troska. Wśród oczekujących na zatwierdzenie wyroku przeważali ludzie młodzi i niektórzy z nich uprzyjemniali sobie czas różnymi zabawami. Jeden z więźniów na naszym oddziale otwierał rano okno w celi i piał jak kogut. A że Ślązacy znani są z wesołości i poczucia humoru, ze wszystkich wieżyczek strażniczych odpowiadały mu inne „koguty”. I tak co ranka w katowickim więzieniu trwał koguci koncert, aż wreszcie „Skarpeta” ze złości się i zakazał dalszych kogucich popisów.

Ten pozornie sielankowy obraz katowickiego więzienia zakłócały od czasu do czasu zdarzenia, które brutalnie przypominały ponurą rzeczywistość. Bywało, że poranny apel spóźniał się, a gdy drzwi naszej celi wreszcie się otwarły, stawał w nich „Skarpeta” błady i z wystraszoną spojrzaniem. W takie dni o świecie wykonywano wyroki śmierci, a przy egzekucji musiał z urzędu asystować komendant pawilonu. W celach panowała wówczas martwa cisza. W więzieniu w Katowicach wykonano wiele wyroków śmierci.

Bez troska i optymizm więźniów powodowały jednak, że większość skazanych na długoletnie wyroki nie wierzyła, że każdy będzie musiał przez wiele lat odsiadywać ciężki wyrok. Jedni liczyli na amnestię, co we wszystkich więzieniach jest niemal regułą, inni na trzecią wojnę światową, inni wreszcie na nie-

określony „cud”. Taka postawa miała niewątpliwie tę dobrą stronę, że pozwalała zapomnieć o rzeczywistości i podtrzymywała na duchu. Skazanym na dożywocie, 10 lub 15 lat więzienia trudno było sobie wyobrazić, że po wielu latach, gdy wyjdą z więzienia, będą już ludźmi starymi, schorowanymi, a niekiedy i złamanymi psychicznie, że znajdą się w tym punkcie swej życiowej drogi, w którym rozpoczęli odsiadkę, podczas gdy ich dawny świat nie będzie istniał. Dopóki każdy z nas był więźniem „śledczym” w cywilnym ubraniu i z włosami na głowie, nie odczuwał tak dotkliwie piętna więzienia, czuł się jeszcze człowiekiem i miał nikłą, ale ukrytą w głębi duszy nadzieję. Brutalna rzeczywistość ujawniała się dopiero wówczas, gdy po zatwierdzeniu wyroku człowiek zmieniał się w więźnia „karnego” z ogoloną głową, ubranego w szary więzienny drelich i drewniane trepy.

Pod koniec grudnia 1949 roku wezwano mnie do gabinetu komendanta, gdzie czekał na mnie „Skarpeta”, trzymając w ręku plik dokumentów. Gdy zameldowałem się przepisowo, „Skarpeta” odczytał trzymany w ręku dokument, w którym napisano że „Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie na posiedzeniu w dniu... w składzie... postanowił utrzymać w mocy wyrok rejonowego Sądu Wojskowego w Katowicach, skazujący mnie na 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw publicznych i obywatelskich z art. 86 KKWP i art. 7 dekretu itd. itd....” „Dostaliście 10 lat” — powiedział „Skarpeta”. Odwrócił wzrok ku oknu i powtórzył wolno: „Dziesięć lat więzienia. No, tyle na pewno nie będziecie siedzieć. Idźcie teraz do fryzjera i do magazynu po rzeczy”.

Oddziałowy zaprowadził mnie do fryzjera, którym był więzień skazany za przestępstwo tzw. pospolite.

„Ileś pouczył?” — zagadnął mnie fryzjer.

„Dychę” — odparłem.

„No to i posiedzisz” — W głosie fryzjera brzmiała radość i satysfakcja, że dostałem tak duży wyrok. Więźniowie pospolici byli szczególnie złośliwie nastawieni do więźniów „antypaństwówców” i dokuczali im, jak tylko mogli.

Od fryzjera wyszedłem z głową ostrzyżoną na „glacę”, a oddziałowy zaprowadził mnie do magazynu, gdzie zdałem cywilne ubranie i otrzymałem brudny szary więzienny uniform i drewniane trepy. Stałem się więźniem karnym. Następnie zaprowadzono mnie na najwyższe piętro pawilonu do celi, gdzie znajdowali się już czterej podobnie „wystrojeni” koledzy.

Pobyty w więzieniu katowickim nie potrwał jednak długo. Pewnego styczniowego popołudnia otworzyły się drzwi celi i stanął w nich tajemniczo uśmiechnięty oddziałowy.

„No chłopaki — szykujcie się. Dzisiaj jedziecie w transport”.

„Dokąd jedziemy? Czy do Wronek? Jak tam jest? Czy naprawdę taki rygor?”

Pytania padały jedno po drugim. Oddziałowy nie chciał nic powiedzieć, tylko uśmiechał się współczująco. Każdy z nas bał się owych Wronek, o których krążyły po więzieniu ponure i niepokojące wieści, ale nikt nic konkretnego nie wiedział.

„Dojedziecie, to zobaczycie — mówił oddziałowy. — A teraz zbierajcie się i dawaj na dół”.

Sprowadzono nas po schodach na parter i umieszczono w obszernej celi pozbawionej sprzętów. Co chwilę wprowadzano nowych więźniów i cela się napełniała. Kalifaktor przyniósł kocioł kawy i postawił w kącie celi.

Cela była przepelniona i każdy z nas szukał miejsca, aby przynajmniej przykucnąć. Znaczoną część naszej grupy stanowili ludzie młodzi. Ktoś zaintonował jakąś pieśń, a inni podchwycili. Polecały słowa „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Mocne głosy kilkadziesiątu ludzi wibrowały w betonowym pudle celi, jakby usiłowały rozsądzić więzienie. Po chwili pojawił się oddziałowy i nakazał ciszę.

„Ciszej chłopaki, bo słychać was w całym więzieniu. Jeszcze który zarobi raport na drogę”. Przestaliśmy śpiewać i w milczeniu oczekiwaliśmy transportu na dworzec.

Podróż

Było już pod koniec dnia, gdy otworzyły się drzwi naszego bunkra i ukazała się w nich eskorta — żołnierze KBW w hełmach, trzymający gotowe do strzału automaty. Wyszliśmy na dziedziniec więzienny, na którym czekały karetki więzienne, tzw. „suki”. Załadowano nas do karetek i przewieziono na dworzec kolejowy. „Suki” zajęły na bocznicy towarowej części dworca katowickiego, gdzie stał wagon-więźniarka. Stał samotnie, obity stalową blachą z maleńkimi okienkami, okratowanymi i osłoniętymi gęstą stalową siatką. Na dachu wagonu widniała płaska wieżyczka z ciężkim karabinem maszynowym na obrotnicy. Wąskie drzwi wagonu były już otwarte.

Od placyku, na którym zatrzymała się nasza karetka więzienna, aż do wejścia do wagonu stali na szeroko rozstawionych nogach żołnierze KBW w ciemnych płaszczach i hełmach, trzymając w rękach gotowe do strzału automaty.

Wypuszczano nas z karetki więziennej pojedynczo w dużych odstępach. Skulone postacie w szarych więziennych płaszczach przebiegały wzdłuż szpaleru żołnierzy do drzwi wagonu. „Szybko, szybko, dawaj, dawaj, biegiem” — pokrzykiwali żołnierze z eskorty. Przy wagonie stało dwu żołnierzy, którzy okrzykami i kułakami „pomagali” nam wejść do wagonu. W wagonie stał jeszcze jeden żołnierz, który kierował nas do maleńkich cel — przedziałów rozmieszczonych po dwu stronach biegnącego środkiem korytarza. Celki te były przewidziane dla dwu więźniów, a ładowano do nich po sześciu. Było tak ciasno, że ostatni musieli na siłę wciskać się pomiędzy już siedzących w przedziale na dwu małych ławeczkach. W bocznej ścianie przedziału było „okienko” — otwór o wymiarach ok. 20x20 cm zakryty dziurkowaną blachą. W drzwiach był wizjer. Po zamknięciu drzwi powietrze szybko się wyczerpało, tak że zaczęliśmy się dusić. Każdy z nas kolejno przybliżył usta do kratki „okna” i chciwie łykał powietrze, skąpo dopływające przez dziurki w blasze. Ładowanie wagonu trwało długo, chyba około godziny, po czym zamknięto drzwi, a eskortujący nas żołnierze zajęli swe miejsca w przedziałach znajdujących się na obu końcach korytarza. W wagonie było zimno i ciemno. Czekaliśmy dość długo, gdy nastąpił wstrząs — doczepiono do nas lokomotywę. Wagon powoli potoczył się po szynach, postukując kołami na złączeniach szyn i hałasując na zwrotnicach. Wagon przetańczano to w jedną, to w drugą stronę i wreszcie doczepiono do jakiegoś składu. Zaszcząła para w grzejnikach umieszczonych pod ławeczkami, a nad drzwiami zapaliła się wążła żarówka w okratowanym kloszu. Słychać było, jak na zewnątrz biegają ludzie, pokrzykując i szukając miejsca, dał się słyszeć sygnał do odjazdu i pociąg powoli ruszył. Teraz zrobiło się w przedziale nieznośnie gorąco i jeszcze bardziej duszno. Tylko wdychanie słabego strumienia powietrza płynącego otworami kratki zasłaniającej okienko ratowało nas od uduszenia. Niektórym ludziom robiło się słabo z braku powietrza. Słychać było łomotanie pięściami o drzwi i krzyki duszących się więźniów. Strażnicy pełniący służbę na korytarzu ryczeli i grozili biciem, jeżeli się nie uspokoiimy. „Wy bandyci, skurwysyny, chuję!!!” — obelgi latały w powietrzu.

Wreszcie po około godzinie takiej podróży rozdzielono pomiędzy nas po kubku mętnej lury. Od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się na jakichś stacjach. Z wykrzykiwanych nazw stacji zorientowaliśmy się, że jedziemy w kierunku Poznania. A więc jednak do Wronek.

Czas upływał wolno, męczyło nas pragnienie i duchota, ale trudno było doprosić się nawet trochę wody. Komendant trans-

portu i strażnicy byli już zupełnie pijani. Z ich przedziałów i korytarza dochodziły ochryple okrzyki, wrzaski i przekleństwa. Pukanie do drzwi i prośby o wodę wywoływały tylko lawiny obelg i gróźb. Wreszcie przez małe otworki w blasze okiennej zaczął się sączyć mdły, zimowy blask świtu. Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Czuliśmy, że odpinają nasz wagon. Nastąpiła cisza i zrobiło się zimno i ciemno, tylko przez małe otworki w blasze sączył się coraz jaśniejszy blask świtu. Znowu doczepiono nas do lokomotywy, która manewrowała wagonem po jakichś rozjazdach. Jechaliśmy jeszcze chyba pół godziny i wagon stanął. Ktoś wchodził i wychodził z wagonu. Komendant, który już wytrzeźwiał, coś meldował. Otworzyły się drzwi naszego przedziału, stanął w nich strażnik ubrany w zielony mundur straży więziennej i zaryczał: „Wychodzić”. Wyprowadzano jeden przedział po drugim. Nasz wagon stał na bocznicy w terenie niemal zupełnie otwartym i pustym. Nie było tu żadnych budynków, tylko krzyżujące się tory kolejowe, przyprószone śniegiem. Kilka lamp na wysokich słupach oświetlało bladym światłem torowiska i wagon. „Kłaść się na ziemi, ręce przed siebie” — padł rozkaz.

Wokół nas kręcili się strażnicy w zielonych mundurach, a wśród nich krępy oficer w mundurze khaki. Był to komendant więzienia. Kierownik transportu zdał mu raport, a naczelnik potwierdził i pokwitował odbiór „towaru”. Eskorta towarzysząca nam w podróży gdzieś odeszła. Teraz otaczali nas strażnicy więzienni w ciemnozielonych mundurach, uzbrojeni w automaty. „Wstawać, wstawać — ustawiać się w szereg, szybko, szybko, dawaj, dawaj” — padały rozkazy. Sformowaliśmy kolumnę. Przodem ruszył komendant więzienia, a za nim nasza grupa otoczona ze wszystkich stron przez uzbrojonych strażników więziennych. Szliśmy ścieżką wzdłuż torów kolejowych, a potem zboczyliśmy w kierunku miasteczka, które widniało w oddali. Po chwili przed nami zobaczyliśmy kompleks potężnych budynków z czerwonej cegły, otoczonych wysokim, jaskrawo oświetlonym murem. Gdy doszliśmy pod widniejący z daleka mur, było już zupełnie widno. W murze były wielkie czarne stalowe wrota okolone filarami, a ponad nimi widniał napis: Centralne Więzienie Karne we Wronkach.

Powitanie

Mur miał chyba 10 m wysokości. W każdym narożu a także w połowie długości tego muru sterczały wieżyczki, a z nich wyglądały lufy karabinów maszynowych. Wielkie czarne wrota więzienia powoli otworzyły się i weszliśmy na obszerny dzie-

dziniec więzienia. Po prawej stronie piętrzył się wysoki ciemny budynek głównego pawilonu więziennego. „Ustawić się w trójszereg” — padł rozkaz.

Więźniowie mieszały się pomiędzy sobą, ustawiali, każdy chciał znaleźć się w sąsiedztwie znajomego. Ustawiliśmy się wreszcie wzdłuż betonowego chodnika. Przed nami stanął łukowato uformowany szereg strażników. Drugi taki szereg oskrzydlał nas od tyłu. Strażnicy przyglądali się nam z ciekawością i jakby na coś czekali. Naczelnik więzienia wyjął teczkę z aktami i zaczął je przeglądać. Obok niego ustawilo się jeszcze kilku funkcjonariuszy i pokazywali sobie jakieś pozycje w wykazach. Jeden ze strażników krzyknął: „Odlicz”. Odliczyliśmy, a wówczas naczelnik dał prawie niedostrzegalny znak ręką. Otworzyły się drzwi wejściowe do pawilonu, a oba szeregi strażników zniknęły bezszelestnie w jego wnętrzu. Jeden z funkcjonariuszy stojących obok naczelnika wziął do ręki jakiś wykaz i zaczął wyczytywać nazwiska.

„Jerzy L. — wystąp. Ile dostaliście?” — „Dożywocie”.

„Andrzej B. — jaki wyrok?” — „15 lat”.

Józef S. — wystąp — wyrok?” — „Dożywocie”.

Wyczytano kilkanaście nazwisk więźniów z wysokimi wyrokami. Wyczytanych popychano do drzwi pawilonu. Znikali w ciemnym korytarzu wejściowym. „Dalej — wchodzić pojedynczo”. Funkcjonariusz schował listę i popchnął najbliższego więźnia w kierunku wejścia do pawilonu.

Postępując za innymi więźniami przekroczyłem bramę wejściową i ujrzałem długi korytarz, a w nim dwa rzędy strażników. Przed nimi stali więźniowie, którzy bądź rozbierali się, bądź też stali już nadzy. Funkcjonariusze przeglądali rzeczy każdego więźnia, obmacując nawet szwy ubrania. Słychać było krzyki, uderzenia, kłapnięcia i wyzwiska. Jakiś dryblas popchnął mnie uderzeniem pięści w kierunku strażnika, który akurat ukończył rewidowanie więźnia i kopniakiem wyekspediował go w głąb korytarza.

„Biegiem, szybko, szybko, dawaj dawaj” — ryczeli strażnicy.

Stałem przed jednym „zielonkiem”. „Rozbieraj się — szybko szybko, z życiem, z życiem — ile dostałeś?”. „10 lat” — odpowiadam, pospiesznie zrzucając ubranie, bieliznę i drewniane trepy.

„A ty skurwysynu, już my cię tu załatwimy, zdechniesz za rok” — z twarzy strażnika zionęła nienawiść. „W tył zwrot — krzychał, pomagając mi kopnięciem. — Przysiad, szeroko wstać — noga do tyłu!!!” Chwytał mnie za kostkę od nogi, pociągnął tak, że o mało nie upadłem na betonową podłogę, i przeglądał czy nie ukrywam czego pomiędzy palcami stóp. Rewidowany obok

mnie więzień pociągnięty za nogę przez strażnika upadł na twarz, rozbijając sobie nos i wargi. Stał teraz obok mnie, dygocząc z zimna i strachu, z zakrwawioną twarzą i szeroko rozwarzonymi oczyma.

„Zabieraj rzeczy i jazda — biegiem, biegiem, dawaj, dawaj!” — krzyknął strażnik. Nie tracąc czasu na ubieranie się zgarnąłem wszystkie swe rzeczy w rozłożony na posadzce płaszcz, zwinąłem w niekształtne zawiniątko, przyciskając je do nagiej piersi. Bosi i nagi puściłem się biegiem w głąb korytarza, prowadzącego w głąb pawilonu. Po drodze miałem jeszcze jedną kratę, oddzielającą korytarz wstępny od głównego, prowadzącego w głąb pawilonu, oraz jeszcze jedną przy wejściu do pawilonu. Schylony, odruchowo chowając głowę pomiędzy barki, biegłem tak szybko, jak tylko mogłem po kamiennej posadzce, pomalowanej w białe i czarne pasy. Po obu stronach stali ustawieni w dwa szeregi strażnicy, tworząc jak gdyby ulicę dla biegnących więźniów. Słyszałem prędkie tupot bosych stóp biegnących przede mną i za mną więźniów. Z okrzykami bólu i nieustannym tupotem stóp mieszały się głuche odgłosy uderzeń pięści w plecy, klaskanie wymierzanych policzków, tępe odgłosy kopniaków. Co chwilę rozlegały się ryki bijących nas strażników — „Nie po białym, nie po białym — Nie po czarnym, nie po czarnym”. Biegłem tak, że zdawało mi się, iż unoszę się w powietrzu, aby tylko nie dotknąć zakazanych białych i czarnych pasów, w które pomalowana była posadzka. Niekiedy strażnik zręcznie podkładał nogę biegnącemu więźniowi, a ten padał na posadzkę. Podnosiły go kopniaki i wyzwiska. Czasami strażnik zatrzymywał więźnia uderzeniem pięści w twarz. „Jak się nazywasz — ile dostałeś?” — ryczał. Z ust wystraszonego więźnia padała drżąca odpowiedź:

„D..d..dwa...naście, l.l...lat. Nnnazywam sssię MM...Mokry”.

„Już ja cię wysuszę, skurwysynu” — wrzeszczał strażnik. Tępe uderzenie i kopniak posyła więźnia w dalszą drogę. Korytarz dłuży się w nieskończoność. Dzięki chyżości udało mi się uniknąć bardziej dotkliwego bicia. Kilka kułaków i kopniaków w siedzenie to było wszystko. Niemal na ślepo dobiegłem do końca korytarza, który rozdzielał się na dwie strony, a w środku wznosiły się w górę drewniane schody w górne piętro. Stał tam strażnik i kopniakiem ekspediował każdego na owe schody, po których już dudniły bosc stopy więźniów. Nabierając rozpędu udało mi się wbiec na schody „bez przyspieszenia” za pomocą kopniaka. U wierzchołka schodów na platformie stał jeszcze jeden strażnik i uderzeniem rozcapierzonej ręki w twarz i kopniakiem kierował biegnących do wąskich galeryjek, wzdłuż których widać było drzwi od cel. Biegłem jedną z tych galeryjek,

aż na drodze stanął mi strażnik i uderzeniem rozcapierzonej ręki w twarz oraz kopniakiem „skierował mnie” w otwarte drzwi celi. Byłem już ostatni, za mną drzwi celi zamknięto z hukiem i zgrzytem klucza. Znalazłem się w towarzystwie czterech nagsów, zbitych w gromadkę w kącie celi, dyszących jak lokomotywy i z przestraczem w oczach. Jeden stał boso, ale w kalesonach, drugi był obuty w jednego trepa, poza tym był nagi i przyciskał do piersi jak skarb drugiego trepa, trzymając w zaciśniętej dłoni resztę dobytku. Trzeci zdążył ubrać jedną nogawkę kalesonów, drugą trzymał kurczowo w zaciśniętej dłoni. Naraz opanował mnie paroksyzm nieopanowanego śmiechu. Ta grupa ludzi wyglądała komicznie. Nastąpiła też ulga po strachu, jaki opanował mnie w czasie biegu wzdłuż szpaleru strażników. Świadomość, że przebyłem tę „ścieżkę zdrowia” bez większego szwanku spowodowała odprężenie.

Pierwsze dni we Wronkach

Cela, w której wylądowałem po przebyciu ścieżki zdrowia, mieściła się na czwartym piętrze skrzydła „C” I Pawilonu. Było to pomieszczenie o wymiarach 2,5 x 3 m z podłogą pokrytą czarnym asfalto-betonem. Ściany celi do wysokości ok. 1 m były pomalowane olejno na kolor brudno-zielony, a wyżej pobielone wapnem. Drzwi celi były stalowe, pomalowane na czarno i na wysokości oczu miały wizjer, tzw. „wizyterkę”, a w miejscu zamka metalową rączkę. Czarna rura w kącie to był kaloryfer. W drugim kącie celi stał drewniany trójkątny sedes z białym fajansowym „kiblem”. Okno zabezpieczone grubymi kratami znajdowało się wysoko, niemal pod sufitem. Jego górna połowa była uchylnie otwierana przy pomocy grubego drążka umocowanego w specjalnym uchwycie.

Do jednej ze ścian była przymocowana prycza ze stalowych kątowników i deseczek, a na niej złożone w „kostkę” sienniki, koce i prześcieradła. Mały drewniany stołeczek, stolik i wisząca na ścianie szafka dopełniały umeblowanie celi. Na ścianie wisiał naklejony na tekturze „Regulamin więzienny”.

Był on podzielony na trzy kolumny. W jednej kolumnie zapisano obowiązki więźnia: „Szacunek dla przełożonych”, „Natychniastowe spełnianie ich poleceń”. Dalej następowały obowiązki związane z utrzymaniem czystości itp.

Drugą kolumnę stanowił spis nagród dla więźniów „wykazujących poprawę”. Na czele tych nagród znajdowała się „pochwała na osobności lub w obecności więźniów”. Owa „pochwała na osobności” była przez więźniów odpowiednio kome-

towana — pochwałę na osobności uzyskiwał więzień kapujący innych i współpracujący z władzami więzienia w prześladowaniu więźniów. Dalej następował wykaz różnego rodzaju ulg, które przyznawano „wyróżniającym” się więźniom. Było to prawo do posiadania w celi szachów, materiałów piśmienniczych itp. Listę nagród kończyło „przedstawienie do ulaskawienia”.

Listę kar otwierała „Nagana na osobności lub w obecności więźniów”, dalej następowały kary coraz ostrzejsze — „twarde łóżko”, „zamknięcie w izolatce-celi jednoosobowej na okres do 1/2 roku” itd. Listę kończyła kara najsurowsza — kara karca wymierzona na czas do 48 godzin.

Gdy pozbieraliśmy się po „gościnnym” przyjęciu, otwary się drzwi celi i oddziałowy ryknął: „Wychodzić — do łaźni”. Wyszliśmy z celi, gdy padł rozkaz: „Twarzą do ściany! W lewo zwrot, marsz — dawaj! dawaj!”.

Zaprowadzono nas do łaźni, gdzie nad obszernym basenem wyłożonym kafelkami zwisały natryski. Pod ścianami stały taboreciki z ręcznikami ułożonymi w kostkę i kawałkiem mydła na wierzchu.

„Rozbierać się — łaźnia wstąp” — padł rozkaz. Weszliśmy pod natryski. Wokół basenu krążyli jacyś więźniowie i spoglądali na nas z nienawiścią w oczach. Kto nie wszedł dostatecznie szybko pod prysznic, dostawał od nich kułakiem lub kopniaka. Byli to „starsi porządkowi”. Odnosili się do nas wrogo i wymyślali nam od bandytów i skurwysynów. Łaźnia trwała ok. pół godziny. Otrzymaliśmy świeżą bieliznę i po kąpieli powróciliśmy do celi. Tak elegancka kąpiel była jednak wyjątkowa. Za dwa tygodnie dowiedzieliśmy się, jak we Wronkach wygląda „normalna” łaźnia.

Po powrocie z łaźni do celi drzwi od cel otworzyły się jeszcze raz. Stanęliśmy karnie pod oknem w przepisowym dwus szeregu. Do celi wszedł oddziałowy i długo przyglądał się każdemu z nas, a następnie zapytywał po kolei o nazwisko, wyrok oraz za co karany. Dane notował w małym notesiku. Następnie wskazał palcem na pierwszego z brzegu więźnia: „Wy będziecie starszym celi. Macie meldować przy apelu i odpowiadacie za porządek w celi”.

Niedługo po wyjściu oddziałowego dał się słyszeć na korytarzu hałas i brzęk kotłów oraz stukanie trepów. Otwarto drzwi celi i ukazali się w nich porządkowi i kocioł z obiadem. „Podchodzić” — rozkazał oddziałowy. Każdy z nas podszedł do drzwi z miską w ręce i otrzymał chochlę gęstej kaszy. Był to „obiad”. Po obiedzie nastąpił dłuższy spokój. Teraz mieliśmy czas na wzajemne poznanie się. Miałem szczęście, że trafiłem do tej samej celi z moim kolegą z Politechniki, z którym studiowałem

chemię na tym samym roku. Został on aresztowany prawie o rok wcześniej niż ja. Zniknął wówczas prawie niezauważenie z życia studenckiego. Został skazany na 15 lat więzienia za przynależność do WiN. Wśród pozostałych towarzyszy celi znajdował się młody człowiek ze słynnego oddziału „Łupaszk”, jeden akowiec oraz oficer z polskiej formacji wojskowej działającej w czasie wojny na Zachodzie.

Popołudnie w celi minęło spokojnie. Wieczorem otrzymaliśmy „kolację” — miskę rozgotowanej brukwi — a po wieczornym apelu rozłożyliśmy na betonie sienniki i ułożyliśmy się do snu. Tak minął pierwszy dzień we Wronkach pełen przykrych wrażeń, które nie wróżyły nic dobrego na przyszłość. Noc upłynęła spokojnie. Było jeszcze ciemno, gdy zbudził nas dzwon pobudki. Za chwilę w sąsiedniej celi rozległo się rześkie i wesołe pianie „koguta”. Widocznie „kogut” z katowickiego więzienia przybył do Wronek w naszym transporcie i teraz wesołym głosem obwieszczał zbudzenie się dnia. Zrobiło się jakoś różnej i wkrótce zajechało śniadanie — miska nie słodzonej lury zwanej kawą i pajdka czarnego chleba. Po śniadaniu mój kolega z Politechniki — Mietek — opowiadał swoje przejścia z okresu aresztowania i śledztwa. Początkowo przebywał w Katowicach w piwnicach WUPB, a potem przewieziono go do Warszawy i umieszczono na słynnym X-tym pawilonie. Mietek opowiadał o metodach tortur, jakie tam stosowano. Jeżyły one włosy na głowie. Przesłuchiwanym przetrzymywano całymi dniami nago w tzw. niskim karcu, w którym więzień musiał pozostawać w pozycji kucznej i był nagi. Nocne przesłuchiwanie z pozbawieniem przesłuchiwanego możliwości snu przez wiele dni, wielogodzinne „stójki”, bicie gumami po piętach — to były normalne metody śledcze.

Niski i szczupły Andrzejek z oddziału „Łupaszk” też opowiadał ciekawe historie. Niski wzrost i szczupła figura nie wskazywały, że Andrzejek ma stalowe mięśnie i krewką naturę. Nic więc dziwnego, że w czasie pierwszego przesłuchania oficer śledczy widząc przed sobą młodego i pozornie wątłego chłopca uderzył go pięścią w twarz, nie spodziewając się, że takie chucherko może zareagować. Nerwowy Andrzejek okazał, że nie jest potulnym barankiem, którego można bezkarnie bić. Potężny „prosty” wbił oficera śledczego pod biurko i potem trudno było go docucić. Andrzejek zaś wyszedł na korytarz i udał się do swojej celi. Oczywiście następnym razem było już inaczej. Krewkim więźniem zajęło się kilku „specjalistów” i po przesłuchaniu Andrzejka zniesiono do celi na kocu.

Drugi dzień we Wronkach upłynął nam spokojnie. Śniadanie, obiad, kolacja, raport wieczorny i wreszcie nocny spoczynek.

W celi było zimno, gdyż rura grzejna kaloryfera nie dawała dostatecznej ilości ciepła. Leżąc pokotem na siennikach tuliliśmy się do siebie i okrywali cienkimi kocami.

Była już głęboka noc, gdy ze snu wyrwało nas straszne, posępne wycie człowieka. Dochodziło ono z najniższej kondygnacji pawilonu. Przeciągły piwniczny jęk dudnił ponuro po pawilonie, przechodząc od czasu do czasu w spazmatyczny płacz i łkanie. To wył w karcu nagi, torturowany przez straszliwe zimno nieszczęsny wesóły „kogut”.

Po chwili rozległ się tupot butów, słychać było szum wody lejącej się z kranu do wiadra, chrzęst klucza i otwieranego zamka, chlust wody i krzyki. Z piersi oblanego lodowatą wodą człowieka wyrwało się straszliwe wycie. Słychać było, jak zatrzaśnięto drzwi od karcu, ale aż do świtu z podziemi pawilonu dochodziły szloch, jęki i płacz torturowanego „koguta”. Nad ranem ucichł. Wesółego piania już nie usłyszeliśmy. Wronki zaczęły okazywać swoje prawdziwe oblicze.

„System Wronki”

Centralne Więzienie we Wronkach stanowił ogromny kompleks budynków otoczonych dziesięciometrowym murem najeżonym wieżyczkami strażniczymi z karabinami maszynowymi. Wewnątrz tego muru znajdowały się pawilony więzienne, baraki warsztatowe i gospodarcze, kaplica — oczywiście nieczynna.

Największym pawilonem był pawilon I, zbudowany w kształcie krzyża. Dzielił się na cztery skrzydła — „A”, „B”, „C” i „D”.

W skrzydle „A” umieszczano więźniów pracujących, funkcyjnych oraz tych, którzy kończyli już odsiadanie wyroku. W skrzydle „B” umieszczano więźniów już „rozpracowanych” i uważanych za mniej groźnych. Skrzydło „C” przeznaczono dla więźniów przewidzianych do „rozpracowania” oraz tych, których uważano za szczególnie groźnych lub niepoprawnych. Było to w pewnym sensie skrzydło karne o obostrzonym rygorze i specjalnie dobranych strażnikach. W najkrótszym czwartym skrzydle „D” górne piętra zajmowały izolatki, gdzie umieszczano więźniów za karę. Środkowe i dolne piętra tego skrzydła zajmowały biura naczelnika więzienia i służb więziennych, pomieszczenia na widzenia, paczkownia, biblioteka itp. W centralnym miejscu, gdzie wszystkie skrzydła łączyły się, znajdowała się tzw. „ambona”, oszklone podwyższenie, gdzie rezydował komendant pawilonu. Pomiędzy galeryjkami biegnącymi wzdłuż ścian, na poziomie I piętra była rozciągnięta siatka zabezpieczająca przed próbami samobójstwa przez skok z wysokości. Schody na piętra

biegły w środku każdego skrzydła. Z wąskiej oporęczowanej galeryjki biegnącej wzdłuż ścian na każdym piętrze prowadziły drzwi do cel.

Odrębnie stojącym pawilonem była „dwójka” — pawilon II — wysoki budynek, w którym były niemal wyłącznie cele pojedyncze. Był to pawilon karny, w którym umieszczano więźniów z najwyższymi wyrokami i tzw. niepoprawnych. Panował tam nieludzki rygor, a strażnicy specjalnie dobrani prześcigali się w sadyzmie w stosunku do więźniów. Królował wśród nich niejaki „Wąsik” — wysoki brunet z małym czarnym wąsikiem. Był on postrachem więźniów. Bicie, ćwiczenie skakania „żabek” po schodach to były codzienne szykany.

W trzecim pawilonie panowały stosunkowo najlepsze warunki i najmniejszy rygor. Umieszczano w nim ludzi chorych, szczególnie na gruźlicę, która to choroba była najpospolitsza. Jedzenie dla chorych było nieco lepsze.

W więzieniu we Wronkach był też mały szpital, a nawet sala operacyjna, gabinet dentystyczny i apteka. Stwarzało to warunki do udzielania chorym szybkiej pomocy. Trzeba też dodać że lekarze — również więźniowie — byli specjalistami najwyższej klasy. Wykonywano więc nawet bardzo poważne operacje.

Ilu więźniów przebywało we Wronkach w owym czasie, trudno ocenić. Cele były przepelnione, a więc ilość więźniów musiała wynosić kilka tysięcy.

Dzień więzienny we Wronkach rozpoczynał się o godz. 6 rano głośnym dzwonieniem w dzwon zawieszony w „ambonie”. Potem słychać było trzask otwieranych drzwi i tupot drewnianych trepów. Więźniowie wystawiali na korytarz kible i zabierali taborety z ubraniami oraz trepy, zwane po wielkopolsku „okulakami”. Teraz każdy ubierał się, a sienniki i koce oraz prześcieradła składano na pryczy formując tzw. „kostkę”. W międzyczasie jeszcze raz otwierano cele, aby zabrać do celi opróżnione kible. O godz. 8 było śniadanie. Kalifaktorzy przynosili kocioł lury zwanej „kawą”, zupełnie niesłodzonej. Każdy z nas otrzymywał 1/2 l kawy i pajdkę czarnego chleba. Po śniadaniu w więzieniu panowała cisza aż do spaceru, który odbywał się ok. godz. 10. Oddziałowy otwierał wszystkie cele na jednym piętrze, a więźniowie ustawiali się w celi w dwuszeregu pod oknem. Na komendę „Spacer wystąp” wszyscy wybiegali z cel i stawali obok celi twarzą do ściany. Padała komenda: „W prawo zwrot” i „Biegiem marsz”. Klekocąc trepami zbiegaliśmy po schodach na parter i do wyjścia na dziedziniec więzienny. Spacer odbywał się na wewnętrznym dziedzińcu więziennym posypanym żwirem i piaskiem i zawsze stanowił ryzyko dla więźnia, gdyż wówczas

najłatwiej było „podpaść”. Spacerowaliśmy idąc szeregiem jeden za drugim w odstępach ok. 2 m. W czasie spaceru nie wolno było rozmawiać, a nawet poruszyć głową lub rozejrzeć się. Trzeba było iść sztywno z wzrokiem utkwionym w plecy poprzednika. Strażnik bacznie obserwował maszerującą kolumnę. Wystarczył drobny ruch ust, spojrzenie rzucone na strażnika, które on uznał za „wrogie”, a więźnia wyłapywano z szeregu i stawiano pod murem „twarzą do ściany” na okres spaceru. Strażnik najczęściej spisywał personalia więźnia, co było jednoznaczne z raportem karnym u naczelnika i karą karca. Każdy więc bał się spaceru. Zostać w celi było też źle. Oddziałowi sprawdzali cele po wyjściu więźniów na spacer i tego który nie wyszedł i pozostał w celi wywoływali na korytarz, gdzie musiał ćwiczyć przez cały okres trwania spaceru „żabki”, skacząc po schodach. Często na dodatek „zarabiał” raport i karcer.

Po spacerze wracaliśmy do cel i w więzieniu panowała cisza. Ok. godz. 12 był obiad — co sygnalizował brzęk kotłów i stukot trepów. Aż do roku 1952 menu obiadowe było niezmiennie. Sześć dni w tygodniu na obiad była kasza, mniej lub bardziej gęsta, często z dodatkiem dorsza, co łatwo było poznać po obecności ości i odpowiednim zapaszku. Niekiedy do kaszy wrzucano dorsze wędzone wraz ze skórą, wnętrznościami i łbem. Taka kasza śmierdziała potwornie i była zupełnie niejadalna. W niedzielę była grochówka — jedyna zupa nadająca się do jedzenia. Po obiedzie następowała cisza poobiednia i w tym czasie można było czytać książki i gazetę — *Trybunę Ludu* lub spacerować po celi. Kolacja była o godz. 18. Na kolację otrzymywaliśmy niezmiennie przez wszystkie dni tygodnia gotowaną brukiew. Po kolacji trzeba było rozebrać się do bielizny, a ubranie złożyć w „kostkę” na taborecie. Zaraz po kolacji był apel wieczorny. Rozlegało się wówczas trzaskanie drzwiami i gromkie okrzyki „bra-te-dział” — co oznaczało „dobranoc obywatelu oddziałowy”. Bezpośrednio przed pojawieniem się oddziałowego dla wysłuchania apelu wystawialiśmy na korytarz taboret z ubraniami i trepy. W czasie apelu starszy celi meldował stan i obecność więźniów. Po apelu drzwi zamykano na podwójne zamki i każdy oddychał z ulgą — „nareszcie sami”. Po apelu rozkładano na podłodze sienniki i prześcieradła do spania. Sienniki były napełnione mieszaniną kurzu i startej siewki, ale jako tako izolowały od betonowej podłogi.

Spaliśmy pokotem jeden obok drugiego, nakryci kocami. Przez takie ułożenie się do snu w zimie jeden grzał drugiego i było cieplej. Światło w celi gaszono o godz. 21. Raz w miesiącu można było otrzymać z domu paczkę żywnościową. Począwszy od roku 1950 waga i zawartość paczki były ściśle określone. Waga

paczki 3 kg, a zawartość to 1/2 kg słoniny lub smalcu, 1 kg cukru i 1,5 kg białego chleba. Masła posyłać nie było wolno. Można było też otrzymać trochę cebuli lub czosnku i 50 tabletek witamin. Wszystko co odbiegało od „normy” jakościowej lub ilościowej konfiskowano. Przy odbiorze paczki oddziałowy krajał chleb i słoninę na plasterki.

Dwukrotnie w ciągu roku — w Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy — wolno było otrzymać paczkę o wadze 5 kg bez ograniczenia jakościowego. Rodziny przysyłały więc mięso pieczone, kielbasę oraz świąteczne kołaczki i papierosy lepszych gatunków. Często jednak zdarzało się, że złośliwy strażnik kontrolując zawartość paczki krajał wszystko na kawałki i mieszał razem. Więzień otrzymywał wówczas mieszaninę ciasta, kielbasy, smalcu i mięsa „zaprawioną” połamanymi na drobne kawałki papierosami. Trzeba było się dobrze natrudzić, aby z tej mieszaniny uratować coś, co nadawałoby się do jedzenia. Od roku 1951 zakazano w ogóle przysyłania paczek. Więzień mógł z domu otrzymać tylko określoną sumę pieniędzy i za nie wykupić w więziennej kantine tzw. „wypiskę”. Na wypiskę można było otrzymać 100 papierosów „Mocne”, biały chleb, ceres lub margarynę, marmoladę, a niekiedy puszkę ryb w oleju. Po odbiór wypiski wyprowadzano wszystkich więźniów z celi i prowadzono do kantyny. Całą wypiskę więzień otrzymywał do miski lub miednicy. Puszki otwierano, a zawartość wlewano do miski więźnia. Aby więc zwolnić miskę na normalny posiłek, trzeba było ryby w oleju zjeść od razu. Kilkakrotnie otrzymaliśmy na wypiskę kaszankę lub bułczankę. A że było to w upalne dni lata, produkty te docierały do więźnia w stanie całkowitego zepsucia. Wykupienie wypiski było jednak obowiązkowe, choć zepsutą kaszankę wyrzucano zaraz na śmietniczkę, bo cuchnęła strasznie.

Raz w miesiącu oddziałowy dawał do celi papier, kopertę i ołówek dla napisania listu do rodziny. Napisany list w otwartej kopercie wystawiano wraz z ubraniem na korytarz przy wieczornym apelu. Listy od rodziny otrzymywaliśmy też jeden raz w miesiącu.

Widzenie z rodziną — raz w miesiącu — odbywało się w specjalnej celi. W jednej ze ścian tej celi znajdowały się 2 małe okienka zakratowane i przesłonięte gęstą siatką. Więzień stawał przed okienkiem, tak że widoczna była głowa i część tułowia do wysokości piersi. Ręce musiał trzymać splecione palcami za plecami. Prawo do widzenia z więźniem miała tylko jedna osoba. Stawała ona po drugiej stronie okienka. Widzenie trwało nie więcej niż 10 minut, a całej rozmowie przysłuchiwał się pilnie oddziałowy. Należało bardzo uważać, co się mówi i można było

rozmawiać tylko o sprawach rodzinnych. Nie wolno było poruzać rękami, mrugać lub porozumiewać się wzrokiem.

Co dwa tygodnie wyprowadzano nas do łaźni. Tu zwyczajna kąpiel wyglądała zupełnie inaczej niż pierwsza po naszym przybyciu do Wronek, i stanowiła takie samo ryzyko jak spacer. Oddziałowy otwierał cele na całym piętrze a więźniowie na komendę „Łaźnia wystąp” wybiegali z cel i ustawiali się obok nich, oczywiście twarzą do ściany. Na komendę „W prawo lub lewo zwrot” i „marsz” szereg więźniów zbiegał ze schodów na parter i ustawiał się pod ścianą łaźni. Gdy z łaźni wybiegali już wykąpani więźniowie, stojący pod ścianą szereg wbiegał na ich miejsce i więźniowie ustawiali się pod ścianą, na której znajdowały się kołki do zawieszania ubrań. Trzeba było rozebrać się w ciągu kilku zaledwie sekund i na rozkaz „Łaźnia wstąp” wejść pod prysznice. Za spóźnienie — uważane za „opieszłość” — groził raport karny. Wszelkie rozmowy były zakazane. Wolno było jedynie umyć plecy sąsiadowi. Pod natryskiem przebywaliśmy kilka minut i następował rozkaz „Łaźnia wystąp” i „Wychodzić”. Czas na ubieranie się wynosił też zaledwie kilka sekund i biada temu, kto się spóźnił. Nauczeni doświadczeniem rozbieraliśmy się już w celi przed wyjściem do łaźni, wkładając luźno spodnie i bluzę na nagie ciało. Po kąpeli nie było czasu na wytarcie się ręcznikiem i wdziewaliśmy ubranie na nagie, mokre ciało. Czas oczekiwania na korytarzu nie był więc przyjemny, zwłaszcza w zimie, gdy staliśmy prawie nadzy i mokrzy na zimnym korytarzu.

Codziennie otrzymywaliśmy do przeczytania *Trybunę Ludu*, a raz na dwa tygodnie — książki. Książki roznosili bibliotekarze. Dobór książek, które dostawały się do celi, był zupełnie przypadkowy. Trzeba jednak przyznać, że znaczna część książek to były pozycje bardzo wartościowe, światowej sławy autorów jak Balzac, Anatol France, Sigrid Undset, Romain Rolland i in. Nie brakowało też zwykłych sowieckich propagitek, jak np. Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, Polewoja „Opowieść o prawdziwym człowieku” i in.

We Wronkach za każdą błahostkę stosowano kary, zwłaszcza te najsurowsze, oraz różne szykany zatruwające więźniom i tak trudne życie. Do najsurowszych kar należały „twarde łóżko”, „pojedynek” czyli „izolatka” oraz karcer.

Kara twardego łóżka polegała na umieszczeniu więźnia w jednoosobowej celi, w której znajdowała się drewniana prycza bez siennika. Spanie na gołych deskach było bardzo uciążliwe, a do tej uciążliwości dodawało się zimno. Rano wstawało się z obolałymi mięśniami i zmarzniętym, gdyż więzień dysponował jako przykryciem tylko jednym cienkim kocem. Skazanie więźnia

na karę twardego łóża wynosiło 14 dni — tak określał regulamin więzienny. Gdy jednak chciano komuś szczególnie dokuczyć, delikwenta który odbył regulaminową karę przez 14 dni umieszczano na jeden lub dwa dni w celi zbiorowej i pod błahym pozorem ponownie posyłano na następne 14 dni na twarde łóżo.

Kara izolatki polegała na osadzeniu więźnia w celi jednoosobowej na okres do pół roku. Więzień skazany na pojedynek był ponadto skazany na pozbawienie gazet i książek. Te szykany, jak również brak możliwości porozumiewania się z drugim człowiekiem powodowały, że czas na pojedynce dłużył się nieskończenie. W zimie do tych uciążliwości dołączało się dokuczliwe zimno, gdyż więzień zamknięty w izolatce dysponował tylko jednym kocem. Więźniów osadzonych w pojedynkach pozbawiono też spaceru, co było tym bardziej uciążliwe, że cele pojedyncze były bardzo małe. Pojedynek była to cela tak wąska, że trudno było w niej spacerować. Dwa kroki w przód i dwa w tył to było wszystko, co można było przejść w tej celi, a i to poruszając się nieco bokiem, bowiem pomiędzy ścianą a pryzą pozostawała do rozporządzenia przestrzeń szerokości ok. 50 cm. Pojedynek była to kara szczególnie dotkliwa dla ludzi nie znoszących przestrzeni zamkniętych, ze skłonnością do klaustrofobii. Zdarzało się, że tacy ludzie dostawali na pojedynce ataków szału.

Oddziaływanie długotrwałego odosobnienia na ludzi było bardzo różne i zależało od ich odporności psychicznej i wrodzonej inteligencji. Głównym celem odosobnienia było stworzenie człowiekowi psychicznej pustki. Ludzie z natury inteligentni, niezależnie od ich społecznego pochodzenia, dysponowali na ogół bogatym światem wewnętrznym, który pozwalał im na oderwanie się od otoczenia i wniknięcie w samego siebie, stworzenie własnego intymnego świata, w którym istnieje możliwość głębokiej analizy odczuć i skonfrontowania ich ze światem zewnętrznym. Im wewnętrzne bogactwo człowieka było większe, tym łatwiej i dłużej można było znosić odosobnienie. Jednakże zagłębianie się we własnym wysublimowanym świecie zbyt głęboko prowadziło niekiedy do patologii, a nawet obłądki. Ludzie, którzy wrócili z pojedynki, często robili na otoczeniu wrażenie nienormalnych — istot z innego świata. Powrót do normalnego współżycia z innymi ludźmi napotykał wówczas na trudności. Inteligentny i bogaty duchowo człowiek, który zakosztował przymusowego odosobnienia przez dłuższy okres czasu, potrafił już łatwo zrozumieć sens i istotę klasztornej izolacji, pustelników i eremitów. Wielu psychologów skłania się do stwierdzenia, że odosobnienie człowieka na pewien czas — oczywiście dobrowolne i bez groźby szykan i kar — jest korzystne dla jego psychiki.

Takie odosobnienie daje człowiekowi to, czego nie ma na co dzień — nieomal nieograniczone dysponowanie własnym czasem i myślą. Przeciętny człowiek, zagoniony przez codzienne sprawy i kłopoty, jest tego zupełnie pozbawiony i nie ma czasu, aby zastanowić się nad wielu sprawami, a zwłaszcza nad własnym stosunkiem do innych ludzi i ich spraw. Oczywiście nie mogą to być warunki więzienne. Nic więc dziwnego, że niektórzy z więźniów składali u naczelnika więzienia prośbę o dobrowolne umieszczenie w celi jednoosobowej. Najczęściej byli to duchowni.

Najgorzej znosili pojedynkę ludzie prymitywni i mało inteligentni, a duchowo ubodzy. Ich zasoby świata wewnętrznego szybko się wyczerpywały i pozostawała psychologiczna pustka. Brak oparcia o drugiego człowieka i możliwości rozmowy prowadził do szybkiego załamania się. Ciekawe były przypadki, gdy ludzie skazani na odosobnienie znajdowali sobie różnych niecodziennych „przyjaciół”. Słyszałem o jednym więźniu, który w pojedynce zaprzyjaźnił się z... pajakiem. Ów więzień przechowywał swego przyjaciela w pustym pudełku od zapalek, karmił go muchami, które wlatywały przez okno celi i troskliwie ukrywał przed okiem strażników. Gdy przeniesiono go do celi zbiorowej, zabrał ze sobą swego „przyjaciela” i ukrywał, dopóki „życzliwi i usłużni” koledzy nie wyrzucili pająka za okno.

Dysponowanie czasem pozwalało niektórym więźniom na wytwarzanie z chleba i wypalonych zapalek prawdziwych arcydzieł sztuki i techniki. Spotkałem jednego takiego majsterkowicza, który z chleba i zapalek zbudował zegar, który chodził i wskazywał godziny. Był to zegar wahadłowy, w którym ciężarkami były dwie pajdki chleba. Jakkolwiek takie zajęcia były zakazane, strażnicy przymykali na nie oko, gdyż atrakcyjne eksponaty zabierali dla siebie.

Chociaż regulaminowy okres przebywania na pojedynce wynosił sześć miesięcy, to jednak w praktyce wielu więźniów spędziło na pojedynce rok lub dłużej. Na drugim — karnym — pawilonie nie certolono się z regulaminem. Więźniów umieszczano w pojedynkach bez raportu karnego i na nieograniczony okres czasu.

Okrutną, a przy tym najwięcej stosowaną karą był karcer. Była to kara niejako zwyczajowo stosowana za najbłahsze przewinienia. Stosowano ją głównie w miesiącach zimowych, gdyż w lecie nie było odpowiednio „dogodnych warunków”. W miesiącach letnich, gdy temperatura powietrza nawet w nocy była dość wysoka, można było w karcu zmarznąć, ale nic poza tym. W zimie, gdy na zewnątrz panował mróz, karcer stawał się torturą nie do zniesienia. Więzień skazany na karę karceru — z reguły pełną, tj. 48 godzin — był uprzednio badany przez lekarza, czy

jego organizm wytrzyma. Badanie takie było zupełnie pobieżne i stanowiło formalność. Prawie każdego uznawano za „zdolnego do odbycia kary karca”. Nic więc dziwnego, że zdarzało się, iż więzień po odbyciu kary karca był już nieboszczykiem.

Karce mieściły się w najniższej kondygnacji więzienia. Były to cele betonowe z betonową podłogą i pryczą odlaną również z betonu. Wewnątrz były zamontowane dwie dodatkowe kraty stalowe. Jedna w odległości ok. 1 m od ściany okiennej, a druga w takiej samej odległości od drzwi. W kratkach były zamykane drzwiczki. Więzień przebywał w karcu w dzień w bieliźnie, a w nocy nago. Przed umieszczeniem więźnia w karcu oddziałowy otwierał okno i zamykał drzwiczki kraty wewnętrznej, tak że więzień nie mógł sięgnąć do okna, aby je zamknąć, i znajdował się jak gdyby w żelaznej klatce. Lodowate powietrze napływało przez otwarte okno i omywało nagie ciało więźnia. Temperatura w karcu spadała poniżej zera, a betonowa podłoga mrozem przejmowała nagie stopy. O położeniu się lub nawet siedzeniu na betonowej pryczy nie było mowy. Kto nie przeżywał karca w miesiącach zimowych, ten nie zdaje sobie sprawy, jaką torturą jest zimno. Zimno boli, jak ogień, ale nie zabija od razu lecz powoli, a kara karca była tak obliczona, aby więźnia utrzymać na granicy wytrzymałości organizmu, ale go nie zabić. Oczywiście ludzie o słabym zdrowiu lub chorzy na serce mogli karca nie wytrzymać. W karcu, gdy lodowate powietrze obmywało ciało, mięśnie zaczynały odruchowo drgać, skóra siniała i drgała. Tego dygotania nie można było powstrzymać. Szczękały zęby, oddech stawał się krótki i spazmatyczny. W miarę jak upływały godziny, ciało i kości zaczynały boleć. Każdy powiew chłodu z otwartego okna powodował drgawki i potęgował ból. Godziny nocne ciągnęły się w nieskończoność. Najgorzej było nad ranem, gdy przed świtem temperatura powietrza nagle opadała i zimno potęgowało się, stając się nie do zniesienia. Wielu więźniów nie wytrzymało tej temperatury i zaczynało wyc i krzyżeć. Wówczas po więziennych korytarzach rozlegał się straszny posępny piwniczny jęk i wycie torturowanego człowieka. Nadbiegali strażnicy i za chwilę słychać było trzask otwieranego karca, szum wody lejącej się do wiadra i chlust wody na nagie ciało więźnia. Z piersi zziębniętego i oblanego lodowatą wodą człowieka wyrzywało się wówczas straszne, potępieńcze wycie. Niekiedy strażnicy otwierali karcer i biorąc do pomocy „starszych porządkowych”, bili więźnia na „rozgrzewkę”.

Jedynym ratunkiem dla więźnia w karcu było zachowanie spokoju, rozcieranie ciała i gimnastyka. Trudno jednak rozcierać ciało i gimnastykować się przez 48 godzin.

Na dzień pozwalano nałożyć na ciało bieliznę, a na nogi tre-

py. Było to dla zziębniętego człowieka ogromną ulgą. Nawet taka cienka warstwa materiału chroniła trochę od chłodu. Druga noc w karcu była jeszcze gorsza. Zziębnięte ciało reagowało jeszcze bardziej na powiewy zimna wiejącego z otwartego okna.

W okresie gdy trwała wojna koreańska, stosowano specjalne szykany wobec więźniów. W roku 1950 naczelnik więzienia wprowadził dla więźniów obowiązek stawania na baczność w celi, gdy tylko uchyliła się przesłona wizyterki w drzwiach celi. Kto to pierwszy zauważył, miał obowiązek krzyknąć „uwaga”, a wówczas wszyscy musieli stanąć w dwuszeregu pod oknem i czekać, aż przesłona wizyterki ponownie się zamknie. Jeżeli więźniowie zbyt długo nie dostrzegali uchylonej przesłony wizyterki, oddziałowy nagle otwierał drzwi i cała cela stawała do raportu karnego. Zmuszało to więźniów do stałej czujności i obserwowania wizyterki. Zarządzenie to obostrzono jeszcze obowiązkiem stawania twarzą do ściany nawet w celi, tak że więźniowie nie wiedzieli nawet kto ewentualnie wkracza do celi. Prawo do odwrócenia się i zameldowania miał tylko starszy celi. W tym szczególnie ciężkim okresie w niektórych oddziałach zakazano nawet spacerów na wiele miesięcy.

Inną szykaną było zarządzenie, że podłoga celi musi być stale czarna. Zmuszało to więźniów do utrzymywania podłogi stale w stanie mokrym, gdyż materiał, z którego była zrobiona — asfalto-beton — był czarny tylko na mokro, a po wyschnięciu szarzał. W tych warunkach reumatyzm szybko dawał znać o sobie. Szykany te zniesiono, gdy zmienił się naczelnik więzienia.

Od czasu do czasu pawilony więzienne były wizytowane przez naczelnika więzienia. Słychać było dochodzący z „ambony” gromki krzyk komendanta pawilonu: „Oddziały baczność”. Więźniowie mieli wówczas obowiązek ustawienia się na baczność w celi i musieli stać tak długo, dopóki nie zabrzmiał rozkaz: „Oddziały spocznij”. Takie stójki stosowano jako karę i trwały one nieraz kilka godzin. Naczelnik lub oddziałowy zaglądali do cel przez wizyterkę i biada temu, kto się poruszył.

Okresowo co kilka tygodni urządzano tzw. „przerzutkę”, przenosząc poszczególnych więźniów z celi do celi. Miało to na celu uniknięcie zaprzyjaźnienia się ludzi pomiędzy sobą, utrzymanie atmosfery nieufności a także rozładowanie napięć, jakie powstają pomiędzy ludźmi, którzy długo przebywają razem w jednym pomieszczeniu.

Przynajmniej raz w miesiącu odbywał się tzw. „kipisz”, tj. rewizja w celi. Kipiszu dokonywano albo rano przed apelem, albo w czasie spaceru więźniów. Wówczas apel spóźniał się, a w pawilonie słychać było stukanie młotków opukujących kraty w

oknach. Tak sprawdzano, czy nie zostały podpiłowane. Kipisz prowadzono partiami, biorąc do tej czynności grupę cel. W czasie kipiszu — jeżeli odbywał się on rano, nie podczas spaceru — więźniowie ustawiali się na korytarzu obok cel twarzą do ściany. Strażnicy przetrząsali wszystko, rozpruwali nawet sieniaki, wyrzucali zawartość szafki na podłogę, a gdy znaleźli jakiś niedozwolony przedmiot, np. igłę zrobioną z zapałki lub szachownicę wyszytą na chusteczce — pytali o właściciela. Gdy „winowajca” nie zgłosił się, cała cela wędrowała do karca. Z tego względu winny zgłaszał się zwykle sam, aby nie narażać kolegów na uciążliwości karca.

W więzieniach karnych we wszystkich krajach świata istnieje większy lub mniejszy rygor i związany z nim system kar. Jest to zrozumiałe — więzienie bowiem to nie sanatorium. Aliści we Wronkach utworzono coś, co spowodowało, że więzienie to stało się miejscem szczególnym. Stworzono „system Wronki”.

Założenia do utworzenia tego „systemu” narodziły się daleko na wschodzie i były doskonalone przez dziesiątki lat w kazamatach Łubianki, syberyjskich łagrach, gabinetach Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego w Moskwie. Przywieźli je ze sobą „sowieccy doradcy”, zajmujący specjalne gabinety nie tylko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, ale we wszystkich jego urzędach i placówkach w naszym kraju. Nie brakowało ich także w więzieniach, a zwłaszcza we Wronkach. To głównie owi „doradcy” kierowali śledztwami w Urzędach Bezpieczeństwa, ferowali wyroki i ustalali zasady „systemu Wronki”.

Ale winę za zbrodnie popełnione w Polsce, pod koniec lat czterdziestych aż do „odwilży” w latach 1956-57, ponosili nie tylko „sowieccy doradcy”, lecz także i Polacy, którzy nie tylko poddali się sowieckiemu systemowi, lecz włączyli się do niego aktywnie, a często nawet nadgorliwie i nic ich tu usprawiedliwić nie może.

„System Wronki” miał na celu doprowadzenie człowieka — więźnia — do takiego stanu, aby wyrzekł się samego siebie i stał się bezwolną, niemyślącą maszyną — robotem pracującym dla dobra wszechświatowego komunizmu. Jego psychika, myśli i poglądy musiały wpiery zostać zdewastowane, rozbite na elementy, z których odbudowywano „zupełnie nowego człowieka” — *homo sovieticus*. Musiał to być człowiek, który wyrzekł się siebie, swych ideałów i nie myślał. Za niego myślała PARTIA i ona kształtowała jego poglądy. Najwyższym i niedoścignionym wzorem doskonałości miał być dla niego Związek Sowiecki z Leninem i Stalinem na czele, których nieomylny geniusz prowadził jedynie słuszną drogą do świetlanej przyszłości. Taki „nowy

człowiek” powinien posiadać wszystkie niezbędne ku temu cechy — służalczość wasala i bezkrytyczne uwielbienie dla władzy, czujność połączoną z donosicielstwem. Powinien on odrzucić od siebie wszystko inne, zwłaszcza religię i patriotyzm, zastępując je materializmem dialektycznym i internacjonalizmem. Było w tym „systemie” coś z „Roku 1984” Orwella, zaadaptowanego do polskich warunków.

Oprócz surowego rygoru i zestawu kar „system Wronki” stosował systematyczną presję psychologiczną. Więzień znajdował się w stanie stałego zagrożenia, ciągłego stresu i niepokoju. Surowe kary prowadziły do wpojenia więźniowi odruchu strachu przed władzą i bezkrytycznego stosowania się do jej poleceń, nawet gdy były one zupełnie pozbawione sensu. Istotnym elementem „systemu Wronki” był lęk przed kapusiem, którym mógł być każdy towarzysz w celi i ta świadomość stwarzała stan stałego zagrożenia. W tych warunkach każdy więzień w dzień i w nocy czuł się w stanie zagrożenia, co zmuszało go do męczącej czujności. Powodowało to powolne ale trwałe przekształcenie jego psychiki. Ale nawet największa ostrożność i czujność nie chroniły go przed karą. Człowiek bowiem, który został skazany za działalność „antypaństwową” jest wrogiem władzy, a wroga należy karać nawet jeżeli nic nie mówi, bo może jeszcze myśleć. Trzeba go więc karać, aby przestał myśleć, kierując się sowiecką zasadą „jest człowiek to i paragraf się znajdzie”. Tu wielką rolę pełnili kapusie. Kapusie bowiem, aby utrzymać swoją pozycję, musieli wykazać się działalnością.

W „systemie Wronki” szczególne miejsce zajmowało wykozerzenie z człowieka myślenia „idealistycznego”, czyli religii, jako sprzecznej z myśleniem „postępowym” czyli materialistycznym. Istniejącą w więzieniu we Wronkach kaplicę zlikwidowano, a jakiegokolwiek praktyki religijne nie wchodziły w ogóle w rachubę. Wprawdzie regulamin więzienny nie zabraniał nikomu modlić się w celi, lecz człowiek który się jawnie modlił narażał się na różne szykany i złośliwości ze strony tych, którzy zostali już odpowiednio „ukształtowani”. Za modlitwę w celi — przynajmniej oficjalnie — nie karano, ale można było takiego „idealistę” ukarać za coś zupełnie innego. Najwięcej dokuczano duchownym, którzy byli ośrodkami szerzenia „idealistycznej zarazy”. Często izolowano ich w pojedynkach, zwłaszcza w II pawilonie. Dla wyeliminowania filozofii idealistycznej „system Wronki” stosował też i inne metody — odpowiednią literaturę. Biblioteka więzienna we Wronkach dysponowała bogatym księgozbiorem, w którym nie brakowało arcydzieł literatury klasycznej, jednak najwięcej było w nich pozycji wolnomyślicielskich, antyreligijnych czy antyklerykalnych. Aliści wpojone przez wieki

przywiązanie Polaków do religii katolickiej powodowało, że na tym polu „system Wronki” nie osiągał sukcesów.

Niestety pewna część więźniów poddała się „systemowi” i sami stali się jego elementem i narzędziem. Większość oparła się jego działaniu i opuściła więzienie jako ludzie godni szacunku. Część jednak, przekupiona mirażem wcześniejszego zwolnienia, poszła na współpracę z władzami więziennymi i bezpieką.

W „systemie Wronki” oprócz zwykłej oficjalnej hierarchii służbowej istniała inna — ukryta — przeplatająca swą pajęczą siecią wszystko, służby więzienne i więźniów.

Naczelnikiem więzienia był wojskowy w randze majora. Oficjalnie podlegały mu wszystkie wydziały służby więziennej, jednak faktyczną władzę sprawował w więzieniu tzw. „Wydział Specjalny”. Funkcjonariusze tego wydziału, zwani popularnie „specami”, decydowali w istocie o losie i warunkach życia więźniów. To „spec” skazywał więźniów na kary i szykany, to on dzielił ich na „niepoprawnych” i na takich, którzy wykazali „poprawę”. Jak wyglądała we Wronkach struktura Wydziału Specjalnego i ilu było „speców”, nie wiem. Ja miałem okazję poznać trzech, każdego z okazji raportu karnego. „Grubasa” — krępego ponurego funkcjonariusza, bezwzględnego w stosowaniu kar, „Józka” szczupłego blondyna, pochodzącego ze wschodu i to chyba dalekiego, bo po polsku mówił kiepsko, stosując składnię rosyjską i wtrącając wiele słów rosyjskich. Trzecim „specem” był „Wesoły” — wysoki, zawsze uśmiechnięty szatyn. Wydział Specjalny był nie tylko najwyższą władzą w więzieniu, ale stanowił ekspozyturę Ministerstwa Bezpieczeństwa. Funkcjonariusze tego wydziału często prowadzili śledztwa opierając się na raportach i donosach kapusiów, którzy wydobywali z załamanych lub nieostrożnych więźniów te informacje, które udało im się ukryć w czasie przesłuchań w Urzędach Bezpieczeństwa. Funkcjonariusze U.B. zdawali sobie dobrze sprawę, że wielu przesłuchiwanym ludzi pomimo tortur nie ujawniło wszystkiego w śledztwie. Człowiek, który otrzymał wyrok, miał w Urzędzie Bezpieczeństwa teczkę z odpowiednim *dossier*, która jechała wraz z nim do Wronek. Tam wyjaśniano wszystkie wątpliwości, jakie nasunęły się śledczemu w czasie śledztwa. Już od początku pobytu we Wronkach więźniowie byli segregowani. Jak się później dowiedziałem, owi więźniowie, których wyczytano z listy zaraz po przyjeździe do Wronek, byli kierowani do specjalnych cel lub na II Pawilon, gdzie się nimi odpowiednio zajmowano. Krążyły pogłoski, że więzienie we Wronkach dostarczało do Urzędu Bezpieczeństwa zaraz po wojnie więcej informacji o podziemnym ruchu oporu, niż przesłuchania ludzi aresztowanych w kazamatach U.B.

Szczególnym zadaniem Wydziału Specjalnego była opieka nad tzw. „starszymi porządkowymi”, którzy stanowili postrach wszystkich, nie wyłączając strażników w całym więzieniu we Wronkach. Instytucja „starszych porządkowych” była szczególnie nieludzkim i najbardziej wstrętnym elementem „systemu Wronki”.

W więzieniu we Wronkach utworzono z więźniów — „starszych porządkowych” — cały aparat, który wspomagał a nawet wyręczał władze więzienne w prześladowaniu więźniów. Do tej obrzydliwej działalności werbowano we Wronkach tych więźniów, którzy okazali oznaki słabości i braku charakteru. Mirażem nagród, ofiarowaniem im dużej władzy i przywilejów oraz groźbami represji wciągano więźniów w szeregi kapusiów. Ich „elitą” byli owi „starsi porządkowi”. Gdy w styczniu 1949 roku przyjechałem do Wronek, w Szczecinie skończył się akurat głośny proces francuskiego wywiadowcy Robineau. Proces ten, z którego władze chciały zrobić pokazówkę, spowodował sporo zamieszania, gdy główny oskarżony na otwartej jeszcze rozprawie bez wahania zaczął wyjawiać szczegóły o nieludzkich warunkach jakie panowały w polskich więzieniach, a zwłaszcza we Wronkach. Natychmiast usunięto z sali publiczność i dalsza rozprawa odbywała się już przy zamkniętych drzwiach, ale działająca dotychczas „omerta” — nakaz milczenia — została przerwana i szczegóły o „systemie Wronki” przedostały się do wiadomości publicznej. W tym okresie zbiegło z kilku więzień — w tym z Wronek — wielu strażników, którzy współpracowali z Robineau i przekazywali mu, co się dzieje w polskich więzieniach. A było co przekazywać.

Utworzona przez władze więzienne hierarchia kapusiów w „systemie Wronki” składała się z kilku stopni. Pierwszym i najniższym stopniem była funkcja porządkowego czyli kalifaktora. Zadaniem porządkowego było utrzymywanie czystości na korytarzach więziennych, dyżurkach, wynoszenie i mycie kibli oraz... informowanie starszych porządkowych, co się dzieje w celach. Władzę nad porządkowymi sprawowali „starsi porządkowi”, których dobierano z więźniów odznaczających się specjalnymi cechami jak sadyzm, egoizm, brutalność oraz nienawiść do ludzi, słowem osobników wyzutych z wszelkich cech ludzkich. Starsi porządkowi korzystali z ogromnej władzy i licznych uprawnień oraz przywilejów i podlegali jedynie Wydziałowi Specjalnemu. Mieszkali oni w oddzielnych — jak na więzienie — komfortowych celach, nie zamykanych w okresie dnia. Mieli też prawo do swobodnego poruszania się po całym pawilonie. Otrzymywali — a raczej przywłaszczali sobie — wszystko, co skonfiskowano z paczek żywnościowych, optywali więc w dostatek. Pozwalano

im na szycie dla siebie i noszenie specjalnie skrojonych spodni, poszerzonych u dołu na wzór spodni marynarskich. Władze więzienne przymykały oczy na ich drobniejsze wykroczenia, gdyż usługi jakie oddawali były ogromne. Starsi porządkowi mieli też przyznane liczne ulgi, jak prawo do posiadania szachów, materiałów piśmiennych, wyboru książek w bibliotece i wiele innych. W zamian za te przywileje starsi porządkowi oddawali Wydziałowi Specjalnemu cenne usługi. Przyczynili się oni niejednemu więźniowi do otrzymania dodatkowego wyroku, a także do ujawnienia niejednej grupy konspiracyjnej, która uniknęła aresztowania wskutek twardej postawy przesłuchiwanym i była jeszcze na wolności. Ten „pomocniczy aparat wywiadowczy” Służby Bezpieczeństwa dostarczał wielu informacji, które uzyskiwał w różny sposób od więźniów. Regułą było podsłuchiwanie pod drzwiami cel, czym zajmowali się na ogół zwykli porządkowi. Najwięcej informacji uzyskiwano przez bezpośrednią inwigilację kolegów zamieszkujących tę samą celę. Podchwytliwe pytania, „polityczne” dyskusje a nawet groźby wydobywały z „rozpracowywanego” więźnia informacje, z którymi zdradzał się często zupełnie bezwiednie i przypadkowo. Ważnym czynnikiem był tu czas — prawie nieograniczony. Gdy więzień zdradził się choćby jednym nieostrożnym słówkiem — starszy porządkowy znajdował już metody, aby wycisnąć z niego więcej informacji. Starszych porządkowych bali się więc wszyscy, nie tylko więźniowie, ale także strażnicy. Donos mógł być bowiem wniesiony na każdego. Jakkolwiek starsi porządkowi podlegali formalnie biorąc jak każdy więzień zwykłym służbom więziennym z naczelnikiem więzienia na czele, lecz w istocie władzę nad nimi sprawowali „spece” i tylko im składali raporty i donosy, które były rzecz jasna ściśle poufne. Mogli więc bezpiecznie i bezkarnie sypać każdego, nie tylko kolegów więźniów ale i strażników, zwłaszcza tych, którzy okazywali więźniom pobłażliwość i ludzkie względy. W obecności starszych porządkowych strażnicy chcąc nie chcąc wykazywali szczególną gorliwość a nawet nadgorliwość, starając się okazywać wrogość do „antypaństwowców”. Starsi porządkowi myszkowali wszędzie, podsłuchiwali, prowokowali, wciągali w rozmowy i dyskusje, aby tylko zebrać materiał do raportu dla „speca”. W tym specjalnym systemie nikt nikomu nie ufał, każdy bał się każdego, nie wyłączając strażników więziennych.

Obdarzeni ogromną władzą starsi porządkowi prześcigali się w sadyzmie i okrucieństwie w stosunku do więźniów. Żaden strażnik nie ośmieliłby się im w tym przeszkodzić, przeciwnie, musiał pomagać i współdziałać, aby nie narazić się na gniew starszego porządkowego. „System” zmuszał ich do uczestnictwa w prześladowaniu więźniów nawet wówczas, gdy wewnętrznie

wzdragali się przed takim postępowaniem. Nie wszyscy strażnicy byli bowiem chętni do wykonywania poleceń Wydziału Specjalnego. Wśród strażników więziennych było wielu ludzi prawych i uczciwych, nie godzących się na nieludzkie metody „systemu”. Musieli jednak udawać. Spotkałem strażników, którzy przekonawszy się, że nie jestem jednym z elementów „systemu Wronki” nabrali do mnie zaufania i nie tylko odnosili się do mnie z sympatią, ale nawet przekazywali mi ważne informacje od mej rodziny. Byli to ludzie niewątpliwie prawi i znaleźli się we Wronkach chyba przez pomyłkę. Jednego z nich spotkałem już po wielu latach po wyjściu z więzienia. Był konduktorem pociągu na linii Poznań-Katowice. Muszę przyznać, że z przyjemnością uściślałem rękę temu człowiekowi, a w czasie podróży przyszedł do mnie do przedziału i wiele mi opowiedział o Wronkach.

Oprócz normalnego zbierania informacji i donosicielstwa starsi porządkowi — którzy nazywali siebie dumnie „informato-rami” — zajmowali się jeszcze „obróbką” i represjonowaniem więźniów, którzy przybyli do Wronek z odpowiednią adnotacją w aktach, a także wobec tych, którzy nie dali się złamać „systemowi” lub narazili się starszemu porządkowemu, np. nie słuchając jego poleceń lub urażając jego dumę bądź ambicję.

Do doraźnych metod poskramiania więźniów lub wymuszania z nich informacji należało zabranie ich do tzw. „spluczki”, pomieszczenia na końcu korytarza, gdzie znajdowała się zmywalnia kibli. W spluczce był wodociąg, wiadra i szczotki, a kij do zamykania okna łatwo dawał się wyjmować z uchwytu. Na „prośbę” starszego porządkowego, której nie wypadało odmówić, oddziałowy otwierał odpowiednią celę i wywoływał więźnia przeznaczonego do obróbki, a następnie prowadził go do spluczki i przekazywał w ręce starszych porządkowych. Po zamknięciu drzwi do spluczki kilku starszych porządkowych sprawiało delikwentowi nieludzkie bicie. Oprócz pięści i trepów do bicia służył drąg do zamykania okna. Stosowano też „przytapienie” delikwenta w wiaderku z wodą. Dwaj starsi porządkowi trzymali delikwenta dostatecznie mocno, a trzeci zanurzał mu głowę w wiadrze z wodą i trzymał tak długo, aż ten zaczął się krztusić i dusić. Gdy starsi porządkowi zmęczeni się obróbką, katowany więzień musiał przyrzec, że po powrocie do celi nie zdradzi, co go spotkało i od kogo. Każdy dotrzymywał tego zobowiązania i nie puszczał pary z ust, gdyż za złamanie obietnicy czekała go jeszcze gorsza „obróbka”.

Niektórych więźniów, którzy przyjechali do Wronek z odpowiednią adnotacją lub „podpadali”, umieszczano w specjalnej celi w towarzystwie jednego lub kilku kapusiów — najczęściej

starszych porządkowych — na wiele tygodni. Więzień umieszczony w takiej celi był stale narażony na presję fizyczną i psychiczną. Musiał on być stale w stanie wewnętrznej czujności i strachu, że się do niego „wezmą”. Nie miał spokoju ani w dzień ani w nocy. Szykany, złośliwości, „kocówki” i „rower” a nawet groźenie biciem stosowane przez długi czas mogło złamać nawet bardzo silnego człowieka, zwłaszcza że miał on w perspektywie wieloletnią odsiadkę. Starsi porządkowi mieli dużo czasu na znęcanie się nad więźniem, a oddziałowi polecenie aby nie przeszkadzać. Te wszystkie metody wyjawiał na rozprawie sądowej Robineau. Władze bezpieczeństwa zareagowały na tę kompromitację likwidując instytucję „starszych porządkowych”. W ciągu jednego dnia kaci własnych kolegów zostali pozbawieni nieograniczonej władzy i zamknięci w specjalnych celach. Pozbawiono ich prawa swobodnego poruszania się po pawilonie więziennym. Cieszyli się jednak nadal szeregiem przywilejów i poparciem władzy, zwłaszcza Wydziału Specjalnego, który teraz zaczął ich wykorzystywać tylko do „rozpracowywania” nowo przybyłych więźniów i inwigilacji i obserwacji innych. Nowo przybyli więźniowie, nie znający jeszcze „systemu Wronki”, zostawali umieszczeni w celi z kilku starszymi porządkowymi i nawet nie przypuszczali, z jakimi „miłymi” kolegami przychodzi im dzielić celę. Wprawdzie zaprzestano stosowania tak drastycznych metod jak dawniej, lecz „rozpracowywanie” więźniów odbywało się nadal metodami wkradania się w zaufanie nowego więźnia, kolegowania się z nim czy wręcz prowokacji, aby potem złożyć „specowi” odpowiedni raport. Nowicjusz ani się obejrzał, jak wzywano go do raportu karnego i nie wiedział nawet, za co ładował na 48 godzin w karcu, na pojedynce lub w pawilonie II, gdzie zajmowali się nim odpowiednio „troskliwie” strażnicy.

Najcięższym okresem we Wronkach były lata od zakończenia II wojny światowej aż do roku 1953. W tym czasie wielu więźniów zmarło na gruźlicę, która powszechnie panowała w więzieniu. Niektórych zakatowali starsi porządkowi w okresie swej władzy w więzieniu. Były też przypadki samobójstw ludzi, którzy nie wytrzymali tych nieludzkich warunków. W roku 1951 miał miejsce akt samobójstwa. Przebywałem wówczas w Pawilonie I skrzydła „B” w celi 271. Pewnego letniego popołudnia, gdy w całym pawilonie panowała poobiednia cisza, dał się słyszeć na korytarzu prędko tupot trepów i krzyki „Stójcie!!!”, „Stać!!!”, „Nie!!!”. Na kilka sekund zapadła cisza, a potem rozległo się tępe, głuche uderzenie ciężkiego ciała spadającego z wysokości na kamienną posadzkę. Natychmiast odezwało się gwałtowne dzwonienie z „ambony”, potem odgłos szybkich kro-

ków, głośne rozmowy, gwałtowne głosy. To jeden z więźniów przebywających na izolatce w skrzydle „D” zakończył ostatecznie odsiadanie wyroku.

Jakkolwiek wszędzie w pawilonach były siatki zabezpieczające przed desperackim skokiem z wysokości, lecz w miejscu gdzie łączyły się cztery skrzydła pawilonu założenie siatek było niemożliwe ze względów konstrukcyjnych. To właśnie miejsce wybrał zdesperowany człowiek. Nie wiem jak wydostał się z celi, prawdopodobnie zawezwał oddziałowego i gdy ten otworzył celę i wypuścił go na korytarz, podbiegł do balustrady i skoczył w dół. Upadek z wysokości czwartego piętra na kamienną posadzkę mógł mieć tylko jeden finał.

Przypuszczam, że przypadków samobójstw było znacznie więcej, lecz były one skrzętnie ukrywane przez władze więzienne.

Dużo więźniów umierało na gruźlicę, gdyż choroba ta nie kwalifikowała do urlopu lub złagodzenia kary. Chorych na gruźlicę izolowano od reszty umieszczając ich w III pawilonie. Jakkolwiek w tym pawilonie był mniejszy rygor i jedzenie nieco lepsze a spacer dłuższy, każdy bał się przeniesienia na III Pawilon, uważając że będzie to jego ostatnia droga. Trudno bowiem liczyć, że w warunkach więziennych wyleczy gruźlicę. Nowe skuteczne lekarstwo, jakim był PAS, było trudno dostępne nawet na wolności, a co dopiero w więzieniu. Aby uniknąć szerzenia się choroby, więźniowie byli poddawani okresowemu badaniu rentgenograficznemu. W niedługim czasie po przyjeździe do Wronek zabrano wszystkich z naszej celi do badania rentgenowskiego. Gdy wróciliśmy do celi, każdy odetchnął z ulgą — „jeszcze nie”. Tylko jeden z nas, czterdziestoletni człowiek pochodzący z kresów wschodnich, po powrocie do celi był jakiś zmieszany i zmieniony na twarzy.

„Chłopcy, idę na trzeci pawilon. Mam dziury w płucach” — wykrztusił z siebie. Patrzył na nas oczyma pełnymi smutku. „A tak się chciało powrócić do żony i dzieci” — wyszeptał cicho i rozplakał się. Z jego wielkich czarnych oczu płynęły łzy. Miał wyrok 15 lat więzienia, z czego odsiedział dopiero trzy, pozostawało więc dwanaście lat do odsiadki. Wiedział, że z gruźlicą w płucach nie ma już szans. Niedługo potem przyszedł oddziałowy i zabrał go na trzeci pawilon. Wyszedł z celi zgarbiony, z rozpaczą w oczach, powłócząc nogami. Nie spotkałem go już nigdy.

Nawet ci więźniowie, którzy uniknęli gruźlicy, wytrzymali karce i szykany, opuszczali więzienie z trwałym piętnem na psychice. Mnie również to nie ominęło. „System Wronki” odcisnął w mej podświadomości trwałe piętno. W roku 1952 moja rodzina

i moi koledzy ze studiów podjęli wiele starań o me uwolnienie. Zostały one uwieńczone powodzeniem. Prezydent Bierut aktem łaski zmniejszył wysokość mej kary o połowę. Pozostało mi więc niewiele miesięcy do odsiadki. W tym też czasie zostałem zatrudniony w warsztatach więziennych w galwanizerni, więc czas upływał mi szybciej. Nadszedł wreszcie dzień, w którym miałem opuścić więzienne mury. Tego dnia nie poszedłem do pracy, lecz pozostałem w celi sam. Naprzeciw okna tej celi była wysoka wieża z zegarem, który odmierzał każdy upływający kwadrans dzwicznym uderzeniem. Sądziłem, że po śniadaniu zabiorą mnie z celi, aby dokonać formalności związanych ze zwolnieniem. Nic się jednak nie działo. Nikt po mnie nie przychodził. Nastąpiła pora obiadowa. Kalifaktorzy przynieśli zupełną ciszę i znowu zostałem sam. Nastąpiła cisza poobiednia i tylko zegar wybijał kwadransy i godziny. Zaczął mnie ogarniać niepokój, w miarę upływu czasu coraz większy. Słyszałem bowiem, iż zdarzało się że na więźnia który opuszczał więzienie czekała za bramą karetka więzienna i kilku cywilów, którzy odwozili „zwolnionego” ponownie do piwnic U.B. lub do innego więzienia, gdzie siedział dalej bez wyroku i określenia czasu odsiadki. Niepokój mój rósł coraz bardziej. Późnym popołudniem nie wytrzymałem nerwowo i pociągnąłem za „kłapę” — sygnał wzywający oddziałowego. Przyszedł natychmiast i otworzył drzwi celi. Zwróciłem się do niego z zapytaniem, dlaczego mnie nie wypuszczają, przecież dzisiaj wychodzę. Oddziałowy roześmiał się głośno: „Na to właśnie czekaliśmy — no chodźcie”. Oddziałowy zaprowadził mnie do łaźni, potem do magazynu, gdzie odebrałem swoje „cywilne” ubranie i przebrany powędrowałem do kancelarii, w której wydano mi akt zwolnienia, zwrócono dokumenty i pieniądze. Musiałem też podpisać zobowiązanie, że pod sankcją karną nie ujawnię niczego, co widziałem w więzieniu. Wreszcie czarne wrota więzienia otwarły się przede mną ku wolności. Ten pozornie błahy incydent — przetrzymanie w celi przed zwolnieniem — spowodował powstanie trwałego urazu w podświadomości. Przez kilkanaście lat po opuszczeniu więzienia niemal co noc miałem męczący sen: oto nadszedł dzień zwolnienia z więzienia, ale ciągle piętrzą się jakieś trudności i przeszkody. Naczelnik potwierdza, że termin odsiadki już upłynął, ale... Wysyłam listy do rodziny, aby mnie ratowali, proszę o ratunek na widzeniach, wszystkim na nic — ciągle nie mogę opuścić więzienia. Ten sen był zawsze bardzo męczący i ciągle się powtarzał. Dopiero po kilkunastu latach przestał mi się śnić.

Jak silnie „system Wronki” oddziaływał na podświadomość człowieka może wskazać jeszcze jeden przykład. Osiem lat po wyjś-

ciu z więzienia pracowałem w laboratorium badawczym w Gliwicach. Siedziałem akurat w gabinecie mego kierownika, gdzie omawialiśmy jakiś problem techniczny. Nagle w przestronnym korytarzu przylegającym do gabinetu kierownika dał się słyszeć głośny okrzyk — wołano jakiegoś pracownika do telefonu. Wołanie to odbiło się głośnym echem w korytarzu, przypominając do złudzenia okrzyk komendanta pawilonu w więzieniu we Wronkach: „Oddziały bacznosc”. Ku zdumieniu mego kierownika zerwałem się z krzesła i... stanąłem twarzą do ściany. Był to odruch warunkowy zakodowany w podświadomości w okresie pobytu we Wronkach. Taki odruch powstaje u tresowanego zwierzęcia, które na trzask bata tresera przeskakuje przez płonącą obręcz. Fakty te świadczą, jak ów „system Wronki” odcisnął się silnie trwałym piętnem na psychice i podświadomości człowieka i piętno to pozostanie w nim aż do końca życia, nawet wówczas gdy nie zdaje on sobie sprawy z jego głęboko ukrytego istnienia. Ludzie którzy przeżyli Wronki są trwale okaleczeni, choć ich kalectwo nie jest bezpośrednio widoczne.

Epilog

Gdy opuściłem bramy więzienia, czekała na mnie Matka. Rzuciliśmy się sobie w objęcia i potem poszliśmy drogą w kierunku miasteczka Wronki i stacji kolejowej. Było ciepłe i pogodne sierpniowe popołudnie. Doznałem wówczas dziwnego wrażenia. Przez cały czas pobytu w więzieniu nie widziałem barw, tylko szarą powierzchnię dziedzińca więziennego, czerwono-szarą cegłę, z której zbudowano mury i budynki więzienne i czarne drzwi celi. Teraz otaczała mnie feeria kolorów. Mój wzrok biegał jak oszalały, chłonąc barwne otoczenie. Każdy drobiazg był czymś nowym, każda barwa przykuwała uwagę. Wrażenie kolorów spotęgowało się, gdy będąc już na stacji kolejowej, spoglądałem na czerwone, żółte i zielone światła sygnałów, jaskrawo błyszczących na tle ciemno granatowego nieba. Usiadłem wraz z moją Matką na ławeczce na peronie przed budynkiem stacji „Wronki” i czekaliśmy na pociąg. Wreszcie zajęchał i wsiedliśmy do wagonu, zajmując miejsca w przedziale. Pociąg zwolna ruszył, monotonnie stukając kołami o złącza szyn.

Zygmunt POCIECHA

WARSZAWSKIE WSPOMNIENIA MIKOŁAJA AWENARIUSA

Niewiele zachowało się, a może i niewiele powstało, dokumentów tego rodzaju. Rosjanie, wysłani na służbę do Priwisłan-skiego Kraju w końcu zeszłego stulecia, unikali notatek. Ślady ich działalności były zwykle — niestety — innego rodzaju, niż zapisane atramentem kartki. Dlatego warszawskie wspomnienia Mikołaja Awenariusza są znaleziskiem rzadkim, choć nie dosyć — jakbyśmy chcieli — demaskatorskim. Ich autor — dwadzieścia lat na wysokim stanowisku w warszawskiej szkole — nie pomaga w utrwalaniu karykaturalnego obrazu rosyjskiego czy-nownika. Wydaje się raczej jednym z Rosjan oświeconych, choć owładniętych misją poskromienia polskich nieprawomyślności i naprawienia tamtejszych obyczajów, które po prostu go drażnią.

Nie jest opętany żądzą niszczenia polskiej kultury, ale obowiązki swoje wykonuje sumiennie i poświęca pracy wiele czasu. Wspomina z dumą, że jako pierwszy w 1867 roku wprowadził rosyjski język jako język wykładowy dla wszystkich przedmiotów w szkole. Polską bibliotekę, a więc skład książek zakazanych, bezzwłocznie odesłał do Petersburga. Pozwalał nauczycieli Polaków, którzy w jakikolwiek sposób związani byli z powstaniem. Ale to były rutynowe czynności.

Zwolennik działania w aksamitnych rękawiczkach (przeciw-stawia je uchwytowi żelaznej ręki), wyłożył dość dokładnie korzyści płynące z tej formy panowania. Nie można odmówić mu bystrości umysłu i odrobiny próżności, gdy chęłpi się medalem za pomoc w stłumieniu niedawnego polskiego buntu.

Napisane w 1885 roku wspomnienia Mikołaja Awenariusza opublikował *Istoriczeskiej Wiestnik* po 19 latach.

Mikołaj Awenariusz urodził się 31 sierpnia 1834 roku w Car-skim Siole. Syn luterańskiego pastora podstawowe wykształcenie otrzymał w przykościelnej szkole swego ojca. Następnie uczył się w V i III Gimnazjum Petersburskim. Ukończywszy tam kurs historyczno-filologiczny, otrzymał posadę wykładowcy języka niemieckiego i historii w II Gimnazjum petersburskim. Swoim talentem pedagogicznym zwrócić miał na siebie uwagę ministerstwa oświaty narodowej, gdzie opracowywano projekt powszechnego nauczania. Wkrótce włączono Awenariusza do komi-

tetu naukowego ministerstwa i wysłano do Niemiec i Szwajcarii, by zaznajomił się z tamtejszymi seminariami nauczycielskimi. Po powrocie do Rosji, jesienią 1863 roku, zajął się organizacją pierwszego seminarium nauczycielskiego w Północno-zachodnim Kraju, a zaraz potem zorganizował podobne seminarium dla wojskowego dowództwa w Moskwie. W konsekwencji zaproponowano mu stanowisko inspektora w warszawskim Aleksandryjsko-Maryjskim Instytucie dla Dziewcząt.

Istoriczeskij Wiestnik tak to komentuje: „Zbiegło się to z polskim powstaniem narodowym lat sześćdziesiątych, przeto dla wprowadzenia rosyjskich wytycznych w warszawskim instytucie, na wskroś przepełnionym polskim duchem, trzeba było wykazać się wielką energią i nie mniejszym taktem. Sytuacja wymagała tego od nowej dyrektorki instytutu (A.I. Sluczewskiej, matki poety K.K. Sluczewskiego) i nowego inspektora”.

Temu okresowi poświęcone są notatki Awenariususa. Po dwudziestu latach w Warszawie przeszedł na podobne stanowisko w Instytucie Białostockim, a piętnaście lat później, ze względu na zły stan zdrowia, ostatecznie opuścił służbę.

Gdy był młody, zajmowała go przede wszystkim historia, w wieku dojrzałym archeologia. W czasie letnich wakacji pisał liczne naukowe rozprawy z tych dziedzin, a także kierował pracami wykopaliskowymi w setkach starożytnych kurhanów i kamiennych mogił w guberni grodzieńskiej, mińskiej i połtawskiej. Szczególnie udane były prace wykopaliskowe w Drohiczynie, gdzie udało się wydobyć ponad dwa tysiące starożytnych przedmiotów.

Po przejściu na emeryturę, Mikołaj Piotrowicz żył jeszcze zaledwie 3 lata. Zmarł 3 czerwca 1903 roku w Kownie.

„Dobra pamięć o nim, jako o człowieku nie tylko prawdziwie oddanym swojej pracy, lecz także prawym i serdecznym, na zawsze przetrwała wśród większości jego byłych wychowanków i współpracowników” — tak konkluduje *Istoriczeskij Wiestnik*.

Wstęp do wspomnień

Dwadzieścia jeden lat w Warszawie! Czy rozumiecie, panowie, co to znaczy? Nie, nie rozumiecie, bo nikt ze śmiertelników nie spędził tylu lat w Warszawie na jednym i tym samym stanowisku, nikt, oprócz mnie. Dla Polaka Warszawa to raj, droga do szczęścia, dla Rosjanina — stacja w długiej drodze. Przyjechać, splunąć i zmykać, albo przyjechać na pięć lat po to, żeby dostać dobrą emeryturę, i też uciekać. Przed moimi oczami

przedefilował niekończący się tłum rosyjskich karierowiczów, którzy nieraz opuszczali to miasto rozczarowani, a nawet zrozpaczeni. Niektórzy, dosłużwszy się emerytury, zostawali jednak w Warszawie jedynie po to, żeby zakończyć edukację dzieci.

To prawda, jest jeszcze pięciu, sześciu starszków, samotnych albo ożenionych z Polkami, którzy dawno rzuciwszy służbę, zapomnieli swoją ojczyznę. Ale to tylko nieliczni. Tłum raczej tylko zaglądał do Warszawy i nie wspomniawszy jej dobrym słowem, znowu wsiadał do wagonu.

Przyjechałem tam będąc młodym człowiekiem, pełnym nadziei. Przyjechałem na krótko, najwyżej na dwa lata. Chcę zapisać to, co widziałem i co przeżyłem, zanim ulotni się z mojej pamięci.

Przyjazd do Warszawy

7 października 1864 roku otrzymałem depezę od Fiodora Fiodorowicza Witte, naczelnego dyrektora rządowej komisji do spraw oświaty w Królestwie Polskim, w której zawiadamiano mnie, że zostałem zatwierdzony na stanowisko inspektora klas Warszawskiego Instytutu Aleksandryjsko-Maryjskiego i nakazywano natychmiastowy przyjazd. Tego samego dnia sprzedałem za bezcen całe swoje gospodarstwo i nazajutrz wyjechałem z Moskwy. 15 października przyjechałem do Warszawy.

Jak dziś pamiętam moment przybycia. Pogoda była okropna. Deszcz nie lał, lecz dosłownie chlustał na wszystkie strony. Dzieci pięciomiesięczne i dwu i półroczne padały ze zmęczenia. Mój starszy brat, Jakow, zapakował nas do przedpotopowej warszawskiej dorożki i zawiózł do miasta. Nie istniał jeszcze kamienny most i trzeba było przeprowić się mostem pontonowym, prowadzącym na ulicę Bednarską i dalej Krakowskim Przedmieściem. W miejscu, gdzie dzisiaj jest skwer, były mroczne zaułki i stare domy. Na pierwszy rzut oka Warszawa wywarła na nas niekorzystne wrażenie. Zatrzymaliśmy się w Hotelu Saskim przy ulicy Koziej, słynnej z ciemności i straszliwego stanu jezdni.

Fiodor Fiodorowicz Witte

Fiodor Fiodorowicz Witte był Łotyszem, synem prostego leśnika. Opowiadano o nim, że swoją karierę zawdzięczał hrabiemu Nesselrode. Pewnego razu hrabia goszcząc jakiś czas w Kurlandii, uczestniczył w chrzcie syna leśnika, a potem obiecał

go wychować. Tym dzieckiem miał być Fiodor Fiodorowicz. Nie wiem, czy to prawda, faktem jest natomiast, że Fiodor Fiodorowicz wstąpił do Instytutu Pedagogicznego i bardzo dobrze się uczył.

Powierzchność Wittego nie była zbyt reprezentacyjna. Niewysoki, o polskiej, dziobatej twarzy, miał małe wąskie oczy i wystające kości policzkowe, które podkreślały jeszcze jego łotewsko-fińskie pochodzenie. W tym momencie nie mogę się powstrzymać, by nie przypomnieć pewnego zabawnego zdarzenia. Otóż mój brat, Jakow, na przyjęciu u księcia Berga wziął go za lokaja i poprosił go o szklankę herbaty. I kiedy Witte zrobiwszy minę wzruszył ramionami, mój brat powtórzył rozmówienie jeszcze bardziej kategorycznym tonem. Wtedy Fiodor Fiodorowicz odwrócił się do niego przodem i pokazał wyorderowaną pierś.

Ale kiedy Witte zaczynał mówić, zapominało się o jego nieszczęsnej fizjonomii. Nigdy nie spotkałem podobnego krasomówcy. Mógł mówić zawsze i o wszystkim z pasją, zapalem i entuzjazmem. Słuchając go wiele razy, przekonałem się, że nie był aktorem, jak wielu mówiło o nim, ale że w danej chwili wkładał w to, co mówił, całą swoją duszę, bez względu na temat jaki podejmował. Dar słowa był jego główną siłą i posługiwał się nim nader rozrzutnie. Temu talentowi zawdzięczał zresztą swoją karierę. Bo chociaż nie można mu było odmówić rozumu, nie przewyższał nim wszak w sposób szczególny wielu innych ze swojego otoczenia.

Witte był nie tylko elokwentnym i zręcznym człowiekiem, to był także człowiek o dobrym sercu, człowiek całkowicie oddany sprawie. Cudzoziemiec z pochodzenia wiernie służył Rosji i rzeczywiście przysłużył się rosyjskiej sprawie w Przewiślańskim Kraju. Wszystkie ważniejsze reformy w dziedzinie nauczania weszły w życie za jego kadencji i przy jego dużym udziale. Chociaż powtarzane często przez niego powiedzenie o rosyjskim znamieniu wywoływało niekiedy uśmieszki, ale on w to znamię wierzył i opowiadał się za nim.

Namiestnik, hrabia Fiodor Fiodorowicz Berg

Hrabia Berg nie był kondotierem ani awanturnikiem wysokiej klasy. Był człowiekiem władcym, wyrastającym ponad otaczających go przyjaciół i wrogów. Zarzucano mu samouwielbienie, a zarazem przyznawano, że ma dar zjednywania sobie ludzi. Był sprytny, ale to był spryt nietuzinkowy.

Dyrektor piotrowskiego gimnazjum, Solencew, opowiadał mi

takie zdarzenie. Pewnego dnia Berg przyjechał do Piotrkowa na wizytację. Wchodzi w towarzystwie gubernatora i dyrektora do klasy przerobionej z klasztornej celi ze sklepieniami, niebielonymi ścianami, ze starymi, niemalowanymi i zniszczonymi stołami. Dyrektor trochę za długo przeprasza, że gimnazjum dopiero co powstało, że meble dostali w spadku po mnichach itd. Berg nie odzywa się ani słowem, stoi przez kilka minut z opuszczoną głową, potem zwraca się do uczniów z następującą przemową:

— Czy wiecie, że wasza klasa przypomina mi najpiękniejsze chwile mojego życia. 60 lat temu uczyłem się w szkole, także przerobionej z klasztoru. Wystrój sali był równie skromny, nawet biedny. Stoły były równie zniszczone i pocięte. Ale to wszystko nie przeszkadzało nam kochać naukę i nasz zakład naukowy. Mam nadzieję, że i wy, jeśli bóg wam pozwoli dożyć moich lat, z takim samym szacunkiem i z taką miłością będziecie wspominać szkołę, która otworzyła wam drogę na świat i zrobiła z was dobrych ludzi.

Efekt tych słów, mówił dyrektor, był porażający. Uczniowie, Polacy, wyrażali się odtąd o Bergu w słowach najwyższego zachwytu.

Ale — *Amicus Plato, sed major amica veritas*. Nie mogę przemilczeć i innej historii, przedstawiającej Berga z negatywnej strony. Zresztą, kto jej nie posiada?

Pewnego razu lubelski gubernator donosi Bergowi o następującym zdarzeniu. Na jakimś wieczorze, gdzie opowiadano o słynnym zamachu Berezowskiego, pewien obywatel ziemski, Polak, powiedział:

— Panowie, kiedy byłem jeszcze chłopcem, ojciec wziął mnie ze sobą na polowanie. Mierzyłem do zająca i chybiłem. Pamiętam, że ojciec dał mi wówczas w skórę, mówiąc: nie waż się więcej spudłować.

— Co z tego wynika, pytają inni.

— A to, odpowiedział, że jeżeli mnie zbito, Berezowskiego należy powiesić.

Namiestnik Berg zarządził — opowiada gubernator — by „posadzić tego bałwana na trzy dni do aresztu”.

Oto jeden fakt, teraz zestawcie go z innym. Kilka dni temu byłem z żoną u naszego dobrego znajomego, pułkownika Simonowa. W pewnej chwili wchodzi jego adiutant, kapitan Korganow i mówi:

— Proszę mi wybaczyć, Aleksandrze Iwanowiczu, jutro jadę do Taszkientu.

— Co takiego?

— Z rozkazu namiestnika.

O co chodziło. Otóż, jak każdego ranka, hrabia Berg przejeżdżał przez Krakowskie Przedmieście z konwojem kozaków kubańskich. Wszyscy, jak to było w zwyczaju, zdejmowali czapki. Jeden tylko, rzeczywisty radca stanu, Nieratow, który dopiero co przyjechał z Warszawy, nie zdjął czapki, nie znając tutejszych obyczajów. Kozak poczęstował go za to nahajką po twarzy. Podczas obiadu w klubie rozmawiano o tym zdarzeniu. Karganow miał nieostrożność nazwać hrabiego dalajlamą i w ciągu dwóch godzin dostał rozkaz wyjazdu do Taszkientu. I tak w jednym przypadku trzy dni aresztu, w drugim — Taszkient! Istotnie, pycha była słabą stroną hrabiego Berga.

Oficjalnie Berg nie miał dzieci, faktycznie miał jedną nieślubną córkę, którą wydał za generała Lachnickiego. Żona Berga, Włoszka, była dziesięć lat starsza od niego. Kupił ją podobno od jej pierwszego męża. Poznałem ją już jako niedołążną staruszkę. Już prawie nic nie widziała i nie słyszała. Opowiadano, że któregoś dnia podczas dnia przyjęć, odwiedził ją arcybiskup Joannikij. Podszedł do jej krzesła, przywitał się po rosyjsku. Odpowiedziała mu kilkoma zdaniami po francusku, a kiedy arcybiskup odszedł, spytała siedzącego obok sąsiada:

— Z jaką to damą miałam przyjemność mówić?

Joannikij miał wyjątkowo długą brodę.

Kiedy dotarła do Warszawy wiadomość o śmierci Berga w Petersburgu, cała jego służba rozpierzchła się. Nieszczęsna żona, staruszka, została sama. Gdyby nie nauczyciel języka francuskiego, Połański, uczący dzieci generałowej Lachnickiej, której nie było wówczas w Warszawie, nie byłoby komu spełnić ostatniej posługi wobec żony wszechmocnego namiestnika Królestwa.

Arcybiskup Joannikij

Był dobrym staruszkciem. Łagodny i przyjazny, w razie potrzeby umiał się także postawić. Gdy pewnego razu w czasie arcybiskupiej posługi kilku generałów pozwoliło sobie na rozmowy w cerkwi, palnął im taką mowę, że dobrze go zapamiętali.

Przy okazji Joannikija przypominam sobie pewną rozmowę obrazującą stosunek Polaków do Rosjan. Kiedy oznajmiono o jego śmierci, pewien Polak powiedział do mnie:

— Wydaje się, że to był wspaniały człowiek.

— A dlaczego Pan tak myśli?

— Widzi Pan, on był Rosjaninem, przeżył wiele lat w Warszawie, a jego nazwiska nigdy nie wymieniano w społeczności polskiej. To najlepszy znak.

Inni urzędnicy w Priwisańskim Kraju

Ledwo Milutin zszedł ze sceny, powiem dokładniej, w samym momencie odsunięcia go od koryta, jego system rozpadł się w pył i proch. Kiedy dowiedziano się w Warszawie o ogarniającej go nieuleczalnej chorobie, członkowie komitetu ustawodawczego postanowili odprawić na intencję jego zdrowia uroczyste nabożeństwo. Niezdecydowany starzec, Joannikij, zwrócił się z pytaniem do Berga: odprawić nabożeństwo czy go nie odprawić. Odpowiedź brzmiała: nie odprawić. I tak pomału, pomału zwolennicy Milutina zaczęli przechodzić do innego obozu. Sołowiew, Koszalew, Braunschweig i inni ich pomocnicy jeszcze przez jakiś czas próbowali kontynuować zaczęta przez niego pracę, ale i oni, rozczarowani, zaczęli z czasem odchodzić i zostawiali system milutinowski na pastwę losu.

Uczciwość rosyjskiego urzędnika polegała na bezwzględny posłuszeństwie. „My nie jesteśmy tu po to, żeby myśleć, od tego mamy swoich zwierzchników” — mówili. Smutno i wstrętne przypominać metamorfozy, których byłem świadkiem. Większość jednak nie znała innego sposobu rządzenia poza trzymaniem krótko, w uchwycie żelaznej ręki.

Posługiwaliśmy się tą metodą w naszych dalszych kontaktach ze wschodnimi sąsiadami. Nic błędniejszego. Z Polakami nie wolno postępować w ten sposób. Należy obchodzić się z nimi w aksamitnych rękawiczkach. Żelazne jedynie ranią, aksamitnymi możesz pogłaskać, popieścić, a przy tym weźmiesz wszystko, czego ci potrzeba. Ja sam niezliczoną ilość razy przekonałem się jak użyteczne mogą być aksamitne rękawiczki. Trzeba umieć postępować zdecydowanie, stawiać na swoim kategorycznie, w razie potrzeby odmówić, albo nakazać, ale wszystko to nie zdejmując aksamitnych rękawiczek. Uchwyt żelaznej ręki przynosi tylko ból, pożytku zeń niewiele.

*Dyrektorka Warszawskiego Instytutu,
Andżelika Pawłowna Sluczewska*

Pora wszakże, w moim opowiadaniu, przejść już do dziejów mojej pracy. W wyznaczonym dniu Witte zawiózł mnie do Instytutu, aby przedstawić mnie współpracownikom i wychowankom zebranych w wielkiej sali wykładowej. Przy tej okazji, tak jak i zawsze przez pierwsze lata, Witte mówił po francusku, nie chcąc ryzykować mówienia po rosyjsku do Polaków. Następnie, na odjezdnym, polecił mi w miarę możliwości jak naj-

szybciej przedstawić projekt przeorganizowania Instytutu. Jednakże gdyby nie niezapomniana Andżelika Pawłowna, nie tylko nie udałooby się wykonać tej pracy, ale — jak sądzę — szybko uciekłbym z Warszawy, tak jak uczyniło to wielu innych. Jej przeto pragnę poświęcić ten fragment moich wspomnień.

Andżelika Pawłowna była córką witebskiego właściciela ziemskiego, Zaremby, Polaka, lecz protestanta. Choć matka Andżeliki Pawłownej była wyznania prawosławnego, ona i jej bracia zostali ochrzczeni według obrządku reformowanego. Wyszedłszy za mąż za członka rady ministra finansów, brata senatora Słuczewskiego, Andżelika Pawłowna, kobieta niezwyklej urody, znalazła się w centrum ówczesnego petersburskiego *beau monde*. Na jej cześć pisano wiersze i układano pieśni, adorowano ją i płażczono się przed nią, słowem wszystko sprzyjało temu, by piękna dama poczuła zawrót głowy. Ona jednak była wierną, oddaną żoną starego męża, wzorową matką dla swoich dzieci, a przy tym znajdowała czas, aby czytać poważne książki i uzupełniać swoje powierzchowne wykształcenie. Po śmierci męża, który pozostawił nieznaczne zasoby finansowe, Andżelika Pawłowna przystąpiła do budowy domu, chcąc zapewnić przyszłość swoim dzieciom. Suma, jaką dysponowała, okazała się niewystarczająca: najpierw zaciągnęła kredyt, potem — gdy i tych pieniędzy było za mało — zwróciła się do swej przyjaciółki, hrabiny Tołstojowej, z prośbą o wyszukanie posady państwowej. W tym okresie było wolne miejsce w Warszawie, poprzednia dyrektorka została właśnie zwolniona. Andżelikę Pawłowną mianowano dyrektorką Instytutu w lipcu 1864 roku.

Oprócz wrodzonej mądrości i niezwykłego taktu, Andżelika Pawłowna miała jeszcze jeden wyjątkowo istotny atut — nie będąc katoliczką ani prawosławną, nie była zmuszona przystawać do któregoś z wrogich obozów. Poza tym dobrze mówiła po polsku i nie chciała łamać charakterów tych, z którymi przyszło jej pracować. Według mnie, znakomicie wiedziała co robić jeszcze zanim ja przyjechałem, aczkolwiek nie podejmowała żadnych kroków do czasu aż zostałem mianowany.

Mój debiut w warszawskim Instytucie

Do chwili mojej nominacji, w warszawskim Instytucie od czasu jego powstania w 1862 roku nie było inspektora. Gmach Instytutu zbudowano w 1853 roku z przeznaczeniem na męskie gimnazjum dla szlacheckich synów. W 1862 większość uczniów i nauczycieli przyłączyła się do powstańczych oddziałów, wówczas Instytut zamknięto. Wkrótce w tym samym budynku otwarto

Aleksandryjsko-Maryjski Instytut dla Panien w skład którego weszły kadry nauczycielskie Aleksandryjskiego Instytutu w Puławach i tak zwanej Maryjskiej Pensji w Warszawie. Przywieziono uczennice i rzeczy, wyznaczono naczelnika — fanatyka, zarząd ogólny nad zakładem powierzono księdzu Jakubowskiemu. Tak więc wśród nieporządków, jakie zachodziły w kraju, nikt nie martwił się o instytut, aż do chwili gdy zaczęto tam dość gwałtownie nawracać prawosławne uczennice na katolicyzm. Dopiero to zaniepokoiło nowe kierownictwo.

A teraz o moim debiucie. Na wstępie Andżelika Pawłowna uprzedziła mnie, że nie zajmowała się jeszcze sprawami nauczania, ale wielkie rozprężenie widoczne było w zakładzie gołym okiem, podobnie jak zadziwiające sprzeczności. Zaiste fenomenalne. Nauczyciele przychodzili do Instytutu w czasie wolnym od swoich stałych zajęć, nie mając pojęcia ile lekcji mają poszczególne klasy. Z rozkładu wynikało, że klasa jednego dnia ma trzy lekcje, drugiego pięć, trzeciego cztery albo dwie. Samych nazw przedmiotów nie rozumiałem, gdyż pisano je po polsku.

Zacząłem obchód klas. Wchodziłem i pytałem nauczycieli jaki przedmiot wykładają. Odpowiadali mi po polsku, a gdy nie rozumiałem, dodawali francuską nazwę przedmiotu. Z samego wykładu nie rozumiałem ani słowa. Zwołałem przeto zebranie wykładowców. Rozpocząłem je w języku francuskim, potem jednak zapytałem uczestników, gdzie zdobywali wykształcenie. Okazało się, że w Petersburgu, Moskwie, Kijowie. Wszyscy oprócz matematyka uczyli się w Rosji, a jeden z nich, wykładowca historii Polski, na dodatek spędził dziesięć lat na zesłaniu na Syberii.

— Panowie, powiedziałem wówczas, przechodząc już z francuskiego na rosyjski — po co mamy grać tę komedię? Przecież wszyscy znakomicie mówimy po rosyjsku. Od tej chwili będziemy rozmawiać po rosyjsku i uczennice jakoś nas zrozumieją, a jeżeli czegoś nie rozumieją, przełożę im to na francuski lub niemiecki.

Wrzód pękł od razu. Po raz pierwszy od założenia Instytutu Polacy przemówili w zniechęconym języku rosyjskim, a przemówiwszy raz, przestali się już krępować. Następnie ułożyli nowy plan lekcji i objaśnili zestaw przedmiotów. Słynna „nauka moralności” okazała się ni mniej ni więcej jak czytaniem ultrapatriotycznych książek znanej pisarki Tańskiej, wychowawczyni w domu Czartoryskich. Być może czytano także coś bardziej radykalnego, ale nie udało mi się tego ustalić. Historia Rosji w ogóle nie była uwzględniana, za to tym bardziej szczegółowo uczono historii Polski, którą wykladał, jak już pisałem, były katorżnik Grochowski.

— A kto wykłada język rosyjski?

— *C'est moi!* — odpowiedziała jedna z dam.

W toku dalszej rozmowy okazuje się, że owa dama, madame Dinsart, nie umie mówić po rosyjsku.

— Jakże pani może zajmować się wraz z dziećmi przedmiotem, którego pani nie zna?

— Ach, widzi pan, język rosyjski nie jest obowiązkowy, ja dostaję tylko 140 rubli gaży, a mąż mój to taki zasłużony człowiek.

Ów zasłużony człowiek, w dzień po objęciu przeze mnie obowiązków, został karnie wysłany za granicę, okazało się bowiem, że jest emisariuszem politycznym.

Z nauczycieli tylko wykładowca matematyki nie znał ani słowa po rosyjsku. Był to właściciel ziemski, którego majątek został skonfiskowany za udział w powstaniu. Za te zasługi Witte dał mu miejsce w Instytucie. Wspaniały był to nauczyciel: we wszystkich klasach zajmował się jednym i tym samym — przeliczaniem złotych na ruble i odwrotnie.

Dwa kolejne posiedzenia grona nauczycielskiego dostarczyły mi niezwykle interesującego materiału, z którego zostało napisane sprawozdanie do Wittego. Witte w zupełności zgodził się z moimi uwagami i propozycjami i rozpoczęło się łamanie starych zwyczajów. Oczywiście, burzyć było łatwo, budować na nowo — dużo trudniej. Z planu lekcji zniknęły „nauka o moralności” i historia Polski. Nauczyciel matematyki, który nie znał rosyjskiego, rozstał się z Instytutem, a madame Dinsart ze swoim fikcyjnym przedmiotem.

Ale skąd brać ludzi? Oto pytanie. W tym czasie na wszystkie zakłady naukowe w Warszawie przypadają tylko dwóch nauczycieli Rosjan — Oleszkiewicz i Markinowicz, po uszy zajętych lekcjami. Wszyscy inni wyjechali podczas powstania. W styczniu czekano na zatwierdzenie nowych przepisów dla nauczycieli języka rosyjskiego w gimnazjach, a co za tym idzie na napływ nowych sił. A do tego czasu? Przede wszystkim zaprosiłem Markinowicza na zajęcia popołudniowe z uczennicami prawosławnymi, których w owym czasie było siedem. Udało się również pozyskać na kilka godzin nadliczbowych drugiego nauczyciela, Oleszkiewicza. Ja sam wziąłem, oczywiście bez wynagrodzenia, dwie, trzy lekcje rosyjskiego we wszystkich siedmiu klasach i zacząłem uczyć dziewczęta czytać i pisać. To trwało kilka miesięcy, z czasem udało mi się zaprosić jeszcze jednego nauczyciela, który właśnie przyjechał do Warszawy i oddałem mu część lekcji rosyjskiego, a sam zająłem się historią Rosji. Wiele czasu poświęcałem również na wizytacje cudzych lekcji. Kilku nauczycieli musiałem zwolnić, jak np. Kotowskiego,

doktora medycyny uniwersytetu kijowskiego, który uczył u nas geografii. Pozwolił sobie powiedzieć na lekcji takie oto zdanie: Ostatnia wieczerza Leonarda da Vinci to znakomity obraz. Nie taki, jak te rosyjskie obrazki, gdzie przedstawia się tylko w kółko picie herbaty wokół samowara.

Damy klasowe Polki i Rosjanki

Część dam klasowych, które zastałem w Instytucie, przybyła tam z instytutu w Puławach, nierzadko za sprawą protekcji, „za zasługi” swoich bliskich. Mąż jednej z dam klasowych był zesłany na Sybir, mąż drugiej, dowodząc oddziałem, został zabity, syn trzeciej także brał udział w powstaniu. Spośród czternastu dam, jedenaście było Polkami, dwie Niemkami, jedna Francuzką. Oprócz nich były dwie rosyjskie damy zwierzchniczki, przysłane dla sprawowania nadzoru nad prawosławnymi wychowankami, które próbowano przez lekturę nieodpowiednich książek nawrócić na katolicyzm.

Były to osobistości niezwykle w swoim rodzaju. Ponieważ przyjechały do Warszawy w momencie bezkrólewia, po zwolnieniu jednej dyrektorki, a przed wyznaczeniem drugiej, obie miały nadzieję zająć to stanowisko i — przeliczywszy się — skierowały swą niechęć w stronę Andżeliki Pawłowny. Nigdy w życiu nie widziałem tak wstrętnych starych panien. Ponieważ decyzje o ich nominacjach zapadły na wysokim szczeblu, nie chciały nawet słyszeć o jakiegokolwiek miejscowej władzy. Nie było dnia, aby nie zrobiły mi jakiejś nieprzyjemności. Głównym zajęciem jednej z nich było prawienie impertynencji wszystkim napotykanym osobom, nauczycielki nazywała buntowniczkami, lżyła je i znieważała, uczennicom rozkazywała zajmować się sobą, co polegało głównie na drapaniu jej w potylicę. I ja i Andżelika Pawłowna odetchnęliśmy z ulgą, gdy obie damy opuściły instytut. Jedną z nich mianowano główną nadzorczynią w nowym gimnazjum żeńskim, druga musiała odejść na wcześniejszą emeryturę ze względu na chorobę oczu. W kilka lat później zmarła w domu dla umysłowo chorych.

Nauczyciele Polacy

Stosunki moje i Sluczewskiej ze współpracownikami Polakami przez długi czas pozostawały napięte. Bo też nie mogło być inaczej. Powstanie skończyło się dopiero niedawno, komisja śledcza wciąż jeszcze działała. Ja sam dostałem medal za uśmierze-

nie polskiego buntu. Nauczyciele Polacy, polskie wychowanki i damy klasowe nie mogły odnosić się do nas inaczej, jak do przedstawicieli znienawidzonego narodu. My zaś ze swej strony zobowiązani byliśmy zwracać uwagę na najdrobniejsze choćby oznaki wrogich uczuć. Słowem, owe stosunki długo były nieprzyjemne. Jednakże, gdy z czasem osłabły namiętności a najbardziej podejrzani zostali usunięci i lepiej poznaliśmy się wzajemnie, kontakty zaczęły się normalizować. Wśród Polaków, z których część pozostawiliśmy w instytucie, a część została przyjęta na wolne miejsca, było wielu ludzi godnych szacunku, mądrych, uczciwych i pracowitych. Oczywiście w kwestiach politycznych żadnemu z nich, jak i w ogóle żadnemu Polakowi na świecie, nie wolno było dowierzać. Wszyscy oni byli i pozostali wrogami narodu rosyjskiego i rosyjskiego rządu.

Nauczyciele rosyjscy

Znacznie więcej namęczyłem się z nauczycielami języka rosyjskiego.

Za moich czasów zmieniło się ich w instytucie piętnastu lub szesnastu. Te częste zmiany miały kilka przyczyn. Po pierwsze, wśród polskich nauczycieli mogłem wybierać. Najlepszy, znakomity nauczyciel, Polak, z gotowością przyjmował moje zaproszenie, tym bardziej że wynagrodzenie było w instytucie wyższe niż gdzie indziej. Rosyjskich nauczycieli było w ogóle niewielu, przeto wyboru wśród nich prawie nie miałem. Po drugie, po ustanowieniu praw przyznających pierwszeństwo urzędnikom rosyjskiego pochodzenia w Królestwie Polskim, rosyjskim nauczycielom nie opłacało się wstępować na służbę do instytutu, w którym te zasady nie obowiązywały.

Wiele mógłbym opowiedzieć o wszelkiego rodzaju wykładowcach, którzy przyjechali oświecać Polskę, a tylko zhańbili imię Rosji, ale to oddaliłoby mnie od tematu mojej opowieści, przeto Bóg z nimi.

Gospodarcza i naukowa część instytutu

Ranne godziny od 7 do 9 poświęcałem gospodarstwu, od 9 do 16 odbywały się zajęcia lekcyjne, od 20 do 2 w nocy obradowaliśmy u Wittego.

Naukową częścią instytutu rządziłem za czasów Sluczewskiej zupełnie samodzielnie. Wizytowałem stale lekcje, uważnie śledziłem postępy w nauce moich uczennic. Sluczewska nigdy nie

wtrącała się do tego. Swoje uwagi umiała przekazać w tak mądrej i delikatnej formie, że przyjmowałem je z wdzięcznością. Kurs instytutu był w zasadzie sześćioletni, ale istniała siódma klasa uzupełniająca dla dziewcząt, które chciały poświęcić się pracy pedagogicznej. Skończywszy ten kurs otrzymywały świadectwo domowych nauczycielek z prawem nauczania jednego lub dwóch przedmiotów, a także zarządzania pensjami dla dziewcząt. W 1866 roku nauczanie wszystkich przedmiotów z wyjątkiem historii Rosji odbywało się po polsku. W ciągu następnego roku, ja sam stopniowo wprowadzałem rosyjski do nauki kolejnych przedmiotów i dzięki temu moja szkoła była pierwsza w tej reformie w całym Królestwie. Ośmielam się tym chwalić, gdyż nie dostałem na ten cel ani kopiejki, choć trzeba było zaopatrzyć się w tysiące rosyjskich podręczników, a za bezcen sprzedać polskie.

Nie mogę wspominać bez uśmiechu tego, co zastałem w instytucie. Kiedy go obejmowałem składał się z majątku trzech placówek, które się nań złożyły. Całe to mienie znalazło się w moim instytucie bez żadnego inwentarza. Do tego jeszcze co cenniejsze rzeczy zabrano, za pozwoleniem Wittego, do nowo powstających gimnazjów. Pozostawiono mi w spadku same śmieci. Czego tam nie było — tysiące starych, poszarpanych łacińskich i greckich podręczników, pomoce do nauki fizyki, nadające się jedynie na złom, a co najważniejsze wielki zbiór zakazanych polskich książek. Wszystkie te książki, za zgodą Wittego, odesłałem do Biblioteki Publicznej w Petersburgu. Po 20 latach pracy zostawiłem w Instytucie około 20 tysięcy woluminów. Zgromadziłem je bez żadnego dofinansowania, jeśli nie liczyć owych nieszczęsnych 10 rubli, jakie co roku płaciły na to uczennice.

Przerwy między lekcjami i resztę dnia poświęcałem kancelarii. Moim sekretarzem był niejaki Łoziński, prawie ani słowa nie rozumiejący po rosyjsku, wyjątkowo przy tym lekkomyślny. Kiedy, w momencie wprowadzenia obowiązkowego języka rosyjskiego w administracji, przyszło go zwolnić, poprosił mnie o wydanie mu zaświadczenia, że zostaje zwolniony z powodu nieznamości rosyjskiego i za odmowę nauczenia się tego języka. Twierdził, że takie zaświadczenie ułatwi mu znalezienie pracy we Lwowie lub Krakowie, gdzie się wybierał.

Skarbnikiem i księgowym był Zygmunt, skrzypek i poeta również nie znający rosyjskiego. Został wyznaczony na to stanowisko jeszcze w 1863 po tym, jak jego poprzednik okradł kasę zostawiwszy w niej — jakby na ironię — polską trzygrozową monetę, założył wysokie buty i zaciągnął się od oddziału.

Cała urzędowa korespondencja między głównym dyrektorem

a naczelnikiem instytutu prowadzona była w języku polskim. Ani Witte, ani ja nie znaliśmy tego języka. Radziliśmy sobie pisząc do siebie po rosyjsku. W tym języku były bruliony wszystkich urzędowych listów i podań. Ale ta sytuacja nie trwała przecież długo.

Wieczorne spotkania u Wittego

Od zimy 1864 do zimy 1866 spędzałem całe wieczory od 8 do 2 w nocy u Fiodora Fiodorowicza Witte. W zebraniach uczestniczył on sam, a także jego współpracownicy — pomocnik Michniewicz, wicedyrektor Przysiański, szef kancelarii Gruber, naczelnik warszawskiej dyrekcji naukowej, Wilujew, znany pod imieniem Wasylego Groźnego i ja. Czasem zapraszaliśmy również i inne osoby.

Około drugiej, trzeciej nad ranem wychodziliśmy zmęczeni od Fiodora Fiodorowicza. Na ulicach nie było żywej duszy, jedynie, rozstawieni wokół migocących latarni, policjanci sprawdzali żółte bilety zabłąkanym przechodniom. Trzeba powiedzieć dla wyjaśnienia, że do 9-ej pozwalano chodzić po ulicy każdemu pod warunkiem, że niósł zapaloną latarnię. Później wolno było poruszać się tylko funkcjonariuszom na służbie i posiadaczom żółtych biletów, które wydawał za zgodą wyższych urzędników policmajster. Były to imienne przepustki żółtego koloru, kosztowały pięć kopiejek i trzeba je było odnawiać każdego miesiąca.

Tekst podała do druku, przetłumaczyła i opracowała

Agata TUSZYŃSKA

Alfred KOLATOR

INTERNOWANIE NA LITWIE

Wrzesień 1939 rok. Wilno, koszary 1-szej Brygady, Ośrodek zapasowy.

Dużo wojska, zmobilizowanych żołnierzy, ujmują to w ramy organizacyjne, kompanie, bataliony, wydzielają marszówki

na front. Przybyłem z Gdańska, obejmuję komendę kompanii marszowej w 5-tym pułku piechoty Legionów i mam udać się z nią na front gdzieś pod Wyszkiem. Jestem bardzo zmęczony fizycznie, ogluszony, bo z Gdańska do Wilna wędrowałem przez Polskę płonąca i bombardowana. Wśród gorączkowych przygotowawczych prac organizacyjnych dosięgła nas wiadomość, że 17-go września bolszewicy przekroczyli naszą granicę wschodnią. Udałem się do *Kuriera Wileńskiego*, by się upewnić że wiadomość jest prawdziwa. Już wojenny redaktor Hołubowicz (bo redaktor Józef Święcki był zmobilizowany) potwierdził wiadomość. Powiedział, że bolszewicy idą nam na pomoc. Władze wojskowe widocznie nie dowierzały tym pogłoskom, bo zarządziły alarm bojowy i kopanie rowów przeciwczołgowych na drogach wiodących do Wilna.

19 września pod wieczór nakazano śpieszny wymarsz z Wilna. Zostawiłem w koszarach cywilne ubranie, rower, neseser wraz z dokumentami, a wziąłem karabin, obładowałem się granatami i tak w przekonaniu, że idziemy do walki stanąłem na czele kompanii. Ordynans zaofiarował się wziąć mój rower i neseser (piękna skórzana walizeczka kupiona w Atenach), kazałem mu wziąć karabin, by było o jedną lufę więcej w kompanii. Wyszliśmy z Ośrodka na szosę prowadzącą do Mejszagoły. Kolumnę 5-go pp. Leg. prowadził ppłk Achmed Kmeta, oficer kontraktowy, Gruzin. W nocy przeszliśmy przez Mejszagołę i rano osiągnęliśmy granicę litewską. Dowódca naszego batalionu, kapitan Jan Dragan zakomunikował nam, że nie jest już naszym dowódcą i możemy przed działać na własną rękę.

Na szosie przed samą granicą litewską utworzyła się ogromna kolumna ciężarówek wojskowych, autobusów, aut osobowych, wojskowych i cywilnych, zaprzęgów konnych i tysiące ludzi. Nikt nie dowodził, nikt nie wiedział co robić. Najstarszym oficerem w tej kolumnie okazał się pułkownik Oziewicz. Dowodził dywizją gdzieś na Śląsku, a teraz znalazł się na szosie mejszegolskiej nad granicą litewską, on też dał rozkaz do przekraczania granicy. Było to w miejscowości Poblędzie. Rozkaz był kategoryczny, mimo to ludzie nie wiedzieli co robić. Jedni wracali do Wilna, inni mówili, że pułkownik Dąbrowski organizuje obronę Grodna i zbierali wokół siebie ochotników, by dołączyć do pułkownika Dąbrowskiego.

Trudno było powziąć decyzję, bo wszystkie wiadomości były niepewne, ot — pogłoski. Pułkownik Oziewicz powtarzał swój rozkaz: przekraczać granicę. Z żalem opuszczaliśmy Polskę. Miałem znajomka w ambasadzie polskiej w Kownie, pomyślałem sobie, że gdybym się dostał do Kowna, to Sławek Dziarczykowski, attaché, ułatwi mi wyjazd do Francji. Miałem trochę

pieniędzy. Przekroczyłem granicę, stało na niej kilku żołnierzy litewskich, żołnierze polscy podchodzili do granicy, rzucali broń na kupę i szli dalej pojedynczo lub grupkami. To samo było z pojazdami, zatrzymywały się, żołnierze rzucali broń i pojazd sunął dalej. Wozy, jeśli były próżne, zabierały pieszych. Mnie też udało się dostać do jakiejś ciężarówki i dojechać do Wilkomierza. Żadnej eskorty wojskowej litewskiej nie było, poruszaliśmy się po drogach swobodnie. Ludność cywilna witała nas życzliwie, częstowała pokarmami, ofiarowywała papierosy. W Wilkomierzu podeszła do mnie jakaś uczennica w mundurku szkolnym, ofiarowała mi kawałek kiełbasy, chleba i jeszcze czegoś tam, mówiła po polsku.

Po przekroczeniu litewskiej granicy nie spostrzegliśmy żadnej różnicy w krajobrazie, taki sam kraj, taka sama nasza Wileńszczyzna i ludzie mówią tak samo, po wileńsku. Żadnych straży, wojska, nie widać. Nikt nas nie kontroluje, nie żąda dokumentów. Spotkałem mego ordynansa, przypomniał mi, że chciał wziąć mój rower i neseser z cywilnymi dokumentami, o, jak by się teraz przydały! Lepiej byłoby teraz być cywilem, uchodźcą, a nie wojskowym.

W Wilkomierzu powiedziano nam, że mamy iść w kierunku na Kowno. Znowu szczęście w nieszczęściu, spotkałem kolegę Malczyka, kierownika szkoły w Wilnie, był on oficerem prowiantowym i zarekwirowanym autobusem wileńskim wiozł chleb dla wojska. Zaprosił mnie do autobusu, wypełnionego po wierzch siedzeń bochenkami chleba, usadowiłem się na wierzchu chleba. Byłem bardzo zmęczony i zasnąłem, w nocy przejechaliśmy przez Kowno, gdzie właśnie miałem wysiąść, by udać się do Dziarczykowskiego. Obudziłem się już w nowym miejscu postoju — w Kulautuwie (myśmy to spolszczyli na Kołotowo).

Kulautuwa. — Była to miejscowość letniskowa, drewniane wille, przeważnie parterowe w sosnowym lesie. W jednym miejscu dochodziła do Niemna, była tam przystań rzeczna, po Niemnie kursowały statki pasażerskie. Przez osiedle prowadziła szeroka droga. Wille większe i mniejsze stały wśród sosnowych drzew. Wille te należały do zamożnych ludzi, były dobrze zaopatrzone we wszelkie potrzebne utensylia domowe i meble, jedynie bez pościeli. Wakacje się skończyły, ludzie z letniska powracali do domów, teraz myśmy je objęli w posiadanie, dobieraliśmy się grupkami, wybierali sobie odpowiednią willę i urządzali się w niej. Pułkownik Oziewicz został polskim komendantem obozu. Obóz podzielono na rejon, wyznaczono komendantów rejonów, poszczególnych willi. Zostałem jednym z nich. Niebawem władze litewskie dostarczyły nam słomy i sienników, sprawnie zadziałała kuchnia. Obóz wypelnili głównie ofice-

rowie polscy, policja i pewna ilość szeregowych, jak mówił wkrótce wierszyk:

W Kołotowie się zebrali sami wielcy, są też mali
Jest elita prawie cała, nie brak strzelców, generała...

Lepiej niż wojsko przedstawiała się policja, przysłała tu nie w rozproszeniu a zwartymi oddziałami pod komendą podpułkownika Jacyny. Dobrze ubrani, dorodni, fizycznie przedstawiali się dobrze i byli lepiej zaopatrzeni niż my, nie wyszli z koszar a z własnych mieszkań, mieli niezbędne rzeczy osobiste przy sobie. Rozglądaliśmy się w nowej sytuacji, można by powiedzieć, że rozpełzliśmy się po terenie, odwiedzaliśmy okoliczne wioski, kupowali wiejskie produkty. Litwini przyjmowali polskie złote w relacji 1 złoty — 1 lit. Kto przybył do obozu własnym autem, zostawiał je u wieśniaków „na przechowanie”. Była zupełna swoboda poruszania się. Ten i ów zaczął zastanawiać się po co on tu właściwie przyszedł. Wielu postanowiło wracać tam skąd przybyli, póki jeszcze nie ma żadnych rygorów. Wiele osób „cichcem” opuściło obóz. Był wśród nich i mój znajomy ppor. ułanów Kazik Wasilewski. Poszedł do domu, do Ostrowi Mazowieckiej. (Po kilku miesiącach dał znać że do domu doszedł). Kto miał cywilne ubranie, udawał się do Kowna, by wyrobić sobie dokumenty i dążyć do organizującego się na Zachodzie wojska polskiego. Nie wiem jak długo urzędowały w Kownie polskie placówki konsularne, ale niebawem dowiedzieliśmy się że sprawa polskie, tj. wyjazdy na Zachód załatwia pułkownik-lekarz dr Henoeh z Krakowa, że urzęduje przy poselstwie angielskim. Zjawił się, a może już był wcześniej, litewski komendant obozu, pułkownik, starszy już pan, mówił do nas po rosyjsku. Nigdzie nie zapisałem jego nazwiska, ale nazywał się jakoś Brazauskas albo Brazulis. Jakoś niedługo po przybyciu naszym do obozu zorganizowano dla nas odczyt. Prelegentką była młoda, przystojna, elegancko ubrana pani Nowak, córka Wysokiego Komisarza litewskiego w Kłajpedzie. Wydało się, że prelegentka była bardziej ciekawa nas, niż my jej prelekcji. Przemówiła do nas ze sceny po francusku. O dziwo, nie bardzo władam tym językiem, ale jej francuski rozumiałem doskonale, był podobny do języka, którego uczyłem się szkole, chociaż we Francji nie rozumiałem Francuzów. Powiedziała, że nie może do nas mówić po polsku, bo tak kiedyś postanowiła, aczkolwiek do ósmego roku życia wychowywała się w tym języku. Po wypowiedzeniu jeszcze kilku zdań po francusku oznajmiła, że zrobi tym razem wyjątek i będzie mówić po polsku. W jej pięknej polszczyźnie posypały się na nas inwektywy i wzywiska, na Polskę, na Polaków. Wstałem i szurając nogami

zdążyłem do wyjścia, postyszałem za sobą sykanie i uwagi o zachowaniu się, o kulturze. Wraz ze mną kilka osób opuściło salę. Przy naszym wyjściu podobno prelegentka się trochę zmiętygowała i złagodziła swoje napaści na Polskę.

Po pewnym wypoczynku i wyspaniu się w litewskiej ciszy ludzie dochodzili do siebie, stawało przed nimi pytanie — co dalej? Jedni mówili, że po ojczyźnie pierwsza jest rodzina i szczególnie ci z terenów sąsiadujących z Litwą próbowali powrotu do domu. Kwestią zasadniczą stała się teraz kwestia dokumentów cywilnych. Kto tylko mógł, starał się dostać do Kowna, do polskich placówek, by wyrobić sobie jakieś dokumenty. W grę tu wchodziło posiadanie cywilnego ubrania. Czasem dało się nabyć je u okolicznych wieśniaków, ale niebawem Litwini otoczyli obóz drutem kolczastym i dość radykalnie ukróćili dotychczasową swobodę ruchu. Wprawdzie nietrudno było wydostać się i przez druty kolczaste. Warta stała tylko przy bramie wejściowej, a pojedynczy wartownicy obchodzili czasem obóz wkoło ogrodzenia, ale obóz był w lesie, obchody wartowników nieczęste, nietrudno też było rozsunąć druty pojedynczej warstwy. W ogóle obóz nie był ściśle strzeżony.

Z Kowna przyjeżdżali właściciele willi, żeby się dowiedzieć o ich stanie. Przyjechał też na taką inspekcję właściciel willi, w której mieszkałem wraz z kilku kolegami, mówił po polsku. Spytałem go skąd zna język polski. — Proszę pana, powiedział, tu wszyscy znają język polski. Ja jestem kupcem, moja klientela mówi po polsku, to i ja mówię po polsku, bo jak to u nas powiadają: na czym wozie jedziesz, tego piosenkę śpiewasz. Dotychczas nie znałem tego powiedzenia. Wszystko dokoła wydawało się takie swojskie, bliskie, żadnej różnicy z Wileńszczyzną; krajobraz, klimat, dotychczas spotkani ludzie. Mimo zaciągniętych już drutów nie czuło się obcości, „zagranicy”. Urzędowała poczta, wysłałem list do Dziarczykowskiego. Władze litewskie nakazały rejestrację nas. Nie byliśmy dość przezorni, podawaliśmy prawdziwe dane o sobie.

Bodajże po tygodniu naszego pobytu w obozie przyjechała żona oficera do męża wynajętą w Wilnie dorożką. Stosunki ze światem nie były całkowicie zerwane. Na poczcie można było wymienić określoną sumę pieniędzy, polskich złotych na litewskie lity, w relacji: 1 złoty — 1 lit. Niebawem zażądano umieszczenia swego nazwiska przy wymianie pieniędzy. Nazajutrz to już nie wystarczyło, trzeba było się wylegitymować, bo okazało się że przy niekontrolowanej liście wymiany pieniędzy, znalazło się na niej kilku Hitlerów, Stalinów i innych dygnitarzy. Dowcipnisiów wśród Polaków nigdy nie brakowało, po co mieli wpisywać własne nazwiska? Po pewnym czasie banknoty polskie zosta-

ły ostemplowane i nie miały już wartości pieniędzy. Co młodszych opanowała gorączka zdobywania dokumentów i wyjazdu na Zachód, starsi zalecali spokojne przetrwanie w obozie.

Wykonanie zarządzonej przez władze litewskie rejestracji powierzono polskim władzom obozowym, a te potworzyły komisje „weryfikacyjne”, bo chodziło też o ustalenie, kto jest oficerem, a kto nie, jako że różny element przebywał w obozie. Owe komisje weryfikacyjne, choć niby własne, były bardzo rygorystyczne. Mieszkańcy każdej willi kolejno stawali przed tą komisją. Wielu z nas nie miało żadnych dokumentów, składali tedy zeznania, które musiały być potwierdzone przez dwóch świadków. Nie byliśmy dość przezorni, za dużo podawaliśmy prawdziwych danych o sobie, a nasi komisarze byli dość rygorystyczni, obficie szermowali honorem oficerskim, nie zadowalali się samymi deklaracjami, wymagali dowodów. Ja osobiście nie przedstawiłem żadnych dowodów, a z powodu mego ubrania, bo swoje wojskowe ubranie przehandlowałem na jakieś pół cywilne, pół policyjne, zostałem zapisany jako „niezweryfikowany porucznik rezerwy”. Tak zdecydował przewodniczący komisji spisowej, były starosta augustowski, rtm. E. (Ejchler), przy tymże stole zasiadał też b. wicestarosta któregoś ze wschodnich powiatów por. I. (Ilczuk), znaliśmy się z nim z widzenia w Wilnie, ale nie znał mego stosunku do wojska, więc przezornie milczał. Popełniłem grubą błąd podając wszystkie prawdziwe dane o sobie. Niebawem listy te zostały przekazane władzom litewskim i tak ustalono stan liczbowy i imienny obozu. Teraz gdy ktoś wy dostał się z obozu i starał się o dokumenty na wyjazd z Litwy sprawdzano czy jego nazwisko nie znajduje się na liście internowanych. Jeśli nazwiska nie było na liście nie przeszkadzano w opuszczeniu Litwy. Oprócz naszego obozu w Kulautuwie był jeszcze obóz internowanych w Poładze. Ktokolwiek przechodził przez urzędy litewskie starając się wy dostać z Litwy odnosił wrażenie, że Litwini nie przeszkadzali, a raczej byli radzi, że pozbywają się nieproszonego gościa. Jeden z moich kolegów o nazwisku Winnicki dopisał sobie przed nazwiskiem „Za” i bez trudności wyjechał z Litwy jako Zawinnicki, bo takiego nazwiska nie było na liście internowanych. Następowwała jesień, teraz Kulautuwa wyglądała pięknie. Na tle ciemnego boru sosnowego występowały ciepłe, gorące barwy jesieni, żółte, brązowe, czerwone i purpurowe kolory drzew liściastych, znaczone białymi pniami brzoź.

Nastroje w obozie. Po pierwszym oszołomieniu i jakby oprzytomnieniu, zaczęły się utyskiwania, narzekania, szukanie winnych naszej katastrofy i oskarżenia. Obwiniano kierownictwo państwa o przegraną kampanię, a głównie dowództwo wojskowe.

Winni przegranej byli oficerowie. Oficerów do stopnia kapitana jakoś tam usprawiedliwiano, ale każdy w randze powyżej majora — był winien. Rozwinęło się wręcz obłędne krytykanctwo. Młodzi, zdrowi, chętni do walki nie mogli zrozumieć, jak tak silne państwo jak Polska mogło tak szybko ulec przemocy. Niektórzy, szczególnie ci spod znaku „Mieczyka Chrobrego”, wydawali się czasem być zadowoleni, że nareszcie „sanacja” upadła, jakby nie spostrzegli przy tym, że i państwo upadło. Tej atmosferze krytykanctwa trzeba było przeciwdziałać. Pewnego razu zaszedł do mnie por. rez. Kazimierz Młynarczyk, były dyrektor Urzędu Skarbowego w Wilnie i prezes Związku Oficerów Rezerwy w Wilnie, mój znajomy jeszcze z 1920 roku, gdy był podchorążym, dowódcą zwiadu konnego w 1-szym pułku artylerii polowej Litewsko-Białoruskiej Dywizji, a ja bombardierem w tym oddziale. Spacerując po lesie powiedział mi, że podpułkownik Indyk-Czajkowski próbuje tworzyć organizację wojskową na wzór POW w celu dalszej walki o Polskę, a na razie przeciwdziałać krytykanckim nastrojom i zapytał mnie czy nie wstąpiłbym do tej organizacji i czy mógłbym zwerbować kilku kolegów. Zgodziłem się chętnie i w następstwie przyprowadziłem mu dwóch kolegów, mieszkańców „mojej” willi, Tadeusza Szafnickiego, ppor. ułanów, urzędnika z Radomia i Dziunia (Władysława) też ppor. rez., urzędnika bankowego z Białegostoku, a pochodzącego skądś spod Lwowa. Niestety, nie pamiętam dziś jego nazwiska. Młynarczyk odebrał od nas przysięgę organizacyjną. Roty przysięgi też dziś już nie pamiętam. Staraliśmy się nawiązywać stosunki koleżeńskie, poznawać się wzajemnie i bardzo ostrożnie zapraszać chętnych do organizacji.

Dnia 11-go listopada zlikwidowano obóz w Kulautuwie, przeniesiono nas do Kalwarii i umieszczono w trzypiętrowym budynku murowanym, byłym szpitalu dla umysłowo chorych. Tutaj też przywieziono internowanych z innych obozów, między innymi z Połagi.

Kalwaria

*Zaledwie świt różowy ukaże kraty cień
Obudzi się następny nieznośnie długi dzień.
Zaroi się na pryzkach niesforny gwarny rój,
by o menażkę kawy pyskаты stoczyć bój.*

W Kulautuwie byliśmy rozproszeni w terenie, w Kalwarii znaleźliśmy się w zwartej masie. Rozmieszczeni po większych i mniejszych salach, na mojej np. było 80 osób, spaliśmy na piętro-

wych pryczach świeżo zbudowanych z surowych desek, nie było sienników, suszyliśmy te deski własnymi ciałami. Po pewnym czasie dostarczono do obozu słomę i sienniki. W ogóle obóz w Kalwarii zrobił na nas wrażenie więzienia, a komendant obozu, major Jaksztas, postarał się o to, by istotnie stał się więzieniem. Zastępca majora Jaksztasa, litewski kapitan, okazał się natomiast ludzkim człowiekiem, upodobał sobie znanego chyba w całej Polsce z niezwyklej waleczności majora 13 pułku ułanów Czczułowicza i zabierał go często z obozu. Powiadali, że obaj służyli ongiś w tej samej jednostce w wojsku rosyjskim, w każdym bądź razie byli to ziomkowie, obaj z Grodzieńszczyzny. Major Czczułowicz często wracał do domu późnym wieczorem i choć normalnie był bardzo rumiany, wtedy był po prostu purpurowy. Nigdy nic nie mówił, tj. nigdy nie mówił ile wypił. Wizyty kapitana litewskiego u majora Czczułowicza były bardzo częste, stały się prawie regularne.

Wyżywienie w obozie mieliśmy wystarczające, oparte głównie na pęczaku i kapuście na mleku. Kuchnię w obozie zorganizował i prowadził nasz kolega, ppor. Herniczek, obywatel ziemski z cywila. Wychodzenia poza obóz prawie nie było, byliśmy ograniczeni w ruchu do samego terenu obozu, natomiast znalezienie się obok siebie półtora tysiąca osób dało ściślejsze powiązania z sobą. Na czele naszej organizacji stanął generał Wacław Przeździecki, były dowódca Podlaskiej Brygady Kawalerii. Po raz pierwszy wyszedłem na zewnątrz obozu za trumną śp. rotmistrza Laudyna, było to chyba w styczniu, bo ziemia była pokryta śniegiem. Rtm. Laudyn zmarł śmiercią naturalną; przed wojną pracował w *Słowie* wileńskim, pisał też wiersze liryczne. Po raz drugi wyszedłem z grupą protestantów, chociaż nie protestant — chciałem się po prostu przejść. Grupę protestantów na niedzielne nabożeństwa organizował rotmistrz Jurowski, „z wileńskich kalwinów”. Po drodze do kirchy w Kalwarii spotkałiśmy szaulisów, którzy obrzucali nas obraźliwymi wyzwiskami, oczywiście po polsku. Po nabożeństwie wyszedł do nas pastor, por. Eugeniusz Milnikiel, późniejszy ambasador PRL w Londynie, zwrócił się do niego po niemiecku, pastor odpowiedział po polsku i rozmawiał z nami po polsku.

Dla katolików w każdą niedzielę i święta nabożeństwa w obozie odprawiał ksiądz Bednarczyk, internowany kapelan wojskowy.

Organizowanie życia kulturalnego w obozie zaczęło się od pogadanek por. Waleriana Charkiewicza. Zapamiętałem z wiersza, opisującego życie codzienne w obozie:

*Tam głosem apostoła, zebrawszy wiernych krąg,
Walerian głosi prawdę tysiąca mądrych ksiąg...*

Aktor z Warszawy, Jan Ciecierski, organizował rewie teatralne, ppor. Gustaw Romanowski zorganizował chór. Zorganizowano też kursy języków obcych, a głównie angielskiego. Języka angielskiego nauczało dwóch oficerów; jeden (nazwiska nie pamiętam) uczył gramatyki i „spelingu”, znał bowiem język angielski „książkowo”, zaś major Brochocki, ongi oficer rosyjski, wymowy.

Zorganizowano też serwis radiowy, mieliśmy zatem zawsze świeże wiadomości ze świata.

Odczyty Charkiewicza miały dobroczynny wpływ na internowanych. Jego głęboka religijność, spokój i powaga bardzo dodatnio wpływały na nastroje internowanych. Na mojej sali, gdzie spało 80 osób, zwykle po capstrzyku zaczynałem swoje pogadanki, wrażenia z wędrówek po Europie. Pogadank tych chętnie słuchano, domagano się ich i tak utrwał się wpływ na otoczenie. Porównywaliśmy stosunki i warunki życia w różnych krajach Europy, porównania wypadły na korzyść Polski, to łagodziło krytykanctwo własnego państwa. Jako prezes organizacji uczelnianej — Polski Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego „Liga” (PAZM LIGA) oddział Wilno, dużo podróżowałem, zwiedziłem prawie wszystkie kraje Europy.

W początkach marca 1940 roku do obozu w Kalwarii zjechała komisja niemiecka, by zabrać zeń „swoich”. Niektórzy z naszych dotychczasowych kolegów poczuli się Niemcami i zgłosili się do tej komisji. Kilka nazwisk tych nowych Niemców zapisałem, byli to: major wet. Czesław Wickel, kpt. Artur Steinkeller, ze znanej rodziny warszawskiej, rtm. Hubert Lorenz, teraz Lorenz, z Cieszyna, ppor. Keller, ppor. Rajmund Bemke, ppor. Karol Roerich, nauczyciel z Torunia, ppor. Karol Fichtner, por. Czesław Chałupa, teraz Kolupe, ppor. Oraczewski i ppor. kaw. Łączyński, malarz z Lublina. Legitymował się on listem od matki, pisanym po niemiecku. Matka jego była żoną austriackiego generała.

W obozie w Kulautuwie Łączyński mieszkał w „mojej” willi, nawet zbliżyliśmy się do siebie, a teraz zrobił mi taką niespodziankę, to mnie dotknęło. „Ujawnienie” się Niemców wśród nas wywołało zdziwienie, a nawet oburzenie. Oni też nagle stali się aroganccy. Major Wickel ostentacyjnie zwrócił się do generała Przeździeckiego per — „kolego wojskowy”. Lubiliśmy generała i to nas bardzo oburzyło. W budynku naszym zepsuły się wodociągi i kanalizacja. Ustępy właściwie nie powinny być używane, ale używane były, bo niby co można było zrobić? Dokąd chodzić? Otwory ustępów szybko się zapełniły, a nawet uformowały się nad nimi „piramidy”. Podpatrzyliśmy majora Wickela, gdy udał się do ustępu i tam w krępującej pozycji „medy-

tował". Weszliśmy w kilku do ustępu, ja, kpt. Kwaśnowski, ppor. Piłat, policjant i znany bokser. Kazaliśmy Wickelowi „hajlować” z okrzykiem „zdechł Hitler”. Odmówił, pchnąłem go tedy na tę piramidkę. Było dużo krzyku i śmiechu, nam się zabawa podobała, poszliśmy w obchód po nowych Niemcach, mieliśmy też niebawem publikę, żądną rozrywki. Zapraszaliśmy nowych Niemców do „hajlowania” z okrzykiem — „zdechł Hitler”. Niektórzy się upierali, trzeba było ich przekonać. Kolupe zgodził się na hajlowanie, ale z okrzykiem — „zmarł Hitler”. Na tle nudy obozowej ta rozrywka bawiła ludzi. Szukałem Łączyńskiego, mieszkał na parterze, poszedłem tam sam, żeby mu uczynić wymówkę, ale ktoś ze świeżo upieczonych Niemców zaalarmował tuż obok znajdującą się litewską wartownię, że awanturnicy z piętra przenieśli się na parter i właśnie jeden z nich jest w tej chwili na sali. Na salę wtoczył się sierżant litewski, nigdy w życiu ani przedtem, ani potem nie widziałem takiego olbrzyma, chwycił mnie za kark i powłókł do karceru, który znajdował się przy końcu korytarza, tam wrzucił mnie do celi i zamknął drzwi na klucz. Obraziłem się. Niebawem przybyło mi towarzyszy, kpt. Kwaśnowski i ppor. Piłat.

Przynieśli nam obiad do celi, odmówiliśmy przyjęcia posiłku. Dowódca naszej obozowej kompanii, major 4-go pułku ułanów Choroszewski, odwiedził nas w karcerze i zakomunikował, że istnieje prawo o ochronie głów państwa i za ubliżanie Hitlerowi przez owo hajlowanie z okrzykiem „zdechł Hitler” może nam grozić kara śmierci. Pocziwy, kochany major bardzo się tym zmartwił, ja też nie miałem powodu do radości. Po jakichś dwóch dniach kpt. Kwaśnowski przerwał głodówkę (ppor. Piłat nie głodował). Ja trwałem dalej, nie przyjmowałem nawet wody. Major Choroszewski odwiedzał mnie w karcerze i cichcem ofiarowywał czekoladę. Podziękowałem i powiedziałem, że ja naprawdę głoduję. Ale główną troską majora była ta groźba kary śmierci za ubliżanie „głowie państwa”. Trochę prawa to ja też znałem i powiedziałem majorowi, że jest wyższe prawo, prawo wojny i ono mnie chroni. Ja jestem w wojnie z Hitlerem i moim obowiązkiem, jako żołnierza, jest zabić go i z całą pewnością uczyniłbym to, gdybym miał możliwość. Major Choroszewski poszedł z tym o poradę do naszych prawników. Dziś wszelkie prawa są łamane, ale rzeczywiście coś w tym jest, „prawo wojny”. Pociężyli majora nasi prawnicy. Przy okazji otwierania karceru czasem stało tam kilku litewskich żołnierzy i słyszałem raz, jak jeden z nich powiedział: „Ten pan za prawdę cierpi”. To powiedzenie „za prawdę cierpi” słyszałem niejednokrotnie w Rosji podczas rewolucji rosyjskiej, ale nie to mnie zdziwiło, tylko to, że żołnierz litewski mówi do kolegów po pols-

ku, aczkolwiek z widoczną intencją żebym ja to słyszał. Karcer był oddzielony cienkim przepierzeniem drewnianym od łaźni w której często kąpali się litewscy oficerowie. Opowiadali sobie anegdoty, żarty, nucili piosenki ludowe i to wszystko po polsku. Gdy zbladło dla mnie widmo kary śmierci za obrazę Hitlera, kochany major Choroszewski naprawdę zatroszczył się o moje zdrowie i przysłał mi lekarzy. Stwierdzili rozkład białka w moczu. Zaalarmowano litewskiego lekarza. Przyszedł, zbadał mnie i dość pośpiesznie wyszedł. Po jakichś dwóch godzinach kazano mi przygotować się do drogi. „Nie chcę mieć wypadku śmierci w obozie”, podobno powiedział major Jakszas, niech umiera gdzie indziej”. Było zimno, leżał głęboki śnieg, wrzucono mnie i Kwaśnowskiego na otwarte sanie, przy nas siadł wartownik, w ostatniej chwili jakiś żołnierz litewski ściągnął ze mnie mój piękny koc, puszysty, ciepły, prywatny. I tak bez żadnego okrycia ruszyliśmy na dworzec kolejowy, by udać się do Kowna, a stamtąd na V-ty fort. W pociągu ludzie zainteresowali się nami, rozmawialiśmy po polsku. Jakaś młoda Żydóweczka próbowała uczyć mnie litewskiego języka. W Kownie postanowiłem przerwać głodówkę, zaproponowałem eskortie pójście z nami do bufetu, chętnie się zgodził. Krępował go karabin, upatrzył na sali bufetowej miejsce, gdzie mógł umieścić karabin i zasiedliśmy razem przy stoliku. Z wielką przyjemnością wypiliśmy szklankę gorącej herbaty i zjadłem bułeczkę z masłem i szynką. Po sali dworcowej od czasu do czasu przewijali się ludzie z wyraźnie przerażonym wzrokiem, w ubraniach które kiedyś były wojskowymi, a teraz z guzikami zaszytymi materiałem udawały cywilne. Z czapek też zdjęto orzełki, tylko wzrok niespokojny i zbyt nerwowe ruchy zdradzały byłych polskich żołnierzy. Nikt ich nie zaczepiał. Posileni udaliśmy się na V-ty fort. Przyjął nas pułkownik Kazauskas. Drzwi jego gabinetu uchyliły się i ukazało się w nich kilka główek dziecięcych, ciekawie przyglądających się nam, ale niebawem mamusia odwołała dzieci — po polsku. Przez żelazną ażurową bramę weszliśmy do fortu. Przed nami był wał ziemny a w nim łukowate kazamaty. Front niektórych kazamat stanowiła drewniana ściana a w niej drzwi, inne miały tylko ażurowe wrota i były albo puste, albo stanowiły magazyny jakichś rupieci. Wskazano nam naszą kazamatę. Mieszkało w niej już kilkadziesiąt żołnierzy wylapanych gdzieś na drogach przez szaulisów. Wśród żołnierzy spotkałem kolegę ppor. Eugeniusza Królikowskiego, kierownika szkoły w Nowej Wilejce. Kazamatę wypełniały piętrowe prycze, było tam parno i duszno, z zapoconego jedyne okna ściekała woda. Zaledwie ułożyłem się na górnej pryczy, gdy śpiesznie przybiegł żołnierz i wywołał moje nazwisko. Zabrano mnie z tej kazamaty i umieszczono w

pustej o ażurowych wrotach. Cementowa posadzka, ażurowe wrota — zimno, myślałem że zamarznię tam na śmierć. Co się stało? Otóż pułkownik Kazauskas przeczytał się w raporcie, który przyszedł za mną, że jestem niespokojnym awanturnikiem, wymagającym specjalnego doгляdu. Tymczasem nasi żołnierze wrzucili mi do kazamaty poprzez żelazne pręty kilka wojskowych płaszczy. Ułożyłem się na cementowej podłodze i okryłem jak mogłem tymi płaszczami. Nie było mi zimno, ale niebawem poczułem, że oblażył mnie wszy, dotychczas nie miałem ich. Nazajutrz pułkownik Kazauskas pozwolił mi wrócić do pierwszej zaludnionej kazamaty.

Wkrótce na V-ty fort przybył z Kalwarii pułkownik intendent Kosiba, dostał siennik na pryczy obok mnie, ktoś zawołał mnie po nazwisku. Kosiba zerwał się ze swojego siennika i zwrócił się do mnie: — To pan jest Kolator? Ucisnął mi rękę i powiada: — To z pańskiego powodu obóz w Kalwarii zaprotestował głodówką, która trwała półtora dnia i usunięto komendanta obozu majora Jaksztasa, a na jego miejsce przysłano jakiegoś bardziej ludzkiego pułkownika.

Po kilku dniach pułkownik Kazauskas przekonał się, że nie jesteśmy tacy groźni i sam okazał się też nie bardzo groźnym, tylko kazał nam pozaszywać guziki wojskowe na płaszczach i mundurach i zdjąć orzelki z czapek. Po oswojeniu się z nowymi warunkami pomyśleliśmy o naszej organizacji. Najstarszym wśród nas był major Wiktor Stoczkowski z 77pp., ale z jakichś tam względów niewygodnie mu było stanąć na czele lokalnej komórki, nie palił się do tej funkcji kpt. Kwaśnowski, wobec tego spadło to na mnie. A właśnie rozniosły się pogłoski, że bolszewicy organizują polską armię, że niebawem ruszymy na Niemca. Wypadało to sprawdzić. Gdzie? U źródła, w sowieckiej ambasadzie. Pożyczyłem od majora Stoczkowskiego cywilne ubranie, pułkownik Kazauskas dał przepustkę na wyjście do miasta i udałem się do sowieckiej ambasady w Kownie. Przyjął mnie jakiś wystraszony urzędnik i na wszystkie moje pytania odpowiadał: — *Nie znaju*. Wreszcie powiedział: *Wy łuczszje priditje zawtra*. Odpowiedziałem, że nie wiem czy jutro dostanę przepustkę. *Wsio rawno, prichoditje, kogda wam budiet wozmożno*. („Wszystko jedno proszę przyjść, gdy to będzie dla pana możliwe”). I tak nie dowiedziałem się niczego, ale już drugi raz bałem się tam pójść. Mówiono, że przychodzących do ambasady automatycznie fotografują już przy otwarciu drzwi. Bałem się, a nuż mnie tam zatrzymają. Nie poszedłem. Komendant V-go fortu nie był podobny do Jaksztasa, skoro nie miał żadnych przykrości ze strony internowanych, nie krępował nas zbytnio. Na małej przestrzeni V-go fortu dusiliśmy się po prostu i często

prosiłmśy o przepustki do Kowna, nie odmawiał. Pewnego razu będuć w Kownie na przepustce poznałem panią, Polkę, która w rozmowie powiedziała mi: „Proszę pana, przed 1918-tym rokiem Polakom na Litwie powodziło się dobrze. My mamy na Litwie piękny majątek ziemski, od wieków w posiadaniu naszej rodziny. Przyjaźniliśmy się z państwem Kosarskimi, pan Kosarski, Polak, był prezydentem miasta Kowna. Z chwilą powstania niepodległej Litwy mój mąż został ministrem w rządzie litewskim, żyjemy tu dotychczas w spokoju i dostatku”. Innym razem będuć w Kownie zaszedłem do hoteliku, przyjęła mnie recepcjonistka po polsku, niebawem zjawiała się właścicielka hoteliku, też mówiła po polsku. Na głównej ulicy zaszedłem do najlepszej w Kownie kawiarni — „KONRAD”, kelnerka skoro zobaczyła, że jestem Polakiem, powiadomiła o gościu właściciela kawiarni. Po chwili przyszedł do mnie poważny, tęgi pan, przedstawił się i powiedział kelnerce: — cokolwiek będzie zamówione dziś przy tym stoliku, proszę zapisać na mój rachunek. Dał mi też adres swego mieszkania i prosił żeby go odwiedzić, „żona jest Polką i bardzo się z tego ucieszy”. Skorzystałem z zaproszenia i podczas pobytu w Kownie zaszedłem do państwa Konradów. Rzeczywiście byli mi bardzo radzi. Żona Polka zaprosiła swoje koleżanki, niektóre były studentkami polonistyki na kowieńskim uniwersytecie. Mąż Litwin, przed rewolucją bolszewicką był właścicielem kawiarni w Moskwie, pięknie mówił po polsku i miał maniere europejskie. Wiedliśmy przyjazne rozmowy, gdy ja w pewnym momencie powiedziałem coś gwarą wileńską. „Ach, Bożeczka Ty mój — wykrzyknęła jedna z pań — z taką mową możesz przejść przez Litwa cała i nikt ciebie nie zaczepi”. Rzeczywiście nie słyhać było, by nasi byli zatrzymywani, choć można było poznać ich na pierwszy rzut oka, chyba żeby natrafili na szaulisów. Ci tak, zatrzymywali i jak potrafili, tak nam urągali.

Szaulisi — szowinistyczna paramilitarna organizacja litewska, coś w rodzaju naszego „Strzelca”. Szarogęsili się na Litwie nie zawsze zgodnie z intencją społeczeństwa, a czasem nawet i władz litewskich.

Wieczorami w forcie, szczególnie w niedziele i dnie świąteczne urządzałmśy koncerty. Było trochę instrumentów muzycznych, ale główną rolę odgrywała perkusja, wyróżniała się w tym głęboka studnia, pokryta drewnianą pokrywą, wybijany drążkami w pokrywę studni rytm potężnym dudnieniem rozlegał się po okolicy i zwabiał nam licznych słuchaczy. Koncerty te trwały czasem przez całe popołudnie aż do późnej nocy. Słuchacze tłumnie oblegali front, cisnęli się do bramy, by poprzez żelazne pręty podawać nam czekoladę, papierosy itp. Czasem wi-

downia dołączała swoje głosy do głosów naszego chóru. Często odchodziła wspólna „Lawonicha”. Były to naprawdę przyjemne wieczory, choć często miały posmak smutku i tęsknoty. Któżby się nie wzruszył przy dźwiękach i słowach: — Góralu czy ci nie żal”... albo przy: — „Rozszumiały się wierzyby płaczące”... W ten sposób nawiązywaliśmy miłe stosunki ze społeczeństwem.

Dla naszych żołnierzy, których było kilka dziesiątków, prowadziłem regularne pogadanki.

Nie wszyscy pensjonariusze na V forcie byli byłymi wojskowymi, sporo było cywilów, Polaków wyłapanych po drogach przez szaulisów. Nie wiem czy miał coś wspólnego z wojskiem redaktor Piotr Kownacki z *Dziennika Wileńskiego*, zastałem go na V-tym forcie. Nie musiał mieć więcej niż 40 lat, bo pamiętałem go z wieców akademickich na USB, teraz nieogolony, nie strzyżony, w zaniedbanym ubraniu cywilnym wyglądał na starca. Podał też że ma 56 lat, na tyle co najmniej wyglądał i wkrótce został zwolniony z obozu. Pułkownik Kazauskas nie odmawiał nam przepustek do Kowna, toteż zwiedzaliśmy je intensywnie, nie napotykając nigdzie na żadne przeszkody językowe, wszędzie rozumiano język polski, nawet w muzeum w Kownie widoczny był napis dużymi literami, — „Litwo, ojczyzna moja!”. Przy niezbyt rygorystycznych władzach litewskich mieliśmy styczność z otoczeniem, wiadomości z Wilna i w ogóle ze świata. Mieliśmy czasopisma, gazety. Dotarła do nas plugawa książeczka napisana przez Niemczyka (niewątpliwie pseudonim), nie pamiętam jej tytułu, zozydzał w niej życie prywatne prezydenta Ignacego Mościckiego. Kpt. Kwasnowski, który był dowódcą kompanii Zamkowej i znał stosunki na Zamku, stwierdzał, że książka zawiera absolutne kłamstwa. Docierały do nas *Nowe widnokreśli* redagowane przez grupę zdrajców we Lwowie. Tam popisywali się nasi znajomi z Wilna — Jerzy Putrament i Stefan Jędrzychowski. Ktoś życzliwy nadesłał nam broszurkę byłego pensjonariusza naszego fortu, Piotra Kownackiego. Broszurka była zatytułowana „Gdyby Dziadek żył”. Oczywiście „Dziadek”, to marszałek Piłsudski. W ów nieszczęsny czas zewsząd było słycać westchnienia: „Ach, gdyby Dziadek żył”. Wierzono powszechnie, że gdyby „Dziadek” żył, potrafiłby swoim geniuszem odwrócić nieszczęście od Polski. I oto na tle tych powszechnych westchnień Kownacki twierdził w tej broszurce, że gdyby „Dziadek” żył, byłoby to samo, co właśnie się zdarzyło. Może nawet zasadniczo miał rację, bo bez nowocześnie uzbrojonej armii i skąpych zasobów materialnych, nie mogliśmy nie ulec dwóm potężnym napastnikom, ale czy potrzebna była ta broszurka w takim czasie? Gasiła ostatnią isierkę pociechy. Nie podnosząca na duchu była też *Gazeta Codzienna* redagowana w Wilnie przez Józefa Mackiewicza.

Po powrocie w dniu 10-go czerwca 1940 roku z V-go fortu do Kalwarii zastałem tu warunki bardzo zmienione. Za koman-
dantury Jaksztasa 4-ch naszych oficerów próbowało uciezki z
obozu, uciezka się nie udała, a dwóch oficerów zostało postrze-
lonych przez wartownika. Teraz panowało jakieś rozprężenie,
prawie żadnych rygorów, major Czeczulowicz nie zawsze
wychodził z obozu w towarzystwie litewskiego kapitana, znali
go już wartownicy i nie zatrzymywali przy wyjściu z obozu.
Łatwo było o przepustkę do miasta. Skorzystałem z tego i raz
nawet zjadłem obiad w restauracji w mieście. Ludzie byli jacyś
apatyczni, osowiali, jakby w oczekiwaniu jakiejś katastrofy. Nie
trudno było teraz uciec z obozu, czy to na własną rękę, czy za
aprobatą naszych władz organizacyjnych. Taką aprobatę otrzy-
mali pułkownik artylerii Obtulowicz i oficer kontraktowy 5-go
pp. Leg. podpułkownik Achmed Kmeta. Ppłk Kmeta przeszedł
pod okupację niemiecką, bo uważał, że grozi mu tam mniejsze
niebezpieczeństwo. Ppłk Kmeta był bardzo lubiany w pułku,
toteż dwaj młodszy oficerowie odprowadzili go do linii rozgrani-
czającej okupację sowiecką od niemieckiej. W tym też czasie
dostał przepustkę na kilka dni do Wilna por. Janek Jurkowski
(rodzice jego mieli aptekę przy ulicy Świętojańskiej) dla zawarcia
małżeństwa z panną Kanafojską, córką kierownika szkoły nr 14
w Wilnie. Pozwolenie na zawarcie małżeństwa miał od ministra
Spraw Wojskowych gen. Kasprzyckiego, wojna temu przeszkod-
dziła, Litwini uwzględnili jego rację, udzielili mu przepustki na
dokonanie tego aktu. W kilka dni po ślubie Janek wrócił do
obozu. (Zginął potem pod Monte Cassino).

10 lipca 1940 roku podjechali pod obóz w Kalwarii bolsze-
wicy i przyszło to nieszczęście, którego nadejście ludzie prze-
czuwali.

Dziwny i niezwykle był nasz marsz z obozu do stacji kole-
jowej. Droga po obu stronach obstawiona była przez żołnierzy
sowieckich (Azjaci). Co kilkanaście kroków stał żołnierz z wil-
czurem. Nie dano nam żadnego transportu, trzeba było dźwigać
swoje rzeczy. Niektórzy nie mogąc ich udźwignąć rzucali je,
ludzie osłabieni długim pobytem w obozie, szczególnie starsi
wiekiem, mdleli, upadł pułkownik Pawlik z 1-go ppLeg., tym-
czasem eskorta dzikimi okrzykami, a niekiedy i kolbą karabinu
popędzała nas. Mężnie kroczył gen. Wacław Przeździecki.
Przechodzących przez miasto ludność litewska żegnała łzami i
znakiem krzyża. Stali ludzie w drzwiach, wypełniali okna i jakby
odrętwiali patrzyli na nas przerażonymi oczami. Czy widzieli już
w tym marszu i swoją przyszłość?

Na stacji kolejowej załadowano nas po 45 osób do towaro-
wych wagonów. Odebrano nam scyzoryki i zyletki, a poruczniko-

wi Romanowskiemu nawet i kamerton (nie wiedzieli do czego ten przyrząd służy). Upał był straszliwy, okna wagonów zabite deskami, duszno, dokuczalo pragnienie, nie dano ani kropli wody. Minęliśmy Kowno, ze ściśniętym sercem Wilno, zbliżał się wieczór, mijaliśmy Kolonię Kolejową, nagle usłyszeliśmy strzały, pociąg stanął. Ujądanie psów, krzyki eskorty, widocznie ktoś uciekł. Po chwili pociąg ruszył i znowu strzały i ujadanie psów. Pociąg zatrzymał się, okropny jazgot psów, krzyki i jęki. Nie mogliśmy rozstać się z Wilnem. Dowiedzieliśmy się potem, że w niektórych wagonach wyłamano deski podłogi i próbowano uciezki. Podobno jedna uciezka udała się, bo psy miejscowe napadły na wilczury eskorty i w tym czasie ktoś umknął. W nocy przybyliśmy do Mołodeczna, pociąg stał tu cały dzień. Poszerzano tory. Utkwił mi w pamięci obrazek. Wyglądałem przez szparę w wagonie, mijaliśmy stację Prudy, na peronie stał kolejarz w polskim mundurze i zęgnął nas znakiem krzyża, kreślonego w powietrzu. Pod wieczór przesiedliśmy się do rosyjskich wagonów.

Podobnie jak niemiecka, przybyła też do obozu w Kalwarii i komisja sowiecka. Działania jej nie obserwowałem, bo już siedziałem w V-tym forcie, natomiast wiem od kolegów, że zgłosiło się do niej kilka osób, bo obiecano im powrót do domu. Między innymi zgłosił się na powrót „do domu” por. Poczobut-Odlanicki, nauczyciel gimnazjum w Grodnie, nie wiem czy zobaczył Grodno, czy wprost powędrował do łagrów, bo potem jako „amnestionowany” zgłosił się do tworzącego się w Sowietach Wojska Polskiego. Widziałem go w Iraku już w szeregach 2-go Korpusu.

Komendant V-go fortu pułkownik Kazauskas spotkał się ze swymi byłymi pensjonariuszami z fortu w łagrze na Kołymie. Nazywał się już wtedy Kozłowski, chciał dołączyć do polskich „amnestionowanych”, ale mu w tym obywatelstwo przeszkodziło. Mówił mi o tym chorąży Pelc z 13-go pułku piechoty w Błagowieszczenec, bo razem z pułkownikiem Kozłowskim siedział w łagrze na Kołymie.

Alfred KOLATOR

Zygmunt WENDA

Z MARSZAŁKIEM ŚMIGŁYM

WSPOMNIENIA, Cz. I

Relacja płk. Zygmunta Wendy jest bezpretensjonalnym wspomnieniem z okresu internowania w Rumunii wraz z marszałkiem Śmigłym. W relacji uderza w pierwszym rzędzie przywiązanie do marszałka, którego nazywa „Panem” oraz uczucie do żony, Sławy, która była internowana na Węgrzech i brała bardzo czynny udział w organizacji ministra Piaseckiego, związanego ze Śmigłym, który intensywnie pracował na ucieczkę Śmigłego i jego przerzutem do Polski. W rękopisie, który dostaliśmy przypadkowo, jest cały szereg luk, jak np. nie można rozszyfrować wielu nazwisk, tak samo są nieścisłości w nazwach miejscowości rumuńskich. Te braki staraliśmy się w miarę możliwości uzupełnić, a w każdym razie zaznaczyć w tekście licząc na ewentualne uzupełnienia Czytelników.

Redakcja

7.IX.39 r. Silna kanonada artylerii — to już drugi nalot. Wróciłem do Sztabu i złożyłem meldunek Panu z wczorajszej wyprawy. Sytuacja bardzo przykra — w dodatku brak łączności i trudności z dowozem oddziałów. W rejon koncentracji oddziały przez długie odcinki idą pieszo. Dowiaduję się z K.O.P.-u, czy mają jakieś wiadomości o transporcie. Chyba dla uspokojenia komunikują mi, że wszystko w porządku.

Niespokojny jestem o Ciebie Paniusiu, gdzie TY jesteś i w jakich warunkach?

W przerwach w pracy parę razy widziałem walkę powietrzną naszych z Niemcami nad mostami na Wiśle. Wieczorem sytuacja na tyle się pogorszyła, że N(aczeln) W(ódz) musi opuścić Warszawę — grozi odcięcie od wschodu. Nie wpadłem już do domu, bo bałem się, że mogę być potrzebny. Wacek Stachiewicz nalega na wyjazd — Pan ociąga.

8.IX. rankiem, około godz. 3.30 wyjechaliśmy z Rakowieckiej. Mieliśmy na moście spotkać Sławoja, który miał z nami dalej jechać. Nie spotkaliśmy go ani w rejonie ZOO. Nie zna-

lazłszy Pan zarządził, że jedziemy tymi autami, którymi podjechalismy. Na szosie w kierunku Miłosnej ruch kilkoma kolumnami — samochodami, końmi, jak kto może, bałagan niesamowity. Straciliśmy z oczu Kutnika. Nie chcąc zostawić Pana wozu samego, wysiadam z auta, biegnę wzdłuż drogi, szukam wozu, przykro i wstyd pali lica, ale cóż zrobić. Wreszcie siadam za kierownicę za zgodą współtowarzyszy i prowadzę przez rów i skrajem lasu. Dr Cianciara zauważył wóz Pana, dociągnąłem i w dalszym ciągu jazda szalenie trudna. Już zupełnie jasno, cóż to będzie — myślę sobie — za masakra, jak nadleć bombowce. W pewnym momencie znowu ginie Kutnik (szofer), znowu poszukiwanie wozu Pana. Widzę p. Blumka (?), ma niewyraźny wyraz twarzy, tak on za dwa czy trzy lata nawet nie spodziewał się wojny.

Miłosna, Siedlce, nad Siedlcami aparaty dwa, okazuje się nasze. Biała Podlaska, zakłady lotnicze zniszczone, zaraz nad Białą Podlaską Pan się zatrzymał i mnie skierował do B. jako kwatermistrza.

Po rozmowie z gen. Kl(eebergiem) wróciłem do lasu. Pan chwilę zdrzemnął się. Obudził się i zameldowałem. Wsiadamy do aut, prowadzę. Po przejechaniu kilometra zatrzymują mnie i każą pod drzewami stawać i pokazują na niebo. Wyglądam i widzę klucz bombowców niemieckich. Stajemy. Uprosiłem Pana, żeby wysiadł z wozu. Artyleria nasza zaczyna grać. Po pierwszej salwie jeden z aparatów niemieckich zapalił się i po chwili spadł, słychać silną detonację opodal o 1 km. Przeszedłem na drugą stronę drogi, by lepiej zobaczyć. Jedziemy dalej.

9.IX. Pan w Sztabie. Był Beck. Rozmowy z gen. Sosnkowskim. Kleeberg (?) urzęduje z Mikołajem Łapickim na forcje nr 5. ...Przyjechał inż. Wędziagolski. Przybywa reszta wozów. Rakowski spaceruje z Panem i rozmawia. Byłem w szpitalu, bo nawalają mi oczy. Siedemnastu jeńców w szpitalu.

13.IX. Cały dzień we Włodzimierzu Wołyńskim. Sytuacja coraz gorsza. Nasi sprzymierzeńcy w dalszym ciągu nie zaczynają. Około godz. 24.00 wyjazd do Młynowa. Na kilka godzin przed wyjazdem przyjechał G. i przywiózł list strasznie serdeczny od Paniusi Najdroższej z kwiatuszkami. Dlaczego zostałaś w Tarnopolu, dlaczego nie chciałaś jechać dalej?

14.IX. Wczesnym rankiem przyjechalismy do Młynowa, gdzie zastalimy lotników — pełno maszyn instruktorskich zamaskowanych w parku — gdzie w przeciwnym końcu umieściliśmy swoje wozy. Sytuacja wprost tragiczna. Parę razy na bardzo wysokim pułapie Niemcy przeprowadzają wywiad. Około godz. 17 Pan wezwał mnie i wydał w obecności Tadeusza (?) dyspozycję, że ja prowadzę kolumnę. O 18-ej zrobiłem odprawę z kierowca-

mi, wydając dyspozycję odnośnie marszruty i zachowania na drodze.

Paniusiu, list Twój z kwiatkiem i Matką Boską, który od kolegów dostałem, noszę na sercu w mundurze.

15.IX. O godz. 19.00 nastąpił wyjazd. Jedziemy w ustalonym porządku. Zaraz po wyjeździe z bramy widzę, że mjr Koc (?) źle prowadzi, zamiast dojechać do traktu, jedzie połą drogą. Kurz niesamowity, nic nie widać, w dodatku Kutnik (szofer Pana) nie pali czerwonego światełka, szyba prawa uszkodzona, pole widzenia ograniczone. Naraz trach, wyraźnie czuję, jak samochód trzykrotnie koziółkuje. Czuję, że żyję, choć krew płynie z ust. Wołam Grzesiaka, co z nim, odpowiada mi, otwiera drzwi i wyciąga mnie z auta. Za chwilę była reszta kolumny, ale Pana wóz pojechał dalej. Posłałem płk. Münn(icha), by zaraz jechał za Panem. Robi mi się ciemno i słabo, dostaję gorącej herbaty i to mnie zdaje się ratuje od zemdlenia. Wyciągamy swoje rzeczy osobiste i umieszczamy na innym wozie. Mój samochód uszkodzony tak, że nie ma mowy o zabraniu go. Dołączamy do kolumny, gdzie zameldowałem Panu, nadrabiając miną, że wszystko w porządku. Ale żebra bolą nieprzyjemnie, bolą wargi i dziąsła.

Kamieniec zbombardowany, widzimy ślady bomb, różne barykady. Droga z Wiśniowca do szosy do Tarnopola straszna. Około godz. 1.00 dojeżdżamy do Wojew(ództwa) w Tarnopolu i dalsza marszruta na Kołomyję. W lesie na pld. od Kopczyńc Pan zarządza postój do godz. 5.00 lub później zależnie od (?). Wysłałem rtm. Tyszkę jako kwatermistrza. Zakwaterowaliśmy się w majątku p. M. (?) Był premier, Beck, Kasprzycki. Zakładają telefon. Rano bardzo silny deszcz. Pilotaż mjr Koc. W Zbarażu światła uliczne palą się.

16.IX. W mieście ruch bardzo duży, moc uchodźców, wojska, w dodatku święta żydowskie i Żydki robią promenadę. Bardzo wiele zrobiono, jeśli idzie o przygotowanie ochrony przeciwpowietrznej. Schrony, punkty opatrunkowe, wszystko opatrzone odpowiednimi znakami. Pierwsze miasto, które tak przygotowane spotykam. Był Szczapa Krzewski. Źle się czuje u Umiastowskiego. Omawiał sprawę P.O.W., którą zreferowałem Panu, który podzielił słuszność tego stanowiska i kazał wysłać Galinata. Będzie z nim rozmawiał Wacek (Stachiewicz?).

Pan prosi Skwarczyńskiego i Bogd.(?) na godz. 15-tą. Raczekiewicz już dostał zadanie, nie może się meldować. Był premier, Beck, Kasprzycki i Stachiewicz bardzo długo. Pan bardzo długo rozmawiał ze Skwarczyńskim. Wieczorem Pan pojechał do Sztabu. Okopy przeciwlotnicze zostały bardzo przyzwoicie wykonane. Wiadomości o bombardowaniu Tarnopola. Sławańka

na froncie, mój Boże! Było parę alarmów, latały pojedyncze rozpoznawcze, nie wiedzą, że tu Gł(ówna) Kwaterna. Nie mogę jeść, ani leżeć, ani chodzić — wszystko boli.

17.IX. O godz. 5 rano telefonował gen. Stachiewicz o ruszeniu bolszewików. Komunikat ros(yjskiego) radia brzmiał, że dla ochrony interesów własnych oraz interesów ludności ruskiej i ukraińskiej, wojska rosyjskie przekraczają granicę polską. Nóż w plecy! Pan ciągle pytał Jimma o te sprawy, tzn. o stosunek Sow(ietów). Nasze MSZ do ostatniej chwili zapewniało neutralne stanowisko bolszewików. Wystąpienie przekreśla możliwość maszerowania na południe — odetną to wszystko, co zostaje to ściągane na płd. Rano parokrotnie alarm — rozpoznanie. Był Beck z amb. Lipskim u Pana. Potem był Kasprzycki, a o 12-tej Stachiewicz. Mam pilnować, żeby zaraz był odjazd. Był Biłyk. Premier mu powiedział, że będzie z nimi rozmawiał, jak będzie na swoim terenie. O godz. 14-tej nastąpił wyjazd do Kossowa. Nie mogłem się uspokoić z powodu pozostania Sławeńki w Tarnopolu.

Po przyjeździe do Kossowa Pan z premierem pojechał do Kut na radę gabinetu. Uchwalono wydanie odezwy do narodu. Bolszewicy nie strzelają, przepuszczają dotąd nasze oddziały. Pod Śniatyniem mieli wpłynąć na Rumunów, żeby nie pozwalali naszym przekraczać granicy. Rumuni zastosowali się. Parokrotnie był u Pana Jaklicz. O godz. 18-tej wyjazd z Kut.

18.IX. Kolosalna ilość kolumn ciężarowych i osobowych. Do przeprawy przybyliśmy o godz. 1.30 w nocy. Mimo poleceń przejście absolutnie nie było regulowane. Na moście Czer (?) miał być Kasprzycki, amb. Raczyński i Berbecki, ale nie byli. Z jednej strony sierż. straży granicznej, z drugiej bardzo niesympatyczny oficer rumuński, por. Bonescu (?), który po kieszeniach obszukiwał naszych żołnierzy, jakiś przyzwoitszy oficer, ppłk żandarmerii rumuńskiej, zwracał uwagę Bonescu na jego zachowanie, a ten mu odpowiedział, że on jako oficer służby granicznej zna swoje obowiązki. Dzięki parokrotnej interwencji premiera Składkowskiego przeprawa odbyła się sprawniej. Zasadniczo odbierali wszystko, co należało do ekwipunku wojennego, choć nasi, oczywiście, nie wszystko oddawali. Pan był strasznie przygnębiony, odmówił nawet wypicia przyniesionej przeze mnie herbaty. Wsiadł do swego auta i siedział tam do godz. 4.00. O godz. 4-tej ruszyliśmy do Czerniowiec, spotykając po drodze różne grupy naszych ludzi. W Czerniowcach byliśmy o godz. 6.30. Mieliliśmy dla Pana kwaterę u metropolity, również i prezydent. Wymienili nam trochę pieniędzy na leje. Powiadamiają, że pociąg czeka na Pana. Na dworcu rozmowa Pana z Beckiem, który jest bardzo chmurny. Pan rozmawiał też z prezydentem, z

Kwiatkowskim i Ulrichem, dając mu instrukcje dla premiera Sławoja (rząd, po oddzieleniu go od Pana, może stać się ślamazarny). Czy poza tym rząd rumuński może gwarantować bezpieczeństwo Pana? Melduje się płk Strudze, który towarzyszy nam w drodze do Craiovej.

19.IX.39. Godz 6.00 rano, przyjazd do Craiovej. Na dworcu oczekiwał Pana wojewoda, prefekt i inspektor policji. Wojewoda wraz ze mną odwiózł Pana do Fundatia Culturala J. Mihail. Jest to zamek, który był oddany do dyspozycji Pana. W godzinach rannych parę osobistości złożyło Panu wizytę, zostawiając wizytówki. Póki co, opiekunowie nasi robią dobre wrażenie. Premier Calinescu ułatwił panu rozmowę z żoną. Niemców jest tu bardzo dużo. Restaurator, Niemiec, właścicielka cukierni Niemka. Ciekawe ilu i kto z naszych opiekunów pozostaje na żoldzie niemieckim? Rozbili na trzy grupy dla umotywowania odosobnienia Pana. I prezydenta odosobnili. Uświadamiają sobie, że Pan kieruje całością. Biedny Sławoj będzie miał dość z różnymi ministrami. Usiłujemy nawiązać kontakt z pozostałymi grupami, ale co ze Stachiewiczem. Jest połączenie z Czerniowcami. Rozmowa z Tomirem (Drymmerem). Prosimy, żeby z nimi utrzymywano łączność. Pytałem, co z oddziałami i żeby płk Czuruk wysłał kogoś na punkty przejścia. Prosiłem o powiadomienie Stachiewicza o miejscu pobytu Pana. Późnym wieczorem nawiązuję łączność z premierem Składkowskim, proszę o utrzymanie kontaktu. Dostaliśmy dziennik niemiecki wychodzący w Rumunii, co za straszne łgarstwa! Myślę o nocnych dyżurach, ale Pan nie poleca, mówi żebyśmy spali. Mam gdzie przynajmniej głowę złożyć i nie kładę się głodny spać!, a Ty, Bidulko Najdroższa, gdzie Ty się obracasz i w jakich warunkach. Nie mogę sobie darować, że Cię nie wywozłem z Tarnopola.

20.IX. W nocy przyjechała Pani z p. Róźatowską. Obie zajęły się nami bardzo serdecznie. Mnie wysłano do szpitala wojskowego na przegląd chirurgiczny i internistyczny. Po prześwietleniu stwierdzono naruszenie żeber. Jest telefon od Drymmera i Stachiewicza, który przyjechał do Craiovej lub Czerniowiec dla zorientowania się w sytuacji. Mówi o trudnościach, na jakie napotyka jeśli idzie o komisję mieszaną dla odbioru sprzętu. List od gen. Kruszewskiej. „Boję się o generała, nie ma warunków powrotu. Zdaje się, że nadal pozostaje w Armii Dęba”. Dostałem ubranie cywilne i zaraz przymierzyłem. Także koszulę, krawat i parę kołnierzyków. Pan dał mi pieniądze na zakup trzewików i kapelusza. Późnym wieczorem przyjechał płk Münnich. Pan rozmawiał z generałem Składkowskim. Są wiadomości o przekroczeniu przez nasze oddziały granicy węgierskiej, gdzie bardzo gościnnie ich przyjęto. Podobno oficerom nie odbierają broni.

Założono dwa radia bez anteny, słabo działają, choć Warszawę II złapaliśmy. Komunikat wojskowy — dzielnie spisuje się załoga.

21.IX. Zjawia się płk Brochwicz, mjr Gołąb, dr Cianciara. Opowiadają o bardzo serdecznym ustosunkowaniu się do nich ludności rumuńskiej. Polecono mi nawiązanie kontaktu z naszą ambasadą albo konsulem w Bukareszcie. Ambasada zastrzega sobie bezpośrednie rozmowy tylko przez konsulat. Po obiedzie zrobiłem Leicą zdjęcia Pana i innych, potrzebne do legitymacji, które ma wydać prefekt.

Rano był u Pana tutejszy wojewoda i zakomunikował, że przysługuje Panu prawo do 2-ch oficerów, 2-ch wozów prywatnych, 2-ch wojskowych i 2-ch ciężarówek. Reszta wozów zostanie zabrana, a ludzie odejdą do Tulcea (delta Dunaju). Pan prosił o pozostawienie dalszych 2-ch oficerów. Pan polecił płk. M. zrobić listę oficerów, z których pozostawia mnie i mjr. Krzecz-
k(owskiego) warunkowo płk. M. i mjr. Kaciukiewicza. Po południu dostaję polecenie powtórnie połączyć się z Bukaresztem i zawiadomić amb. Raczyńskiego: 1) o przyjeździe jutrzejszym Pana, 2) Raczyński ma być na miejscu lub w pobliżu, 3) szukać i mieć kontakt z gen. Carton de Wiart, oraz 4) zawiadomić, by żołnierze zgrupowani w obozie nie chodzili bez oznak i dystynkcji.

Wieczorem poszedłem wywołać fotografie do legitymacji. Pod sekretem powiedziano mi, że premier Calinescu zamordowany, niemiecka zakąła (?), napad na radio. Tak jak z Dolfussem w Wiedniu. Sądzę, że wyjazdu Pana jutro nie będzie. Bezpośrednio po kolacji otrzymałem połączenie z premierem Składkowskim. Poprosiłem do telefonu Marszałka. Rozmowa trwała zbyt krótko, bo Sławoj był na wspólnej sali i miał trudności w rozmowie. Obiecał łączyć się za godzinę. Dzwonił i rozmawiał z Panem. Pan odwołał wyjazd. Późnym wieczorem dostałem rozmowę z Raczyńskim. Podałem mu punkty i zapytałem, czy nie ma czegoś ważnego do zakomunikowania Panu. Oświadczył, że nie ma. I to jest ambasador, pierwszy kontakt i nie ma nic do zakomunikowania. Około godz. 23 radio rumuńskie podaje skład nowego rządu. Szef rządu, gen. Argesianu, ponoć bardzo energiczna jednostka, żołnierz nie polityk. Według inspektora należy liczyć na jego pomoc, jeżeli chodzi o nasze sprawy.

Słuchaliśmy całą grupą Warszawy II, przemawiał Starzyński. Jesteśmy pełni podziwu dla niego i dla całej załogi Warszawy.

Pan pytał o godzinę jutrzejszego wyjazdu, wyraził chęć pożegnania się z odjeżdżającymi.

22.IX. Zbiórkę zarządzono na godz. 8.45. Brochwicz złożył meldunek i pan przemówił do opuszczającej go gromadki. Przemó-

wienie po odtworzeniu dołączyć. Marszałek przemawia, a starym żołnierzom, którzy już trzecią wojnę przeszli, a o czwartej myślą, łzy ciurkiem z oczu się leją. Po uściśnięciu ręki przez Pana odjeżdżającym, przy krzyku Niech żyje Polska, niech żyje Marszałek, Pan polecił zająć miejsca. Odwiozłem ich na dworzec.

Craiova przybrana w chorągwie państwowe, do połowy masztu na znak żałoby (Calinescu) opuszczone.

Wyjechali: płk Brochwicz, Lewiński Zb., mjr Gołąb Wł., rotm. Mańkowski Ed., wachm. Eigin Eug., sierż. Rałke H., Kasprzykowski St., Mańka Wacław, Józwiak Bol., Kala Stefan, Baran H., Szafran Leon, Szapiołowski St., Trocha Ant., Sobkiewicz J., Łęgosz M., Raj Piotr, Samól Jan, Grela Jan, Mróz Jan, Szczepankowski K., Kamiński K., Dąbrowski J., Kady-szewski Kaz., Chodziński M., Burzyński Jan, Cękała T., Urbański Br., Milewski S.

Pozostali: płk Münnich Tad., Wenda Zygm., mjr Krzecz-kowski Jerzy, płk dr Cianciara H., mjr Kaciukiewicz K., Kutnik Henryk, Oleksiak Fr., Bartczak J., Żabuski Piotr, Fencki F., Sawicki M., Grzesiak J., Jazdowski E., Bibrówna Z., Róźatow-ska Regina, Wędziagolski Karol.

Przemówienie Marszałka (odtworzone): „Przed waszym odjazdem chcę się z wami pożegnać. Jestem przekonany, że nie na długo i że zobaczymy się znów. Nie myślałem, że do tego dojdzie, ale podlegamy prawom tego państwa, w którym znaleźliśmy się. Żegnając się z wami, chcę wam powiedzieć, że jestem głęboko przekonany i wierzę w to niezłomnie, że znajdziemy się znów w wolnej Polsce i że wróg, który ją teraz okupuje, będzie zniszczony. Nie dopuszczajcie do siebie ani na chwilę zwątpienia ani złych podszeptów. Nieraz w ciągu naszych dziejów przodkowie nasi znajdowali się w podobnych sytuacjach i ja sam w życiu moim przechodziłem ciężkie chwile. Zawsze jednak Polska wychodziła z tych przeżyć zwycięsko. I teraz wierzę głęboko, że to co przeżywamy jest przemijające i że znów spotkamy się w Polsce. Żegnając się dzisiaj z wami i dziękując za dobrze spełniony przez was żołnierski obowiązek, chcę byście z tą wiarą odchodzili, jak ja, głęboko wierzyli w nasze zwycięstwo. Przyjść mogą dla nas jeszcze nieraz ciężkie chwile, ale ostateczne zwycięstwo będzie nasze. Wierzę w to głęboko i dlatego nie upadajcie na duchu, trzymajcie się z wiarą i solidarnie z wiarą w nasze ostateczne zwycięstwo”. (Napisałem tak, jak zapamiętałem to przemówienie).

O godz. 15.30 mjr Krzeczowski rozmawiał z dyr. Ołpińskim; między innymi wspomniął o rozruchach, które miały miejsce w Bacau — wiele trupów — świadkiem gen. Żeligowski.

Następnie mówił gen. Składkowski, że gen. Stachiewicz przeszedł w rejon Bariad (?) Trosani (?). Mówił też o nocie rządu francuskiego do rządu rumuńskiego odnośnie ściągnięcia rządu polskiego do Francji.

Zdjęcia wczoraj zrobione nie udały się. Zrobiono nowe. Mjr Kaciukiewicz jest przy wywoływaniu ich i zabierze klisze.

Otrzymałem polecenie nawiązać łączność z ambasadą i zakomunikować o ewentualnym przyjeździe Pana do Bukaresztu. Poza tym Pan chce wiedzieć o kierunku odejścia gen. Faury i Carton de Wiart. Połączenie otrzymałem i rozmawiałem z p. Ponińskim. Rząd rumuński nie zgadza się na przyjazd Pana. Pon(iński) uważa, że skutki przyjazdu Pana w konsekwencji mogą być dla nas groźne. Na zwrócenie mu uwagi, dlaczego sami nic nie załatwiają, zwrócił mi uwagę, że on mówi w zastępstwie ambasadora, że radzi itp. Rozmawialiśmy dość ostro. Zwracał mi uwagę i tłumaczył, że my — wojskowi i Wódz — są internowani. Powiedziałem, że nie potrzebuję pouczeń. Spełniam polecenie swego szefa i proszę, by zbadać kierunek posuwania się gen. Faury i Carton de Wiart.

Po zameldowaniu Panu, dostałem polecenie nawiązania kontaktu telefonicznego z *attaché* wojskowym. Połączenie osiągnąłem z płk. Zakrzewskim. Bliższych informacji co do naszych oddziałów nie otrzymałem. Zakomunikował, że dziś wróci mjr Zimnal i jutro uzupełni wiadomości. Pytałem, jakie są możliwości wyjazdu z Konstanzu do Marsylii, jakie odchodzą i kiedy statki i jakie są ceny (chodzi o wyjazd jednej z osób).

Na zwrócenie uwagi odnośnie braku informacji ze strony amb(asady), usprawiedliwia brakiem ludzi i uważa, że należy to robić bardzo ostrożnie. To skandal, aby dotąd nie było od nich żadnych wiadomości. Dodatkowo kazał Pan, aby utrzymywać najlepszą łączność z Węgrami. Późnym wieczorem namówiłem mjr. K., by zasięgnął informacji u prefekta, czy nie mógłby mjr Z. (albo L.) wyjechać do Bukaresztu. Przed chwilą mjr. K. komunikuje, że prefekt ułatwi mu podróż, oddając do dyspozycji insp(ektora) policji. Zobaczymy, czy Pan pozwoli.

Słuchaliśmy radia, Warszawy II; czekamy na przemówienie płk. Lipińskiego. Mówił o obronie Warszawy, o oddziałach Dęba walczących w rejonie Rawy Ruskiej, o Lwowie i jego obronie.

23.IX.39 r. Rano przyszedł mjr X. z polecenia gen. z-cy d-cy Korpusu, który oznajmił, że przechodzimy pod opiekę wojska. Nowe zastrzyenie: pozostaje 2-ch oficerów i lekarz. Odchodzi inż. Wędziągolski i zabrać mają dwa auta wojskowe, dwa osobowe i ciężarowe. Dostałem polecenie rozmowy z Zakrzewskim.

Prosiłem go o nawiązanie i utrzymanie łączności z oddzia-

łami na Węgrzech, o interwencję u władz wojskowych odnośnie pozostawienia Wędziagolskiego i aut przyznanych wczoraj, o kontakt z gen. Faury i Carton de Wiart. Obiecał załatwić i skomunikuje się ze mną telefonicznie. Prosiłem, że gdyby przy rozmowie ze mną był gen. Faury, to żeby mógł mówić z Marszałkiem.

Przed przybyciem delegata d-cy Korpusu, mjr Krzecz(owski) miał możliwości skorzystać z pomocy prefekta i wyjechać do Bukaresztu. Pan jednak nie chciał, by Krzecz(owski) jechał sam, bo uważał, że to utrudniło(by) jego wyjazd. Mogliby powiedzieć, że jak Krzecz(owski) był, no to mógł wszystko załatwić. Od samego rana, zresztą przez cały dzień, ciągle utrudnienia i szykany. Pozostawiono dwa auta osobowe i auto ciężarowe. Reszta aut, późnym wieczorem, ma być zabrana. Co godzina następują zmiany. Gen. d-ca Korpusu, jacyś pułkownicy i majorowie rumuńscy. Kto by się w tym wyznał. Ustalono jednak, że mjr Krzecz(owski) jedzie do Bukaresztu. I wyjechał w towarzystwie inspektora policji, Cherbonescu o godz. 16-ej. Zawiózł list do premiera Argesianu. (Nie sądzę, by rząd niemiecki dyktował, ile ma być oficerów i ile wozów osobowych czy ciężarowych).

Incydent z płk. Zakrzewskim, który jakoby nie uznawał rozkazów Stachewicza, czy coś podobnego. Rozmowa Pana z premierem i wiadomość o masakrze przez policję legionistów Cordeanu (sprawa rum. dowiadujemy się, że jutro ma być u Becka Gafencu — minister spraw zagranicznych).

Wieczorem rozmawiałem z płk. Zakrzewskim. Już wie, że przyjedzie mjr Krzeczowski. Podobno Zakrzewski umówił rozmowę z Faurem na poniedziałek. Poruszyłem z Zakrzewskim sprawę incydentu ze Stachewiczem, odrzekł: „Powiedziałem po żołniersku, to co myślę”.

W dalszym ciągu historii z odebraniem wozów i wyjazdem ludzi. O godz. 11 w nocy przyjechał mjr rumuński, komendant transportu (chyba po te wozy, mój dopisek).

O godz. 12-ej wyjechał płk Münnich, mjr Kaciukiewicz, Z. Bibrówna, Oleksiak i Fencki. Wieczorem zachorował na kolkę nerwową ordynans Pana, Feliks. Na jego miejsce dałem Panu Grzesiaka, który teraz się zameldował i zajął pokój na górze i przy drzwiach otwartych czuwając spał.

24.IX. Telefon od płk. Emisarskiego o przekroczeniu: brygada płk. Maczka, brygada katowicka 1 p.s.p., komp. balonowa Jabłonna, 4 baony rez. policji, 2 baony obrony narod., ośrodki zapasowe 5 panc. art. Góra Kalwaria, sap. podolska brygada kawalerii i 11 dywizjon Łączność Zegrze, Jarosław, Stanisławów i dużą ilość sprzętu, szpitale z Brześcia, Sztaby OK V i X, Sztab gen. Dęba. Niektóre oddziały przeszły w bardzo dobrym stanie.

Węgrzy przestrzegając zasady uchwał międzynarodowych, rozmieścili naszych ludzi w 36 miejscowościach, zachowując związki organizacyjne. Prosiłem by sam, lub ktoś od niego, meldował się u Pana.

Wieczorem wrócił mjr Krzeczkowski, który nie przywiózł żadnych przyjemniejszych wiadomości, odwrotnie, daje się wyczuć duże niezadowolenie, brak zaufania do rządu, słyszy się dużo pretensji do Pana. Do późnej nocy rozmawiałem z mjr. Krzeczkovskim. Postanowiłem prosić Pana o ściągnięcie płk. Kowalewskiego z Bukaresztu, przywiązując do tej wizyty dużą wagę.

Pan rozmawiał ze Składkowskim. Potwierdza się wiadomość, że mają osobno rozmieścić oficerów, osobno szeregowych. Pan z tego bardzo niezadowolony i bardzo przygnębiony. Sławoj dostał w tej mierze rozkazy, ale czy się da temu zapobiec? Dostałem od mjr. Krzeczkovskiego autograf listu Pana do premiera gen. Argesianu. List bardzo charakterystyczny i bardzo ostry (prawie).

Wczoraj rozmawiałem długo z Panem. Polecił mi zastanowić się, kogo z osób cywilnych posłać na pracę do Paryża? Pan wyraził zgodę na sprowadzenie płk. Kowalewskiego. Z nim będę mówił. Kogo widzi w Bukareszcie i może się ktoś odpowiedni na tę robotę w Paryżu znaleźć. Pan polecił ściągnąć z Czerniowiec dyr. Drymmera, niestety po połączeniu telefonicznym stwierdziłem, że go tam już nie ma. Spróbuję rozmawiać z nim w Slanic, może będzie mógł wyjechać.

O godz. 18-tej rozmawiałem z płk. Münnichem i mjr. Kempskim (Tulcea). Rejon ten z powodu chorób (tyfus, malaria) odpada, zostaje przesunięty. Podaje trudności aprowizacyjne. Zabrano im wszystkie auta. Wspomina o trudnościach organizacyjnych. Uskarża się, że społeczeństwo polskie cywilne powoduje dezorganizację. Komendantem rejonu gen. Berbecki. Za najważniejszą rzecz uważają, i to słusznie, uniknięcie rozdzielenia oficerów od żołnierzy. Gen. Berbecki proponuje na 200 ludzi 4 oficerów. Oby mu się udało to przeprowadzić. Jutro mam otrzymać list-express od gen. Berbeckiego. Meldowałem Panu, który był zdziwiony, że Rumuni nie wiedzieli, że w tym rejonie są tego rodzaju choroby.

Późnym wieczorem rozmawiałem ze Składkowskim, prosiłem o przysłanie Tomira — chodzi o paszport.

26.IX. Dzisiaj rano komunikował nam inspektor Cherbonescu, że radio podało o śmierci gen. Sosnkowskiego!, i o przejściu na Łotwę gen. Żeligowskiego. Są to jakieś nieścisłości. Według relacji mjr. Krzeczkovskiego gen. Żeligowski miał być świadkiem zajść w Bacau?

Okolo godz. 6 wieczór dzwonił mjr Zimnal komunikując, że przyjeżdża Julek Piasecki. Okolo godz. 10.30 w nocy — przez okno — widzę na ulicy przy bramie jakiś ruch. Wybiegam z Grzesiakiem, by przywitać Julka. Robiono mu wielkie trudności z dopuszczeniem do nas, jakoby „ze względu na bezpieczeństwo Pana”. Wszedłem z Julkiem do pokoju przy dyżurce, gdzie udzielił mi szeregu informacji. Między innymi to, że ambasador francuski odmawia wizy wjazdowej żonie Marszałka. To nie do uwierzenia. Za tyle trudności, które Pan miał z polityką profrancuską, taka to nagroda. Przy pomocy i za pośrednictwem p. St. Zamoyskiego przez ambasadora Kennarda, otrzymała wizę angielską. Sądzę, że Francuzi teraz dadzą wizę tranzytową. Robota przeciw Panu idzie na całego. Niektórzy oficerowie pracują na niekorzyść Wacka Stach(iewiczza). Cała tutejsza ambasada nastawiona jest wrogo. Są wiadomości, że Rumuni oddadzą Sowiетom Besarabię. Rząd tatarski (?) wypowiedział miejsce naszemu posłowi. Wyjazd ministra estońskiego do Moskwy. Przyjazd powtórny Ribbentropa do Moskwy. Depesza Gamelina do Faury, by asystował Panu i zapewnił go o niezmienionych uczuciach itp., ponoć bardzo przyjemna. A tu ambasador francuski odmawia wizy. Czyżby to miała być gra? Czy rzeczywiście Sikorski działa poprzez rząd francuski bez wpływu na Gamelina? Konieczne jest powiązanie Pana z tymi oddziałami, które organizują się we Francji. Julek będzie jechał przez Craiovą do Francji. Mówił on o konieczności zorganizowania rządu, by członkowie tegoż mogli działać we Francji. Pan dzisiaj pytał mnie o ludzi cywilnych, którzy mogliby reprezentować nasze interesy we Francji. Po odjeździe Julka podałem Niezbrzyckiego dla prasy i Borkowskiego dla prac Julka (Piaseckiego). Zresztą namawiałem Julka bardzo gorąco na obu panów. Pan wymieniał wielu innych, a między innymi i Lepeckiego, ale nie wiem, czy on by się nadawał. Stachiewiczowi ambasada francuska odmówiła wizy do Francji. Oddziały polskie we Francji powinny być formowane przez Pana. Chodzi o przekazanie doświadczeń już nabytych. Należałoby nawiązać kontakt z Gamelinem, a tymczasem siedzi tam Sikorski i wszystko psuje. Julka Piaseckiego oczywiście nie wpuszczono, wrócił do Bukaresztu i będzie się starał w policji o widzenie z Panem. Zostawił mi list do Pana, jakby przeczuwał, co może go spotkać. Przed wyjazdem Julka mjr Krzeczkowski miał telefon, że w ważnych sprawach przyjedzie płk Zakrzewski. Co on może przywieźć? Albo coś z prezydentem się stało, albo Pana przesuwają i może bez nas?! Przed przyjazdem Julka, w czasie słuchania komunikatu z Londynu, po polsku, otrzymałem list od Berbeckiego, który Pan zaraz przeczytał. „Panie Pułkowniku, proszę zameldo-

wać, że koncentracja w okręgu Tulcea okazała się niemożliwą z powodu braku miejsca, złych warunków zdrowotnych (wg orzeczenia inspektora, płk. Cadera z Bukaresztu i za zgodą gen. Rupperta).

Rumuni rozpoczynają rozmieszczanie nas według zapadłych w dniu 23.IX. zarządzeń z Bukaresztu w rejonie od Orsova do Calareci (?) po 1000 do 2000 ludzi zasadniczo w koszarach. Pozwalają jednego młodszego oficera na 200 szeregowych. (Jak pogodzić to, odosobniają oficerów ze względu na stosunek szeregowych do oficerów. Czyż nie lepiej ubezpieczyć, zostawiając 3-5 oficerów niż jednego).

Generałów chcą zgrupować osobno w Herculanium, oficerów sztabowych do Calimanesti. Oficerów młodszych, bez funkcji dowodzenia, rozrzucają w trzech miejscowościach. Sprzeciwiamy się temu z całych sił i staramy się być razem z szeregowymi. Pierwsze transporty do nowych rejonów odchodzą dziś, 25.IX.39r. Samochody ciężarowe i osobowe (wojskowe i własne) w toku zdawania. Archiwum zdaje się uda się ocalić (Biura Historyczne i inne najcenniejsze) wraz z jednym autobusem. Trudności aprowizacyjne i organizacyjne pokonujemy przy dzielnej pomocy intendentury, przy wybitnej i ofiarnej pomocy płk. dr. Liebicha i grupy oficerów M(inisterstwa) S(praw) Wojsk(owych). Staramy się możliwie zwiększyć ład i porządek wprowadzić w zdemoralizowane tłumy. Większa część oddziałów (3/4 wszystkich) dowodzone energicznie i bez przerwy, zachowują wygląd zupełnie dobry. Posyłamy listem prywatnym na prośbę płk. Münnicha, staramy się uzyskać z Panem płk. połączenie telefoniczne. Inż. gen. Berbecki gen. broni.

Rano chciał Pan wyjechać „na spacer”. Mjr Krzczkowski rozpoczął starania. Najpierw prefekt, znowu ze względu na bezpieczeństwo Pana, zabronił wyjazdu poza Craiova, wobec czego Pan w ogóle zrezygnował. Tłumaczyliśmy naszym opiekunom, Cherbonescu i Petraki, żeby drugim autem jechali. Wreszcie się na to zgodzili. Podjechał Kutnik, jakaś taksówka była dla nich gotowa. Pan wyszedł, wsiadł z Wędziagolskim i Krzczkowskim, tymczasem Cherbonescu koniecznie chciał usiąść przy Kutniku. Pan tłumaczy, że brak miejsca, a on nie ustępuje, bo takie ma dyspozycje. Wreszcie Pan zirytowany wysiada i rezygnuje z jazdy, przy tym i nam się dostaje, żeśmy nie omówili dokładnie sprawy. Dr Cianciara i Krzczkowski grają wieczorem w brydża i czekają na Zakrzewskiego, ja chyba pójdę spać.

28.IX. Rano dzwonił Sławoj komunikując, że Francja wyrazi zgodę na Wieniawę. Poza tym, że Raczyński daje kontrę odnośnie przekazania Panu pieniędzy. Podobno dyr. Sadkowski parokrotnie zwracał się w tej sprawie do Raczyńskiego, a ten zawsze

utrudniał i odmawiał. Już po kolacji dowiaduję się, że przed bramą w aucie czeka gen. Kozicki. Czuje się trochę lepiej, są w drodze do Baile Herculanium, zostają na noc w Craiovej. Będę usiłował zobaczyć się z nim rano. Wieczorem słuchaliśmy komunikatu polskiego z Londynu — komunikują o kapitulacji Modlina. Więc to chyba ostatni punkt oporu. Boże! Jakże to szybko wszystko poszło!

„Żołnierze! Najazd bolszewicki na Polskę nastąpił w czasie wykonywania przez nasze wojska manewru, którego celem było skoncentrowanie się w południowo-wschodniej części Polski tak, by mając dla otrzymania zaopatrzenia i materiału wojennego, komunikację i łączność, przez Rumunię z Francją i Anglią, móc dalej prowadzić wojnę. Najazd bolszewicki uniemożliwił wykonanie tego planu. Wszystkie nasze wojska zdolne do walki były związane działaniem przeciw Niemcom. Uważałem, że w tej sytuacji obowiązkiem moim jest uniknąć bezcelowego przelewu krwi w walce z bolszewikami i ratować to, co się da uratować. Strzały oddane przez K.O.P. do bolszewików przekraczających granicę stwierdziły, że nie oddajemy naszego terytorium dobrowolnie. A ponieważ bolszewicy w pierwszym dniu do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali, więc sądziłem, że możliwym będzie przez pewien czas wycofać dość dużo wojska na terytorium Węgier i Rumunii. A chciałem to zrobić w tym celu, by móc Was następnie przewieźć do Francji i tam organizować armię polską. Chodziło mi o to, by polski żołnierz brał w dalszym ciągu udział w wojnie i by przy zwycięskim kończeniu wojny istniała armia polska, która by reprezentowała Polskę i jej interesy.

O tym najważniejszym celu musicie pamiętać! Choćby warunki naszego życia były najcięższe, musicie przetrwać nie zapominając, że jesteście żołnierzami, których obowiązuje dyscyplina i honor żołnierski. Ci, którzy ulegając słabości ducha albo podszeptom obcych agentów sięją wśród Was zwątpienie i chcą w Wasze szeregi wprowadzić rozprzężenie, ci ludzie są na usługach wroga.

Trzeba zacisnąć zęby i przetrwać. Położenie się zmieni, wojna jeszcze trwa. Będziecie jeszcze bić się za Polskę i wróćcie do Polski przynosząc jej zwycięstwo”.

Dziś były Wacka Stachiewicza imieniny; nawet życzeń nie wiadomo dokąd posłać. Choć przecież on wie, że ja mu zawsze dobrze życzę.

29.IX.39 r. Rano byłem w hotelu Palace, gdzie nocował gen. Kozicki, zastałem u niego płk. Bylinę. Zorientowałem go w sytuacji i wręczyłem ostatni rozkaz Pana i prosiłem o rozpozsechnienie w Herculanium.

Około godz. 13.30 wezwał mnie do telefonu mjr Piątkowski i powiadomił, że W. Stachiewicz internowany, nie wolno mu opuszczać kwatery. Rumuni źle się zachowują. Rozmawiałem z premierem. Prezydent podtrzymuje kandydaturę Wieniawy, ale gdyby Francuzi robili trudności, no to Raczkiewicz lub August (Zaleski).

O godz. 16-tej był przyjęty przez Pana gen. A. Aldea (?), d-ca dywizji. Zrobił przyjemne wrażenie, przekonał Pana, że rząd rumuński jest nam jak najbardziej przychylny, ale zbyt wielu szpiegów niemieckich się kręci, tak że rząd rumuński musi przestrzegać wszystkich formalności. Nasze rozmowy, widzenia i w ogóle wszystko jest z miejsca komunikowane. Pod wieczór rozmawiałem z jednym z lotników, który mi powiedział, że w Calafari (?) jest około 800 ludzi, w tym 150 pilotów.

Około 17-tej uzyskałem połączenie z Bukaresztem. Stan zdrowia prezydenta dobry, samopoczucie gorsze, przygnębiony. W rozmowach telefonicznych trzeba uważać, bo jest ciągły podsłuch.

30.IX. Rano poszedłem szukać Julka, niestety nie znalazłem go. Powróciłem i połączyłem się z Zakrzewskim. Dowiedziałem się, że nie wyjechał do Francji, gdyż miał trudności. Mjr Longman (?) wyjeżdża do Francji, obiecał wkrótce wrócić, by nas poinformować co tam się dzieje.

Około 13-tej telefonował Składkowski i powiadomił, że Francja zgodziła się na Raczkiewicza. Opinia ludzi że jest to człowiek słaby, ustępliwy politycznie, nie bardzo się orientujący. Sikorski będzie mógł nim kierować, a on w dalszym ciągu będzie na dwóch krzesłach siedział. O 16-tej zawiadomiono mnie, że przed bramą Skwarczyński, jedzie do Herculanum. Mówił, że wszyscy psioczą, wymyślają, mają pretensje do Pana i do rządu. Mówiłem z nim szczegółowo, że dobrze byłoby, gdyby wyjechał do Paryża. Jest mocno przygaszony, bo pani jego została w Tarnopolu jako naczelną lekarz.

1.X.39 r. Meldunek kpt. Brewińskiego. Zgrupowanie oddziałów W(ojska) P(olskiego) w rejonie Tulcea jest w trakcie odpływu do nowych rejonów zakwaterowania. Brak należytej organizacji ze strony rumuńskiej komplikuje sprawę odtransportowania i wytwarza niesamowity bałagan. Rumuni nie pozwalają absolutnie na przejazd samochodami do nowych rejonów zakwaterowania, które według danych otrzymanych od Rumunów przedstawiają się: generałowie — Herculanum, oficerowie sztabowi — Calimanesti, 1000 ludzi — Rumnicul-Sarat (?), 1000 dep. Własca (?), 1000 — R. Veleca, 2000 ludzi — Targu Iin (?), 2000 — Turoni (?), 2000 — Pitesti, 2000 — Slabonia, 2000 — Rosiori de Vada, 2000 — Matina (?), 2000 — Caracal. Pisze Brewiński: chcąc dalej kierować rozrzuconymi na dużej przestrzeni oddziałami w nowych rejonach, będę usiłował przenieść się do Calimanesti, miejsca postoju oficerów sztabowych wraz z Paskiewiczem, Kossakowskim i Ujejskim, z szefami służb i sztabem. Na razie z wymienionymi szefami oraz gros sztabu pozostają do końca przenoszenia się w Tulcea, Ruppertowi, Zają-

cowi udało się dostać w sprawach fachowych do Bukaresztu. Wobec tego, że Stachiewicz odejdzie do Herculanum, kwatery została przekazana Jakliczowi i przejedzie do Calimanesti.

Transport generałów przeszedł w dniu dzisiejszym do Herculanum. Pozwolono im zabrać ze sobą po jednym oficerze w stopniu do kapitana włącznie, jednym ordynansie osobistym oraz po jednym samochodzie osobowym z szoferem (platformy od samochodu doczepiono do transportu).

Udało się nam uzyskać od Rumunów zgodę na następującą kadrę oficerską: jeden oficer w stopniu podporucznika — kapitana na 50 szeregowych, z tego na każde 100 szereg. powinien być oficer w stopniu kapitana. Jeden oficer sztabowy na 500 szeregowych, poza tym do każdego transportu przydzielono 2-ch oficerów intendentury (gosp.) i 2-ch lekarzy. Jesteśmy w trakcie starań, by samochody osobowe, tzn. cywilne oznaczone lit. P. z wyjątkiem litery W (wojskowe) nie przepadły bez odszkodowania. W tym celu zaproponowaliśmy następujące załatwienie sprawy: zbiorowy zakup przez rząd rumuński wszystkich samochodów stanowiących własność prywatną osób wojskowych, w drodze przez specjalną w tym celu powołaną komisję skupu, względnie przesłanie samochodów drogą kołową do nowego rejonu zakwaterowania w mniejszych zgrupowaniach (20-30 wozów) pod komendą 1 oficera polskiego i wojskowej eskorty rumuńskiej.

Samochody te nie mogłyby być użyte do przewozu innych osób z wyjątkiem kierowców. Władze rumuńskie mają wypłacić po 300 lei na generała, 270 lei na oficera sztabowego, po 210 lei na młodsz., po 40 na pod(oficera) i 3 lei na szeregowca. Sprawa ta została zapoczątkowana, lecz idzie bardzo opornie. Wszyscy oficerowie uchwalili, aby otrzymywać tylko po 100 lei dziennie, pozostałą resztę (200, 170 i 100) przekazać na poprawę bytu szeregowych. Rodziny pozostają przy oficerach. Osoby cywilne mogą poruszać się po Rumunii bez specjalnych trudności, na podstawie otrzymanych przepustek w prefekturach, z wyjątkiem Bukaresztu, Bukowiny i Besarabii. Berbecki gen.

Z Wędrzagołskim udaliśmy się „pod opiekę” do kościoła, nie było nabożeństwa, zaledwie kilka osób w kościele. Po kościele poszedłem do Julka, gdzie spotkałem kpt. Ottockiego (?) i Dołęgę, którego chcielibyśmy mieć do funkcji kuriera między nami a obozami. Ustaliliśmy formy utrzymania łączności i pierwsze wskazówki dla komendantów obozu internowanych. Julka sprowadziłem do nas, jedliśmy obiad wcześniej.

Około 3.00 wezwał mnie Felician do telefonu; komunikują, że Sikorski objął premierostwo i ministra spraw wojskowych, Zaleski spraw zagranicznych, Adaś — skarż, Bukacki... oddziałów wojskowych. Wyjechała pani i Julek.

Po tym przyszedł p. Stefan Zamoyski i przyniósł wiele książek francuskich, niestety wszystkie Pan czytał. Zamoyski opowiadał wiele ciekawych rzeczy, osobistych przeżyć wojennych, wiele zdziałał też po przekroczeniu granicy, przede wszystkim zajął się p. Świerz-Zalewskim, kustoszem Muzeum Wawelskiego i umożliwił przekazanie tych zbiorów do Watykanu.

Julek P. przydzielony do sztabu. Przydzielono mjr. dypl. inż. J. Piaseckiego do Sztabu Sił Zbrojnych we Francji. Poza tym zabrał list do Raczkiewicza i gen. Gamelina. „Korzystam z możliwości przesłania listu do Francji, aby Panu podziękować za depeszę, o której treści dowiedziałem się pośrednio, gdyż z gen. Faury nie mogłem się dotychczas zobaczyć. Nie może dostać się do mnie. Nie piszę o przebiegu wydarzeń wojennych, gdyż je Pan pewnie zna z relacji gen. F(aury). Tych trudności, które mi Rumuni robią, nie spodziewałem się. Sądzę jednak, że to się zmieni, gdy Niemcy doznają pierwszych niepowodzeń wojennych na zachodzie. Dla Polski pierwszorzędną rzeczą jest zorganizowanie polskiej armii na terenie francuskim... w dalszym ciągu braliby udział w wojnie. Jestem przeświadczony, że to się da zrobić. Gorąco Pana proszę o pomoc pod tym względem. Oficerów da się nawet teraz, mimo trudności, dość dużo wyprawić z Rumunii jako osoby cywilne. Wysłałem do Paryża przez naszego *attaché* w Bukareszcie depeszę nominacyjną gen. Burch. Bukackiemu na dowódcę sił zbrojnych polskich we Francji. A ja żyję tylko nadzieją wyrwania się z tej beczynności do pracy”.

2.X.39 r. Rano o godz. 8-ej wezwano mnie do telefonu, wzywa płk Brewiński. Okazuje się, są w przejeździe do Herculanum (Berc., Tarop., Ujejski, Kossakowski). W Tulcea został Jaklicz. Stachiewicz za stawianie się Rumunom został przez nich wywieziony. Dokąd, nie wiedzą. Meldowałem Panu. Kazał przez Zakrzewskiego szukać Stachiewicza. Czy Zakrzewski to wykona? Chyba raczej Zimnal, a jeszcze lepiej, to zresztą podkreślenie Pana — robi to Janek Kowal(ewski). Po 10-tej wyszedłem z dr. Cianciarą szukać dyr. nauk. Faury. Puścili nas samych, a już za chwilę zobaczyliśmy opiekuna. Po wyjściu z cukierni spotkałem Szurleja. Jest bez paszportu, ale chce jechać do Francji. O godz. 13-tej wezwano mnie. Chce się ze mną widzieć. Okazuje się, że dyr. nauk. Faury. Powiedziałem, żeby czekał na mnie w parku do 2-ej.

Pan chciał odwiedzić Zam(oyskiego), a stamtąd do parku. Awantura przy wyjeździe — nie ma żadnego z inspektorów. Nawet i Zam(oyskiego) nie chcą wypuścić. Zdenerwowanie, ale nic nie pomaga. Zam(oyski) może spóźnić się na pociąg. Wreszcie w ostatniej chwili przyleciał szpicel MAX i wypuścił Zam(oyskiego), którego odwiózł Krzeczkowski.

Mission Militaire Française.

*Monsieur le Maréchal. J'ai l'honneur de Vous commmuni-
quer ci-dessous la teneur du télégramme que j'ai reçu du gen. Gamelin
le 22 spt et que je voulais Vous apporter moi-même: „Transmet-
tez au Maréchal Śmigły Rydz mes sentiments de fidèle amitié,
mon admiration pour la vaillance de l'Armée Polonaise, ma foi
dans la victoire finale”. J'ai dit à toutes personnalités polonaises
avec lesquelles je me suis trouvé en relations ces jours-ci que le
Général Gamelin vous avait conservé son entière estime. Soyez
assuré du regret que j'éprouve de ne pouvoir vous voir avant mon
départ pour Paris; l'on m'a fait savoir que cette autorisation ne
me serait pas accordée. Permettez moi M(onsieur) le Mar(échal) de
Vous remercier de la bienveillance que Vous avez bien voulu
m'accorder. Je conserve un souvenir ému des dures épreuves tra-
versées auprès de Votre Etat-Major.*

*Je reste de coeur près de ceux qui souffrent ici, après voir vu
tous leurs espoirs [...] par la supériorité matérielle allemande. Ne
désespérez pas! Le sang des héros est une semence qui lève toujours et
la cause de la Pologne reste sacrée pour tous les Français; pour moi
plus que pour d'autres et je n'ai pas que pour la mieux servir (?).*

*Veillez agréer, M(onsieur) le Mar(échal), l'expression de mon
profond respect (et) l'assurance de mon entier devouement.*

FAURY.

Spotkanie zostało zupełnie dobrze zaaranżowane. Mjr Krzeczkowski przywiózł najpierw dyr. nauk. Faury, a ja z Panem pojechałem później. Spotkanie miało miejsce w parku, gdzie bardzo długo rozmawiali. Cherbonescu zachowywał się bardzo przyzwoicie, za to Max chciał się koniecznie dowiedzieć, kto to jest. Na pożegnanie zrobiłem zdjęcie obu Panów. Mjr Krzeczkowski zabrał dyr. nauk., a ja z Panem pojechaliśmy do lasku i na plażę — popatrzeć. Dyr. nauk. uzależniał zmianę stanowiska we Francji (?). O 5-tej wyszedłem, Szurleja nie znalazłem, Pan był bardzo mało rozmowny przy herbacie, mocno przygnębiony.

3.X.39r. Pan znowu całą noc nie spał. Sądzę, że rozmowa z dyr. nauk. przyczyniła się do tego stanu.

Rano dostałem pocztę. Pisał Hartman: „Ileż słów i myśli chciałoby się do Was Kochanych napisać. My tu wszyscy przysyłamy najserdeczniejsze wyrazy czci i przywiązania dla Pana Marszałka i najlepsze pozdrowienia dla Was wszystkich. Dargiel Stefan wyjechał. Bywajcie zdrowi. Gdzie jest pani Sławańka? Niech Jurek K. napisze. Hartman.” I on o mojej Bidulce Najdroższej pamięta.

Otrzymałem kartę od Ziemiańskiego z Dragasani. Mjr Krzeczkowski kupił Panu dobre farby.

O 19.00 poszedłem do urzędu telefonicznego, bo u nas telefon nieczynny. Rozmawiałem z mjr. Laskowskim, komunikował o przyjeździe gen. Berbeckiego, Paszk., Ujejskiego i Koszakowskiego do Herculanium. Wydali 3 numery *Wiarusa*, komunikaty i artykuły ideowe — spec. przetrwanie, niedopuszczanie do zwątpienia. Chcą wydać następny numer. Nie mogą dostać rozkazu Pana od gen. Fabr.(ycego), który ciągle jest „zajęty” grą w karty. Akta Biura Historycznego i GISZ najbardziej tajne mają ze sobą, prosiłem by do dalszych rozkazów tam był.

Pytali czy nowy rząd jest w porządku. Wytłumaczyłem, że może nie taki w całości jak byśmy chcieli, ale należy uważać go za swój. Powiedziano mi, że gen. Berbecki wysłał list express. Późnym wieczorem dostałem list nr 3 od płk. dypl. Liebicha. Proszę zameldować jak niżej: Berbecki, Paszkowski, Kossakowski i Ujejski wyjechali do Herculanium w dniu 30.IX.39r. wieczorem na zarządzenie gospodarzy. Pierwszy z nich wyjechał urażony — głębsze powody nie są mi znane. Pozostawił mnie do dalszego urzędowania, jako swego pełnomocnika. Ustosunkowanie się do mojej osoby wszystkich kolegów, w związku z powyższym, lojalne. Gospodarze zarządzili, aby pułkownicy udali się do Herculanium, natomiast ppłk i majorzy do Calimanesti. Nowe rejony zakwaterowania ulegają ciągłym przesunięciom — przyczyn gospodarze nie podają do naszej wiadomości (wskutek tego dane umieszczone w liście nr 2 są nieaktualne). Mamy ciągle trudności pod względem żywienia i wypłaty pieniędzy. Wprawdzie znać mało znaczną poprawę, lecz system pozostaje ten sam w całej pełni.

Z rejonu Tulcea odeszło już kilka transportów. Cały szereg zmian ze strony gospodarzy odnośnie terminów wyjazdu i ilości odjeżdżających utrudnia nam bardzo sprawne zorganizowanie odtransportowania. Przestrzegamy ściśle pełnej obsady kadry oficerskiej w oddziałach, na co zresztą Bukareszt wyraził dziś swą zgodę.

Zestawienie dokładnej ewidencji osób wojskowych w rej. Tulcea napotyka na bardzo duże trudności z różnych powodów. Z tych względów nie podaję jeszcze danych odnośnie ogólnej ilości — liczby tych, którzy odjechali i tych, którzy mają odjechać, a uczynię to później, po przeprowadzeniu ewidencji, do której właśnie przystąpiliśmy i wyniki jej będą znane jutro, tj. 3-go wieczorem. Sprawa rejestracji samochodów osobowych postępuje naprzód i istnieją dane, iż część ich uda się uratować. W załączeniu przesyłam tłumaczenie zarządzeń wojskowych władz rumuńskich dotyczące nas bezpośrednio, przy czym — jak z powyższego wynika — zaszła zmiana, gdyż oddziały nasze przede wszystkim ze względów zdrowotnych miały opuścić rejon Tulcea, tymczasem pozostają na miejscu. Jakkolwiek powyższe

zarządzenia pochodzą od władz z Bukaresztu, moim zdaniem, może to wszystko ulec dalszym zmianom. A L. płk dypl. zał. 1". Po zaznajomieniu się z tym pismem Pan polecił mi zwrócić się do płk. Zakrzewskiego odnośnie pozostawiania oddziałów w Tulcea.

Tłumaczenie rozkazu władz rumuńskich: „należy przedsięwziąć wykonanie następującego rozkazu: oficerów, nie stanowiących kadry oddziałów, separować — wykonanie do dnia 3.X. Przedstawić wykazy... Na podstawie rozkazu M.S.W. rumuńskiego nr 923, teleg. z dnia 30.IX.39r. poleca wykonać co następuje:

1) Wojsko Polskie otrzymuje następującą kadrę oficerską: jeden oficer młodszy na 50 podoficerów i szeregowych. Jeden kapitan na 200 podoficerów i szeregowych, jeden major na 500 podof. i szereg., jeden pułkownik na 1000 podoficerów i szeregowych.

2) Dowódcą internowanych w rejonie Tulcea zostaje płk Valcanu, który otrzymuje pomocników z rezerwy ofic. rum. Do jego dyspozycji zostaje oddany oddział 50 żołnierzy rumuńskich dla patrolowania jako też policja w strefie internowania rejonu Tulcea.

3) Wojsko polskie zostaje skoszarowane według praw dyscypliny obowiązującej w wojsku rumuńskim. Zakazane jest wałęsanie się po miejscowości. Wykroczenia przeciw dyscyplinie będą karane z miejsca. O ciężkich wykroczeniach należy meldować teleg. do Ministerstwa S(praw) Wojsk(owych).

4) Wojsko Polskie wykonuje wszelkie czynności oraz przezozy dotyczące zaopatrzenia i utrzymania higieny (czystości).

5) Oficerowie mogą przebywać w mieście lub na wsi tylko poza godzinami służbowymi. W godzinach służbowych pełnią swe obowiązki.

6) Poczynając od teraz nie mogą samochody polskie jeździć lub przebywać na szosach i ulicach. Natomiast dozwolony jest ruch samochodowy posiadający specjalne zezwolenia żandarmerii, na podstawie rozkazu MSW rumuńskiego. Wspomniane samochody muszą być parkowane w mieście powiatowym pod opieką warty.

7) Do chwili wejścia nowego rozkazu samochody, stanowiące prywatną własność oficerów, pozostają z oficerami w garnizonach do czasu ewakuacji.

8) Wymiana złotych w garnizonach będzie uskuteczniiona według zarządzeń rumuńskiego banku narodowego. Niedozwolona jest wymiana pieniędzy w banku przez pojedyncze osoby.

9) Wyszczególnione na odwrocie zarządzenia należy ściśle wykonywać, gdyż wszelkie odstępstwa od nich mogą spowodować komplikacje dyplomatyczne, których musimy unikać.

10) Niniejszy rozkaz wchodzi w życie dn. 1.X.39r., g. 10.

Podpis nieczytelny

Prezes Wędziagolski długo rozmawiał z Panem. W paru zdaniach odtwarzam: oskarżenie mnie o to, że zrobiłem zbyt późno mobilizację, a przecież chciałem zrobić półtora dnia wcześniej. Przedstawiciele Francji i Anglii nie pozwolili mówiąc, że to będzie prowokacja. Te półtora dnia zdecydowały o tym, że nim się jednostki zebrały, zostały przez nieprzyjaciela w transportach mocno nadwerężone — utrudniona koncentracja. Oskarża się mnie o to, że się nie dałem zabić. Ja wiem, że mój powrót do publicznej działalności jest dla mnie zamknięty, ale chcę pracować, chcę coś robić, aby nie myśleć o rzeczywistości. Składkowski posiada wszystkie szczegółowe dokumenty świadczące o moich żądaniach w dziedzinie zbrojenia armii. Społeczeństwo... nie dorosło do tej sytuacji, szybkie rozprężenie, wytworzenie paniki, niemożność opanowania przez władze administracyjne.

Inż. Wędziagolski argumentował, że ta garstka rozbitków, która jest tutaj w Rumunii, nie jest wykładnikiem opinii społeczeństwa polskiego, że na pewno w narodzie żyję, jako bohater (!), który nie miał innego wyjścia, tylko przyjąć tę ofiarę, jaką Polska złożyła, bo wojna była nieunikniona. Powiedział, że nie wierzy, by rząd obecny był tak głupi, by nie rozumiał wagi Marszałka w narodzie polskim. Że dookoła Marszałka odbywała się gierka doktrynerów i przeciwników (na krótko przed wojną), na której czele stał Kwiatkowski, popierany przez prezydenta Mościckiego — zbrodnicza działalność.

Jedyny zarzut, który inni przeciwnicy mogą postawić, to że nie zrobił rewolucji, że nie zabrał władzy całkowitej w swoje ręce. Dwutorowość władzy demoralizowała i aparat urzędowy i społeczeństwo. Marszałek stwierdził, że to co widzimy, to jest dopiero początek. Przewiduje wielką zawieruchę dziejową, w której wszyscy wezmą udział — mapa Europy zostanie zmieniona... (?) odtworzy Armię Polską, pociągnie za sobą setki tysięcy, dlatego trzeba chronić swoje życie (Pana) i uchronić jak największą ilość żołnierzy zdyscyplinowanych.

4.X.39 r. Otrzymał list: „Dane mi zadanie starałem się wykonać możliwie najpełniej. Oddziały lotnicze, broni pancernej, saperów prędkiej przyjęły wygląd wojskowy i przy wyjeździe z Dobrudży (Tulcea) przedstawiały już zupełnie porządne wojsko. Kilkuset ludzi z wojskowej łączności i dużo cennego materiału oddaliśmy płk. dypl. Cepie. Najtrudniej było wprowadzić ład i jakie takie zdyscyplinowanie w rozcharatane resztki 23 i 6 dp i innych jednostek piechoty, ale transporty zorganizowanej piechoty, obserwowaliśmy z radością już znaczną wartość i zupełnie przyzwoity wygląd oddziałów, szczególnie jeśli porównać z oddziałami rumuńskimi.

Wydaliśmy z mjr. Laskowskim 3 numery *Wiarusa* na obczyźnie. Obecnie Skwarczyński oświadczył nam, że widział się z ppłk. (?) i że Pan oświadczył, że akcja w Paryżu jest uzgodniona z p. Marszałkiem i p. Prezydentem. Na tej też platformie myślimy dalej informować w razie możliwości oddziały i starać się, aby wbrew tradycji emigracyjnej nie było wśród szeregów żadnych różnic, lecz zupełna uległość i karność w stosunku do dyrektyw pochodzących stamtąd. Osobiście po wykonaniu możliwej pracy nad wniesieniem organizacji w szeregi, jestem gościem w Herculanium, dokąd przybyłem z moimi pomocnikami w mojej pracy, gen. Ujejskim, Kossakowskim, Pankowskim oraz mjr. Laskowskim, który stoi na czele Biura Historycznego, ma pod sobą archiwum paru instytucji, między innymi część naszych i kpt. Sakowskiego.

Czy uda się zrobić gen. Ruppertowi organizację sanitarną, która mogłaby ułatwić wiele rzeczy — nie wiemy. Ściskam dłoni i pozostaję z szacunkiem. Inż. gen. broni Berb(ecki)''.

Po obiedzie Pan polecił połączyć się z Felicjanem, by sprawdzić sprawę rządu we Francji. W urzędzie telegraficznym posterunek żądał legitymacji. Naturalnie był ze mną, jak zawsze, „ktoś”, tym razem Petraki, który się wylegitymował i mnie. W Słanic nie było Składkowskiego, wyjechał do Herculanium, a tamtejszego telefonu nie znają. Ale jest rozmowa z płk. Zakrzewskim, którego proszę o zaopiekowanie się Stachiewiczem. Już wyjechał do Herculanium. Proszę o ustalenie łączników z obozami; powiada, że takich łączników nie ma. Zapomniałem powiedzieć, że Pan prosi o zaopiekowanie się synami szefa (Sosnkowskiego), którzy są w Rumunii.

Mocno się ochłodziło, pożyczam palto od inżyniera albo od mjr. Krzeczковского.

Jak tam moja Bidulka, w czym ona chodzi, czy kupiła sobie coś ciepłego, ale za co? Za złote chyba nie. Chciałbym kupić dla Niej i dla Jej Matki jakieś serdaki ciepłe, ale czy płk Zakrzewski to prześle??! Malenka Moja w głodzie i chłodzie pewnie kładzie się spać. Mój Boże, jakże mi Jej żal!

5.X.39 r. List od Sławenki, ileż radości. Jednak Bozia się nią opiekuje, że pozwoliła Jej wydostać się omal cudem z Tarnopola. Mówiłem o liście Panu i czytałem w Jego oczach, że cieszy się moją radością, pytał o warunki w jakich się znajduje, jak sobie daje radę. Jakże Panu jestem wdzięczny za to uczucie.

Napisałem do Niej list i rozkaz Pana do rozpowszechnienia.

List od Józefa (?) (co przy cesarzu — chyba przy prezydencie): „List otrzymany, przeczytany i zrozumiany. Mój Pan powiedział, jakąż to była jedna i ta sama myśl. Nie mamy możliwości porozumienia się z wami.

P. Polakiewicz był 30.IX. godz. 11.40.

Przypieranie do muru trwało od 20.IX.39 r. Decyzja musiała być 30.IX. do godz. 12-tej w nocy. Wasz list dostałem 1.X. godz. 13.30. Nasz doktor i asystenci przenoszą się podobno w inne nieznanne miejsce. Mój Pan (chyba prezydent) prosił o możliwość wyjazdu celem pożegnania się. Pozwolenia nie udzielono. Był wczoraj syn Michaś — z Bruxelles. Wyjechał po kilku godzinach. Co dalej będzie, nie wiemy. Jesteśmy goli jak święty turecki. Jest tu rodzina Bobkowskich, dziek. Humpola, Huber i dr Jokiel i 22 osoby różne. Min. Łepkowski pełni w Paryżu swe obowiązki. Szef GW (?), zastępca, kilku kolegów i admirał z Pińska w Bukareszcie — w areszcie. Zdrowie jest, choć atmosfera do wiersza... Mój Pan posłał rezygnację przez amb. z Bukaresztu do JKMości. Wysłał telegram do prezydenta R.P. w Paryżu z wyrazami hołdu Majestatowi R.P. i życzeniami dobrej pracy dla Polski w ciężkich warunkach. Rząd doktora przysłał telefonogram pożegnalny. Mój Pan wysłał telegram bardzo serdeczny z pożegnaniem i podziękowaniem. Proszę mi napisać, czy wysłać odpisy. Mój Pan ma zamiar pracować w swoim fachu we Fryburgu w Szwajcarii. Mamy oświadczenie Sikorskiego, że jak się znajdzie p. Kaz. Ob. Szef Sosnkowski, to natychmiast podporządkuje się mu i przekaże swoje obowiązki. Mój Pan rozkazał mi, żeby przesłać najserdeczniejsze słowa i pozdrowienia dla swojego kochanego Brata i dla Wszystkich w domu Brata (tzn. dla Marsz.). Zawsze jesteśmy serdecznie razem z Wami. Żołnierskie wyrazy czci i pozdrowienia — co komu należy. Hartman. Proszę napisać parę słów o tym liście. Wyślemy dalsze”.

Wieczorem telefonował dyr. Ołpiński. Składkowski nie mógł się dodzwonić, bo tam u nich zepsuty aparat. Są w Herculanum.

Pan wspomniał, że w czwartek 31.VIII. Beck, po otrzymaniu wiadomości z Londynu, dzwonił do Pana około 10-tej wieczorem komunikując sytuację londyńską i oświadczając, że dzisiaj możemy spać dobrze i długo — co dalej nie wiadomo. No i o 5-tej rano wiadomo było, no i snu dłuższego nie było. Powrócił Pan znów do kroków ambasad Francji i Anglii oraz obu tych państw misji wojskowych w związku z mobilizacją, którą Pan był zmuszony cofnąć.

(Radia słuchają pewnie u kogoś z życzliwych Rumunów i referują Panu).

Raz w rozmowie poruszono nazwisko Łepkowskiego i jego przebiegłość. W 1918 r., kiedy namawiano go, żeby wstąpił do P.O.W., które było organizowane na terenie armii austriackiej, to

powiedział, że honor Polaka nie pozwala mu na złamanie przysięgi złożonej cesarzowi Austrii. A dzisiaj już urzęduje przy Raczkiewiczzu. Można sobie wyobrazić, jaki jest zadowolony August, że jednak po Becku on przyszedł — to dla niego największa osobista satysfakcja.

6.X. Charakterystyczny list od Bogdana. Sytuacja tutaj bardzo nieciekawa. Chłam ludzki. Nawet nie wiem, gdzie się to kryło. Łajdacka krytyka, ale nikt oczywiście nie przyjmuje współodpowiedzialności. Orientacja na Sikorskiego. Wiary uczciwej „do pola” mało. Rozejrzę się dokładnie i podam tych, co pod tym względem coś warcii. Ściskam mocno i czekam na *Befehle*. Bogdan — Calimanesti.

List od p. P. Bork., widać jest z żoną. Pisał do Kawalk., żona do Londynu, sam pisze jeszcze do Adasia Koca. Ponoć Matraś, Tręczk. i Dąbrowski (z Okęcia) chcą nas tu odwiedzić. Ryszard Wraga urzęduje — (gdzie?). Bodzio (pewnie Miedz.) nie może dalej jechać, bo mu zabrali papiery. Jest Marwin i Wyżeł. „Odczuwam odpowiedzialność” zadania, grupuję argumenty. Tym łatwiej o nie, że byliśmy krytykami, rewizjonistami, dalekimi od optymizmu i puchowego łoża. Pogawędki prowadzę. Proszę polegać na nas. (Kochany chłop) z kośćmi.

Podczas obiadu zameldował się u Pana gen. Marganu, komunikując, że należy się przygotować do zmiany lokalu. A tłumaczy to złym stanem kaloryferów na miejscu. Gdzie też nas rzucą, byle bliżej własnych oddziałów, by móc ten kontakt utrzymać. Prawdopodobnie w tej sprawie został przedwczoraj wezwany do Bukaresztu prefekt. Tylko od niego możemy się coś w tej sprawie dowiedzieć. Po obiedzie mjr Krzeczkowski pojechał odebrać prywatne nasze wozy, tj. Lassal, inż. Wędziagolski i ciężarówkę Chevrolet. Około 17-tej Pan z inżynierem Wędziagolskim wyjechali na spacer. W tym czasie dr Cianciara nakrył rumuńskiego podoficera, który buszował po pokoju Pana. Pan nie pozwolił z tego robić żadnego użytku w związku z naszym wyjazdem. Po kolacji poszliśmy z mjr. Krzeczkovskim, pod opieką Petraki, telefonować do prefekta. Był w domu, ale nie podszedł do telefonu. Krzeczkowski rozmawiał tylko z żoną prefekta. Mamy odejść gdzieś w okolice górzyste, ponoć bliżej Bukaresztu. Prefekt prosił o skomunikowanie się z nim jutro o godz. 10-tej w prefekturze. Pan chce, żebyśmy w wolnych chwilach uczyli się języków obcych i rozmawia z nami po francusku.

Mjr Krzeczkowski wrócił od prefekta.

7.X. Najprawdopodobniej jedziemy do Campulung. Miejscowość klimatyczna podgórska. Locio — Szczapa Krzewski pisze: „Zajmują mnie bardzo obserwacje. Byliśmy kiedyś zgodni z Głównym Pierwszakiem co do menażerii ludzkiej...”

Okolo godz. 16-tej przyjechał Raczyński, Morawski, Giedroyc i Wraga, który dłużej został — wyjechał koleją okolo 12-tej w nocy. Giedroyc rozpoczął już akcję. Słusznie uznaje kolejność pilności roboty w Ameryce, dobiera ludzi, poza tym robi prasę, tak tutaj jak myśli i o okupacjach i Francji. Chwilowo pełni obowiązki sekretarza osobistego Raczyńskiego, obiecał utrzymywać najżywszy kontakt. Z całą ufnością odnosi się do osoby Raczkiewicza — świnstwa żadnego nie zrobi, raczej ma zastrzeżenia do Kajetana Morawskiego (?). Prosiłem go o papiery i o zaopiekowanie się Batr (?) Borkowską — przyrzekł. Po tym był u mnie Racz. i pytał, co ja zamierzam zrobić. Powiedziałem, że będę jak ten pies do ostatka przy Panu. Ale co razem zamierzacie robić? Wyjaśniłem, że nie zamierzamy tutaj zostać, Pan tylko obawia się, czy jego ewentualne stąd odejście (ucieczka) nie odbije się ujemnie na tych, którzy tu są. Za tym trzeba ulegalizować, załatwić sprawę wyżywienia, zakwaterowania i żołądu dla tych, co są tutaj. To Pan ciągle podkreśla jako najpilniejsze, jak i na Węgrzech, następnie jak najwięcej materiału ludzkiego wysłać jako kadrę do Francji. Sami „postaramy się” też oczywiście przy waszej z zewnątrz pomocy. Zgodził się. Odjechali, a Wraga został. O 18-tej dowiadujemy się, że przyjechał Julek Piasecki. Umawiamy spotkanie w kawiarni. Idę tam, a za mną szpicel Max. Spotykam Julka, straszna radość, idziemy do hotelu, a Max czeka na dole. Julek orientuje mnie w sytuacji i bardzo jest zdziwiony, że nie wiemy o jego przyjeździe. Wysłał 4.X. szyfrowaną depeszę do ambasady, może nie dostali, albo — co pewniejsze — nie dali nam znać. Później Wraga zapewniał, że o depeszy nic w ambasadzie nie wiedzieli. Otóż, jak było do przewidzenia, Raczyński jest człowiekiem bez charakteru, skarżył się, że nie dostawał żadnych instrukcji, że pewnymi uczuciami jest związany z Władysławem Sikorskim. Ale przecież w przemówieniu swym dwukrotnie wymieniał imię Komendanta. Rząd się zgodził i oni przysięgali na Konstytucję Kwietniową, a to jego osiągnięcia. Skład rządu premiera Władysława Sikorskiego: wicepremier — Stroński, bez teki — Haller, Ładoś, Stańczyk PPS, zarezerwowane miejsce dla Mikołajczyka. Adaś Koc, Zaleski. Okazuje się (Łepkowski), że Pan Prezydent koniecznie chciał Blumka (?), najzdolniejszego z Polaków i jak teraz wygląda, jaka była wspólna myśl — jeszcze te kłamstwa. Wypląnął Wieniawa, na którego nie tyle Francja, ile Morg'owcy nie zgodzili się. Wtedy dopiero Władysław Raczkiewicz. Zimne przyjęcie Julka przez Łukasiewicza, pretensje do Pana, nie może być mowy o przyjeździe Pana do Francji, obawia się o życie Pani Marszałkowej, kiedy Julek tłumaczy im te sprawy i daje do przeczytania ostatni rozkaz Pana. Powiada Łukasiewicz o rozka-

zie, że to jest samoobrona, nie było wypadku w historii, by Naczelnny Wódz wojsko zostawił i sam pierwszy uchodził. Pewnie chciałby, żeby Pan sobie w łeb strzelił, albo do niewoli poszedł. Raczkiewicz opowiada o przyjęciu Sikorskiego przez Daladiera i Gamelina, jak obaj na szyję się rzucili. Sikorski, gratulując i ciesząc się, że on jest tym szefem rządu. Wiele mówił Raczkiewicz o jego popularności (Sikorskiego) itp., chociaż zapewniał o niezmiennych uczuciach do Pana. Adaś oklapnięty, nigdy zresztą sztywny nie był. Organizacja wojska w Paryżu postępuje. Francja jednak robi to bardzo ociężale. Anglicy są bardziej pozytywnie nastawieni i przychodzą z większą pomocą, tak z forszą jak i w sprzeczce. Gen. Carton de Wiart ma pretensję, że Pan go rzadko przyjmował, że żona premiera w niesamowity sposób wyrażała się o Anglii i Anglikach. Miało to miejsce, Pan wielokrotnie oponował, ale przecież to Francuzka, a więc dlaczego do Pana pretensje? Te wiadomości chyba od Sapiehy, żeby na tyle nie mieć godności narodowej, żeby takie rzeczy opowiadać Anglikowi. Bukacki i Norwid trzymają się morowo, choć w tej chwili Sikorski ograniczył ich działanie do kierowników misji. Fyda stawia zarzuty, że Kasprzycki, jak przyjechał, włóczył się po różnych lokalach, a nie pracował, zgodził się na termin rozpoczęcia akcji *plus tôt que possible*. Pan zdemontował — brzmi: w 15-tym dniu mobilizacji, że nic nie chciał, żadnej pomocy technicznej, kiedy Francuzi mówili, że wytrzymacie 3-4 miesiące — obliczał 8-12 miesięcy. Komisja Kossakowskiego i lotnicza zażądała także sprzętu i poprawek, że przedłużyło to dostawę o 1/2 roku. Bukacki Julkowi, który miał przydział do Sztabu Głównego tamt. odpowiedział, że sztab (Arciszewski, Kędzior, Szewczyk) nie zgadzają się na niego — toż to tylko polityczna rozgrywka. J.(ulek) Piasecki, prof. MSW(ojskowych), nie nadaje się do ich zespołu (?). Około 9 wieczór wróciłem od Julka. Zreferowałem Panu. Pan ustalił wyjazd ekipy II Oddz. ze Smoleńskim i Ryszardem Wragą do Francji, po czym Wraga ma jechać do Ameryki. (Przy rozmowie był Piasecki, który przyszedł). Mówiono o koncepcji wyjazdu Pana do Kanady. Pan zabiera się do pisania listów dla Ryszarda, jeden do Malinowskiego, drugi do Koca. Poleca Pan Smoleńskiemu, by pieniądze zostawił... (?) lub Rysz., gdyby Jaklicz oponował, to powiedzieć mu, że to z Pana rozkazu. Ja doszedłem do siebie, tak się dobrze złożyło, że dostałem od Petraki (Rumun) 40 dol. i 550 lei, które przy okazji Ryszarda lub p. Wolskiego, który jedzie do Budapesztu, chcę swojej Sławieńce posłać, niestety więcej Jej przesłać nie mogę, bo nie mam, a tam przecież flota tak bardzo jest Jej potrzebna. Wraga mówił o trudnościach Tadeusza M. z wyjazdem, o odmowie, o dużych stara-

niach ze strony Żegoty, wreszcie o rozmowie z dyr. nauk. (Faurym). T.M. wreszcie po daniu słowa honoru, że nie będzie prowadził politycznej roboty, zezwolenie na wyjazd otrzymał.

Jak się okazuje, Raczkiewicz żąda, by dla ciągłości funkcji Pan zrzekł się na jego ręce funkcji Naczelnego Wodza, gdyż będąc internowany, pełnić jej nie będzie mógł. Ze on postara się nominację przeciągnąć najdłużej. Przed samym wyjazdem Julka z Paryża, Łepkowski telefonował z rozkazu Raczkiewicza, aby nie było nieporozumień, że odciąganie to sprawa 2-3 tygodni. Już widocznie były rozmowy i Pan... 4 (?) przeszedł na zastępstwo. Pan powiada, że nie widzi potrzeby załatwienia tego w ten sposób, wnioskując, że już został wydany akt nominacyjny dla p. Władysława Sikorskiego, bowiem według informacji gen. Malinowskiego, Bukacki objął szef. Sztabu. Sytuacją wytworzoną ani nie był zdziwiony, ani zaskoczony, przewidywał ją, aż do załamania się pewnych ludzi włącznie.

Wradze dałem list i forszę dla Sławenki. Wraga chciał zostawić dla nas dolary — nie przyjąłem. Około 11-tej Wraga odjechał eskortowany przez policjanta na dworzec. Z Julkiem umówiłem się na godz. 10 rano. Ciekaw jestem, czy otrzyma pozwolenie na widzenie się z Panem, czy musimy szukać takiego spotkania z Faury? Pan dał cywilną fotkę Wradze — kp. N. w dobie ciężkich prób. Ostatnia fotka Pana, którą u siebie przechowałem.

Dalszy ciąg nastąpi

Zygmunt WENDA

CI, CO ODESZLI

Kazimierz BRAUN

JERZY BRAUN (1901-1975)

Życie i dzieło Jerzego Brauna należą do historii polskiej literatury, filozofii i myśli politycznej oraz do historii i tradycji polskiej walki o wolność i niepodległość. Apogeum tego bogatego żywota przypadło na sześć dni pomiędzy 27 czerwca a 1 lipca 1945 r.

Dnia 27. VI. 1945 odbyło się w Krakowie posiedzenie Rady Jedności Narodowej, której Jerzy Braun przewodniczył od kwietnia tegoż roku¹, po podstępny aresztowaniu i wywiezieniu przez Sowieców (wraz z szesnastoma przywódcami podziemia) poprzedniego jej przewodniczącego, Kazimierza Pużaka. W posiedzeniu brał udział pełniący obowiązki Delegata Rządu na kraj (po Janie Jan-kowskim) Stefan Korboński, który złożył, wcześniej już zapowia-daną, rezygnację, przekazując swą funkcję Braunowi². Tak więc od 27. VI. 1945 Jerzy Braun był zarówno Przewodniczącym RJN jak i pełnił obowiązki Delegata Rządu na kraj.

Władze Polski podziemnej, wraz z całym narodem, były w tragicznej sytuacji. Politycznie określały ją: w kraju — narastający terror sowiecki i przybycie z Moskwy tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z Mikołajczykiem jako wicepremierem, a na arenie międzynarodowej — zbliżające się nieuchronnie uznanie tego ciała

1. *Armia Krajowa w dokumentach*, Londyn 1991, t. V, s. 434.

2. S. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, Paryż, 1975, s. 239.

przez USA i Wielką Brytanię, z równoczesnym wycofaniem go prawowitemu rządowi polskiemu. Stronnictwa uczestniczące w RJN postanowiły ją rozwinąć. Jerzy Braun napisał ostatnie dokumenty Polski Walczącej. Były to: *Odezwa Rady Jedności Narodowej do Polaków*, *Odezwa Rady Jedności Narodowej do Narodu Polskiego i do Narodów Sprzymierzonych* oraz *Testament Polski Walczącej*³. Wszystkie one zostały uchwalone 1. VII. 1945. Pierwsza odezwa była jeszcze jednym głosem oburzenia, potępienia i sprzeciwu wobec haniebnego moskiewskiego procesu szesnastu przywódców Polski podziemnej. Druga ukazywała wkład Polski w zwycięstwo sprzymierzonych narodów nad Niemcami, przypominała cele wojenne i program Polski Walczącej oraz analizowała politykę Rosji wobec Polski. W dalszym ciągu dokument zawierał i motywował decyzję Polski Walczącej o rozwiązaniu RJN oraz przedstawiał w zwięzłych punktach *Program demokracji polskiej*. Całość zamykał potężny i pełen godności *Testament Polski Walczącej*. Dopiero za naszego życia spełniają się niektóre jego postulaty: „zaprzestanie prześladowań politycznych” (...) „zaprzestanie dewastacji gospodarczej kraju przez władze okupacyjne” [sowieckie] (...) „zapewnienie niezależności polskiej polityki zagranicznej” (...) „stworzenie pełnego samorządu terytorialnego, społeczno-gospodarczego i kulturalno-oświatowego” (...) „swoboda walki klasy robotniczej o jej prawa w ramach nieskrępowanego ruchu zawodowego” (...) „oparcie powszechnego, demokratycznego nauczania i wychowania na zasadach moralnych i duchowych dorobku cywilizacji zachodniej i naszego kraju”. Inne postulaty czekają jeszcze na spełnienie: „opuszczenie terytorium Polski przez wojska sowieckie” (...) „dopuszczenie wszystkich polskich stronnictw demokratycznych do udziału w wyborach” (...) „Naród polski jest członkiem wielkiej rodziny narodów środkowo-europejskich, a w szczególności zachodnio-słowiańskich, z którymi związany jest przez swe położenie geopolityczne i przeszłość historyczną i pragnie wejść z nimi w najściślejszą wspólnotę polityczną, gospodarczą i kulturalną⁴.

Historia, z jakąś niezwykłą logiką, powierzyła napisanie tych dokumentów człowiekowi, który był z powołania i z zawodu pisarzem, z zainteresowania i praktyki historiozofem. Ponieważ zaś nie był zawodowym politykiem, tylko ideowym wolontariuszem w polityce, przez długie lata zarówno zawodowi politycy, jak i zawodowi historycy, a także spisujący historię wojskowi, mieli trudności z określeniem roli Jerzego Brauna w Państwie Podziemnym⁵. Zapewne teraz, gdy prezydentem Czechosłowacji jest dramaturg, a prezydentem Litwy muzykolog, łatwiej będzie zrozumieć i opisać wkład

3. Teksty te współredagował Zygmunt Zaremba. Napisał je Jerzy Braun, co potwierdza analiza ich treści, stylu i frazeologii.

4. *Armia Krajowa...*, j.w. s. 474-484.

5. W tekście niniejszym nie wchodzę w kompetencje historyków. Przypominam jedynie, w oparciu o źródła pisane, sylwetkę mego stryja.

Jerzego Brauna — poety i filozofa — w polską historię II wojny i lat komunistycznego terroru. A była to rola ważna. Sam zaś był on osobowością wybitną. Wielu ludzi przyznawało mu wielkość.

Urodził się 1 września 1901 w Dąbrowie koło Tarnowa. Jego ojcem był Karol, notariusz i działacz sokolski. Matka, Henryka, była działaczką organizacji kobiecych, później komendantką krakowskiej horągwi harcerek. Miał troje rodzeństwa. Najstarszy brat, Kazimierz, był legionistą, zginął w 1920 r. jako lotnik. Młodszy brat, Juliusz, był harcerzem, potem prawnikiem, działaczem społecznym, więźniem politycznym; jest ekologiem, krajoznawcą. Najmłodsza siostra, Jadwiga, została aktorką; więziona w sowieckim łagrze, była później kierownikiem Teatru 2-go Korpusu; jest niestrudzoną organizatorką życia artystycznego w Ottawie. Formację Jerzy Braun zyskał w domu rodzinnym, w którym atmosfera była patriotyczna, cechowało ją przywiązanie do tradycji, kult literatury i sztuki, nastawienie na pracę społeczną i służbę narodową.

Jerzy Braun był uczniem gimnazjum w Tarnowie. Związał się z harcerstwem. Został z czasem komendantem hufca w Tarnowie. Wydawał czasopismo *Czuwaj*. Pisał i komponował pieśni harcerskie, z których najbardziej znaną jest *Płonie ognisko i szumią knieje*. W wojnie z bolszewikami był ochotnikiem, służył w artylerii. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1922 r. wydał swój pierwszy tomik poetycki *Najazd centaurów*. Łącznie wydał 14 tomów wierszy i poematów. Poezja była przez całe życie jednym z zasadniczych tworzyw, jakimi się posługiwał. Stylistycznie wywodziła się z romantyzmu; jej treści i cele były filozoficzne. Pisał też powieści i dramaty; jeden z nich, *Europa*, został wystawiony przez Stefana Jaracza w Teatrze Ateneum w Warszawie w 1933 r. Napisał scenariusz do filmu *Huragan* (1927) o Powstaniu Styczniowym, który również wyprodukował. Przed I wojną należał do grupy poetyckiej „Sympozjon”, a po niej do „Helionu”. Po II wojnie uczestniczył w grupie „Próg”. Był czynny jako wydawca, redagując w latach 1924–26 *Gazetę Literacką* w Krakowie; publikowali tam m.in. Polewka i Kruczkowski.

Od początku lat trzydziestych zainteresowania Jerzego Brauna objęły filozofię, zwłaszcza polską, z okresu XIX w. ze szczególnym uwzględnieniem dzieła Józefa Hoene Wrońskiego. Komentowaniu, propagowaniu i rozwijaniu jego myśli poświęcił wiele studiów, rozpraw i artykułów oraz kilkanaście książek. Wydawał w Warszawie w latach 1932–39 czasopismo *Zet* (i Bibliotekę *Zetu*) poświęcone zagadnieniom filozofii, kultury i literatury; zapewnił sobie m.in. współpracę Witkacego i Czechowicza. Mieszał się też w *Zet-cie* do polityki — po zajęciu Austrii przez Hitlera wydał numer w czarnej obwódce.

W czasie oblężenia Warszawy w 1939 r. był czynny w obronie cywilnej. Następnie wyjechał do Krosna, do domu rodziców swej żony, Hanny. Tam natychmiast przystąpił do organizacji podziemnej

stworzonej przez Zygmunta Sobotę⁶. Objął jej kierownictwo polityczne i ideowe; nazwał ją „Nowa Polska”. Utworzył jej oddziały w Krakowie, w Kielcach, a następnie w Warszawie i innych miastach. Na wiosnę 1940 r. „Nowa Polska” Jerzego Brauna, „Warszawianka” kierowana przez Jana Hoppego oraz „Grunwald” pod przewodnictwem Jerzego Leśkiewicza utworzyły organizację pod nazwą „Unia”.

Do Unii akces zgłosiły następnie „Konfederacja Niepodległościowych Organizacji Polskich”, kierowana przez Stanisława Bukowskiego, grupa młodzieży z „Odrodzenia” z Michałem Sobańskim, grupa samopomocowa pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego z Kazimierzem Studentowiczem, kierowniczy ośrodek tajnego Związku Nauczycielstwa Polskiego z Janem Kolanką, oraz — nieco później — część Organizacji Wojskowej „Wilki”⁷. Jerzy Braun był prezesem Unii przez cały czas jej istnienia. Organizacyjnie Unia działała w kilku pionach, jak Unia Kultury (przewodniczący Artur Górski), Unia Społeczna (Konrad Sieniewicz), Unia Pracy (Zbigniew Madeyski), Unia Kobiet (Zofia Kossak-Szczucka), Unia Młodych (Jerzy Seredyński). W kadrze kierowniczej Unii Jerzy Braun skupił około 200 wybitnych osobistości ze świata nauki, kultury, polityki, oraz sfer kościelnych. Poza już wymienionymi byli tam m.in. profesorowie J. Dąbrowski, H. Dembiński, L. Górski, K. Kumaniecki, S. Leszczycki, Cz. Strzeszewski, K. Piwowarski, K. Regamey, K. Zachwatowicz, M. Walicki; pisarze i publicyści: Adam Bunsch, Cz. Jastrzębiec-Kozłowski, J. Kierst, T. Kudliński, M. Niżyński, B. Ostromecki, E. Rudnicki, M. Starost, J. Turowicz, B. Wasylewski, J. Zagórski; ludzie teatru: J. Osterwa, S. Jaracz, L. Kielanowski, E. Łęcka, E. Poreda; plastyczka Z. Kamińska; bardzo liczni działacze niepodległościowi (w tym żona Jerzego, Hanna oraz jego brat Juliusz), liczni wojskowi (z „Wilków” — E. Grodzki, L. Krzeszowski, z „Krybara” — jego szef C. Odorkiewicz i in) kierowniczka grupy żeńskiej Unii Młodych, szefowa sanitariuszek K. Seredyńska-Trzcńska, organizatorzy produkcji granatów L. Domański i S. Wachal i wielu innych. Do kadry kierowniczej Unii należeli też biskupi Kubina i Kaczmarek, ks. kanonik Machay⁸; sprzyjał jej Arcybiskup Sapięha.

Unia działała na trzech polach na raz: konspiracji kulturalnej, zbrojnej i politycznej. Na pierwszym prowadziła prace studyjne i programowe, formułując idee polityczne i ustrojowe, które stałyby się podstawą życia przyszłej Polski. Rezultatem tych prac były

6. W. Bujak, *Historia Stronnictwa Pracy*, Warszawa 1988, s. 86. Tamże bardzo szczegółowa i obszerna bibliografia publikacji programowych i politycznych Jerzego Brauna oraz wydawnictw Unii.

7. J.w. s. 85-87.

8. Wg. *Kadra kierownicza Unii*, zestawił Jerzy Braun w kwietniu 1975 r. w Rzymie, maszynopis. Uwaga: wszystkie jego maszynopisy, oraz całość spuścizny pisarskiej znajdują się w bibliotece KUL w Lublinie.

Deklaracja ideowa Unii, Zarys doktryny ideowej Unii oraz Unionizm — podstawowe zasady doktryny. Unia określała się jako ruch światopoglądowy i ideowo-wychowawczy, dążący do przebudowy całokształtu polskiego życia zbiorowego. Zakładała jedność moralności i polityki, jedność etyki w życiu osobistym i publicznym, prymat ducha nad materią, oparcie systemu politycznego na unii człowieka z człowiekiem, człowieka z narodem, narodów z ludzkością, człowieka i ludzkości z Bogiem. Działalność naukowo-dydaktyczna Unii zogniskowana była we Wszechnicy Narodowej i Instytucie Europy Środkowej; prowadzono w nich wykłady i seminaria. Działalność wydawnicza zaowocowała czasopismami *Kultura Jutra* i *Naród*, a także Biblioteką Unii. Na polu działalności kulturalnej Unia patronowała tajnym „salonom unijnym”, recytacjom i koncertom oraz pracy Teatru Rapsodycznego, zorganizowanego przez Mieczysława Kotlarczyka; występował w nim m.in. Karol Wojtyła. Na polu walki zbrojnej Unia wniosła swój wkład w postaci oddziałów bojowych, podporządkowanych AK, szeroko zorganizowanych służb sanitarnych i łączności, zasłużonych wielce w Powstaniu Warszawskim, w masowej produkcji granatów, która była niejako specjalnością Unii.

Na polu konspiracji politycznej Unia, pragnąc jak najszerzej oddziaływać ideowo na cały naród, starała się nawiązać porozumienia polityczne z istniejącymi i działającymi w podziemiu stronnictwami. 13.II.1943r. Unia weszła do Stronnictwa Pracy. Gdy 9.I.1944 powstała Rada Jedności Narodowej — krajowy podziemny parlament — SP delegowało do niego jako jednego ze swoich trzech przedstawicieli Jerzego Brauna⁹. Uczestniczył on stale w pracach RJN. Był też zaangażowany w walkę powstańczej Warszawy jako kierownik Biura Informacji i Propagandy na obszar Śródmieścia¹⁰. Organizował powstańczą prasę SP i Unii — *Kurier Stołeczny* i *Barykadę Powiśla*. Recytował, grał i śpiewał dla powstańców. Po kapitulacji znalazł się w Milanówku, gdzie nadal brał udział w pracach RJN. Po aresztowaniu w marcu 1945 szesnastu przywódców Polski Podziemnej Braun objął w kwietniu funkcje przewodniczącego RJN. Na posiedzeniu kierownictwa SP 20.V.1945 wysunięto go na urząd Delegata Rządu na kraj. Stanowisko to istotnie objął 27.VI.1945, po ustąpieniu Korbońskiego. Po rozwiązaniu RJN był przewodniczącym dwóch komisji likwidacyjnych — politycznej i organizacyjnej. Nie podjął jednak działalności *stricto* politycznej w ujawnionym Stronnictwie Pracy, wracając znów na swoje właściwe tereny — pracy ideowej, programowej, literackiej, filozoficznej, publicystycznej.

Aresztowany w listopadzie 1945, został zwolniony po paru miesiącach — zapewne nie rozpracowany jeszcze wtedy przez UB jako

9. W. Bujak, j.w., s. 93.

10. M. Żychowska, *Jerzy Braun (1901-1975)*, Warszawa 1983, s. 29.

Przewodniczący RJN i Delegat Rządu. W latach 1946-48 wydawał *Tygodnik Warszawski* (wraz z ks. Z. Kaczyńskim i A. Grabowskim). Nieprzejednany wobec komunizmu, starał się jednak mobilizować opinię do dzieła odbudowy kraju — duchowego i materialnego.

Aresztowany został ponownie 11 grudnia 1948 w Zakopanem, gdzie starał się zmylić trop poszukujących go setek agentów. Aresztowano wraz z nim jego żonę, a pięć dni wcześniej w Częstochowie jego brata Juliusza; aresztowania objęły także bardzo szerokie kręgi Unii, *Tygodnika Warszawskiego* oraz rodziny. W trwającym dwa i pół roku śledztwie był torturowany. Wybito mu jedno oko. 19.VII.1951 rejonowy Sąd Wojskowy w tajnym procesie skazał go na dożywocie; prokurator żądał kary śmierci. W prowadzonych osobno procesach długoletnie wyroki otrzymali wszyscy jego współpracownicy i krewni. Więziony był w Warszawie, a następnie w ciężkim więzieniu we Wronkach, gdzie jego zdrowie zaczęło się załamywać. Na podstawie amnestii z 3.V.1956 zamieniono mu wyrok na 12 lat. Po przewrocie październikowym, 10.XI.1956, Rada Państwa zawiesiła mu resztę wyroku na trzy lata i obniżyła go do 10 lat¹¹. W 1957 Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego uchyliło wyrok, ale dopiero 10.V.1958 Prokurator Wojskowy dla m. st. Warszawy zawiadomił go o umorzeniu śledztwa. Następnie został zrehabilitowany. Otrzymał rentę 100% inwalidy, jakim stał się w więzieniu.

Pragnął się włączyć ponownie do życia literackiego, naukowego, politycznego. Uczestniczył w pracach warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej (był wiceprzewodniczącym i prowadził sekcję filozoficzną) oraz Związku Literatów Polskich (był wiceprezesem Klubu Literackiego „Ognisko”). Publikował w „Znaku”. Ale jego epoka minęła. Równieży i nieco młodszy podjęli dialog z marksizmem, który on uważał za absolutnie błędny, oraz z partią, która dla niego reprezentowała tylko swoje klikowe interesy oraz racje sowieckiego zaborcy. Młodzież uznawała jego poezję za staroświecką, nie rozumiała jego mesjanistycznej i uniwersalistycznej filozofii. O jego konspiracyjnej i więziennej przeszłości — jednym niewygodnie było pamiętać, a innym wygodnie było zapomnieć. Jego czysta, bezkompromisowa postawa wzbudzała sprzeciw. Otoczyło go nieoficjalne i nakazane milczenie.

W niespodzianej i bolesnej samotności jeszcze raz odmienił i rozszerzył zainteresowania — na teologię i ekumenizm. Nie upominał się o wycenę swoich zasług. Usunął się z kraju i starał się służyć Polsce za granicą, poprzez ukazywanie i propagowanie jej wkładu do kultury Zachodu — m.in. praca zbiorowa pod jego redakcją: *Poland in Christian Civilization*¹² — oraz poprzez służbę

11. J.w., s. 31.

12. *Poland in Christian Civilization*, Compiled and edited by Jerzy Braun, Veritas, London 1985; 25 autorów, 633 str., mapy.

jej Kościołowi, w ramach wspólnoty Kościoła powszechnego. Zaangażował się w prace II Soboru Watykańskiego. Od 1965 r. mieszkał w Rzymie, skąd wyprawiał się w liczne podróże do skupisk polonijnych, wszędzie witany z szacunkiem i entuzjazmem jako twórca *Płonie ognisko i szumią knieje*, jako żywa legenda Polski walczącej, jako symbol nieugiętego oporu wobec komunizmu i jako mędrzec z jakiejś odległej epoki. Stale był niezwykle płodny w dziedzinach poezji, filozofii, teologii. Pisał ekspertyzy dla ojców soborowych, utrzymywał bliskie kontakty z kardynałami Wyszyńskim i Wojtyłą, przyjmował go papież Paweł VI. Występował też na licznych kongresach i konferencjach naukowych, mówił przez Radio Watykańskie, publikował rozprawy i książki. Żył w skrajnym ubóstwie. Zmarł samotnie 17 września 1975 r. w Rzymie.

W latach młodości i Polski niepodległej był dynamicznym harcerzem, natchnionym poetą, profetycznym filozofem. W czasach okupacji był kryształowym i płomiennym przywódcą walki z okupantem, najpierw niemieckim a potem sowieckim. W latach bezpośrednio powojennych — działaczem zaangażowanym w odbudowę polskiej duchowości i substancji materialnej. W latach więzienia — milczącym i niezłomnym kamieniem sprzeciwu wobec komunistycznego bezprawia i gwałtu. W latach popaździernikowych złudzeń — niezrozumiałym i ambarasującym przeciwnikiem wszelkich umizgów do marksistów i wszelkich układów z partią. W starości, jak i przez całe życie, wzorem postawy służby — ludziom, narodowi, ideom i wartościom duchowym.

Napisał kiedyś o Wrońskim: „ty coś był między nami jak alarm i sygnał...”. Chyba właśnie te słowa najlepiej charakteryzują, czym był Jerzy Braun dla swoich współczesnych. Wierzę, że dla następnych pokoleń pozostanie źródłem i znakiem.

Kazimierz BRAUN

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Pomimo znacznego wzrostu cen na wydawnictwa wszelkiego rodzaju, książki rozłożone na ulicznych straganach stanowią nieodłączną część krajobrazu warszawskiego śródmieścia. Widać wydania różne pod względem graficznym i rozmiaru nakładu. Spotyka się firmy wydawnicze zupełnie dotąd nieznanne. Wśród dzieł o tematyce historycznej rzucają się w oczy książki pisarzy emigracyjnych (choć wciąż jeszcze nieliczne) pamiątniki i wspomnienia, jak na przykład gen. Berlinga (choć doprowadzone tylko do bitwy pod Lenino). Sporo oczywiście opracowań i zbiorów źródłowych dotyczących martyrologii polskiej na wschodzie, ale popularne są również książki o dziejach II Rzeczypospolitej.

Przyjrzyjmy się bliżej niektórym pozycjom, które wydają się szczególnie interesujące. W tematyce aktualnej, a książki z tej dziedziny to raczej tworzywo dla historyka niż autorytatywne opracowania, pozytywnie wyróżnia się J. Kurskiego *Wódz* (Warszawa, 1991) o Lechu Wałęsie. Jest to rzecz pisana na gorąco przez bliskiego współpracownika, z którym drogi Wałęsy następnie się rozeszły. Ale nie jest to ani przysłowiowe pranie brudów, ani pozycja rozrachunkowa, ma natomiast pewne walory dla badacza tego okresu. Bardziej sensacyjny posmaczek ma *Polak z Polakiem* (Warszawa, Słowo, 1990) Grzegorza Nawrockiego, traktujący o sierpniu 1990 i jego kulisach. Dość ciekawy jest tomik Jerzego Malewskiego *Widziałem wolność w Warszawie: szkice 1982-1987* (Londyn, Polonia, 1989) będący dokumentem nastrojów tych lat.

Wśród prac w języku angielskim z pewnością zasługuje na wzmiankę Roman Laba, *The Roots of Solidarity* (Princeton, 1991). Jest to, jak głosi podtytuł, studium „politycznej socjologii demokracji polskiej klasy robotniczej”. Autor, który spędził parę lat w Polsce, zbierając skrzętnie materiały, operuje niewątpliwie poważną bazą źródłową. Inny charakter ma *Polish paradoxes* pod redakcją Stanisława Gomułki i Antony Polonsky'ego, wydane w 1990 r. przez Routhledge w Londynie i Nowym Jorku. W zbiorze esejów, z których ta książka się składa, spotykamy znanych autorów jak Andrzej Walicki, Jerzy Jedlicki, Jerzy Holzer, Marcin Król czy Jadwiga Staniszkis. Eseje podzielone są na trzy główne części: historia i polityka, kultura i ekonomia polityczna oraz to, co wydawcy określają tytułem „mit rynku i rzeczywistość reform”. Wiele tu błyskotliwych, choć czasem kontrowersyjnych sformułowań i pobudzających do refleksji wywodów.

Zbiorem esejów, tym razem wziętych z *Kultury* i przetłumaczonych na angielski, jest tom pt. *Between East and West* (New York, 1990) pod redakcją Roberta Kostrzewy. Wybrano najcenniejsze nazwiska spośród pisarzy, jak Juliusz Mieroszewski, Jan Józef Lipski, Czesław Miłosz, Leopold Tyrmand, Sławomir Mrozek, Leszek Kołakowski, Gustaw Herling-Grudziński itp.

Skoro mowa o antologiach, chciałbym zwrócić uwagę czytelników na dwie pozycje należące do tego *genre'u*, choć różniące się znacznie między sobą. Pierwsza z nich to książka ofiarowana Jackowi Woźniakowskiemu w siedemdziesiątą rocznicę jego urodzin pod tytułem *Fermentum massae mundi* (Agora, Warszawa, 1990). Spis autorów brzmi jak małe *Who's who* elity intelektualnej polskiej i zagranicznej, a tom otwiera odrębny list Jana Pawła II do solenizanta. Wśród historyków figurują Daniel Beauvois, Norman Davies, H.H. Hahn, Jerzy Kłoczowski, śp. Emanuel Mateusz Rostworowski i Piotr Wandycz. Drugie dzieło, którego wydanie trwało wiele, wiele lat, nosi tytuł *Uniwersalizm i swoistość kultury polskiej* (wyd. KUL, Lublin, 1989-90). Redaktorem tego dwutomowego opracowania jest Jerzy Kłoczowski, a jego zasięg obejmuje okres od wczesnego średniowiecza po II Rzeczpospolitą. Nazwiska autorów nie wymagają szerszych komentarzy: L. Leciejewicz, A. Gieysztor, śp. Benedykt Zientara, Bronisław Geremek, Janusz Tazbir, Stanisław Litak, Andrzej Wyczański, Wiesław Müller, śp. L. Bieńkowski, Janusz Maciejewski, Jerzy Jedlicki, Andrzej Walicki, Ewa Morawska, Ewa Jabłońska-Deptuła, Barbara Skarga, Marcin Król, Bohdan Cywiński, Ludwik Stomma, Daniel Olszewski, Jacek Woźniakowski i Piotr Wandycz.

Przejdźmy z kolei do tematyki II Rzeczypospolitej, której poświęcony jest ostatni rozdział wyżej cytowanej książki. W pierwszym rządzie widoczna jest popularyzacja tego okresu, niewątpliwie potrzebna ze względu na dawne tendencje mówienia o II Rzeczypospolitej odwrotnie niż o nieboszczyku: albo wcale albo źle. Inna

sprawa, że w tej chwili obserwujemy nadmierną gloryfikację dziejów międzywojennej Polski. Wypada tu wspomnieć pracę znanego historyka i obecnie prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego, Andrzeja Ajnenkiela, *Prezydenci Polski* (Wyd. Sejmowe, Warszawa, 1990) oraz Z. Mierzwińskiego, *Generałowie Drugiej Rzeczypospolitej* (Warszawa, 1990). Celem dydaktycznym ma służyć wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego — niestety na złym papierze i w mikroskopijnym nakładzie — *Druga Rzeczpospolita: wybór tekstów źródłowych* pod red. Szymona Rudnickiego i Piotra Wróbla (Warszawa, 1990). Wybór robi wrażenie przemyślanego i dającego możliwie wszechstronny obraz, jeśli to jest w ogóle możliwe do zrobienia w czterdziestu pięciu dokumentach. Pierwszy z nich to manifest rządu lubelskiego z 7 listopada 1918 r., ostatni to orędzie prezydenta RP z 1 września 1939 r. Wśród dokumentów mamy wypowiedzi zarówno strony rządowej jak i opozycji, materiały rzucające światło na sprawy mniejszościowe jak i na politykę zagraniczną. Może przydałby się dłuższy wstęp, ale obaj historycy należący do młodszego pokolenia i mający już pokaźny dorobek naukowy* uznali, że wystarczą krótkie uwagi wstępne podkreślające wybiórczy z konieczności charakter wydawnictwa. Wydaje mi się, że przetłumaczenie tego zbioru na angielski byłoby celowe i potrzebne.

Pozostałe opracowania czy zbiory dokumentów, które chciałbym tutaj zasygnalizować, dotyczą głównie tematyki międzynarodowej, a może ściślej mówiąc stosunków Polski z sąsiednimi państwami czy narodami. W pierwszym rzędzie wymienić należy dzieło Piotra Łossowskiego, czołowego badacza dziejów dyplomatycznych i specjalisty od spraw litewskich. Tom nosi tytuł *Polska w Europie i świecie 1918-1939* (Książka i Wiedza, Warszawa, 1990). Podtytuł „Szkice z dziejów polityki zagranicznej i położenia międzynarodowego II Rzeczypospolitej” podkreśla, iż autor nie uważa tej pracy za wyczerpującą syntezę tego okresu. Składa się z ośmiu rozdziałów: „Początki polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej”, „Kształtowanie stosunków z sąsiadami”, „O miejsce w międzynarodowej wymianie towarowej i komunikacji”, „Mocarstwowość Polski — aspiracje a realność”, „Rozszerzanie kręgu kontaktów i zainteresowań”, „Próba balansowania między III Rzeszą a ZSSR”, „Upowszechnianie wiedzy o Polsce w świecie” i wreszcie „W obliczu wojny”, praca ta wymagałaby osobnej recenzji.

Marek Kazimierz Kamiński, *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne 1945-1948* (PWN, Warszawa, 1990) dotyczy okresu i tematyki, którą albo pomijano w przeszłości lub traktowano w szablonowy i tendencyjny sposób. Autor dał się już poznać źródłowymi artykułami na ten temat, drukowanymi w swoim czasie, ze względu na krajową cenzurę, w *Zeszytach Historycznych*.

* Piotr Wróbel wydał ostatnio wartościową pracę pt. *Droga powrotna: niemiecki prawicowy ruch kombatancki po I wojnie światowej* (Książka i Wiedza, Warszawa, 1989).

Dwie monografie o stosunkowo wąskiej tematyce, ale odznaczające się krytycznym podejściem do tematu, znakomitą znajomością źródeł i wnoszące nowe naświetlenia to: Przemysław Hauser, *Śląsk między Polską, Czechosłowacją a separatyzmem niemieckim w latach 1918-1919* (Poznań, 1991) i Stanisław Sierpowski, *Piłsudski w Genewie: dyplomatyczne spory o Wilno w roku 1927* (Poznań, 1990). Autor pierwszej z powyższych książek ogłosił przed trzema laty artykuł pt. „Polska polityka zagraniczna na przełomie 1918-1919 r.”, *Przegląd Zachodni* nr 5-6 (1988), świetnie udokumentowany i dający doskonały przegląd tej złożonej problematyki. Sierpowski, który zgromadził wiele interesującego materiału na temat wizyty Piłsudskiego w Genewie i rozwiął szereg mitów, które dokoła niej narosły, jest znany m.in. jako autor monumentalnego dzieła o stosunkach polsko-włoskich w latach 1918-1940.

Cennym przyczynkiem do dziejów wojny polsko-bolszewickiej jest zbiór dokumentów pt. *Sąsiedzi wobec wojny 1920 roku* (Londyn, 1990) zebranych i fachowo opracowanych przez Janusza Ciska. Archiwalia te pochodzą z Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku — istnej kopalni źródeł — i obejmują „Dokumenty wojskowe”; analizę partii politycznych w Rosji z maja 1920 r.; materiały dotyczące Denikina i Wrangla; dokumenty odnoszące się do rosyjskiej armii gen. Bredowa, zespół rosyjskiego komitetu politycznego i Borysa Sawinkowa; raporty i listy na temat oddziałów gen. Bułak-Bałachowicza; sprawozdania dotyczące bolszewików i międzynarodowego ruchu robotniczego Ukrainy, Niemców i współdziałania niemiecko-bolszewickiego, a wreszcie materiały odnoszące się do państw bałtyckich, Litwy, Gdańska, Czechosłowacji, Rumunii i Węgier. Mgr. Ciskowi należą się wyrazy uznania i wdzięczności za udostępnienie tych cennych dokumentów badaczom nie mającym możliwości przestudiowania ich w archiwach Instytutu Piłsudskiego. Wiele z nich należałoby przetłumaczyć na angielski. Przychodziło mi to do głowy w trakcie lektury innej książki, obejmującej ten sam okres, a napisanej w irytujący i bałamutny sposób. Mam na myśli T.C. Fiddick'a *Russia's Retreat from Poland, 1920: From Permanent Revolution to Peacefull Coexistence* (New York, 1990), której autor zignorował kompletnie polskie źródła archiwalne.

Zawsze aktualne sprawy związane ze współżyciem Polaków ze słowiańskimi sąsiadami lub mniejszościami są tematem kilku ważnych prac. Fascynująca, nowatorska i świetnie napisana praca Macieja Kozłowskiego, *Między Sanem a Zbruczem: walki o Lwów i Galicję wschodnią 1918-1919* (Znak, Kraków, 1990), którą sygnalizowałem już uprzednio, otrzymała nagrodę *Polityki*. Wrażenie gruntownych i dobrze udokumentowanych dzieł sprawiają: Krystyna Gomółka, *Polskie ugrupowania polityczne wobec kwestii białoruskiej 1918-1922* (Warszawa, 1989) oraz tom wspomnianego już wyżej Piotra Wróbla, *Kształtowanie się świadomości białoruskiej a Polska* (wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, 1990). Na szczególną uwagę zasłu-

guje *Zeszyt Naukowy Instytutu Nauk Politycznych* nr 16 (1991), w całości poświęcony zagadnieniom mniejszości narodowych. Zeszyt otwiera artykuł syntetyczny pióra Jerzego Tomaszewskiego, przedstawiający tę tematykę w Europie środkowej i południowo-wschodniej w latach 1918-1939. Następnie Sokrat Janowicz i Antoni Mironowicz prezentują wysoce interesujące artykuły o mniejszości białoruskiej w PRL. Henryk Szczerbiński opracował temat autochtonów na Warmii i Mazurach w pierwszych latach Polski Ludowej, podczas gdy Stefan Zaborowski referuje początki działalności Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Wreszcie wiele nowego materiału wnosi rozprawa Wojciecha Czajki na temat szkolnictwa słowackiego w Polsce w latach 1945-1982. Jako całość zeszyt zawiera bogactwo informacji i nastraja do różnego rodzaju refleksji.

Skoro mówimy już o wydawnictwach periodycznych, to nie można ominąć nowego kwartalnika historycznego *Karta*, który skupia się na publikowaniu „źródeł historycznych i literackich niosących wiedzę o człowieku współczesnym”. Pierwsze numery, które otrzymałem stoją na wysokim poziomie i obejmują szeroki wachlarz materiałów, wspomnień czy relacji. „Fundacja Karta” współpracuje z „Fundacją Archiwum Wschodniego”, zajmującą się głównie materiałami historycznymi dotyczącymi ludności polskiej na kresach i w ZSSR. Związany z nią jest jeszcze kwartalnik pod nazwą *Przegląd Wschodni: Historia i współczesność Polaków na Wschodzie*. Pierwszy numer, który zapewne już się ukazał, ma charakter międzydyscyplinarny i koncentruje się na związkach Polaków z narodami tego regionu. Zespół redagujący pismo patronuje ważnej inicjatywie podjętej na Uniwersytecie Warszawskim, a mianowicie Studium Problemów Narodowościowych ZSSR i Europy środkowo-wschodniej. Program zajęć, na razie głównie o charakterze seminaryjnym, jest ambitnie pomyślany. Mamy tu więc do czynienia z poważną imprezą naukową, stojącą jak najdalej od nacjonalistyczno-rewindykacyjnych ciągot. Redakcja i zespół starają się wciągnąć do współpracy szersze koła naukowe zarówno polskie (w kraju i na emigracji) jak i ukraińskie, białoruskie i litewskie.

Wracając do książek z dziedziny środkowo-europejskiej, ukazała się nowa monografia Jacka Wędrowskiego, *Wizje i realia: USA i Europa środkowo-wschodnia 1919-1923* (PWN, Warszawa, 1990). O tymże regionie pisze Bohdan Cywiński w drugim tomie swej pionierskiej pracy *Ogniem próbowane: z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej*. Obecny tom nosi tytuł: „...I was prześladować będą” i jest wydany przez KUL i Fundację Jana Pawła II (Lublin. Rzym, 1990). Obejmuje lata powojenne i późne 1950-te.

Do studiów biograficznych o wybitnych Polakach XX w. przybył tom pt. *Stanisław Mikołajczyk* (Agn. Omnipress, Warszawa, 1991) pióra Stanisława Paczkowskiego. Biograf Cata-Mackiewicz, Jerzy

Jaruzelski, wydał wybór tekstów poprzedzony krótkim wstępem pod tytułem: *Stanisław Cat-Mackiewicz: teksty* (Czytelnik, Warszawa, 1990).

Wreszcie, ponieważ w tym roku świętujemy dwuchsetną rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja, należy odnotować starannie wydany tom pt. *Konstytucja 3 maja w tradycji Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu w latach 1832-1861: obchody, mowy, relacje* (nakład Bibl. Polskiej, Paryż, 1991). Cenny to i interesujący przyczynek. Do rocznicy konstytucji odwołuje się również tom pod redakcją M.B. Biskupskiego i James A. Puli, *Polish Democratic Thought from the Renaissance to the Great Emigration: Essays and Documents* (Boulder i Columbia, 1990).

Pierwsza część książki to eseje: J. Millera o XVI-wiecznych korzeniach tradycji demokratycznej, R.I. Frosta o myśli politycznej XVII w., Daniela Z. Stone'a o XVIII-ym wieku i K.F. Lewalskiego o polskim i europejskim radykalizmie czasów Wielkiej Emigracji. W części drugiej figuruje siedem dokumentów, podanych w oryginale i w angielskim tłumaczeniu, a mianowicie Nihil novi, konferencja warszawska, Artykuły henrykowskie, obrona Liberum veto pióra Andrzeja Maksymiliana Fredry, Konstytucja 3 maja, Uniwersał Połaniecki i manifest Towarzystwa Demokratycznego z 1836. Wydawnictwo cenne, choć nasuwają się pewne uwagi krytyczne odnośnie warsztatu i potrzeby podawania oryginalnych tekstów. Ale o tym kiedy indziej.

Piotr WANDYCZ

Michał HELLER

MOŁOTOW, NAJWIERNIEJSZY Z WIERNYCH

Fiodor Tiutczew twierdził we wciąż dziś cytowanym wierszu, że szczęściem jest widzieć świat „w godzinie przełomowej”. Poeta uważa, że chwile takie są „prawdziwą uczcą bogów”. Na naszej uczcie pojawia się coraz więcej zaskakujących potraw, które jednak — z przesytu — przestają już nęcić obżartych biesiadników. Nie zwróciło np. uwagi — takie odnoszę wrażenie — wyjątkowo rzadkie danie, jakim jest wydana niedawno w Moskwie książka pod skromnym tytułem „Sto czterdzieści rozmów z Mołotowem. Z dzienników F. Czujewa”. Są to stenogramy rozmów, które Wiaczesław

Mołotow prowadził z poetą Feliksem Czujewem przez siedemnaście lat, od 1969 do 1986 r. Każda rozmowa trwała 4-5 godzin. Kronikarz wykroił z przebogatego materiału 604-stronicowy tekst, podzielił go na główne tematy (Mołotow musiał się powtarzać) i zebrał rozrzucone na przestrzeni lat uwagi rozmówcy. Wśród tematów widnieją: „Sprawy międzynarodowe”, „Działacze zagraniczni”, „Współ z Leninem”, „Stalin i jego otoczenie”, „Kolektywizacja”, „O represjach”, „Co to jest socjalizm”. Rozmowy rozpoczęły się po obaleniu Chruszczowa, a skończyły (wraz z życiem wspomnianego) po dojściu do władzy Gorbaczowa.

Kilka słów o Feliksie Czujewie. Jako poeta nie zapisze się złotymi zgłoskami w dziejach literatury rosyjskiej. Jest to najlepsze, co można o nim powiedzieć. Wsławił się w pierwszych latach po śmierci Stalina publikacją wierszy o Stalinie, w których wbrew modzie — zaczynała się już walka z „kultem” — apelował o zbudowanie panteonu dla bohaterów walki z Niemcami i postawienie w centrum pomnika generalissimusa. Należy mu się jednak wdzięczność za zebranie myśli najwierniejszego stalinowca, W. M. Mołotowa.

Jest to ciekawe źródło historyczne, dokument czasów, portret jednego z głównych aktorów największej tragedii stulecia. Więcej: jest to autoportret. Mołotow miał co wspominać. Lenin cenił jego posłuszeństwo, Stalin wyniósł go na najwyższe piętro sowieckiej hierarchii: Mołotow należał do najbliższych współpracowników wodza. Był sekretarzem KC, członkiem Biura Politycznego, prezesem Rady Ministrów, ministrem spraw zagranicznych. Zawsze był przekonany komunistą, nigdy nie zwątpił, że idąc wiernie za rozkazami Lenina i Stalina, postąpi słusznie. Zdaniem Mołotowa partia nie wydała innych prawdziwych przywódców — być może oprócz niego samego.

Mołotow wiele widział, spotykał się z Hitlerem i Churchillem, Rooseveltem i Trumanem, znał na wylot sowieckich przywódców. Jest to ciekawe. Jednak najcenniejszym elementem jego wyznań jest niezłomna stałość jego poglądów na przestrzeni siedemdziesięciu lat. Pierwszy zauważył tę cechę Lenin i przezwał młodego, obiecującego bolszewika „kamiennym zadem”. Kiedy Czujew spytał swego rozmówcę, jak zareagował na ten epitet, Mołotow nie podważył jego słuszności, dodał tylko, że o innych Władimir Iljicz wyrażał się jeszcze gorzej. Mołotow rozumiał, że w ustach Lenina była to pochwała, i miał rację. Wódz partii dostrzegł jego bezcenny dar: stałość umysłu. Mołotow miał „kamienny zad”, ale czyż istniała większa pochwała dla bolszewika aniżeli „twardy jak kamień”? Pod koniec życia najwierniejszy towarzysz Stalina pozostał wierny tej samej idei, co na jego początku. Czytając „Rozmowy” odnosi się wrażenie, że przemawia do nas przedpotopowe zwierzę, wykopane przez archeologa szczątki tygrysa, który opowiada o życiu w trzeciorzędzie.

Zestaw idei, które stanowią podwaliny myśli i uczuć Mołotowa, jest wyjątkowo skromny. Odnosi się wrażenie, że najstydniejszy sowiecki działacz polityczny i państwowy był głupcem. Wynika to z faktu, że w jego długich wywodach nie znajdziemy ani iskierki humoru. Jest to jednak wrażenie błędne: Mołotow ma nieugięte przekonania, a przekonania te są przerażająco prymitywne. Na tym polegała siła partii komunistycznej i stworzonego przez nią ustroju. Na tym też polegała ich przyrodzona słabość. Wystarczyło lekko potrząsnąć gmachem, w nadziei, że go to wzmocni, aby zaczął trzeszczeć w spoiwach.

Świat Mołotowa jest zachwycająco prosty. Partia zdobywa władzę, aby zbudować komunizm. Na pierwszym etapie należało jednak zbudować socjalizm. To znaczy — znacjonalizować środki produkcji i unicestwić wroga klasowego. Tych dogmatów Mołotow trzyma się z niezachwianą pewnością. Kategorycznie nie zgadza się z twierdzeniem Chruszczowa z 1959 roku (XXI zjazd), jakoby socjalizm został już zbudowany: nie ma socjalizmu, dopóki istnieją wrogie klasy. „Być humanistami, przestrzegać prawa — to burżuazyjna moralność”, upiera się Mołotow. „Nasz humanizm jest marksistowski — tłumaczy — on nie może być podobny do burżuazyjnego. Ich humanizm polega na tym, żeby nikogo nie krzywdzić”. „Humanizm” przyjaciela Stalina istotnie jest zupełnie inny.

Bardzo dużo miejsca zajmują w „Rozmowach” terror i represje, które stanowiły główną treść epoki stalinowskiej. Także w tej dziedzinie Mołotow jest konsekwentny, prosty i komunistyczny, tzn. bezgranicznie okrutny. Niczego nie żałuje. Ofiarom nie współczuje. Gdyby mógł, to wszystkich, od Trockiego poprzez Bucharina aż do ostatniego kułaka rozstrzelałby raz jeszcze. Należy pamiętać — a rozmówca nie omieszkiał tego przypomnieć — że nie był on jakimś „mordercą za biurkiem” jak np. Eichmann. Nie. Mołotow mordował dosłownie. Uczestniczył w przesłuchaniach kolegów z Biura Politycznego, pisał donosy na swoich najbliższych współpracowników i podpisywał niezliczone listy skazańców. Jednego jedynego człowieka wspomina serdecznie — przyjaciela z dzieciństwa Aleksandra Arosiewa. Pisarz, dyplomata i działacz bolszewicki Arosiew był, zdaniem Mołotowa, „bezgranicznie oddany partii”. Kiedy go aresztowano, przyjaciel z dzieciństwa, najbliższy wówczas Stalinowi człowiek, nie kiwnął palcem w bucie. Po wielu latach tłumaczy: widocznie Aleksander źle sobie dobierał znajomych! Drugim bliskim Mołotowowi człowiekiem była żona. Kiedy ją aresztowano, Mołotow zdobył się na akt heroiczny: podczas głosowania w Politbiurze, czy ją aresztować, czy nie, wstrzymał się od głosu. Aresztowanie żony także tłumaczy nieodpowiednimi znajomościami...

Ilekróż rozmowa schodzi na terror, Mołotow powtarza: terror był konieczny, represje były słuszne. Jest dla niego oczywiste jak pewnik, że bez unicestwienia wszystkich wrogów — rzeczywistych i potencjalnych — nie można zbudować socjalizmu. Tak jak nie można

go zbudować — to pewnik ekonomiczny — zachowując pieniądź. „Nie ma ani u Marksa, ani u Engelsa, ani u Lenina takiego socjalizmu, w którym nadal rządzi pieniądź. Nie ma takiego socjalizmu” — powtarza z uporem wierny marksista-leninista-stalinista. „Trzeba zlikwidować pieniądź”, zatem każdy, kto uważa, że pieniądź jest potrzebny, jest wrogiem.

Zlikwidować klasy, zlikwidować pieniądź, zlikwidować imperialistów... W jednej z rozmów Czujew wchodzi w skórę „adwokata diabła” i zarzuca Mołotowowi, że obywatele sowieccy latami nie widują mięsa. „Do diabła z mięsem! — wyrwa się Mołotowowi z głębi duszy — byle by imperializm szczył!” Nie jest to delikatne, wypada jednak odnotować, że sam rencista mięso widywał codziennie na własnym stole.

W maju 1939 r. Mołotow został mianowany ludowym komisarzem spraw zagranicznych na miejsce Litwinowa. Stalin dawał w ten sposób znać Hitlerowi, że można już przystąpić do rozbioru Europy. Przez ponad piętnaście lat Mołotow kierował sowiecką polityką zagraniczną, wiernie spełniając rozkazy Stalina, z którym się zresztą zawsze zgadzał. Komentując „pokojowe współistnienie” i „odprężenie”, którymi szermowali Chruszczow i Breżniew, stalinowski *narkom* oburzał się: „W głowach im się pomieszało: pokój, pokój, pokój dla świata! Lepiej by im ręka uschła, niżby mieli takie bzdury wypisywać! Pokój dla świata! Świat trzeba zawojuwać!” Po czym opowiada, jak to robiono za dawnych dobrych czasów. Z przyjemnością wspomina lata 1939-1940: „Zagadnienie Nadbałtyki, Ukrainy Zachodniej, Zachodniej Białorusi i Besarabii rozstrzygnęliśmy z Ribbentropem w 1939 r. Niemcy niechętnie zgodzili się z tym, że przyłączymy do nas Łotwę, Litwę, Estonię i Besarabię. Kiedy rok później, w 1940, znalazłem się w Berlinie, Hitler zapytał mnie: 'No dobrze, Ukraińców, Białorusinów zjednoczyliście, no niech będzie, że i Mołdawian, to się da wytłumaczyć, ale jak wytłumaczycie całemu światu Nadbałtykę?' Odpowiedziałem mu: 'Wytłumaczymy'. Po czym opowiada, jak to zostało zrobione: „... Wziąłem bardzo twardy kurs. Minister spraw zagranicznych Łotwy przyjechał do nas w 1939 roku, powiedziałem mu: 'Nie wyjedziecie stąd, dopóki nie podpiszecie zgody na przyłączenie do nas'. To samo powiedziałem przedstawicielom innych burżuazyjnych republik”. Mołotow tłumaczy: „Z Polską nie mogliśmy tak postąpić. Polacy zachowywali się nieustępliwie”. W rezultacie podpisali pakt z Hitlerem: ponieważ Polska „nie chciała mieć z nami do czynienia”, zdecydowano: „dajcie nam chociaż tę część Polski, która naszym zdaniem bezwzględnie należy się Związkowi Sowieckiemu”.

Za swoje zadanie w roli ministra spraw zagranicznych — tłumaczy Mołotow — „uważałem, żeby możliwie najbardziej rozszerzyć granice naszej Ojczyzny”. Po czym dorzuca: „Chyba nieźle sobie wraz ze Stalinem z tym zadaniem poradziłem”. Dalej opowiada,

jak po wojnie na daczę Stalina przywieziono mapę ZSSR w nowych granicach. Stalin przypiął ją pineskami do ściany i zaczął rozmyślać: „Popatrzmy, jak to teraz wygląda... na północy jest wszystko w porządku, normalnie. Finlandia przed nami i odsunęliśmy granice od Leningradu. Nadbałtyka — rdzennie rosyjska ziemia! — znowu jest nasza, Białorusini żyją wszyscy razem, Ukraińcy — razem, Mołdawianie — razem. Na Zachodzie normalnie. I zaraz przeszedł do wschodnich granic. — Co my tu mamy? Wyspy Kurylskie są nasze. Sachalin cały nasz, popatrzcie, jak to dobrze! I Port Arthur nasz, i Daleki Wschód nasz — Stalin przesunął fajkę po Chinach — i *Kitajsko-Wostoczna Żelazna Droga* nasza. Z Chinami i z Mongolią wszystko w porządku... A ot tu nasza granica mi się nie podoba! — powiedział Stalin i wskazał na południe Kaukazu”. Wiadomo, że po wojnie generalissimus usiłował podbić irański Azerbejdżan. Zresztą wiadomo też, że wódz narodów nigdy nie był do końca zadowolony z granic. Kiedy Churchill gratulował mu zwycięstwa, odparł, że Aleksander I zakończył wojnę z Napoleonem w Paryżu. Stalinowski *narkom* spraw zagranicznych też nie był w stu procentach zadowolony, bo marzyło mu się unicestwienie imperializmu. Przyznaje jednak, że nie zabrakło sukcesów.

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, doktryna Stalina i Mołotowa wyrażała się formułą, której autorem był sam Wiaczesław Michajłowicz: „Będzie Rosja, będzie Związek Sowiecki i wszystkim będzie dobrze”.

Wspominając przeszłość, towarzysz Stalina przypomina sobie wielu kolegów z pracy. Poza nielicznymi wyjątkami wyraża się o nich niedobrze. Pomińmy Stalina, którego kocha: „Co za szczęście, że mieliśmy Stalina!” — powtarza. Wszyscy pozostali mu się nie podobają. Jako praktycy — marni, jako teoretycy — do niczego. Niestety, trzeba było pracować z tym materiałem ludzkim, który był pod ręką. Stalin to potrafił. Ale właśnie to — fatalny materiał ludzki — tłumaczy bezustanne czystki. Które zresztą nie były takie straszne. Najlepszy dowód: uchowali się tacy „prawicowcy” jak Chruszczow i Breżniew. Albo jak Mikojan i Beria.

Nie wszystko jednak szło źle. „W ostatnich kilku latach wielkim naszym osiągnięciem, naszym tj. komunistów, było pojawienie się dwóch ludzi” — powiada Mołotow. Pierwszy nie dziwi — to Andropow, „pierwsza niespodzianka, ale przyjemna”. Drugi, przyznam, zaskoczył mnie: „Drugi człowiek to Jaruzelski. Ja na przykład nie słyszałem nigdy takiego nazwiska, zanim ujrzałem go w roli pierwszego sekretarza”. Zdziwienie Mołotowa było tym większe, że — jak tłumaczy — „bolszewików wśród Polaków było mało... Był Dzierżyński”. Ale „Polacy wtedy byli jeszcze gorsi niż teraz”. I nagle pojawił się Jaruzelski, który „nas wyręczył”.

Jak należało się spodziewać, twardy jak kamień bolszewik żadnych tajemnic nie odkrywa. Stwierdza jako rzecz oczywistą, że wrzód Frunzego był zaleczony i Stalin umyślnie posłał go na opera-

cję, żeby go zabić. Zdaniem Mołotowa Stalina zamordował Beria, ale żadnych szczegółów na ten temat nie podaje. Mówiąc o dysydentach stwierdza, że „i dziś nie byłoby trudno zabić Sołżenicyna. Ja jednak uważam, że należałoby go raczej posadzić”.

To Stalin wypowiedział dumne słowa: bolszewicy są ludźmi szczególnego pokroju. Władimir Mołotow niewątpliwie jest człowiekiem szczególnego pokroju. Takimi ludźmi byli Rudolf Hess, Heinrich Himmler, ostatni stalinowski *narkom* i jego ostatni przyjaciel, Lazar Kaganowicz, który przeżył go o pięć lat i umarł w Moskwie w lipcu 1991 roku, mając 97 lat. Zrodziła ich epoka i oni ukształtowali epokę. Dziś wydają się ludźmi przeszłości, strasznej przeszłości. Nie ma jednak pewności, że nigdy już nie pojawią się „ludzie szczególnego pokroju”.

Michał HELLER

Jan CIECHANOWSKI

W SOWIECKIM OSACZENIU

(UWAGI I REFLEKSJE NAD OSTATNIĄ PRACĄ
ZBIGNIEWA SIEMASZKI)¹

W swej ostatniej książce Siemaszko omawia w niezwykle ciekawy i obiektywny sposób stosunki polsko-sowieckie w latach 1939-1943, a więc w okresie niemiecko-sowieckiej współpracy w ramach paktu Mołotow-Ribbentrop 1939-1941, a następnie polsko-sowieckiej ugody 1941-43, która doprowadziła do utworzenia armii polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa w Rosji, a następnie jej ewakuacji na Bliski Wschód.

Głównym celem autora jest opisanie dziejów Polaków w ZSSR w tym okresie oraz ustalenie głównych celów i zasad polityki polskiej Stalina. Zdaniem Siemaszki polityka ta dążyła nie tyle do „zlikwidowania”, co do „opanowania” problemu polskiego przez Moskwę. Według autora Niemcy dążyli do zlikwidowania problemu polskiego raz i na zawsze. „Chcieli wyeliminować polskie warstwy

1. Zbigniew S. Siemaszko, *W sowieckim osaczeniu 1939-1943*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1991, 439 str.

przywódcze, a z reszty narodu stworzyć posłuszne i pokorne plemię pracowników. Natomiast Stalin zdawał sobie sprawę z tego, że problemu polskiego nie da się zlikwidować, więc doszedł do wniosku, iż należy go opanować. Dlatego też Sowiety traktowały z absolutną bezwzględnością tych, wobec których nie mieli nadziei, że mogą oni stać się w stosunku do nich ulegli, a z drugiej strony faworyzowali tych, wobec których mieli nadzieję, że pójdą na współpracę”.

Nie ulega kwestii, iż w stwierdzeniu tym kryje się wiele prawdy, chociaż nie odpowiada ona wielu Polakom, którzy uważają w większości, iż Stalin i Rosjanie prześladowali Polaków głównie za to, iż byli po prostu Polakami, jak to w zasadzie czynili Niemcy. Pokróćce Stalin kierował się wobec Polski i Polaków względami głównie politycznymi, a Hitler rasowymi.

Na okupację sowiecką lat 1939-41 należy patrzeć z punktu widzenia historycznego, podkreśla Siemaszko, gdyż była ona jednym z szeregu epizodów we współzawodnictwie pomiędzy Polakami a Rosjanami o dominację nad Ukrainą, Białorusią i Litwą, raczej niż opanowaniem „rosyjskiej państwowości przez Polaków, albo polskiej przez Rosjan”.

Współzawodnictwo to trwało ze zmiennym szczęściem i powodzeniem przez wieki i dopiero w 1939 roku całość ziem spornych o mieszanej ludności znalazła się pod władzą rosyjską. Co więcej, nasze Kresy Wschodnie do 17 września 1939 roku należały do tzw. „świata kapitalistycznego”. Wynikała stąd konieczność jak najszybszej „sowietyzacji” tych ziem. W pierwszym rządzie (z punktu widzenia sowieckiego) — stwierdza Siemaszko — „należało usunąć wszystkie osoby winne (według prawa sowieckiego) i podejrzane oraz zmusić ludność wszystkich narodowości do uległości w stosunku do państwa sowieckiego”. Poza tym wchodził w grę „rewanż za porażkę sowiecką” w 1920 roku, kiedy zatrzymaliśmy pochód rewolucji na Zachód.

Stalin zdaniem Siemaszki był w pełni świadom „zarówno historycznego jak i bieżącego aspektu konfliktów polsko-sowieckich” i chciał „rozprawić się z polskim problemem radykalnie”.

W tym kontekście i w tych kategoriach zdaniem Siemaszki należy rozpatrywać politykę Stalina wobec Polski i Polaków w czasie ostatniej wojny, z Katyniem, deportacjami i prześladowaniem Polaków przez władze sowieckie łącznie.

Pokróćce, Stalinowi nie chodziło o prześladowanie Polaków jako takich, lecz jako rzeczywistych lub urojonych wrogów systemu sowieckiego. W rezultacie czego prawie każdy patriota polski dla władz sowieckich był podejrzanym osobnikiem. Co więcej Siemaszko uważa, że sprawę prześladowań Polaków w ZSSR należy rozpatrywać w kontekście wielkich czystek stalinowskich i uważać je raczej za ich organiczną część niż za kwestię czysto polską. Z tego rodzaju podejścia wynikałoby, iż wymordowanie polskich oficerów

w Katyniu było po prostu dalszą częścią czystki przeprowadzonej przez Stalina w latach 1937-38 w Armii Czerwonej, w czasie której została ona nie tylko pozbawiona swej dotychczasowej głowy, ale również mocno przetrzebiona jeśli chodzi o korpus oficerski wyższych stopni.

Jest to teza logiczna i prosta, ale bez dostępu do sowieckich dokumentów niemożliwa do udowodnienia. Dotyczy to również innych zagadnień polsko-sowieckich, poruszonych nie tylko przez Siemaszkę, ale przez wszystkich polskich historyków zajmujących się tą tematyką. Bez dostępu do sowieckich źródeł archiwalnych nie można napisać pełnej i obiektywnej historii stosunków polsko-sowieckich z czasów ostatniej wojny. Nie sili się na to zresztą i sam Siemaszko, który podkreśla iż jego książka oparta jest tylko na cząstkowej bazie źródłowej. Opiera się ona głównie na dotychczasowej literaturze przedmiotu oraz materiałach nagromadzonych przez wiele lat przez samego autora. Głównie pisemnych i ustnych relacjach Polaków, którzy podobnie jak i sam Siemaszko w latach 1939-42 przeszli przez Rosję, a następnie na skutek ewakuacji armii polskiej z ZSSR w 1942 roku znaleźli się poza jego granicami. Siemaszko uważa również, iż współpraca polsko-sowiecka zapoczątkowana przez gen. Władysława Sikorskiego w lecie 1941 roku nie miała większych szans powodzenia. Ze względu na to, że obie strony, zarówno polska jak i sowiecka, nie były gotowe do koniecznego kompromisu w sprawie naszych przedwojennych Kresów Wschodnich, a do których oba państwa rościły pretensje.

Zdaniem autora okres polsko-sowieckiej współpracy wykazał, iż „sprzeczność pomiędzy zadaniami sowieckimi w stosunku do Polski i nastawieniem ogromnej większości Polaków była tak wielka, że na dłuższą metę współpraca nie była możliwa”.

Siemaszko twierdzi, że polityczna współpraca była „bezwocna”, natomiast odegrała pewną rolę militarną, dając Armii Polskiej siedemdziesiąt kilka tysięcy żołnierzy, praktycznie rzecz biorąc ochotników, mających za sobą dramatyczny dorobek życiowy ze względu na ich przejścia w Rosji i gotowych do wszelkich poświęceń i ofiar na rzecz Polski.

„Nic dziwnego — pisze Siemaszko — że tego rodzaju wojsko (mające zróżnicowany skład narodowościowy i wyznaniowy, zgodny z tradycjami dawnej Rzeczypospolitej) walcząc pod Monte Cassino stworzyło legendę, która będzie jeszcze długo trwała w polskiej świadomości”.

Pokróćce Siemaszko słusznie podkreśla, że w Rosji w latach 1939-43 byli prześladowani nie tylko rdzenni Polacy, ale również obywatele polscy innych narodowości, jak Ukraińcy, Żydzi i Białorusini, oraz że na współpracę z władzami sowieckimi poszły tylko niewielkie grupki ludzi skupionych wokół płk. Zygmunta Berlinga czy Wandy Wasilewskiej lub Alfreda Lampe. Niemniej warto podkreślić, iż o ile żołnierze armii polskiej gen. Andersa stali się po woj-

nie trzonem naszej drugiej wielkiej emigracji politycznej w Anglii, to ich „młodszy bracia”, żołnierze armii polskiej gen. Berlinga, po powrocie do Kraju stali się jedną z głównych podpór komunistycznego reżymu w Polsce. Mamy też nadzieję, iż Siemaszko opíše, jak i dlaczego doszło do tego w swej następnej pracy na temat stosunków polsko-sowieckich w latach 1943-45.

Nie ulega kwestii, że książka Siemaszki jest niezmiernie ważnym i wartościowym przyczynkiem do dziejów stosunków polsko-sowieckich, a raczej po ostatnich wydarzeniach w Rosji polsko-rosyjskich. Nie ulega również kwestii, że Polacy wywiezieni do Rosji byli zupełnie nieprzygotowani na to, co ich później w niej spotkało i spowodowało wśród nich głęboki szok i urazy. Warto też podkreślić, iż jak to wynika jeszcze raz z ustaleń autora, nasze najwyższe władze państwowe były zupełnie nieprzygotowane na wkroczenie Armii Czerwonej do Polski we wrześniu 1939 roku.

Sam zaś Siemaszko, chociaż nie jest zawodowym historykiem, jest jednym z czołowych znawców naszej wojennej historii.

Książkę tą powinien przeczytać każdy myślący Polak, interesujący się polsko-rosyjskimi zagadnieniami i problemami.

Jan CIECHANOWSKI

Jan CIECHANOWSKI

UDANY AUTOPORTRET POWSTAŃCA I EMIGRANTA

(REFLEKSJE NAD WSPOMNIENIAMI

JANA KROK-PASZKOWSKIEGO Z LAT 1925-1988)¹

Z prawdziwą przyjemnością i wzrastającym zainteresowaniem czytałem wspomnienia Jana Krok-Paszковского, znanego publicyisty i pisarza emigracyjnego, który w niezwykle ciekawy, szczerzy i zajmujący sposób opisuje swe dotychczasowe przejścia i przeżycia.

Jan Krok-Paszkowski, syn żołnierza pierwszej kampanii kadrowej Józefa Piłsudskiego, a następnie przedwojennego generała i działaczki Rodziny Wojskowej wysokiego szczebla, wiele przeszedł i

1. Jan Krok-Paszkowski, *Mój bieg przez XX wiek*, Odnova-Londyn, Norbertinum-Lublin, 1990, 258 str.

widział w czasie swego ciekawego i pełnego wydarzeń życia. Jako dziecko wychował się w cieniu koszar. Był urzeczony powabem żołnierskiego życia. Marzył o służbie w wojsku i zostaniu oficerem. Po prostu chciał pójść w ślady ojca generała i starszego brata, który również był oficerem. Całe jego życie do przybycia do Anglii wraz z 2-gim Korpusem w lecie 1946 roku stało pod znakiem wojska i wojny, której wybuch zastał go w Warszawie, gdzie jego ojciec był wtedy zastępcą dowódcy Korpusu. Okupację niemiecką spędził w Warszawie, żyjąc w niezmiernie trudnych warunkach materialnych, marząc o wzięciu udziału w walce z Niemcami. Było to zresztą marzenie prawie wszystkich młodych Polaków i Polek z „uczciwych rodzin polskich” — jak to określił Roman Dmowski — którzy jak zawsze byli wspaniałym materiałem na konspiratorów i powstańców zgodnie z naszymi narodowymi tradycjami i kulturą polityczną. Polska była od rozbiorów klasycznym przykładem kraju, który prawie co pokolenie starał się „wybić na niepodległość” drogą walki zbrojnej i powstańczych zrywów, chociaż zawsze kończyły się one klęskami. Nic więc dziwnego, że cała prawie nasza wojenna młodzież, której Krok-Paszkowski był klasycznym reprezentantem i przykładem, brała udział w konspiracji i szykowałą się do nowego powstania, które zgodnie z planami gen. Grot-Roweckiego i gen. Bór-Komorowskiego nie mogło się nie udać. Niestety, jak wiemy stało się inaczej, a co gorsze nasza ówczesna młodzież była na to zupełnie nieprzygotowana, jak to dobitnie podkreślają wspomnienia Jana Krok-Paszkowskiego, który brał udział w konspiracji i powstaniu warszawskim.

Autor w czasie powstania walczył na Mokotowie. Został ciężko ranny, a kilkakrotnie prawie tylko cudem uniknął śmierci. Jego opisy powstańczych walk są miejscami wręcz wstrząsające. Często też do złudzenia przypominają nam sceny z „Wiernej rzeki” Żeromskiego, czy obrazów Grottgera, kiedy nasi również poszli w bój bez broni, a kończyli powstanie wśród złorzeczeń i narzekań rodaków. Autor w żaden sposób nie może zrozumieć, jak i wielu innych powstańców, dlaczego doświadczeni wyżsi dowódcy rzucili go do nierównej walki z Niemcami, w jego przypadku zupełnie bez broni, i dlaczego nie przygotowali go do tego, co go w czasie powstania później spotkało. Autor dużo pisze o powstaniu i często do niego wraca. Stara się rozliczyć z powstaniem, którego wynik zadecydował w dużej mierze o jego dalszych losach, jak zresztą o losach większości warszawiaków, a nawet całej Polski.

Po upadku powstania Krok-Paszkowski pozostaje w kraju i leczy się z ran. Już wkrótce wyrusza w drogę na zachód z zamiarem wstąpienia do naszego wojska walczącego u boku zachodnich aliantów na froncie włoskim i zachodnim. Podąża na zachód za posuwającą się Armią Czerwoną, wraz z którą wkracza na nasze ówczesne „dzikie pola”, czyli tzw. ziemie odzyskane. Wreszcie po różnych niezwykłych przygodach i przejściach z Rosjanami i rodzi-

mą opieką przedostaje się do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech.

W 1946 roku wstępuje do 2-go Korpusu gen. Andersa we Włoszech i zaczyna się szykować do walki z bolszewikami. Jak większość ówczesnych Polaków wierzy, że wojna pomiędzy zachodem i wschodem wisi na włosku. Tymczasem latem tegoż roku przybywa wraz z 2-gim Korpusem do Anglii i zostaje zdemobilizowany. Kończy się jego sen o szpadzie i marzenia o zostaniu zawodowym oficerem. W Anglii początkowo powodzi mu się źle, jak większości zdemobilizowanych żołnierzy. Grozi mu deklasacja i szara, smutna emigracyjna vegetacja. W jego przypadku sprawa ewentualnego powrotu do Kraju, ze względu na jego przejścia i przeprawy z opieką w czasie ucieczki z Polski w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jego jedynym pocieszeniem jest fakt, iż na zachodzie odnajduje ojca i wraz z nim mieszka w Londynie. W Londynie — ponoć ze względu na wiek — nie otrzymuje stypendium na dalsze studia na jednej z wyższych uczelni brytyjskich, co mogłoby mu otworzyć drzwi do zdobycia intratnego zawodu i kariery.

Autor nie traci jednak animuszu i nadziei i zaczyna studiować nauki społeczne w polskiej Szkole Nauk Politycznych w Londynie, na której wykładało wielu wspaniałych polskich wykładowców. Zaczyna również pisać w emigracyjnych pismach, co otwiera mu drogę do uzyskania posady w polskiej rozgłośni Radia Wolnej Europy, gdzie Krok-Paszkowski zdobywa dziennikarskie ostrogi i szybko awansuje. Musi się jednak pożegnać z RWE ze względu na zatarg z dyrekcją i powrócić z Monachium do Londynu. W Londynie początkowo pracuje w redakcji *Dziennika Polskiego*. Już wkrótce otrzymuje pracę w BBC i robi w niej bardzo szybko dużą karierę. Początkowo zostaje szefem polskiej sekcji BBC, a następnie dyrektorem wydziału południowo-wschodniej Europy. W Londynie zaczyna również współpracować z czołowymi pismami i publikacjami brytyjskimi. Pisze też po polsku. Wkrótce zostaje nie tylko dziennikarzem, wyższym urzędnikiem BBC lecz również publicystą i pisarzem, i co więcej łączy swą karierę zawodową z pracą dla Kraju.

Jego życie i koleje losu są najlepszym przykładem, jak można zrobić dużą karierę zawodową żyjąc za granicą nawet w najbardziej trudnych i niesprzyjających temu warunkach i okolicznościach. Dowodzą dobitnie, że szczęście sprzyja ludziom odważnym i rzutkim.

Jego wspomnienia są nie tylko udanym i wiernym portretem własnym autora i jego najbliższej rodziny, lecz również ważnym i wartościowym przyczynkiem do dziejów warszawskiej AK-iej młodzieży, która niosła na swych barkach główny ciężar powstańczej walki, ponosząc przy tym ogromne straty, oraz naszej powojennej politycznej emigracji, która starała się zawsze robić co tylko mogła na rzecz Kraju.

Krok-Paszkowski kończy swe wspomnienia z chwilą przejścia na emeryturę w wieku lat 63-ch w 1988 roku, a więc na rok przed wielkimi zmianami, jakie później zaszły w Polsce i w naszej części Europy. Są więc wspomnieniami bez ostatniego rozdziału, gdyż autor pomimo formalnego przejścia na emeryturę jest nadal czynny w naszym życiu polityczno-kulturalnym zarówno w Kraju, jak i na emigracji. Czekamy więc na dalszy ciąg jego wspomnień, w których mam nadzieję opíše nam swe dalsze, *post-1988* dzieje.

Jan CIECHANOWSKI

Ryszard LÖW

CZYTAJĄC BORWICZA

*Pozostała z wami tylko samotność do ostatniego tchnienia
i tylko myśli, których nie było komu zawierzyć.*

M.M. Borwicz, „Do tych, którzy padli” (1946)

Michał Borwicz opuścił Polskę w marcu 1947 r. Po krótkotrwałym epizodzie sztokholmskim znalazł się w Paryżu, z którego niebawem wyjechał do Nowego Jorku. Sprowadzony przez przyjaciela, historyka Filipa Friedmana, przebywał w Stanach niemal rok w charakterze pracownika naukowego na Uniwersytecie Columbia. Nie potrafił się jednak w tym świecie zaaklimatyzować. Bardzo natomiast pociągał go Paryż, do którego wkrótce już wrócił na stałe.

Znajdował się w dość trudnej sytuacji materialnej. Źródłem jego utrzymania w owym czasie stały się honoraria uzyskiwane za artykuły pisane do prasy żydowskiej. Niezależnie od tego absorbowana go praca nad dwoma dużymi przedsięwzięciami edytorskimi, których wydanie przeciągnęło się do r. 1955. Układał i zestawiał olbrzymią, parujęzyczną księgę-album „1000 lat życia Żydów w Polsce”, oraz redagował po żydowsku zbiór świadectw z okresu zagłady „Arisze papirn” („Papiery aryjskie”). Pracę tę wykonywał w Ośrodku Badań Historii Żydów Polskich, który założył i którym kierował.

Uczył się bardzo intensywnie języka francuskiego. Niejako dla wprawki językowej podjął przekład na francuski swojej z r. 1946 pochodzącej książeczki wspomnieniowej „Literatura w obozie”. Wtedy właśnie poznałem Borwicza bliżej i — mowa o r. 1950 — spotykałem się z nim często. Do domu wspólnych przyjaciół przynosił

stronice dokonanego tłumaczenia. Było ono przedmiotem rozmów i wnoszonych poprawek przez osoby język francuski znające biegle.

Nie chciałbym wysuwać twierdzeń zakotwiczonych wyłącznie w mojej zacierającej szczególności pamięci. Sam jestem z pewnością zasugerowany tą właśnie sytuacją Borwicza i bardzo przeciw prawdopodobnym domysłem, że rzecz tłumaczona zaczęła się autorowi rozrastać, pęcznić, domagać uzupełnień i zmian. Ich wprowadzenia ani tekstowi ani sobie nie chciał — nie widział powodu — odmówić.

Zatem tutaj właśnie usiłuję dostrzec genezę tak znakomicie wkrótce zrealizowanego zamierzenia: szczegółowego i wyczerpującego opracowania tematu, w polskiej książeczce przedstawionego pobieżnie i fragmentarycznie, zarazem tylko memuarystycznie. Zamyśl ten wykonał Borwicz w formie pracy naukowej o charakterze uniwersyteckiej dysertacji doktorskiej. Wydaną w r. 1954 książkę nazwał „Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation allemande (1939-1945). Etiude sociologique”, czyli „Pisma skazanych na śmierć pod okupacją niemiecką... Studium socjologiczne”. W drugim, poszerzonym wydaniu z r. 1973 podtytuł usunął, zaś tytuł zmienił na „Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation nazi...” — „... pod okupacją hitlerowską...”. Nie sądzę, by była to zmiana bez znaczenia. Wskazywała ona na nowe przemyślenia autora. Było to zdjęcie piętna oprawy ludów Europy — nade wszystko Żydów — z całego narodu niemieckiego i obarczanie nim wyłącznie odłamu, który w tym okresie historycznym decydował o jego działaniach.

Wszystko zdaje się wskazywać na to — a tutaj przez wskaźniki rozumieć należy właściwe odczytanie bibliografii — że do napisania tego rodzaju rozprawy Borwicz przymierzał się od dawna. To znaczy od chwili podjęcia — po zakończeniu wojny — na nowo twórczości pisarskiej. A jednocześnie działalności edytorskiej, redaktorskiej i organizacyjnej w Żydowskiej Komisji Historycznej w rodzinnym Krakowie. Była ona w całości i bez reszty oddana utrwalaniu pamięci o niedawnych zdarzeniach — ich opisowi, poszukiwaniu ich źródeł — i losie, jaki w zdarzeniach tych przypadł Żydom w Polsce. Była ona też — ważność problematyki zrozumiał Borwicz bardzo wcześnie, bodajże jako pierwszy w Polsce — nakierowana na piśmienniczy aspekt tych zdarzeń. Na zagadnienie twórczości pisarskiej w świecie i atmosferze totalnej zagłady.

Publikacje takie, jak na własnych przeżyciach autora w tzw. obozie janowskim we Lwowie oparta „Literatura w obozie” czy „Organizowanie wściekłości” (1947) — rzecz o intelektualnych i literackich korzeniach propagandy antysemitycznej — są tego dowodem. Dowodem wprost koronnym jest zestawiona antologia wierszy o Żydach polskich pod okupacją niemiecką — „Pieśń ujdzie cało” (1947), a nade wszystko przedmowa poprzedzająca antologię. W osobnej, w obieg księgarski wypuszczonej odbitce, przedmowa ta nosi tytuł „Pieśni ginących. Z dziejów twórczości Żydów pod hitlerowską okupacją”.

Te właśnie — polskie — prace Borwicza zawierają jeszcze skrótowne i materiałowo niepełne, jeszcze w swych opisach i wnioskach nie dociągnięte, co zaś najistotniejsze — jeszcze ograniczone wyłącznie do spraw Żydów w Polsce — rozpracowanie zagadnień i tematów umieszczonych następnie w „Pismach skazanych na śmierć”.

Promocja doktorska Borwicza odbyła się na Sorbonie 9 czerwca 1953 r. Promotorem był — pamiętamy przecież tytuł pierwszego wydania — socjolog prof. George Gurvitch, a wraz z nim w jury zasiadli historyk-nowożytnik prof. René Renouvin i historyk literatury, zajmujący się także literaturą polską, prof. Jean Fabre. Było to grono najznakomitsze z możliwych Sorbony owego czasu. Autor przedmowy do edycji książkowej — członek Instytutu Francuskiego, a następnie laureat pokojowej Nagrody Nobla René Cassin — z wyczuwalną satysfakcją podkreśla, iż zespół tak wybitnych uczonych uznał tezę Borwicza za *très honorable* — „bardzo zaszczytną”. Powiada on także, iż ocalałe pisma pomordowanych „wędrują poprzez głąb historii. I jak długo zachowa się pamięć o nich, tak długo cierpienia ich nie będą daremne”. Składa też podziękowanie autorowi za to, że „pozwoił rozbrzmieć w Sorbonie, fortecy ducha i myśli ludzkiej, głosowi i posłannictwu męczenników tragedii, która nie może być odkupiona”.

„Gdy Borwicz przyszedł do mnie po raz pierwszy z propozycją przedłożenia mi takiej pracy doktorskiej, miałem duże wątpliwości — powiedział George Gurvitch na Sorbonie. — Bałem się, że dostarczy nam jeszcze jednego sprawozdania o cierpieniach obozowych. To może być ważne i ciekawe, ale nie jest pracą naukową. Ku memu wielkiemu zadowoleniu konstatuję, że Borwicz utrzymał czysto naukowe podejście. Wzniósł się ponad uczucia osobiste, a dzięki temu wyrósł wysoko ponad swych dręczycieli”.

Czesław Miłosz pisząc sprawozdanie z odbytego przewodu doktorskiego podkreślił, że „dla przyszłych badaczy prace Borwicza będą miały pierwszorzędne znaczenie, zarówno jako źródło informacji, jak i przez interpretację faktów pochodzącą od świadka i uczestnika”. Po ćwierćwieczu zaś dodał z pełnym przekonaniem, że „to dzieło nie powinno być przez żadnego badacza literatury okupacyjnej pominięte”.

Tutaj tok opowieści o genezie dzieła należy zawiesić, aby zatrzymać się nad dziełem samym. Sądzę bowiem, że ono właśnie w zestawie obejmującym książki napisane po polsku, francusku i żydowsku, oraz olbrzymiej ilości artykułów, rozpraw, esejów rozrzuconych po rozlicznych czasopismach — stanowi najwybitniejsze osiągnięcie twórcze Borwicza. W pełni oryginalną konstrukcją monograficzną. W takim zakresie bez poprzedników i — dotąd — bez następców. Samotną.

Trudność klasyfikacji monografii Borwicza wynika z jej interdyscyplinarności. Jest to studium z pogranicza socjologii — historii — historii piśmiennictwa — krytyki filologicznej. Za pomocą narzę-

dzi metodologicznych właściwych tym dyscyplinom przeprowadził autor opis i klasyfikację, następnie objaśnił i wyciągnął uzasadnione wnioski. — Czego i odnośnie czego?

Najszerzej i najwielostronniej rozumianego piśmiennictwa powstałego w okupowanej przez faszystowskie Niemcy Europie lat 1939-1945. W warunkach i okolicznościach przez okupację tę narzuconych. A więc: w gettach i więzieniach, obozach koncentracyjnych i obozach zagłady, w partyzantce, w ukryciu, na fałszywej wolności przeżywaney na fałszywych papierach. Piśmiennictwa stworzonego — w wielu językach — przez ludzi, którzy stali się ofiarami tej okupacji.

W takiej sytuacji pisanie przybrało określony i wyraźnie uświadomiony cel: przekazanie faktografii bezprzykładnych prześladowań, przekazanie jej tym — i dla tych — którzy przeżyją. Dobitniej i z pewnością właściwiej: przekazanie wieści o swoim istnieniu. Chciano pozostawić znak, jakiś ślad po sobie i w tych ostatnich chwilach nadać znaczenie własnemu życiu.

Dzienniki, wspomnienia, relacje, kroniki, notatki, listy i grypsy więzienne; wiersze i pieśni i fraszki; nawet napisy ryte na ścianach cel śmierci, nawet ostatnie przed śmiercią wznoszone okrzyki tu się liczą. Albowiem „w słowie pisanym człowiek doprowadzony do ostatecznych granic swojej kondycji znalazł raz jeszcze ostatnią obronę przeciwko samotnej zagładzie — pisze Borwicz. — Słowo jego, wyszukane czy niezręczne, rytmiczne czy bezładne, służyło jedynie woli wyrażenia, zakomunikowania i przekazania prawdy”.

Ów pęd do utrwalenia dowodów zbrodni i świadectw męczeństwa stworzył jedyną w dziejach literaturę. Zbiór tekstów — wielojęzycznych, wielokulturowych, — w których ładunek emocjonalny stanowi sama faktura opisu, przemawiająca nawet poprzez niezadko prymitywną lub banalną ich redakcję. Tę właśnie cechę utworów ludzi skazanych na zagładę podkreśla wrażliwy i mądrze odczytujący dzieło Borwicza historyk Jerzy Jedlicki, zadając zarazem pytanie: „Jak przetworzyć to świadectwo w doświadczenie i mądrość świata zniewalającej codzienności?” To „jak” — pozostaje pytaniem otwartym.

Właśnie lektura książki Borwicza uświadomiła Czesławowi Miłoszowi „wyjątkowo ważną dla utrzymania człowieczeństwa rolę słowa”. Zanotował to i kilkakrotnie komentował jako osiągnięcie badawcze Borwicza w swoich sześciu wykładach o świadectwie poezji, wygłoszonych na Uniwersytecie Harvard na przełomie 1981 i 1982 r., a opublikowanych jednocześnie po polsku i po angielsku. Ważność ta była silnie zakodowana w świadomości piszących, do rządu których jako świadek — przypomnieć tu znów trzeba — sam Borwicz się przecież zalicza. Toż połowa zbioru jego wierszy pt. „Ze śmiercią na ty” (1946) — „Wiersze obozowe” — zawiera utwory powstałe w obozie janowskim. W nim były odczytywane na tajnych spotkaniach literackich, puszczane w obozowy obieg, przemycane poza jego obręb dla publikacji w nielegalnych wydawnictwach.

W ciężkiej atmosferze niepewności, czy autor przeżyje następujące godziny i dni.

Każdy rozdział tej książki rozpiętej na bardzo szczegółowo i drobiazgowo zarysowanym planie stać się może przedmiotem płodnych naukowo i historyczno-ideologicznie analiz i debat. Obfitość materiału egzemplifikacyjnego pochodzi z wielu źródeł i wielu krajów. Samych Niemiec — i kata i ofiary — nie wyłączając. Siłą jednak tragicznie splecionych faktów dokumentacji najobfitszej dostarczyła Polska, zaś w niej — Żydzi.

Materiał ten stał się podstawą opisu elementów życia literackiego, kulturalnego, intelektualnego, sposobów i form ich uprawiania, kręgów społecznych i narodowych autorów. Wyznaczników twórczości pisarskiej, jej rodzajów, stylów ekspresji językowej, związków z tradycją historyczno-literacką. Sposobów udostępniania i rozpowszechniania tych utworów — dróg komunikacji we „wszechświecie koncentracyjnym” i poza jego obszarem.

Dokonana następnie analiza opisanych zjawisk pozwoliła Borwiczowi na ustalenie paru cech charakterystycznych dla piśmiennictwa zrodzonego w tym wszechświecie — przez Miłosza wprost „prawami” nazwanych.

Należy do nich bezwarunkowa szczerość, prawdziwość przeżyć. Bez maski i pozy. Prymitywizm prawdy głoszonej z otwartością, możliwą do osiągnięcia tylko w sytuacji ostatecznej grozy i zatrąty.

Należy także język, jakim posługiwali się piszący. Poeci przede wszystkim. Poezja bowiem stylistycznie przynależała do poetyki okresu przedwojennego. Styl ten należało w sobie pokonać, aby wyrazić treści w chwili jego narastania nieistniejące; wyrazić to, co nie mieściło się w żadnych pojęciach i dotąd dostępnych środkach ekspresji słownej.

Piśmiennictwo stworzone we „wszechświecie koncentracyjnym” stało się nie tylko i nie wyłącznie dokumentem epoki, miejsc i okoliczności, w których powstało. W miarę upływającego czasu nie trudno dostrzec, iż przerosło ono samo siebie. Odgrywa bowiem rolę — sprawdzalnego i wciąż żywego — punktu odniesienia. Dla twórczości literackiej, systemów ideowych, układów intelektualnych w Europie — i jej orbicie — od chwili zakończenia wojny.

W tym właśnie kontekście historyczno-literackim uwidoczni się olbrzymia waga dzieła Borwicza. Spełnił on przecież wolę i jakby wypełnił testament zgładzonych. Z pewnością i o nim — Michale Borwiczu i jego trudzie — myślał Czesław Miłosz, kiedy podejmując w Sztokholmie literacką Nagrodę Nobla, przyznaną mu w r. 1989, powiedział:

„Ci, którzy żyją, otrzymują mandat od tych wszystkich, którzy umilkli na zawsze. Wywiązać się ze swego obowiązku mogą tylko starając się odtworzyć dokładnie to co było, wydzierając przeszłość zmyśleniom czy legendom”.

Ryszard LÖW

JESZCZE O POWSTANIU STYCZNIOWYM*

Na brak lektur poświęconych Powstaniu Styczniowemu nie możemy narzekać. Przeciwnie, mamy ich dużo i to nie tylko pióra historyków, ale i wybitnych polityków: zainteresowanie powstaniem, z jednej strony Józefa Piłsudskiego, z drugiej Romana Dmowskiego, mówi samo za siebie. Zajmowali się nim i zajmują również pisarze i eseiści, by przypomnieć tu chociażby Ksawerego Pruszyńskiego. Zdaje się, że każda generacja Polaków na nowo musi podejmować wysiłek określenia stosunku do kłębka zjawisk związanych z nocą styczniową 1863 roku.

Zauważmy, że powstanie w polskiej historiografii zajmuje wyjątkowe miejsce, że zostało przebadane tak dokładnie, jak żaden inny fragment dziejów Polski, że wszystkie istotne dokumenty do dziejów zostały już wydobyte, ujawnione i zbadane, że dalsze badania nie przyniosą żadnych rewelacji, który by podważyły naszą wiedzę o faktach. Te ciągle nawroty do powstania wynikają z tego, że rok 1863 był — jak stwierdził doskonały znawca dziejów Polski Henry Rollet — „punktem zero” współczesnej historii Polski, istotnym punktem kształtowania narodu, orientacji politycznych i mentalności. Aczkolwiek potocznie skłonni jesteśmy przyjąć upadek niepodległości w 1795 roku jako najważniejszą cezurę dziejową, to faktem jest, że rok 1863 o wiele mocniej przyciąga i wyobraźnię i intelekt. Może dlatego, że każde niemal późniejsze pokolenie wkraczających w aktywne życie Polaków stawało w obliczu tych samych zagadnień i pytań, przed którymi stali ich poprzednicy „przed tą nocą”.

Książka Barbary Petrozolin-Skowrońskiej — o ile się orientuję — nie miała rozgłosu w prasie, może dlatego, że ukazała się w momencie, gdy aktualne lektury utrudniały przeniesienie się myślą w wiekową przeszłość. A szkoda. Rzadko trafia mi się lektura tak pochłaniająca i inspirująca. Nie epatując czytelnika erudycją, Petrozolin-Skowrońska potrafiła przedstawić dylematy pokolenia powstańców w ten sposób, że czujemy zarówno oddech czasu jak i nieprzemijającą, nieprzedawnioną aktualność pytań. Godzić się z uciskiem, czy buntować się, a jeśli tak, to jak, czy działać rozważnie, powoli, tak jak hrabia Zamoyski i klemensowczycy, czy przeć do walki otwartej, zbrojnej? A może działać tak jak margrabia, wykorzystać pozycję w Rosji i posiadaną władzę dla reformowania kraju i poszerzania marginesu swobód? Jaki ma być stosunek do dążeń wolnościowych innych naro-

* Barbara Petrozolin-Skowrońska, *Przed tą nocą*, Warszawa 1988, s. 408, Instytut Wydawniczy PAX.

dów? A także, dlaczego powszechny entuzjazm epoki powstańczej dla Żydów i dążenie do wchłonięcia ich w polskość zostały po paru dziesięcioleciach zastąpione przez dominację odpychającego antysemityzmu endecji? Z czego wynika permanentność konfliktu polskorosyjskiego? A może jest on uwarunkowany czasem, a więc i przemijający? Czy polityka ma być uprawiana przez dyskretne elity czy przez społeczeństwa? Jak winien się kształtować stosunek owych elit i tak zwanej ulicy? — problem nie tylko skuteczności ale i etyki. Jakie jest miejsce historyczne starych elit arystokratycznych, jakie nowych — intelektualnych lub inteligenckich, jakie tych, które powstanie dopiero zapowiadało, elit ludowych, owych zapracowanych czeladników, mieszkających kątem, przymierających często głodem, inteligentów robotniczych, w których nietrudno dostrzec zapowiedź ich późnych wnuków Bujaków, Janasów, Frasyniuków.

Sposób podania materiału przez autorkę powoduje, że w toku lektury współczesność ciągle jest obecna. Jest to zasługą jej dużej wiedzy i doskonałego warsztatu literackiego, waloru, niestety, wśród obecnych historyków rzadko spotykanego.

FEDERACJA ŚRODKOWO-EUROPEJSKA*

Przez cały okres międzywojenny stosunki między Polską a Czechosłowacją były złe i nie ma większego sensu rozpamiętywanie, kto komu wyrządził więcej zła i kto ponosi większą odpowiedzialność, gdyż obie strony wykazały nie tylko dużą dozę złej woli, ale też, co gorsze, braku politycznej roztropności.

Istotne jest natomiast, że po zajęciu Czechosłowacji przez Hitlera i militarnej klęsce Polski, gdy kierownictwa ruchów niepodległościowych obu państw znalazły się na emigracji, powstała koncepcja przewyciężenia niszczącej wrogości, zbliżenia i nawet zbudowania politycznej superstruktury. Federacja polsko-czechosłowacka nie tylko miałaby znaczenie jako sposób przewyciężenia antagonizmu obu państw, ale stworzyłaby nowy układ sił w Europie Środkowo-Wschodniej. Nawet przy daleko posuniętej ostrożności wnioskowania można przyjąć, że zbliżenie obu państw wytworzyłoby nową, liczącą się siłę w obszarze zdominowanym dotychczas przez Niemcy i Rosję i w chwili upadku nazizmu mogło stanowić tamę dla sowieckiej ekspansji. Koncepcja federacji miała poparcie Anglii i Francji, zainteresowanych w stabilizacji środkowo-europejskiej i wiele wskazywało na to, że po zwycięstwie nad Niemcami nastąpią i praktyczne kroki.

Nie nastąpiły. Dotychczasowe prace, niezależnie od uwarunkowań

* Tadeusz Kisielewski, *Federacja środkowo-europejska. Pertraktacje polsko-czechosłowackie 1939–1943*, Warszawa 1991, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

ideologicznych zgodnie stwierdzają, że przeciwko federacji polsko-czechosłowackiej opowiadał się Związek Sowiecki i że jego stanowisko w pewnym momencie spowodowało wycofanie się prezydenta Czechosłowacji, Eduarda Beneša z zaawansowanych rozmów. Beneš wyraźnie postawił zbliżenie z potężną Moskwą przed współpracą z Warszawą. Jak wiadomo, skutki tego rozumowania były tragiczne, nie tylko dla państwa, ale i dla samego Beneša.

Można by więc wnosić, że teraz, gdy Warszawa i Praga muszą podjąć ponowny wysiłek zdefiniowania wzajemnych stosunków, praca Kisielewskiego jest na czasie, a uwagi recenzenta, zwłaszcza że od dawna postulującego zbliżenie polsko-czechosłowackie, winny się sprowadzić do krytycznej analizy, na ile autor spełnił postawione sobie zadanie. Niestety, nie mogą się do tego ograniczyć. Konkluzje Kisielewskiego na ogół są słuszne, wiedza niepodważalna, ale można zadać sobie pytanie, czy podejmowanie dużego wysiłku badawczego — i wydawniczego — jest uzasadnione.

Oczywiście trzeba uczyć społeczeństwo historii, ale duża monografia, drobiazgowo opisująca przebieg rozmów nie jest lekturą popularną i może liczyć tylko na środowisko wykwalifikowanych czytelników. Ci jednak są już z problemem wystarczająco zapoznani. Rzecz w tym, że praca nie wnosi nic rzeczywiście nowego do istniejącej literatury. Problem niedosłego zbliżenia podejmowali zresztą także emigracyjni historycy, z Piotrem Wandyczem na czele. Mnożenie szczegółów o spotkaniach pozbawionych egzekutywy emigracyjnych polityków, relacjonowanie tego, co minister powiedział ambasadorowi i co ten odpowiedział, nie jest zabiegiem poznawczym. Nie warto może byłoby o tym pisać, gdyby wyważanie otwartych drzwi nie było zabiegiem zbyt często spotykanym w najnowszej polskiej historiografii. Zabiegiem, do którego wielu kierowników seminariów, niestety, zdołało się przyzwyczaić.

Do tego dołącza się jeszcze jeden szkopał. Być może autor mógłby wprowadzić nowe elementy do naszej wiedzy, gdyby zapoznał się z czechosłowackimi materiałami i odpowiednią literaturą i przedstawił stanowisko Beneša widziane z drugiej strony. Jednak, rzecz nie do wiary, Kisielewski całkowicie zlekceważył czeskie materiały i badania. Taki polonocentryzm to też jakieś schorzenie krajowej historiografii. Co więcej, studia na dyplomację, nie uwzględniające głębszych, ekonomicznych i kulturowych uwarunkowań, są zajęciem poznawczo jałowym. Być może, gdyby autor wniknął w uwarunkowania, gdyby dostrzegł i przedstawił trudności połączenia interesów Polaków, Czechów, Słowaków, odmienność gospodarczą, psychiczną, miałyby szansę zrucenia polsko-czechosłowackich rozmów na szersze tło konfliktu interesów i animozji, w bardziej trwały sposób ciężących nad stosunkami państw, które winny się zbliżyć, ale nie potrafią tego uczynić. Nawet gdy Beneš od dawna nie żyje, a sowieckie veto przestało ciążyć.

Józef LEWANDOWSKI

POLEMIKI

Wojciech ROSZKOWSKI (Andrzej ALBERT)

ODPOWIEDŹ GRZEGORZOWI MAZUROWI

Recenzję p. Grzegorza Mazura z mojej „Najnowszej historii Polski 1918-1980” czytałem z tak zwanymi mieszanymi uczuciami. Recenzent nie może się bowiem zdecydować, czy książkę tę chce pochwalić, czy zganić. Z jednej strony zauważa, że jest to pozycja „znacząca” i „imponująca”, lecz w podsumowaniu odmawia książce pozytywnej oceny. Co więcej, w końcu jednak dostrzega jej zaletę w tym, że jest to „interesująca propozycja badawcza” (to znaczy co?). Przyznam, że nie wiem, czy mam się z tego wszystkiego cieszyć, czy martwić.

Główne zarzuty p. Mazura mają dwojaki charakter. Po pierwsze, jego zdaniem, moja praca zawiera wiele „wątpliwych tez” i emocjonalnych ocen, po drugie zaś znalazł tam dużą ilość „błędów merytorycznych i faktograficznych”.

W kwestii generalnych ocen różnię się dość wyraźnie od p. Mazura. Pisze on z pewną dezaprobatą o tym, że w mojej książce okres międzywojenny przedstawiłem w jasnych barwach, zaś dzieje PRL w barwach ciemnych. Myślę, że nie wynika to, jak sugeruje autor recenzji, z moich sympatii politycznych, ale z przyjętych kryteriów ocen: niepodległości, sprawiedliwości i demokracji. Z tych trzech punktów widzenia Polska międzywojenna (choć nie wolna od trudności i ciemnych plam) stała nieporównanie wyżej niż PRL. Czyżby autor recenzji miał co do tego wątpliwości?

Sądzę, że p. Mazur niepotrzebnie miesza kryteria polityczne z ocenami moralnymi, do których historyk chyba ma prawo. Relatywi-

zowanie ocen przez akcentowanie różnic w „wyznawanej filozofii” niewiele nas posunie w formułowaniu opinii historycznych. Oczywiście, że istnieją różnice w punkcie widzenia między socjalistami, liberałami czy chrześcijańskimi demokratami, ale w podstawowych kwestiach moralnych winni oni znaleźć płaszczyznę porozumienia. Myślę, że „między gentelmenami” nie powinno być dyskusji na temat podstawowych wartości. Tych, którzy tych wartości nie uznawali (komunistów i prawicowych radykałów) w pracy swojej wyrzucam poza nawias „gentelmenów”.

Również kwestia emocji w mojej narracji przedstawia się nieco inaczej niż sądzi p. Mazur. Emocjami nazywa on bowiem to, co ja nazywam oceną moralną. Może istotnie w tekście mojej książki zbyt wiele jest przymiotników, a niektóre postacie skwitowane są zbyt uproszczonymi epitetami. Jest to jednak wynik nie tyle mojej zapalczowości, co chęci zasygnalizowania, że mamy do czynienia z wyraźnie różnymi rodzajami pobudek działania. Czyż bliższe prawdy byłoby wymienienie katów i ofiar w jednym szeregu?

Autor recenzji nie godzi się z niektórymi moimi opiniami, na przykład w kwestii formalnego uprzywilejowania religii katolickiej w Polsce międzywojennej. Nie rozumiem jednak dlaczego dowodzi, że artykuły konstytucji marcowej i kwietniowej przesądzały to *faktycznie* a nie *formalnie*. „Formalnie” oznacza dla mnie w myśl litery prawa, „faktycznie” zaś — w praktyce. Dlatego też nadal uważam, że formalnie religia katolicka była uprzywilejowana, natomiast w praktyce istniała tolerancja religijna. Konflikty narodowościowe Drugiej Rzeczypospolitej, jak również istniejący w niej antysemityzm nie miały bowiem charakteru religijnego, lecz raczej spontaniczny, ekonomiczny, terytorialny, bądź kulturalny.

Do „wątpliwych tez” zalicza też p. Mazur moje zdanie o tym, iż formuła bezwarunkowej kapitulacji Niemiec z Casablanki była fatalna dla Polski. Nie rozumiem, czego recenzent tu nie rozumie, bo ja to wyjaśniam dość prosto. Oznaczało to, moim zdaniem, faktyczną zgodę Zachodu na wejście Armii sowieckiej do Polski w pogoni za armiami niemieckimi. Odtąd druga wojna światowa nie mogła się skończyć tak jak pierwsza (wyzwolenie ziem polskich przez Polaków „od środka” przy pozostawieniu poważnych sił niemieckich na wschodzie), lecz w samych Niemczech. Po drodze była Polska, którą ZSSR mógł swobodnie opanować.

Sprawa wojskowych efektów akcji „Burza” jest istotnie dyskusyjna. Moim zdaniem, czysto wojskowe cele „Burzy” zostały osiągnięte, czego nie można powiedzieć o celach politycznych, gdyż wspomniane przez p. Mazura akcje NKWD temu zapobiegły. O wpływie Powstania Warszawskiego na powojenny podział Niemiec oraz kształt i charakter PRL można dyskutować do upadłego, gdyż wydarzeń historycznych nie da się powtórzyć eksperymentalnie w innej wersji. Moim zdaniem, wpływ ten, i to pozytywny, był wyraźny, ale oczywiście recenzent ma prawo do odmiennej oceny. Nie chciał-

bym tylko, by uznawał moje stanowisko w tej sprawie za błąd.

Stosunek społeczeństwa polskiego do komunizmu, zarówno zaraz po wojnie, w latach stalinowskich, jak i później przedstawiłem bardzo obszernie, toteż nie wiem dlaczego twierdzi on, że nie zauważyłem względnego poparcia systemu przez inteligencję w latach 50-tych. Jest o tym mowa parokrotnie (np. s. 480, 648, 651). Cała dalsza argumentacja jest zbędna, gdyż stanowi powtórzenie tego, co w różnych miejscach sam napisałem. Nie wiem tylko, dlaczego p. Mazur wziął Pawła Jasienicę za przykład intelektualny, który uległ komunizmowi.

Być może samochodów i wyjazdów zagranicznych nie było w PRL w latach 50-tych i 60-tych zbyt wiele, ale któż z nich korzystał, jak nie aparat władzy? Uprzywilejowanie komunistycznej elity nie zaczęło się w latach gierkowskich, lecz miało miejsce i wcześniej (a sklepy za „żółtymi firankami”?). Wystarczyło zobaczyć, kto mieszkał przy Alei Przyjaciół w Warszawie, czy kto otrzymywał przydziały na lokale w podobnych miejscach innych polskich miast. Naiwnie brzmi teza recenzenta, iż właściciele willi i samochodów musieli się tłumaczyć „w odpowiednich urzędach” ze swych dochodów. A przed kim tłumaczyli się pracownicy owych „odpowiednich urzędów”? Przed samymi sobą.

Reasumując, wśród kwestii podniesionych przez p. Mazura jako ogólniejsze nie znalazłem ani jednej, którą można by określić jako błąd. Co najwyżej były to oceny odmienne od tych, jakie prezentuje recenzent. Najdziwniejsze, że w niektórych przypadkach p. Mazur chce mnie przekonać do tez, które sam sformułowałem (stosunek inteligencji do komunizmu) lub formułuje opinie wynikające z nadmiernej tolerancji dla relatywizmu i półprawd publikowanych w PRL.

Pozostaje szereg uwag szczegółowych. Autor recenzji zadał sobie rzeczywiście wiele trudu, by wyszukać wszystkie usterki w tekście. Jest ich dość sporo, ale w większości są to sprawy drobne, nadające się do staranniejszej korekty. Określenie „czerwone wojsko polskie” nie było dotąd stosowane do okresu rewolucji bolszewickiej, ale czy dlatego zasługuje na miano dziwaczного? Niestety, było ono polskie, gdyż składało się z Polaków. Nie wiem, dlaczego p. Mazur przypisuje mi błąd w informacji o krytyce polityki Kwiatkowskiego ze strony płk. Wendy. Nie sądzę, by warto było cytować rozmiary strat sowieckich we wrześniu 1939 r. za Mołotowem. Nie jest „kompletnym nieporozumieniem” nazwanie rządu Arciszewskiego „socjalistyczno-endeckim”, gdyż te dwie partie stanowiły jego podstawę. Nie wiem też, jakie niemiłe skojarzenia to może budzić. Sprawa zabójstwa Gerharda nie jest do końca jasna.

Obrona gen. Jaruzelskiego przez p. Mazura jest jeszcze bardziej namiętna niż moje epitety. Myślę, że określenie „janczar” nie jest w jego przypadku zbyt krzywdzące. Wobec naprawdę tragicznego losu wielu polskich 16-latków w czasie wojny w ZSSR, jego kariera w „ludowym” wojsku nie jest dla mnie tytułem do chwały, podobnie

jak różne inne epizody z jego działalności (1968, 1970 i 1981). Niemniej podtrzymuję to, co powiedziałem w cytowanym wywiadzie dla *Przeglądu Powszechnego*, że rok 1989 i 1990 musiał wpłynąć na zmianę mojej opinii o generale. Nie jestem w tym zresztą odosobniony.

Niezbyt mogę się zgodzić z pretensjami recenzenta w kwestii wykorzystanej przeze mnie literatury. W książce o objętości ponad tysiąc stron nie było miejsca na pełne przypisy, toteż, jak to zazaczyłem we wstępie, ograniczyłem się tylko do przypisów źródłowych, rezygnując z przypisów bibliograficznych oraz polemik i konfrontacji różnych opinii. Dlatego też, a nie ze względu na „odrzucenie”, nie wspominałem uczonych wymienionych przez p. Mazurę. Choć prace niektórych z tych historyków poddałem dość radykalnej krytyce (być może zbyt radykalnej), to nie to było przyczyną ich pominięcia. Pomiąłem bowiem także dziesiątki innych, nieraz nawet lepszych opracowań. Nie było na nie miejsca. Natomiast cytowałem źródła często gorszej reputacji. Nie sądzę jednak, by sięgnięcie do prac wymienionych autorów krajowych mogło mnie ustrzec przed „najróżniejszymi usterkami”. Same one zawierały bowiem liczne usterki, wynikające z działania cenzury (również wewnętrznej).

Zgadzam się z recenzentem, że książkę zaszkodził brak porządnej korekty. Niestety, tryb pracy nad książką był dość nietypowy. Mój maszynopis został przepisany do druku w „Kręgu” i „Pokoleniu” bez korekty, przez co w wersji podziemnej znalazły się omyłki, które następnie pomnożyły kolejne przepisanie tekstu w Londynie. Pracę przekazałem na Zachód jeszcze w 1968 r. Długo tam wędrowała, aż w końcu znalazła wydawcę w „Polonii”. Myślę, że wydawca nie żałuje decyzji o jej druku. Również i ja, mimo licznych usterek korektorskich, żywię wobec niego szczerą sympatię za podjęty trud. W nowym wydaniu pracy przez „Puls” część uwag szczegółowych p. Mazura została uwzględniona.

Nie wiem dlaczego autor recenzji podkreśla, że wydanie londyńskie mojej „Historii” pojawiło się w Polsce dopiero w połowie 1990 r. Widziałem je w Warszawie już pod koniec 1989 r. W połowie 1990 r. dokonano pirackiego wydania będącego fotokopią edycji „Polonii” (rozprowadzała je przez jakiś czas firma „Antyk” oraz spółka „Kapt”, przed którymi chciałbym ostrzec). W ogóle historia kolejnych wydań „Historii” jest długa i zawiła. Jeden z panów wydawców był nawet uprzejmy sprzedać na początku 1989 r. moje prawa autorskie „na cały świat” bez porozumienia się ze mną. Fakt, że niektórzy dzielni wydawcy z podziemia zamienili się w bałaganiarzy łamiących cywilizowane zasady prawa autorskiego, to też przyczynek do najnowszej historii Polski. Ale to już całkiem inna sprawa.

Warszawa, 23 VIII 1991 r.

Wojciech ROSZKOWSKI
(Andrzej ALBERT)

LIST DO REDAKTORA „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Czytelnicy wydawnictw *Kultury* są przyzwyczajeni do różnych ekstrawagancji, jednak to, co znalazłem w najnowszym numerze *Zeszytów Historycznych* wykracza poza zwykłą ich miarę. O ile rozumem, ukazujące się od wielu lat *Zeszyty* są archiwum, mającym na celu przechowanie źródeł użytecznych dla przyszłych historyków. Co więc mamy sądzić, jeżeli natrafiamy tam na artykuł wstępny, dziś w Polsce pisany, nie zaopatrzony żadnym komentarzem redakcji?

Gdyby chodziło o przykład obyczajowy, pospolitych dziś w Polsce porachunków przy pomocy wyzwick i pomówień, artykuł Marka Zielińskiego pod pompacyjnym tytułem „Lekcja historii” byłby dobrze wybrany. Należy on do modnych dzisiaj ataków na inteligencję i co jedynie dziwi, to miejsce gdzie się ukazuje. Bo przeciw cała działalność *Kultury* była oparta na przekonaniu, że ma sens wydawanie za granicą pism i książek, skoro te, trafiając za żelazną kurtynę wbrew policji i cenzurze, zmieniają tam sposób myślenia. Czytelnicy ich, kolporterzy i podziemni drukarze to była właśnie inteligencja. Jak więc można rozumieć Ciebie, redaktora, dającego *placet* tekstowi, który odbiera wartość Twemu dziełu?

Ataki na inteligencję łączą się zwykle z oskarżeniami środowisk intelektualnych o współpracę z komunizmem, która rzeczywiście istniała. Chyba wiem, bo jestem autorem „Zniewolonego umysłu”. Tym niemniej wszędzie, zarówno w Polsce jak w Rosji, myśl niezależna rozsądziła wreszcie doktrynę i dowodów na to można znaleźć dosyć na łamach samej *Kultury*. Jeżeli ludzie pióra i naukowcy ulegali pokusom współpracy, to z ich również kręgów pochodzą ci, którzy skutecznie obalili ideologiczne fetysze. Nieraz byli to ci sami, którzy najpierw chcieli wiernie służyć.

Że cały artykuł jest oparty na zmyśleniach, mogłem się przekonać czytając w nim to, co odnosi się do mojej osoby. Zostałem bowiem oskarżony o to, że „subtelnie uzasadniam przewagę systemu dawnego nad obecnym” czyli wolę Polskę komunistyczną od dzisiejszej. Jest to oskarżenie obrzydliwe i absurdalne. Ale daje niezłe pojęcie o obyczajach. Jeżeli, mimo dziesiątków lat na emigracji i książek tępionych w Polsce przez policję, nie jestem dostatecznie „czysty”, to co mają począć moi koledzy tam (cała lista nazwisk), którym nie pomogą ich dysydenckie zasługi, bo to ciągle za mało w oczach samomianowanych sędziów?

Nie wiem, czy *Zeszyty Historyczne* będą ukazywały się w dalszym ciągu. Byłoby przykro, gdyby zakończyły swój byt takim brzydkim akcentem.

Czesław MIŁOSZ

Marek ZIELIŃSKI

ODWAGA STANIAŁA...

Jeśli idzie o polemikę Cz. Miłosza z moim artykułem, to obrazony ton listu ma niewielu wspólnego z tekstem. Jego wartości nie będę bronić, a za merytoryczne oceny mogę jedynie wyrazić wdzięczność. Także wielkiemu poecie, że zechciał przeczytać i co więcej wziąć za pióro, bo trudno o poważniejsze potraktowanie cudzego tekstu niż w taki, polemiczno-czytelniczy sposób. Jeszcze raz Czesław Miłosz potwierdził swoją klasę intelektualisty. I dlatego nie warto prostować jego ostrego osądu tych kilkunastu stron mego szkicu, gdyż ważniejsze wydało mi się samo zainteresowanie. Może więc nie wszystko stracone i szkic, który nie mógł się przez wiele miesięcy przebić w krajowych czasopismach, odniósł częściowo chociażby swój skutek?

Broń Boże nie jestem Herostratesem, który pali świętości, żeby zwrócić na siebie uwagę. A wzmianka o Miłoszu w objętości szkicu była zupełnie marginalna. Za to niemarginalne były opisy zachowań niektórych przedstawicieli krajowych elit, pokazanie ich uwikłań w miniony okres i trudności, które łączą się z demokracją. Ta wyśniona demokratyczna Polska rodzi się w wielkich bólach i męce. Mało kto zdawał sobie z tego sprawę jeszcze niedawno i wszyscy zostali zaskoczeni „kłopotem z istnieniem w demokracji”, że przypomnę tytuł dziennika Elzenberga. Toteż dodatkowego waloru nabrało doświadczenie kampanii prezydenckiej, ujawnionych przy jej okazji podziałów i form ich wyrażania. Część elity intelektualnej przestraszyła się takiego obrotu rzeczy. Panika jest złą nauczycielką. Popelniono głupstwa, gdyż zagrożenie domniemanego stanu posiadania unieważniło na wartości ogólne. Ci, którzy przed paru laty z odwagą podejmowali wspólnie z robotnikami walkę o odmienny kształt polskiej rzeczywistości, dzisiaj zamknęli się w kręgu swej kasty ze strachu przed przyszłością i za wszelką cenę bronili starych formuł społecznych, literackich, zaskorupiały za czasów władzy ko-

munistów. Trudno było przypuszczać, że Miłosz będzie chciał stanąć po ich stronie. Kilka niemądrych wypowiedzi nie świadczyło jeszcze o niczym. A jednak...

„Lekcja historii”, niezależnie od wartości tego szkicu, nie miała być jeszcze jedną próbą zdezawuowania polskich elit, polskich intelektualistów. W intencjach było odwrotnie, gdyż chodziło o ratowanie tej grupy przed marami z przeszłości. Dlatego w uproszczonych, publicystycznie przerysowanych i możliwe, że nieudolnych tezach, starałem się ocalić najcenniejsze wartości, które wniosła ona do polskiego życia. Nie wydaje mi się jednak, żeby dało się przeprowadzić taką obronę bez pamiętania o przeszłości, błędach powojennych i demonach, które wciąż straszą z pozostałych stron starej prasy czterdziestych i pięćdziesiątych lat (prasy, a także książek, filmów, obrazów, etc.). Zapominanie jest chorobą. Dobrze o tym wie Czesław Miłosz, autor „Zniewolonego umysłu” i tylu pięknych, mądrych wierszy o pamięci. I dlatego szkoda, że w jego wypowiedziach, włącznie z tą polemiką, nie ma śladu tej wiedzy. I śladu tej mądrości, którą tyle razy można było odczytać w pismach kalifornijskiego samotnika. Z czego wynikła zmiana Miłosza, na czym polega znaczenie tych rzucanych z niedbałością fraz, co nawet nie prowokują do myślenia, gdyż tak źle przylegają do faktów? Nie umiem na to odpowiedzieć. Może potrafi wyjaśnić swoją postawę sam Miłosz? Mam nadzieję i czekam. Nie na Miłosza odważnego, ale Miłosza rozumnego. Odwaga staniała... Dlatego wszyscy w kraju szukamy rozumu. I tęsknimy do Miłoszowskiego racjonalizmu, który w przeszłości służył poecie do demaskowania polskich mitów.

Marek ZIELIŃSKI

OKRUCHY HISTORII

Tomasz MIANOWICZ

DWA NIEZNANE LISTY

W swym opracowaniu dotyczącym stosunków Kościół — Państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL Tadeusz Wyrwa — cytując autorów krajowych — zwraca uwagę na fakt, że lata powojenne historii Kościoła polskiego to okres, „do którego brak źródłowych badań naukowych¹”. Wielu cennych źródeł dotychczas w ogóle nie wykorzystano; dwa artykuły T. Wyrwy stanowią jeden z nielicznych wyjątków². Autor zajmuje się przy tym dwoma punktami zwrotnymi w stosunkach Kościół — władze komunistyczne, przedstawiając szereg nieznanych dotychczas okoliczności podpisania w dniu 14 kwietnia 1950 r. „Porozumienia między przedstawicielami Rządu RP i Episkopatu Polski” (a także reakcji Stolicy Apostolskiej na tę umowę) oraz cofnięcia uznania dyplomatycznego dla Ambasady R.P. przy Watykanie.

Można przyjąć, że pozostawiający wiele do życzenia stan badań historii polskiego Kościoła katolickiego po wojnie wynikał w znacznym stopniu z powodowanego względami politycznymi unikania publikacji dotyczących postawy Episkopatu i Prymasa Polski wobec władz komunistycznych. Równocześnie ogłoszono szereg prac o charakterze, rzekłbym, wychowawczo-propagandowym, które ze szkodą

1. „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)”. *Zeszyty Historyczne* (1990), nr 82, s. 61.

2. *Ibid.* oraz: „Likwidacja Ambasady R.P. przy Watykanie w latach 1958 i 1972”. *Zeszyty Historyczne* (1990), nr 93, s. 49-60.

dla rzetelności faktograficznej do dziś zajmują miejsce naukowych ustaleń. Jeden z autorów wyraził niedawno przekonanie, że „oceniając (...) postawę Prymasa Tysiąclecia (...) często pozostajemy bardziej pod wpływem jego legendy, w czym zasługę mają hagiografowie tej postaci³.”

Podobne opinie odnieść można, jak sądzę, do innych problemów z dziejów najnowszych katolicyzmu w Polsce. Dochodzi do tego nadal istniejąca niechęć do poruszania tematów niewygodnych z punktu widzenia różnych środowisk, odgrywających obecnie ważną rolę polityczną w Polsce. Janusz Pierzchała przedstawiając jeden z artykułów, które ukazały się w ubiegłym roku we francuskiej edycji „30 Giorni”, skarży się, że kilka pism krajowych „z oportunistycznym czy ze strachu (a może obu naraz)” nie opublikowało zaproponowanego im tekstu⁴. Zjawiska podobne, zrozumiałe w okresie funkcjonowania cenzury komunistycznej i nieodłącznie z nią związanego konformizmu części historyków, dziwią jednak w dniu dzisiejszym. Zupełnie niedawno zetknąłem się osobiście z podobnym problemem, starając się bezskutecznie opublikować w prasie polskiej artykuł o „polskim modelu” stosunków Kościół — Państwo. Tekst zawierał cytaty z nieznanych dotychczas materiałów źródłowych, które częściowo przytaczam poniżej. Publikacja dwóch opracowań T. Wyrwy w *Zeszytach Historycznych* zapoczątkuje, mam nadzieję, bardziej otwartą dyskusję historyków nad istotnymi punktami stosunków Kościół — Państwo, gdyż rozpowszechnione opinie na ich temat wymagają krytycznej rewizji.

Oprócz porozumienia z kwietnia 1950 r. i likwidacji Ambasady R.P. przy Watykanie, kolejnym istotnym momentem ustalającym charakter stosunków między Kościołem a rządem PRL było podporządkowanie — po śmierci abp. Gawliny w 1964 r. — duszpasterstwa emigracji Prymasowi Polski (abp Gawlina — Religijny Opiekun Emigracji Polskiej — podlegał bezpośrednio Watykanowi). Prymas Wyszyński wyznaczył jako „delegata dla duszpasterstwa emigracji polskiej” bp. Władysława Rubina, który w tym samym roku zostaje również sufraganiem archidiecezji gnieźnieńskiej, w konsekwencji przyjmuje obywatelstwo PRL i składa — w myśl dekretu z 1956 r. — zobowiązanie lojalności politycznej wobec władz Polski Ludowej⁵. Był to bez wątpienia cios zadany niezależności polskiej emigracji politycznej, a skutki tej istotnej zmiany nie dały długo na siebie czekać; w 25-tą rocznicę mordu katyńskiego duszpasterz emigracji, wbrew dotychczasowej zasadzie, nie celebrował nabożeństwa za dusze pomordowanych⁶. *Życie Warszawy* w listopadzie 1969 r. podkreślało

3. T. Lenczewski (list do redakcji). *Zeszyty Historyczne* (1991) nr 95, s. 236.

4. *Orientacja na prawo* (1991), nr 6, s. 31.

5. Por. J. Mackiewicz: „Watykan w cieniu Czerwonej Gwiazdy”, Kontra, Londyn 1975, s. 286.

6. B. Toporska: „Z prośbą o odpowiedź”, *Wiadomości*, 6.2.1966.

„realistyczny sposób myślenia” i „patriotyczną postawę” bp. Rubina⁷.

Z uwagi na szacunek okazywany Prymasowi Wyszyńskiemu prasa polska na Zachodzie i oficjalne czynniki polityczne na emigracji przyjęły zniesienie niezależności swego duszpasterstwa milczącym zakłopotaniem. Jedyne bodajże artykuły opublikowała Barbara Toporska⁸. Choć publicznej dyskusji unikano, autorka otrzymała szereg listów od przedstawicieli kierownictwa politycznego emigracji. Przytaczam poniżej fragmenty dwóch listów, które m.in. naświetlają rolę kardynała Wyszyńskiego w likwidacji niezależnego duszpasterstwa Polaków na uchodźstwie:

W liście do Barbary Toporskiej, datowanym 2 lutego 1966 r., Prezydent August Zaleski pisał:

Ja chcę tylko ściśle osobiście i nie dla publikacji poinformować Panią, że wkrótce po śmierci ks. Arcybiskupa Gawliny p. A. Zawisza (ówczesny Prezes Rady Ministrów — przyp. TM) udał się do Rzymu dla omówienia sprawy jego następcy. Odbił on szereg rozmów na ten temat w Departamencie Stanu i przekonał Arcybiskupa Samoré, w którego kompetencji leżała ta sprawa, że koniecznym jest utrzymanie samodzielnej organizacji kościelnej dla emigracji polskiej.

W tym czasie jednak bawił w Rzymie kardynał Wyszyński. Gdy p. Zawisza poinformował go o tym ks. Prymas się oburzył, powiedział „będzie zupełnie inaczej” i przerwał rozmowę. Późniejsza rozmowa Prymasa z Papieżem ustaliła obecny stan rzeczy. Obawiam się, że rezultaty tego będą bardzo szkodliwe nie tylko dla emigracji, ale dla Polski i może nawet dla Kościoła⁹.

A oto fragment listu premiera Rządu R.P. Aleksandra Zawiszy z dn. 15 kwietnia 1966 r.:

Zarówno z uwagi na nasze najwyższe osobistości duchowne, przede wszystkim w Kraju, jak również i na działające wśród uchodźców, nie uważałem za możliwe publiczne ujawnienie rozmów, jakie miałem w Rzymie, w okresie pogrzebu śp. Arcybiskupa Gawliny, naszego pierwszego, ale jak dotąd — i ostatniego niezależnego od okupowanego Kraju „religijnego Opiekuna Emigracji Polskiej”. Otóż miałem możliwość przedstawić całą tę sprawę szczegółowo najbardziej miarodajnej co do niej osobie w Watykanie, w Sekretariacie Stanu. Zwróciłem jej uwagę na to, że ewentualne pozbawienie następcy śp. Arcybiskupa Gawliny niezależności od hierarchii w Kraju, zmuszonej do liczenia się z władzami reżimowymi, przyniosłoby ogromną szkodę zarówno Kościołowi, jak i naszemu uchodźstwu politycznemu. Uzależnienie nowego „religijnego Opiekuna Emigracji Polskiej” od hierarchii w kraju czyniłoby ją odpowiedzialną wobec władz reżimowych za postawę naszego duchowieństwa działającego wśród emigracji. W razie przyjęcia przez nie postawy prawdziwie niepodległościowej, nasze najwyższe władze kościelne w Kraju ponosiłyby tego konsekwencje w postaci przeróżnych represji. Nie

7. Cyt. za: Radio Warszawa, 11.11.1969.

8. Zob. przyp. 6.

9. List udostępniła mi B. Toporska w 1985 r. Cytowany fragment ogłosiłem pierwotnie w języku rosyjskim w artykule: *K istorii wostocznoj politiki Watikana: „polskaja model”*, *Kontynent*, Paryż 1988, nr 57, s. 288 a następnie po angielsku w: *Survey*, vol. 30 No 4, June 1989, s. 144-5.

mogą zatem do tego dopuścić. Jeżeli natomiast nasze duchowieństwo działające wśród Polaków w wolnym świecie będzie zdradzało cechy kompromisowości wobec tendencji reżymu, łatwo utraci popularność i posłuch. — Nie miałem wątpliwości, że w Watykanie zostałem należycie zrozumiany i mam podstawy do przypuszczenia, że zamierzał on, tak jak o to prosiłem, uzależnić również następcę śp. Arcyb. Gawliny od Watykanu, a nie od hierarchii w Kraju okupowanym przez komunizm i przez Rosję. Zostało to niestety odrobione, i jak już potwierdza się, — ze szkodą dla Kościoła i dla uchodźstwa¹⁰.

Watykan zrezygnował zatem na skutek postawy Prymasa Wyszyńskiego z utrzymania niezależnej organizacji kościelnej dla emigracji polskiej. Oba listy ilustrują także taktykę władz emigracji, które unikały publicznego zajęcia stanowiska wobec niewygodnego problemu. Sądzę, że zagadnienie duszpasterstwa uchodźstwa i — jak się zdaje — dość konsekwentna postawa ks. Prymasa — może także pomóc w analizie jego roli w likwidacji Ambasady R.P. przy Watykanie (sprawę tę omawia T. Wyrwa w nr. 93 *Zeszytów Historycznych*). Można zaryzykować tezę, że zniesienie niezależności duszpasterstwa emigracji było logiczną konsekwencją realizowanej przez kardynała Wyszyńskiego polityki kompromisu z władzami PRL. Nowa watykańska polityka wschodnia i *apertura a sinistra* stwarzały dogodne ramy dla linii Episkopatu Polski. Warto przytoczyć w tym miejscu opinię Józefa Mackiewicza, który uważał, że „Wyszyński wyprzedził Watykan w koncepcji *Ostpolitik*, a w każdym razie był jej pionierem, nawet wbrew polityce Piusa XII¹¹”.

Interpretacja postawy Prymasa Wyszyńskiego i kwestia stosunków Kościół — Państwo w PRL to problem złożony, który wymaga dalszych badań i analizy dostępnych materiałów źródłowych. Przede wszystkim jednak konieczne wydaje mi się odejście od „historiografii z tezą”, podporządkowanej źle pojętej pedagogice politycznej. Tak rozpowszechnione w polskim piśmiennictwie zaliczanie ks. Prymasa do grupy „niezlomnych”, wraz z kard. Mindszentyem czy kard. Stepinacem, jest oceną pochopną, zwłaszcza w konfrontacji z materiałami źródłowymi i zupełnie odmienną opinią współczesnych kardynałowi Wyszyńskiemu zachodnich dyplomatów czy kół watykańskich.

Powstrzymuję się tutaj od ostatecznych wniosków, chcę jedynie zwrócić uwagę na pewien paradoks: Stefan kard. Wyszyński rzeczywiście zapewnił Kościołowi w Polsce niezwykle wpływy, jednak nie dzięki przypisywanej mu nieugiętości, lecz — wprost przeciwnie — dzięki polityce kompromisu.

Tomasz MIANOWICZ

10. Również ten list przekazała mi B. Toporska. Tekst — o ile wiem — nie był dotychczas opublikowany. W obu listach zachowałem pisownię i interpunkcję oryginału.

11. B. Toporska: list do autora, 17.4.1984.

LISTY DO REDAKCJI

Aix-en-Provence, 10.9.1991

Szanowni Panowie!

Będę panom wdzięczny za łaskawe wydrukowanie w *Zeszytach Historycznych* mego krótkiego sprostowania dotyczącego artykułu p. Tadeusza Wyrwy pod tytułem: „Los wywiadu polskiego we Francji 1940-1945”, który przeczytałem w 97-ym *Zeszycie Historycznym*.

Z podanych na stronie 198 tytułów 2-ch książek p. Wyrwy wnioskuję, że jest on historykiem. Przypuszczam więc, że jako naukowiec szukający prawdy będzie mi wdzięczny za niniejsze sprostowanie, które w 3-ch poruszonych przeze mnie punktach ma na celu zadać kłam powstałym, jak p. Wyrwa pisze, „mitom i legendom”.

Na str. 195 jest napisane: „Leon Śliwiński (jeden z kolejnych szefów we Francji siatki szpiegowskiej pod ostateczną nazwą „F2”) kupił po wojnie w Maroku kopalnie rud, siła robocza złożona z Arabów była tania, stąd i łatwy dochód”.

Śliwiński przyjechał do Maroka w 1947 r., nie mając żadnego kapitału i żeby móc żyć, zaczął pracować jako dyrektor agencji filmowej Werner Bros'a. Stanowisko to otrzymał przez podwładnego swego z czasów wojny, a dyrektora naczelnego W.B. w Paryżu, p. Salberga.

Po pewnym czasie pobytu w Maroku Śliwiński przez znajomych Francuzów pomógł w uzyskaniu pracy w „Omnium Nord-African” inżynierowi górnikowi Jerzemu Markiewiczowi. Po czym obaj, oceniając duże możliwości górnicze tego kraju, zaczęli myśleć o samodzielnym zajęciu w tej dziedzinie. Ponieważ znany Śliwińskiemu z pracy wywiadowczej we Francji Władysław Potocki również interesował się możliwościami w marokańskim górnictwie, zdecydowali we trójkę poważnie zająć się tym projektem. Markiewicz zaczął przeprowadzać poszukiwania w terenie, Potocki udał się do Ameryki na szukanie pożyczki, Śliwiński, mając wprowadzenia z Résistance, nawiązał w stołecznym Rabacie kontakty w urzędach (Service de Mines itp.). Kiedy w końcu Potockiemu na skutek licznych i wpływowych znajomości udało się w St. Zjednoczonych uzyskać pożyczkę, jesienią 1950 r. założono Spółkę Akcyjną „Compagnie Minière d'Agadir”, do której Markiewicz wniósł swą pracę fachowca, Potocki pożyczkę amerykańską, a Śliwiński pracę administracyjną i lokal (swoje mieszkanie), który w owym czasie był niezmiernie trudny do znalezienia w Casablance.

W międzyczasie Śliwiński, mianowany przez Rząd Polski w Londynie na konsula honorowego, sprowadził do Maroka kilkanaście rodzin polskich, dając

im zatrudnienie w powstałym towarzystwie. Do tych sprowadzonych na pracę do Maroka i ja miałem szansę należeć i stąd znam dobrze historię C.M.A.

Prawdą jest, że siła robocza niewykwalifikowanych górników (Berberów zresztą, a nie Arabów) była relatywnie tania, ale nie ona wyłącznie stała się źródłem dochodu, jak można wnioskować z zacytowanego wyżej zdania p. Wyrwy. Główny dochód przyniosły C.M.A. inne elementy: zmysł organizacyjny wyrobiony w czasie wojny, tytaniczna praca i dobre stosunki Śliwińskiego z bankami oraz władzami Protektoratu, a potem niepodległego Maroka i przede wszystkim, że tak się wyrażę, uśmiech losu. W 2-ch bowiem opuszczonych przez górnicze towarzystwa francuskie kopalniach manganu Polacy (był też jeden Węgier i jeden Czech) odkryli duże i bogate złoża, które dały ten dochód, o jakim p. Wyrwa parokrotnie wspomina.

Na str. 196 po wzmiance, że w C.M.A. pracował płk dypl. Stanisław Gano (szef Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie) znajduje się następujące zdanie: „w czasie, kiedy wykopywano rudę... zagrzebywano w pamięci czyny polskiego wywiadu we Francji”.

Rzeczywiście płk Gano nie zostawił po sobie, ku wielkiej szkodzi dla historii wkładu Polaków do 2-jej wojny światowej, żadnych notatek ani wspomnień. Ale z wyżej podanego zdania można wyciągnąć wniosek, że Śliwiński (administrator-dyrektor C.M.A.) postąpił podobnie co płk Gano, co nie odpowiada prawdzie i jest dla jego opinii krzywdzące.

Śliwiński przy dużych trudnościach ogromnym wysiłkiem szeregu lat pracy i przy wydaniu sporych pieniędzy zgromadził u siebie bardzo obszerne i cenne archiwum; dotyczące wywiadu polskiego we Francji w latach 1940 do 1945 ze specjalnym uwzględnieniem swej siatki wywiadowczej „F2”. Z archiwum tego korzystało i korzysta szereg poważnych instytucji i osób, do których należą i p. Tadeusz Wyrwa, o czym pisze sam na str. 195.

Łączę wyrazy szacunku i uznania dla Panów pracy

Michał KŁOBUKOWSKI

Paryż, dnia 6 października 1991 r.

Drogi Panie Redaktorze!

List p. Kłobukowskiego wnosi nieznane mi szczegóły z działalności przemysłowo-kopalnianej p. Leona Śliwińskiego, zupełnie mi nieznaną, a więc nie mogę się na ten temat wypowiadać, co może zrobić inni zorientowani w tym przedmiocie, ale niewiele chyba wzbogaciłoby to znajomość wywiadu polskiego we Francji.

W ostatnim paragrafie p. Kłobukowski pisze, że p. Śliwiński „zgromadził u siebie bardzo obszerne i cenne archiwum...”. Siłą rzeczy nasuwają się dwa pytania: dlaczego w takim razie dokumentacja, którą p. Śliwiński udostępnił p. Stanisławowi Żochowskiemu i której opracowanie finansował, nie była bogata i nie wystarczała p. Żochowskiemu do przygotowania źródłowej rzeczywiście książki na wyżej wymieniony temat? Następnie, kto i kiedy będzie mógł wreszcie to opracować?

Łączę wiele najlepszych pozdrowień

Tadeusz WYRWA

5 maja 1991 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przyjmuję, chyba słusznie, że cykl „Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (próba syntezy)” gen. Izydora Modelskiego opublikowany został w *Zeszytach Historycznych* w dużej mierze po to, by dać czytelnikom możliwość oceny osoby autora, gdyż jest wątpliwe, by stanowił wartościowy przyczynek do studiów Kampanii Wrześniowej. Ilustruje też on kaliber najbliższych współpracowników gen. Władysława Sikorskiego, Premiera i Naczelnego Wodza, który w Paryżu mianował płk. Modelskiego generałem i zastępcą Ministra Spraw Wojskowych.

Wobec powyższego, nie uważam za celowe inicjowanie polemiki z opiniami zmarłego już dawno autora. Piszę jedynie, by sprostować jeden z fragmentów elaboratu gen. Modelskiego, w którym powołuje się on na relację mojego ojca, płk. dypl. Tadeusza Münnicha (L.dz.415/39), Szefa Biura Inspekcji GISZ-u, a potem Adiułtanta Głównego Naczelnego Wodza we wrześniu 1939 r. Cytat z tej relacji (*Z.H.* Nr 95, str. 112), rzuca fałszywe światło na postawę mojego ojca wobec Marszałka Śmigłego-Rydza. Kończy się on zwrotem: „...Nie dziw, że Marszałek dostał gorączki” (L.dz.415/39), jest zamknięty cudzysłowem, ale nie wiadomo gdzie jest jego początek. Można by słusznie przypuszczać, że i poprzednie zdania — których autorem, sądząc po stylu, jest chyba sam gen. Modelski — są wzięte z relacji mojego ojca. Prawdą natomiast jest, że cały cytat jest sfałszowany.

Mam przed sobą kopię oryginału relacji ojca i przytaczam odnoszący się do zdrowia Marszałka fragment, którym posłużył się gen. Modelski:

„...Prace te, konferencje i odprawy z odnośnymi czynnikami wojskowymi i innych resortów obrony, jak i przedstawiciele armii sprzymierzonych (misje ang. i franc., pobyt gen. Ironside'a) absorbowwały Pana Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych przez cały omawiany okres tak w G.I.S.Z. jak i na kwaterze bez względu na porę dnia, co z racji związanej z tym mojej funkcji i ze względów historycznych muszę przytoczyć, że nie przerwały ich nawet na chwilę trwające od połowy lipca niewyjaśnione niedyspozycje Generalnego Inspektora S.Z. objawiające się stałym stanem podgorączkowym dochodzącym do 38 stopni. Zabiegi lekarskie odbywały się w przerwach między referatami i konferencjami, a na jakiś tydzień przed wybuchem wojny i to z braku czasu zostało zaniechane, a lekarze przez Pana Marszałka odsunięci”.

Najwyraźniej nie wystarczała autorowi tendencyjna metoda selektywnego wyciągania fragmentów z dostępnych mu relacji, którymi mógł się posłużyć dla poparcia swoich tez. Gdzie takowe nie całkiem mu pasowały, odpowiednio je preparował.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Krzysztof MÜNNICH

SPROSTOWANIE

Do artykułu Bernadety Tendyry pt. „Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków” (*Zeszyty Historyczne* nr 97) zakradło się — częściowo z winy korekty, a częściowo Autorki — sześć błędów.

1. W przypisie 13, str. 26, prawidłowe brzmienie sygnatury powinno być C 15358/8526/55.

2. W przypisie 39, str. 32, zamiast „11 listopada ” powinno być „11 lipca 1940 r.”.

3. Na str. 33, w ostatnim zdaniu drugiego akapitu, należy opuścić znak zamknięcia cytatu po słowie „sympatycznych”.

4. Na str. 36 ostatnie zdanie pierwszego akapitu powinno brzmieć: „Płk Leslie Hulls, brytyjski oficer łącznikowy przy sztabie Andersa, okazał się jednym z najsurowszych krytyków Sikorskiego: ten ostatni nawet czynił starania, aby usunąć Hulls'a z zajmowanego stanowiska”.

5. Na str. 41, w ostatnim zdaniu pierwszego akapitu, opuszczono nazwisko Cadogana w następującym zdaniu: „30 lipca 1941 r. Cadogan zanotował ze znużeniem...” etc.

6. Na str. 48, w drugim akapicie, zdanie zaczynające się w wierszu 11 powinno brzmieć: „Sikorski twierdził na przykład, że Roosevelt powiedział mu, iż Sowieci zadowolą się cesją Łotwy i Estonii, bez Litwy i Besarabii bez Bukowiny, oraz że zgodzą się, aby Wilno i Lwów pozostały polskie”.

SPIS TREŚCI

Hanna Świdierska: „Co mamy zrobić z Andersem?” (<i>Gen. Anders w Public Record Office</i>)	3
Jędrzej Tucholski: <i>Ekshumacja Charków – Miednoje 25.VII.-31.VIII.1991 r.</i>	24
Edmund Nowak: <i>Obóz pracy w Łambinowicach 1945–1946</i>	32
Z.S. Siemaszko: <i>Pipsztoki</i>	37
Leszek Brzoza: <i>Piłsudczycy a kryzys prezydencki</i>	57
Tadeusz Wyrwa: <i>Francja w podziemnej prasie polskiej 1940–1944</i>	71
Jan J. Lorys: <i>Walka o użycie w Kraju 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej</i>	77

DOKUMENTY

Piotr Wandycz: <i>August Zaleski o polskiej polityce zagranicznej w 1941 r.</i>	95
August Zaleski: <i>Do mego następcy na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie</i>	96

WSPOMNIENIA

Zygmunt Pocięcha: <i>System Wronki</i>	107
Agata Tuszyńska: <i>Warszawskie wspomnienia Mikołaja Awentariusa</i>	138
Alfred Kolator: <i>Internowanie na Litwie</i>	151
Zygmunt Wenda: <i>Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. I.</i>	167

CI, CO ODESZLI

Kazimierz Braun: <i>Jerzy Braun (1901–1975)</i>	193
---	-----

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	200
Michał Heller: <i>Mołotow, najwierniejszy z wiernych</i>	205
	239

Jan Ciechanowski: <i>W sowieckim osaczeniu (Uwagi i refleksje nad ostatnią pracą Zbigniewa Siemaszki)</i>	210
Jan Ciechanowski: <i>Udany autoportret powstańca i emigranta (Refleksje nad wspomnieniami Jana Krok-Paszewskiego z lat 1925-1988)</i>	213
Ryszard Löw: <i>Czytając Borwicza</i>	216
Józef Lewandowski: <i>Jeszcze o Powstaniu Styczniowym</i>	221
Józef Lewandowski: <i>Federacja środkowo-europejska</i>	222

POLEMIKI

Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert): <i>Odpowiedź Grzegorzowi Mazurowi</i>	224
Czesław Miłosz: <i>List do Redaktora „Zeszytów Historycznych”</i>	228
Marek Zieliński: <i>Odwaga staniała...</i>	229

OKRUCHY HISTORII

Tomasz Mianowicz: <i>Dwa nieznanne listy</i>	231
--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Michał Kłobukowski: <i>Sprostowanie do artykułu T. Wyrwy „Los wywiadu polskiego we Francji 1940-1945” (Zeszyty Historyczne Nr 91)</i>	235
Tadeusz Wyrwa: <i>Odpowiedź na powyższe uwagi M. Kłobukowskiego</i>	236
Krzysztof Münnich: <i>Sprostowanie do dokumentu „Wojскове przyczyny klęski wrzesniowej” gen. I. Modelskiego (Zeszyty Historyczne Nr 93-95)</i>	237
<i>Sprostowanie do artykułu B. Tendyry „Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków” (Zeszyty Historyczne Nr 97)</i>	238

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, avenue de Wagram, 75008 PARIS

